

Uprowadzenie

Cook Robin



calibre 0.9.43

Urowadzenie

Przełożył Norbert Radomski

Tytuł oryginału • Abduction

Dla Camerona Witaj, Maleńki!

Rozdział 1

Dziwna wibracja wyrwała Perry'ego Bergmana z niespokojnego snu. Niemal natychmiast ogarnęło go nieokreślone, dręczące uczucie. Drażniący szmer przypominał mu odgłos paznokci zgrzytających o szkolną tablicę. Wzdrygnął się. Odrzucił cienki koc i wstał. Wibracja wciąż trwała. Teraz, gdy stał boso na stalowym pokładzie, kojarzyła mu się raczej z wiertłem dentystycznym. Mógł rozróżnić przebijający przez nią zwykły pomruk generatorów statku i szum klimatyzatorów. - Co, u diabła? - powiedział na głos, choć w zasięgu słuchu nie było nikogo, kto mógłby udzielić mu odpowiedzi. Poprzedniego wieczoru przybył na statek, Benthic Explo-rer, helikopterem, po długim locie z Los Angeles przez Nowy Jork do Ponta Delgada na Azorach. Biorąc pod uwagę różnicę stref czasowych oraz długą dyskusję na temat problemów technicznych, na jakie natknęła się jego ekipa, jego wyczerpanie było zrozumiałe. Nie miał ochoty być budzony po raptem czterech godzinach snu, a już na pewno nie przez tę irytującą wibrację. Energicznym ruchem chwycił słuchawkę wewnętrznego telefonu i wystukał numer na mostek. Czekaając na połączenie, stanął na palcach i wyjrzał przez okienko swojej VIP-owskiej kajuty. Przy wzroście metr sześćdziesiąt osiem nie uważał się za niskiego - po prostu nie był wysoki, to wszystko. Na zewnątrz słońce ledwie zdążyło wynurzyć się zza horyzontu. Statek rzucał na Atlantyk długą smugę cienia. Perry patrzył na zachód ponad mglistym, spokojnym oceanem, rozpościerającym się niczym olbrzymi płat kutej cyny. Woda kołysała się łagodnie niskimi, z rzadka unoszącymi się falami. Spokój tej sceny zadawał kłam temu, co działo się pod powierzchnią. Dzięki komputerowo sterowanym dziobowym i rufowym silnikom

manewrowym Benthic Explorer utrzymywany był w stałym położeniu nad fragmentem wulkanicznie i sejsmicznie aktywnego Grzbietu Śródatlantyckiego - dzielącego ocean na pół zębatego pasma górskiego o długości dwudziestu tysięcy kilometrów. Z nieustannie wylewającymi się potokami lawy, podmorskimi wybuchami pary i częstymi wstrząsami sejsmicznymi, te zatopione szczyty były całkowitym przeciwieństwem letniego spokoju panującego na powierzchni oceanu.

- Mostek - odezwał się w słuchawce znudzony głosem.

- Gdzie jest kapitan Jameson? - warknął Perry.

- W swojej koi, o ile mi wiadomo - odparł głosem niedbałym tonem.

- Co to, u diabła, za wibracja? - zapytał Perry.

- Nie mam pojęcia, ale nie pochodzi z silników statku, jeżeli o to pan pyta. W przeciwnym razie maszynownia zgłosiłaby mi to. Najprawdopodobniej to po prostu wiertnica. Chce pan, żebym skontaktował się z przedziałem wiertniczym?

Perry nie odpowiedział. Po prostu trzasnął słuchawką. Nie mógł uwierzyć, że facet na mostku, kimkolwiek jest, nie uznał za stosowne zająć się tą wibracją z własnej inicjatywy. Nic go to nie obchodziło? Zirytował go panujący na jego statku nieład, postanowił jednak zająć się tym później. Na razie próbował skoncentrować się na swojej garderobie. Wciągnął na siebie dzinsy i gruby wełniany golf. Nie musiał pytać, żeby się domyślić, że wibracja mogła pochodzić z wiertnicy. To było zupełnie oczywiste. Ostatecznie to właśnie problemy z wierceniami były powodem, dla którego przybył tu z Los Angeles.

Zdawał sobie sprawę, że angażując się w obecne przedsięwzięcie - wiercenie do wnętrza komory magmowej podmorskiego wulkanu na zachód od archipelagu Azorów - postawił na szali przyszłość Benthic Marine. Był to projekt wykonywany bez zlecenia, co oznaczało, że firma wydaje pieniądze, zamiast je zarabiać, a upływ gotówki był zatrważający. Jego zapał do tego przedsięwzięcia brał się z przekonania, że cała impreza przyciągnie powszechną wyobraź-

nie, skupi zainteresowanie ogółu na badaniach głębin morskich i wywinduje Benthic Marinę na czołową pozycję w oceanografii. Niestety jednak operacja nie przebiegała tak, jak planowano.

Ubrany już Perry spojrział w lustro nad umywalką w pudełkowatej łazience. Jeszcze parę lat temu nie zaprzętałby sobie tym głowy. Ale to się zmieniło. Odkąd przekroczył czterdziestkę, przekonał się, że rozczochranie, z którym dawniej było mu tak do twarzy, teraz postarzało go, a w najlepszym razie sprawiało, że wyglądał na zmęczonego. Włosy mu rzedły i potrzebował okularów do czytania, ale jego uśmiech pozostał zniewalający. Był dumny ze swych równych, białych zębów, zwłaszcza dlatego, że podkreślały opaleniznę, którą z wielkim wysiłkiem utrzymywał. Zadowolony ze swego odbicia w lustrze wypadł z kajuty i popędził korytarzem. Gdy mijał drzwi kajut kapitana i pierwszego oficera, korciło go, żeby grzotnąć w nie, dając w ten sposób ujście swemu rozdrażnieniu. Wiedział, że metalowe powierzchnie odbiłyby dźwięk jak kotły, wrywając śpiących mieszkańców ze spokojnej drzemki. Jako założyciel, prezes i główny udziałowiec Benthic Marinę spodziewał się, że ludzie będą zwijać się jak w ukropie, gdy on jest na pokładzie. Czy tylko jego obchodziło to wszystko na tyle, by zainteresować się tą wibracją?

Znalazłszy się na pokładzie, usiłował zlokalizować źródło dziwnego pomruku, który teraz zlewał się z odgłosem pracującej wiertnicy. Benthic Explorer był stuczterdziestometrowej długości statkiem badawczym z wznoszącą się na śródkręciu dwudziestopiętrową wieżą wiertniczą, spinającą mostem otwartą studnię między kadłubami. Poza wiertnicą, statek szczylił się zespołem do nurkowania saturowanego, łodzią podwodną głębokiego zanurzenia oraz kilkoma zdalnie sterowanymi saniami kamer, z których każde mieściły na sobie imponujący zestaw aparatów fotograficznych i kamer wideo. Cały ten sprzęt, w połączeniu z bogato wyposażonym laboratorium, pozwalał jego macierzystej firmie, Benthic Marinę, na prowadzenie szerokiego zakresu operacji i badań oceanograficznych.

Drzwi przedziału wiertniczego otworzyły się i ukazał się w nich potężny mężczyzna.

Olbrzym ziewnął, przeciągnął się, po czym przełożył przez ramiona szelki kombinezonu i wetknął na głowę żółty kask z napisem: KIEROWNIK ZMIANY, wypisanym wielkimi literami nad daszkiem. Wciąż jeszcze zeszywniały od snu, ruszył w stronę stołu obrotowego. Wyraźnie nie spieszył się, choć wibracja niosła się przez cały statek.

Przyspieszywszy kroku, Perry dopędził mężczyznę akurat w chwili, gdy dołączyli do niego dwaj inni marynarze.

- Rzęzi tak już od jakichś dwudziestu minut, szefie! - ryknął jeden z nich, przekrzykując hałas urządzeń wiertniczych. Wszyscy trzej ignorowali Perry'ego.

Pochrzękując, brygadzysta naciągnął parę grubych rękawic ochronnych i żwawo wszedł na wąski metalowy pomost, spinający centralną studnię. Jego zimna krew zaimponowała Perry'emu. Kładka robiła wrażenie niezbyt solidnej, a niska, wąta barierka stanowiła jedyne zabezpieczenie przed upadkiem do znajdującego się dwadzieścia metrów niżej oceanu. Zbliżywszy się do stołu rotacyjnego, brygadzysta wychylił się przez poręcz i oburącz ujął obracający się wał, nie zaciskając uchwytu, lecz pozwalając mu przesuwać się między chronionymi przez rękawice dłońmi. Z przechyloną na bok głową próbował zinterpretować wędrujące wzdłuż wału drgania. Nie zajęło mu to wiele czasu.

- Zatrzymać wiertnicę! - ryknął.

Jeden z robotników rzucił się do zewnętrznej tablicy rozdzielczej. Po chwili stół rotacyjny zatrzymał się ze szczękiem i drażniąca wibracja ustała. Brygadzysta wrócił po kładce na pokład.

- Cholera! Znów szlag trafił wiertło - powiedział z niesmakiem. - To już zakrawa na kpiny.

- Na kpiny zakrawa to, że przez ostatnie cztery czy pięć dni nie udało nam się przewiercić nawet pełnego metra - odezwał się drugi robotnik.

- Zamknij się! - huknął olbrzym. - Zmykaj stąd i idź podnieść świder do głowicy otworu!

Zgromiony robotnik dołączył do swego kolegi. Niemal na-

10

tychmiast rozległ się nowy odgłos potężnej maszynerii. To, zgodnie z poleceniem, uruchomiono wciągarki. Statek zadygotał.

- Skąd pan wie, że złamało się wiertło?! - wrzasnął Per-ry, przekrzykując nowy hałas.

Brygadzista spojrział na niego z góry.

- Kwestia doświadczenia - zagrzmiął, po czym odwrócił się i ruszył w stronę rufy.

Perry musiał biec, żeby za nim nadążyć. Każdy krok olbrzyma był jak dwa jego kroki.

Próbował zapytać o coś jeszcze, ale tamten albo nie słyszał, albo po prostu go ignorował. Wkrótce

dotarli do schodów i brygadzista ruszył pod górę, pokonując po trzy stopnie naraz. Dwa pokłady

wyżej wszedł w boczny korytarz, zatrzymując się przed drzwiami jednej z kabin. Napis na

drzwiach głosił: MARK DAYIDSON, KIEROWNIK ROBÓT. Brygadzista zapukał głośno.

Początkowo jedyną odpowiedzią był atak kaszlu, lecz po chwili dało się słyszeć wyraźne:

“Proszę!”

Perry wcisnął się za plecami olbrzyma do maleńkiej kajuty.

- Złe wieści, szefie - powiedział brygadzista. - Obawiam się, że znów szlag trafił wiertło.

- Która jest, u diabła, godzina? - zapytał Mark. Przeciągnął palcami po zmierzwionych

włosach. Siedział na brzegu koi, ubrany jedynie w podkoszulek i slipki. Jego twarz była lekko

opuchnięta, a głos ochrypły od snu. Nie czekając na odpowiedź, sięgnął po paczkę papierosów.

Powietrze w kabinie było przesiąknięte zastałym dymem.

- Około szóstej - odparł brygadzista.

- Jezu -jęknął Mark. Dopiero teraz zauważył Perry'ego. Na jego twarzy pojawiło się

zaskoczenie. Zamrugął powiekami. - Perry? Co ty tu robisz o tej porze?

- Nie sposób spać przy tej wibracji.

- Jakiej wibracji? - Mark spojrział pytająco na brygadzystę, ten jednak utkwiał wzrok w Perrym.

- Pan jest Perry Bergman? — zapytał niepewnie.

- Tak, o ile mi wiadomo - odparł Perry. Zakłopotanie brygadzisty dawało mu odrobinę satysfakcji.

11

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - stwierdził wielkodusznie Perry.

- Czy zespół wiertniczy znów rzeźił? - spytał Mark. Brygadzista skinął głową.

- Tak jak ostatnie cztery razy, może trochę gorzej.

- Została nam już tylko jedna diamentowa koronka - jęknął Mark.

- Nie musi mi pan tego mówić - odparł brygadzista.

- Jaka jest głębokość?

- Prawie taka sama jak wczoraj. Wydaliśmy czterysta sześć metrów rury. Skoro do dna jest niecałe trzysta metrów, a osadu nie ma, można powiedzieć, że zagłębiliśmy się w skałę na plus minus sto dziesięć metrów.

- To jest właśnie to, co tłumaczyłem ci wczoraj wieczorem - zwrócił się Mark do Perry'ego.

- Wszystko szło świetnie, aż cztery dni temu utknęliśmy w miejscu. Od tego czasu nie posunęliśmy się więcej niż o metr, mimo że zużyliśmy już cztery wiertła.

- Więc twierdzisz, że trafiliście na twardą warstwę? - zagadnął Perry, sądząc, że powinien coś powiedzieć. Mark roześmiał się sarkastycznie.

- Twarda to mało powiedziane. Używamy diamentowych koronek rdzeniowych z najbardziej równymi żłobkami, jakie kiedykolwiek wykonano! Co gorsza, przed nami jest jeszcze trzydzieści metrów tego materiału, czymkolwiek on jest, zanim dotrzemy do komory magmowej,

przynajmniej jeśli wierzyć naszemu radarowi penetrującemu. W takim tempie dowiercimy się tam za dziesięć lat.

- Czy w laboratorium przeanalizowali okruchy, które utkwiły w ostatnim wiertle? - zapytał brygadzysta.

- Tak, zrobili to - odparł Mark. - To jakiś nie znany dotąd rodzaj skały. Przynajmniej tak twierdzi Tad Messen-ger. Składa się z pewnej odmiany krystalicznego oliwinu, któremu, jego zdaniem, towarzyszą mikroskopijne kryształy diamentu. Szkoda, że nie mamy większej próbki. Główny problem z wierceniami na otwartym morzu tkwi w tym, że nie dostaje się z powrotem płuczki. To jak wiercenie po ciemku.

12

- Nie mogliśmy spuścić tam sondy rdzeniowej? — zapytał Perry.

- Dużo by to pomogło, skoro nawet diamentowe wiertło nie zdaje tu egzaminu.

- A może by nasadzić ją na diamentową koronkę? Gdyby udało nam się zdobyć prawdziwą próbkę tego czegoś, przez co próbujemy się przewiercić, może mogliśmy opracować jakiś rozsądny plan działania. Za dużo zainwestowaliśmy w tę operację, żeby zrezygnować bez prawdziwej walki.

Mark spojrział na brygadzystę, ale ten tylko wzruszył ramionami. Potem znów przeniósł wzrok na Perry'ego.

- Hej, ty tu jesteś szefem.

- Przynajmniej na razie - odparł Perry. Nie żartował. Zastanawiał się, jak długo pozostanie szefem, jeśli to przedsięwzięcie okaże się niewypałem.

- W porządku - powiedział Mark. Odłożył papierosa na skraj przepełnionej popielniczki. - Podnieście wiertło do głowicy otworu.

- Chłopaki już to robią - odparł brygadzysta.

- Weźcie z magazynu ostatnią koronkę - powiedział Mark. Sięgnął do telefonu. - Każę

Larry'emu Nelsonowi uruchomić zespół nurkowania saturowanego i zwodować batyskaf.

Wymienimy wiertło i zobaczymy, czy uda nam się zdobyć lepszą próbkę tej skały.

- Tak jest - odparł brygadzysta. Odwrócił się i gdy Mark podnosił do ucha słuchawkę, by zadzwonić do kierownika zespołu nurków, wyszedł.

Perry również zaczął zbierać się do odejścia, ale Mark chwycił go za rękę. Zakończywszy rozmowę z Larrym Nelsonem, uniósł ku niemu wzrok.

- Jest coś, o czym nie wspominałem na wczorajszym spotkaniu - powiedział. - Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

Perry przełknął ślinę. Nagle zaschło mu w gardle. Nie podobał mu się ton głosu Marka.

Wyczuwał w nim zapowiedź dalszych złych nowin.

- Być może to nic nie znaczy - ciągnął dalej Mark - ale kiedy, jak już wspomnieliśmy, badaliśmy za pomocą radaru penetracyjnego

13

dokonałszy przy okazji nieoczekiwanego odkrycia. Mam te dane tu, na biurku. Chcesz je zobaczyć?

- Po prostu mi powiedz - odparł Perry. - Dane mogę obejrzeć później.

- Radar sugeruje, że zawartość komory magmowej może być inna, niż oceniliśmy na podstawie pierwszych badań sejsmicznych. Być może wcale nie jest płynna.

- Żartujesz! - Ta nowa informacja tylko zwiększyła obawy Perry'ego. Było czystym przypadkiem, że zeszłego lata Benthic Explorer odkrył istnienie podmorskiej góry, którą obecnie wiercili. Zdumiewające zaś w tym znalezisku było to, że jako część Grzbietu Śród atlantyckiego obszar ten był już gruntownie przebadany przez Geosat, satelitę grawimetrycznego Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, wykorzystywanego do tworzenia map warstwicznych dna

oceanicznego. A jednak jakimś cudem ten konkretny szczyt zdołał umknąć przyrzędom Geosatu. Choć załozce Benthic Explorera spieszno było do domu, przerwali podróż na wystarczająco długo, by dokonać paru przejść nad tajemniczą górą. Dysponując ultranowoczesnym sonarem, przeprowadzili pobieżne badania wewnętrznej struktury gujotu. Ku zaskoczeniu wszystkich, wyniki okazały się równie niezwykle jak sama obecność góry. Wszystko wskazywało na to, że mają do czynienia z wyjątkowo cienkościennym, drzemiącym wulkanem, którego płynne wnętrze dzieli od dna oceanu zaledwie sto dwadzieścia metrów skały. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że substancja wypełniająca komorę magmową wykazywała propagację dźwięku identyczną do obserwowanej w nieciągłości Mohorovičića, zwanej w skrócie Moho, tajemniczej granicy między skorupą ziemską a płaszczem. Ponieważ nikomu jak dotąd nie udało się wydobyć magmy z Moho, choć zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie próbowali dokonać tego w okresie zimnej wojny, Perry postanowił wrócić i wwiercić się w tę górę w nadziei, że Benthic Marine okaże się pierwszą instytucją, która uzyska próbki płynnej substancji. Argumentował, że ich analiza mogłaby rzucić nowe światło na budowę, a może nawet i na początki ziemskiego globu. A teraz

14

jego kierownik robót mówi mu, że wyjściowe dane sejsmiczne mogły być po prostu błędne!

- Możliwe, że komora magmowa jest pusta - powiedział Mark.

- Pusta? - wykrztusił Perry.

- No, niezupełnie pusta - poprawił Mark. - Wypełniona jakimś sprężonym gazem czy może parą. Wiem, że ekstra-polowanie danych na tej głębokości to działanie na granicy technicznych możliwości radarów penetracyjnych. W rzeczy samej, wielu ludzi uznałoby, że wyniki, o których mówię, są po prostu artefaktem, swego rodzaju śmieciami na wykresie. Ale tak czy inaczej martwi mnie, że dane z radaru nie zgadzają się z sejsmicznymi. Rozumiesz, szlag by mnie trafił, gdyby okazało się, że zadaliśmy sobie tyle trudu tylko po to, żeby znaleźć kłęb przegrzanej pary i nic

więcej. Nikt nie byłby z tego powodu szczęśliwy, a już najmniej nasi inwestorzy.

Przygryzając policzek, Perry zamyślił się nad troskami Marka. Zaczynał żałować, że w ogóle kiedykolwiek usłyszał o Morskim Olimpie, jak załoga nazwała tę płaską podwodną górę, którą właśnie starali się przedziurawić.

- Wspomniałeś o tym doktor Newell? - zapytał. Doktor Suzanne Newell była głównym oceanografem na Benthic Explorerze. - Czy ona widziała te dane, o których mówiłeś?

- Nikt ich nie widział - odparł Mark. - Wczoraj, kiedy przygotowywałem się do twojej wizyty, przez przypadek zauważyłem u siebie na komputerze ten cień. Zastanawiałem się, czy nie poruszyć tego na wczorajszej naradzie, ale postanowiłem się wstrzymać i porozmawiać z tobą na osobności. Nie wiem, czy zwróciłeś na to uwagę, ale mamy pewien problem z morale niektórych członków załogi. Wielu ludzi zaczyna dochodzić do wniosku, że wiercenie tej góry przypomina trochę walkę z wiatrakami. Przebakują, że woleliby rzucić to i wrócić do domu, do swych rodzin, zanim lato się skończy. Nie chciałbym dolewać oliwy do ognia.

Perry poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Wysunął krzesło spod biurka i opadł na nie ciężko. Potarł ręką oczy.

15

Był zmęczony, głodny i zniechęcony. Miał ochotę wymierzyć sam sobie kopniaka za ryzykowanie do tego stopnia przyszłości swojej firmy na podstawie tak mało wiarygodnych danych. Jednak wówczas to odkrycie wydawało mu się takim uśmiechem losu, że grzechem byłoby przejść obok niego obojętnie.

- Hej, nie chciałbym być zwiastunem złych wieści - powiedział Mark. - Zrobimy tak, jak zaproponowałeś. Spróbujemy lepiej się rozeznać, czym jest ta skała, którą wiercimy. Nie popadajmy zbytnio w zniechęcenie.

- To raczej trudne, biorąc pod uwagę, jak wiele kosztuje naszą firmę utrzymanie tego

statku tutaj - odparł Per-ry. - Może powinniśmy po prostu ograniczyć straty.

- Nie miałbyś ochoty czegoś zjeść? - podsunął Mark. - Nie ma sensu podejmować jakichkolwiek nagłych decyzji na pusty żołądek. Szczerze mówiąc, chętnie bym się przyłączył, jeśli możesz poczekać, aż wezmę prysznic. Do diabła! Już niedługo będziemy wiedzieć trochę więcej o tym gównie, w które się wpakowaliśmy. Może wtedy się wyjaśni, co powinniśmy zrobić.

- Ile czasu zajmie wymiana wiertła? - zapytał Perry.

- Batyskaf może być w wodzie za godzinę - odparł Mark. - Dostarczy koronkę i narzędzia do głowicy otworu. Spuszczenie nurków trwa dłużej, bo muszą przejść kompresję, zanim opuścimy dzwon. To zajmie parę godzin, może trochę dłużej, gdyby wystąpiły jakieś bóle kompresyjne. Sama wymiana koronki jest dość prosta. Cała operacja powinna zabrać nie więcej niż trzy, cztery godziny.

Perry z wysiłkiem podniósł się na nogi.

- Zadzwon do mojej kabiny, kiedy będziesz gotowy iść na śniadanie - powiedział, sięgając do klamki.

- Hej, poczekaj chwilę! - zawołał Mark z nagłym entuzjazmem. - Mam pomysł, który może cię trochę rozruszać. Może wybrałbyś się batyskafem na dół? Podobno jest tam pięknie, przynajmniej według Suzanne. Nawet pilot łodzi, Donald Fuller, były oficer marynarki wojennej, który z reguły jest małomównym, rzeczowym facetem, twierdzi, że sceneria jest niesamowita.

16

- Co może być niezwykłego w podwodnej górze o płaskim wierzchołku? - zapytał Perry.

- Ja sam nigdy tam nie byłem - przyznał Mark - ale to ma związek z budową geologiczną terenu. Wiesz, jako część Grzbietu Śródatlantyckiego i w ogóle. Ale zapytaj Newell albo Fullera! Mówię ci, są wniebowzięci, kiedy każe im się zejść na dół. Przy halogenowych reflektorach na łodzi i przejrzystości wody na tych głębokościach, widoczność sięga od sześćdziesięciu do

dziewięćdziesięciu metrów.

Perry skinął głową. Podwodna wyprawa to nie był głupi pomysł. W każdym razie pozwoliłaby mu choć na chwilę oderwać myśli od obecnej sytuacji i dałaby mu poczucie, że coś robi. Poza tym płynął tą łodzią podwodną tylko raz, przy jej odbiorze, u brzegów wyspy Santa Catalina, i było to dla niego niezapomniane przeżycie. A do tego będzie miał okazję zobaczyć tę górę, która przysparzała mu tylu nerwów.

- Komu powinienem powiedzieć, że będę członkiem załogi? - zapytał.

- Ja się tym zajmę - powiedział Mark. Wstał i ściągnął koszulkę. - Zaraz dam znać Larry'emu Nelsonowi.

Rozdział 2

Richard Adams wydobył z szafki parę workowatych kalesonów i kopnięciem zatrzaskał drzwiczki. Włożywszy bieliznę, naciągnął na głowę czarną włóczkową czapkę i tak przyodziany wyszedł z kajuty. Załomotał do drzwi Louisa Mazzoli i Michaela Donaghue. Obaj odpowiedzieli stekiem wyzwisk. Przekleństwa stanowiły tak znaczną część słownictwa tych członków załogi, że straciły już zupełnie swoje żądło. Richard, Louis i Michael, zawodowi nurkowie, byli ostro pijącymi, ostro żyjącymi facetami, wykonującymi niebezpieczną pracę. Robili wszystko, co im zlecono, od spawania, wysadzania raf koralowych, po wymianę wiertel podczas wierceń podmorskich. Byli podwodnymi wołami roboczymi i szczylicili się tym.

Szkolili się razem w marynarce wojennej, gdzie stali się nierozłącznymi przyjaciółmi, a przy tym znakomitymi żołnierzami sił podwodnych. Ich wspólnym marzeniem było dostać się do oddziałów Navy Seals, lecz, niestety, nie było im to pisane. Ich upodobanie do piwa i bójek wykraczało daleko poza poziom reprezentowany przez ich kolegów. Fakt, że wszyscy trzej mieli za ojców ograniczonych, bijących żony, niewykształconych i wiecznie pijanych brutali, mógł wytłumaczyć, ale nie usprawiedliwić ich zachowanie. Zupełnie nie zawstydzeni przykładem

swoich rodziców, wszyscy trzej uważali swoje surowe dzieciństwo za naturalny wstęp do prawdziwej dojrzałości. Żadnemu z nich nie przyszło nigdy na myśl choć przez chwilę zastanowić się nad starym porzekadłem: jaki ojciec, taki syn.

Męskość była dla nich najwyższą wartością. Sroga kara czekała każdego mięczaka, który ośmieliłby się postawić nogę w barze, w którym akurat pili. Krzywym okiem pa-

18

trzyli na "prawniczków" oraz spasiony personel armii, głęboko pogardzali też każdym, kogo uznali za dupka, palanta lub ciotę. Homoseksualizm drażnił ich najbardziej i, jeśli to chodziło, wojskową politykę "nie pytaj i nie mów" uważali za absurd i osobistą zniewagę.

Choć marynarka była dość pobłażliwa wobec nurków i przymykała oczy na postęпки, których nie tolerowałyby u innych, Richard Adams i jego kumple posunęli się o wiele za daleko.

Pewnego upalnego sierpniowego popołudnia, wyczerpani po podwodnych ćwiczeniach, zaszyli się w swojej ulubionej, uczęszczanej przez nurków knajpie w Point Loma w San Diego. Po wielu kolejkach wzmocnionego piwa i równie wielu zażartych dyskusjach na temat obecnego sezonu baseballowego, ujrzeni nagle, ku swemu zgorszeniu i przerażeniu, wchodzących jak gdyby nigdy nic dwóch facetów z armii. Jak twierdzili później przed sądem wojskowym, przybysze zaczęli "migdalić się" w ustronnym kącie.

Fakt, że ludzie ci byli oficerami, bynajmniej nie łagodził wściekłości nurków. Nie zastanowiło ich, co dwaj oficerowie mogą mieć do roboty w San Diego, znanej bazie marynarki wojennej. Richard, wieczny prowodyr, pierwszy zbliżył się do stolika. Zapytał - z przekąsem - czy może przyłączyć się do orgii. Oficerowie, źle rozumiejąc intencje Richarda, któremu chodziło po prostu, żeby wynieśli się do diabła, roześmieli się, wyjaśnili, że nie urządzają żadnej orgii, i zaproponowali, że postawią mu i jego kumplom kolejkę dla uczczenia znajomości. Efektem była jednostronna bijatyka, w wyniku której obaj oficerowie trafili do Szpitala Marynarki Wojennej w

Balboa, zaś Richard i jego koledzy do paki. I tak skończyła się ich kariera w marynarce. Faceci z armii okazali się członkami JAG, Generalnego Korpusu Prawniczego Armii.

- Chodźcie, palanty! - ryknął Richard, gdy tamci wciąż się nie pojawiali. Spojrzał na zegarek. Wiedział, że Nelson będzie wściekły. Rozkazy, jakie otrzymał przez telefon, mówiły wyraźnie, że ma stawić się w centrum dowodzenia robót nurkowych najszybciej, jak to możliwe.

19

Pierwszy pojawił się Louis Mazzola. Był niemal o głowę niższy od mającego metr osiemdziesiąt Richarda. Sylwetką przypominał kulę bilardową. Miał mięsistą twarz, obrośnięte ciało i krótkie ciemne włosy, płasko przylegające do kulistej czaszki. Wydawało się że nie ma szyi; jego głowa i barki łączyły się bez żadnego wcięcia.

- Skąd ten pośpiech? - jęknął.

- Idziemy nurkować - odparł Richard.

- Też mi nowina — powiedział Louis żałośnie.

Drzwi kajuty Michaela otworzyły się. Trzeci z nurków wyglądem plasował się gdzieś pośrodku między kościstym Richardem i przysadzistym Louisem. Podobnie jak koledzy, był dobrze umięśniony i w znakomitej kondycji. Był też równie niechlujny, ubrany w takie same workowate kalesony i trykotowy podkoszulek. Jednak w odróżnieniu od nich, na głowie miał nasadzoną na bakier baseballową czapkę Red Sox. Michael pochodził z Chelsea w stanie Massachusetts i był zapalonym fanem Soksów i Bruinsów.

Otworzył usta, by poskarżyć się, że przerwano mu sen, ale Richard zignorował go i ruszył w stronę głównego pokładu. Louis zrobił to samo. Wzruszywszy ramionami, Michael powlókł się za nimi. Gdy schodzili głównym zejściem, Louis zawołał do Richarda:

- Hej, Adams, wzięłeś karty?

- Jasne, że wzięłem - odkrzyknął Richard przez ramię. - Zabrałeś książeczkę czekową?

- Spadaj - powiedział Louis. - Sam przegrywałeś przy ostatnich czterech zejściach.

- To był plan, stary - odparł Richard. - Podpuszczałem cię.

- Pierdolić karty - wtrącił się Michael. - Masz ze sobą swoje świerszczyki, Mazzola?

- Myślisz, że poszedłbym nurkować bez nich? - odparł Louis. - Do diabła! Prędzej zapomnielibym płetw.

- Ale na pewno wzięłeś te z panienkami, nie z chłopczykami? - zapytał drwiąco Michael.

Louis zatrzymał się tak nagle, że Donaghue zderzył się z nim.

20

- Coś ty, kurna, powiedział? - warknął.

- Po prostu chciałem się upewnić, czy zabrałeś te, co trzeba - odparł Michael z szyderczym uśmiechem. - Może będę chciał je sobie pożyczyć, a nie mam ochoty oglądać siu-siaków.

Niespodziewanym ruchem Louis wyciągnął dłoń i złapał Michaela za podkoszulek. Ten zareagował, chwytając lewą ręką przedramię Louisa i zwijając prawą dłoń w pięść. Nim doszło do czegoś więcej, zainterweniował Richard.

- Przestańcie, bałwany! - ryknął, wciskając się między kolegów. Ciosem z dołu odtrącił rękę Louisa. Rozległ się odgłos rozdieranego materiału i w zaciśniętych palcach Mazzoli pozostał strzęp podkoszulka Michaela. Rozjuszony jak byk na widok czerwonej płachty Louis usiłował wyminąć Richarda. Gdy to się nie udało, próbował dosięgnąć Michaela ponad jego ramieniem. Michael ryknął śmiechem i uskoczył w bok.

- Mazzola, ty kretynie. On się po prostu z tobą drażni. Opanuj się, do diabła! - wrzasnął Richard.

- Skurwysyn! — zasyczał Louis. Rzucił oddartym strzępem materiału w swego dręczyciela. Michael znów zarechotał.

- Chodźcie! — powiedział Richard z niesmakiem, ruszając dalej. Michael schylił się i

podniósł strzępek z podłogi, udając, że chce przyczepić go sobie z powrotem na piersi. Louis mimo woli parsknął śmiechem. Potem obaj pobiegli, by dopędzić Richarda.

Wychodząc na pokład, zauważyli, że żuraw podnosi rurę osłonową.

- Musieli znów złamać wiertło - powiedział Michael. Richard i Louis przytaknęli bez słowa.

- Przynajmniej wiemy, co będziemy robić.

Weszli do przedziału nurkowego i rozsiedli się niedbale na trzech składanych krzesłach tuż obok drzwi. Tu właśnie miał swoje biurko Larry Nelson, człowiek odpowiedzialny za przebieg wszystkich prac podwodnych. Za nim, po prawej stronie kabiny aż do jej końca ciągnęła się tablica rozdzielcza, mieszcząca wszelkie wskaźniki, przyrządy pomia-

21

rowe i regulatory do obsługi urządzeń nurkowych. Lewą ścianę pomieszczenia zajmowały sterowniki i monitory kamer. Tam też znajdowało się okno wychodzące na centralną studnię statku, przez którą spuszczano dzwon nurkowy.

Na Benthic Explorerze do prac podwodnych wykorzystywano metodę nurkowania saturowanego, co oznaczało, że podczas każdego z zanurzeń organizmy nurków zostawały całkowicie nasycone gazem obojętnym. W związku z tym czas dekompresji, niezbędny do usunięcia gazu, był taki sam bez względu na to, jak długo przebywali pod wodą. Zespół składał się z trzech cylindrycznych pokładowych komór dekompresyjnych (PKD), z których każda miała trzy i pół metra szerokości i sześć metrów długości. Komory były połączone ze sobą, niczym gigantyczne parówki, podwójnymi lukami ciśnieniowymi. W każdej mieściły się cztery koje, kilka składanych stolików, toaleta, umywalka i prysznic.

Każda komora dekompresyjna miała też z boku właz, zaś u góry luk ciśnieniowy, do którego przyłączano dzwon nurkowy, zwany też komorą transferową (KT). Kompresja i dekompresja nurków odbywała się w PKD. Gdy ciśnienie w komorze osiągało wartość

odpowiadającą głębokości, na której mieli pracować, nurkowie przechodzili do dzwonu, który następnie odłączano i spuszczano pod wodę. Na odpowiedniej głębokości nurkowie otwierali luk, przez który wcześniej dostali się do dzwonu, po czym płynęli na wyznaczone miejsce pracy. Przebywając w wodzie, połączeni byli z dzwonem pępowiną mieszczącą przewody oddechowe, węże z gorącą wodą do ogrzewania ich neoprenowych skafandrów, przewody czujników oraz kable łączności. Ponieważ nurkowie na Benthic Explorerze używali masek zakrywających całą twarz, komunikacja była możliwa, choć utrudniona z powodu zniekształceń głosu w helowo-tlenowej atmosferze, którą oddychali. Czujniki rejestrowały tętno każdego z nurków, częstość oddechów oraz ciśnienie tlenu w mieszance oddechowej. Wszystkie trzy parametry były nieustannie monitorowane.

22

Larry uniósł głowę znad biurka i obrzucił swoją drugą ekipę nurków pogardliwym spojrzeniem. Nie mieściło mu się w głowie, jak można wiecznie wyglądać tak niechlujnie, bezczelnie i nieprofesjonalnie jak oni. Zauważył zawadiacką czapkę i podarty podkoszulek Michaela, ale powstrzymał się od komentarzy. Podobnie jak marynarka, tolerował u nurków zachowania, na jakie nigdy nie pozwoliłby innym członkom swego zespołu. Pozostali trzej nurkowie, równie zresztą denerwujący i niesforni, przebywali jeszcze w jednej z komór dekompresyjnych po ostatnim zejściu do głowicy otworu. Nurkowanie na głębokość niemal trzystu metrów wymaga czasu dekompresji mierzonego w dniach, nie w godzinach.

- Przykro mi, że wyrwałem was, błazny, z miłego snu - powiedział. - Dość długo trwało, zanim tu trafiliście.

- Musiałem sobie wynitkować zęby — odparł Richard.

- A ja musiałem sobie zrobić manicure - dodał Louis. Po-wachlował dłonią miękkim, kobiecym ruchem. Michael przewrócił oczami w udanym zgorszeniu.

- Tylko znowu nie zaczynaj! - warknął Louis, mierząc go wzrokiem. Wycelował serdelkowaty palec w twarz kolegi. Michael odsunął go pacnięciem.

-W porządku, słuchajcie, troglodyci! - ryknął Larry. -Spróbujcie się opanować. Nurkujecie na dwieście dziewięćdziesiąt osiem metrów dla przeglądu i wymiany wiertła.

- Och, coś nowego, nie, szefie? - powiedział cienkim, piskliwym głosem Richard. - To już piąte takie zejście i trzecie dla nas. Bierzmy się do roboty.

- Zamknij się i słuchaj - rozkazał Larry. - Tym razem będzie coś nowego. Nałożycie sondę rdzeniową na koronkę. Sprawdzimy, czy uda nam się zdobyć przyzwoitą próbkę tego cholerstwa, które próbujemy przewiercić.

- Brzmi nieźle - stwierdził Richard.

- Mamy zamiar skrócić czas kompresji - powiedział Larry. - Na pokładzie jest pewna szycha, której spieszy się do Wyników. Spróbujemy spuścić was na dół za dwie godziny. Chcę słyszeć natychmiast, jeśli pojawią się jakieś bóle sta-

23

wów. Nie życzę sobie, żeby którykolwiek z was odgrywał twardziela. Zrozumiano?

Wszyscy trzej kiwnęli głowami.

- Załadujemy wam papu, jak tylko wyjdzie z kuchni -ciągnął dalej Larry - ale, kolesie, chcę, żebyście podczas kompresji byli w swoich kojach, a to znaczy żadnego szwen-dania się i żadnych bójek.

- Będziemy grać w karty - powiedział Louis.

- Grać w karty możecie, leżąc na kojach - odparł Larry. -I powtarzam: żadnych bójek. Jeśli zaczną się awantury, z kartami koniec. Czy wyraziłem się jasno?

Spojrzał po kolei na każdego z nurków, którzy odwracali wzrok. Żaden nie zakwestionował postawionych warunków.

- Uznaję tę niezwykłą ciszę za wyraz zgody - powiedział wreszcie. — Teraz przejdźmy do rzeczy. Adams, ty będziesz czerwonym nurkiem. Donaghue, ty będziesz zielonym. Maz-zola, ty będziesz dzwonowym.

Richard i Michael z triumfalnym okrzykiem nachylili się do siebie i przybili piątki. Louis z niesmakiem wyduł usta. Rola nurka dzwonowego oznaczała, że pozostanie w KT, luzując i zwijając uwięzie pozostałym dwóm oraz obserwując przyrządy. Nie wejdzie do wody, chyba że w sytuacji awaryjnej. Choć była to pozycja bezpieczniejsza, nurkowie nie darzyli jej uznaniem. Określeń "czerwony" i "zielony nurek" używano, aby zapobiec wszelkim nieporozumieniom w komunikacji z powierzchnią, które mogłyby wystąpić, gdyby używano imion lub nazwisk. Na Benthic Explorerze czerwony uważany był za szefa ekipy.

Larry wyjął z biurka podkładkę z klipsem. Podał ją Ri-chardowi.

- Oto lista kontrolna, czerwony. Teraz zabierzcie dupska do PKD1. Za piętnaście minut chcę zacząć kompresję.

Richard wziął listę i nurkowie opuścili kabinę. Louis natychmiast uderzył w długi płacz, jęcząc, że już drugi raz pod rząd przypada mu rola dzwonowego.

- Najwyraźniej szef uznał, że jesteś w tym najlepszy -powiedział Richard, mrugając do Donaghue'a. Wiedział, że prowokuje Louisa. Ale nie mógł nic na to poradzić. Czuł

24

ulgę, że nie padło na niego, tym bardziej, że tym razem była jego kolej.

Gdy mijali zajętą PKD3, każdy z nich poświęcił chwilę, by zajrzeć do środka przez niewielkie okienko i dać znak uniesionym kciukiem jej trzem lokatorom, których czekało jeszcze kilka dni dekompresji. Nurkowie mogli bić się między sobą od czasu do czasu, jednak łączyło ich też ścisłe koleżeństwo. Stale towarzyszące im ryzyko sprawiało, że szanowali się nawzajem. Odosobnienie i zagrożenia wiążące się z nurkowaniem saturowanym były, jak na ironię, zbliżone

pod pewnymi względami do doświadczeń astronautów przebywających na orbicie okołozemskiej. Gdyby pojawił się problem, mogło być niewesoło i trudno by było wrócić z takiej wycieczki do domu.

Dotarli do PKD1 i Richard pierwszy przecisnął się przez wąski, okrągły właz z boku cylindra. Aby tego dokonać, musiał uchwycić poziomą metalową poręcz, unieść nogi i wsunąć się w otwór stopami do przodu, pomagając sobie wężowymi ruchami całego ciała.

Wnętrze było urządzone funkcjonalnie, z kojami na jednym końcu i awaryjnymi aparatami oddechowymi na ścianach. Cały sprzęt nurkowy, włączając w to skafandry z neo-prenu, pasy ciężarowe, rękawice, kaptury i inne elementy wyposażenia, leżał złożony w stos pomiędzy kojami. Maski nurkowe wraz z wszystkimi przewodami i kablami łączności znajdowały się wewnątrz dzwonu. Na drugim końcu komory mieścił się odkryty prysznic, toaleta oraz umywalka.

Nurkowanie satutowane było sprawą publiczną w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie było tu mowy o jakiegokolwiek prywatności.

Louis i Michael wsunęli się do środka tuż za Richardem. Louis od razu wspiął się do dzwonu nurkowego, podczas gdy Michael zajął się przeglądaniem sterty na podłodze. W miarę jak Richard odczytywał z listy poszczególne pozycje, albo jeden, albo drugi odkrzykiwał, czy stan się zgadza, a Richard odfajkowywał to w wykazie. Wszystkie brakujące elementy wyposażenia dostarczano im natychmiast przez otwarty jeszcze właz.

25

Przeszedłszy w ten sposób wszystkie cztery strony listy, Richard za pośrednictwem zamontowanej w suficie kamery pokazał Larry'emu Nelsonowi uniesiony w górę kciuk.

-W porządku, czerwony - powiedział kierownik przez interkom. - Zamknij i zablokuj luk wejściowy i przygotuj się do rozpoczęcia kompresji.

Richard wypełnił polecenie. Niemal natychmiast rozległ się syk sprężonego gazu i strzałka

analogowego wskaźnika ciśnienia ruszyła powoli w górę skali. Nurkowie leniwie opadli na kolce.

Richard wyciągnął z kieszeni kalesonów wyświechtaną talię kart.

Rozdział 3

Perry, ubrany w ciepłą bawełnianą bluzę i spodnie, na które włożył jeszcze cienki bordowy dres, wszedł na ażurowy pokład wystającej poza rufę statku platformy. Ubiór doradził mu Mark. Jak mu powiedział, to właśnie miał na sobie, kiedy ostatnim razem zapuszczał się w głębiny. We wnętrzu łodzi podwodnej jest ciasno, więc ubranie powinno być jak najwygodniejsze, zaś kilka warstw odzieży mogło się przydać, bo na dole bywało chłodno. Temperatura wody na zewnątrz wynosiła zaledwie cztery stopnie Celsjusza, a głupotą byłoby zużywać zbyt wiele mocy akumulatorów na ogrzewanie.

Z początku Perry czuł się nieswojo, gdy stawiając kroki na metalowej kratownicy pokładu, pod stopami widział rozpościerającą się jakieś piętnaście metrów niżej powierzchnię oceanu. Woda miała zimny, szarzielony odcień. Choć powietrze było przyjemnie ciepłe, nagle przeszedł go dreszcz. Zastanawiał się, czy w ogóle powinien schodzić pod wodę. Dziwny niepokój, towarzyszący mu przy przebudzeniu, powrócił znowu, przyprawiając go o gęsią skórę. Choć nie cierpiał na klaustrofobię w ścisłym tego słowa znaczeniu, nigdy nie czuł się dobrze w ciasnych pomieszczeniach, jakim była kabina batyskafu. Jednym z jego najbardziej przerażających wspomnień z dzieciństwa była chwila, gdy starszy brat przyłapał go na chowaniu się pod kołdrą i zamiast ściągnąć z niego przykrycie, przydusił go, długo, nieskończenie długo nie pozwalając mu wydostać się z tego szmacianego więzienia. Jeszcze i teraz w koszmarnych snach powracała czasem do niego ta scena, wraz z towarzyszącym jej straszliwym poczuciem, że jeszcze chwila, a zabraknie mu powietrza.

Przystanął i uważnie przyjrzał się małej łodzi podwodnej, spoczywającej na podpórkach tuż

przy skraju rufy. Nad łodzią pochylał się potężny dźwig, zdolny unieść ją z pokładu i spuścić na wodę. Dookoła, niczym pszczoły krążące wokół ula, uwijali się robotnicy. Perry znał się na rzeczy wystarczająco, by zorientować się, że dokonują ostatniego przeglądu przed wodowaniem.

Z ulgą stwierdził, że łódź, widziana w całości, wygląda na znacznie większą, niż gdy znajdowała się w wodzie. Spostrzeżenie to uspokoiło jego dopiero co przebudzoną klaustrofobię. Przy piętnastu metrach długości oraz trzech i pół szerokości nie była tak mikroskopijna jak wiele podobnych jednostek. Jej pękaty, przypominający opasłą parówkę kadłub wykonany był ze stali HY-140, nadbudówka zaś z włókna szklanego. Łódź miała cztery iluminatory: dwa z przodu i po jednym z obu boków, wykonane z dwudziestocentymetrowej grubości stożkowych kawałków pleksi-glasu. Ramiona hydraulicznego manipulatora, złożone pod dziobem, nadawały jej wygląd olbrzymiego kraba. Kadłub pomalowany był na szkarłatne, z białym napisem biegnącym po obu stronach kiosku. Łódź nazywała się Oceanus, jak grecki bóg otwartego morza.

- Ładne maleństwo, prawda? - usłyszał nagle Perry. Odwrócił się. Obok niego stał Mark.

- Może lepiej by było, gdybym dał sobie spokój z tą wyprawą - powiedział Perry, starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie.

- A to dlaczego? - zapytał Mark.

- Nie chcę sprawiać kłopotu - odparł Perry. - Przyjechałem tu, żeby pomóc, nie żeby zawadzać. Jestem pewien, że pilot wolałby nie mieć na karku takiego turysty.

- Bzdury! - powiedział bez wahania Mark. - Oboje, Donald i Suzanne są zachwyceni, że płyniesz. Rozmawiałem z nimi niecałe dwadzieścia minut temu i tak właśnie powiedzieli. Zresztą to właśnie Donald jest tam, na rusztowaniu. Nadzoruje połączenie z żurawiem wodowaniowym. Rozumiem, że nie miałeś jeszcze okazji go poznać.

gładko wygolonej czaszce, schludnym, cienkim jak kreska wąsiku i imponująco umięśnionej sylwetce. Ubrany był w starannie odprasowany granatowy kombinezon z pagonami i lśniąca plakietką z nazwiskiem. Nawet z tej odległości uwagę Penyego zwróciła wojskowa postawa mężczyzny, a zwłaszcza jego głęboki baryton i zwięzłe, rzeczowo wykrzykiwane polecenia. Podczas obecnej operacji nie było najmniejszej wątpliwości, kto tu rządzi.

- Chodź - ponaglił Mark, zanim Perry zdążył cokolwiek powiedzieć. - Przedstawię cię.

Perry, chcąc nie chcąc, ruszył z nim w stronę batyskafu. Było boleśnie oczywiste, że nie uda mu się z honorem wykręcić się od tej wyprawy. Musiałby przyznać się do swoich obaw, a to raczej nie wydawało mu się stosowne. Poza tym naprawdę miło wspominał pierwszą wycieczkę tą łodzią, choć owe trzydzieści metrów pod wodą tuż przy przystani na Santa Catalina nie mogło w żaden sposób równać się z nurkowaniem na środku Oceanu Atlantyckiego.

Uznawszy, że połączenie batyskafu z liną nośną zostało wykonane jak należy, Donald, balansując ciałem, zszedł z rusztowania i zaczął obchodzić łódź dookoła. Choć za przegląd przed wodowaniem odpowiadał zespół obsługi powierzchniowej, chciał sam przeprowadzić kontrolę kadłuba. Mark i Perry dogonili go przy dziobie. Mark przedstawił Perry'ego jako prezesa Benthic Marine.

Donald w odpowiedzi strzelił obcasami i zasalutował. Zanim Perry zorientował się, co robi, odsalutował mu. Tyle tylko, że nie umiał salutować; nigdy w życiu nie wykonywał tego gestu. Poczł się równie niezręcznie, jak prawdopodobnie wyglądał.

- To dla mnie zaszczyt, panie Bergman - powiedział Donald. Stał wyprężony jak struna, z zaciśniętymi wargami i rozszerzonymi nozdrzami. W oczach Perry'ego sprawiał wrażenie wojownika gotowego do walki.

- Bardzo mi miło - odparł Perry. Gestem wskazał Oceanusa. - Nie chcemy panu przeszkadzać.

- To żaden problem, panie Bergman - odparł krótko Donald.
- Poza tym wcale nie muszę brać udziału w tej wyprawie - powiedział Perry. - Nie chciałbym tam zawadzać. W gruncie rzeczy...
- Nie będzie pan zawadzać, panie Bergman.
- Wiem, że to będzie robocze zanurzenie - upierał się Perry. - Nie chciałbym odciągać pańskiej uwagi od pracy.
- Panie Bergman, kiedy pilotuję Oceanusa, nikt nie jest w stanie odciągnąć mojej uwagi od pracy!
- Cieszy mnie to - stwierdził Perry. - Jednak wcale się nie obrażę, jeśli uzna pan, że powinienem pozostać na statku. To znaczy, zrozumieć to.
- Będę szczęśliwy, mogąc pokazać panu możliwości tej łodzi, panie Bergman.
- Cóż, dziękuję - odparł Perry. Zrozumiał, że próby wymówienia się z wdziękiem są daremne.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Bergman -powiedział krótko Donald.
- Nie musi pan zwracać się do mnie "panie Bergman".
- Tak jest, panie Bergman! - odparł Donald. Jego usta wygięły się w cienki uśmiech, gdy zorientował się, co powiedział. - To znaczy, tak, panie Perry.
- Proszę mi mówić po imieniu.
- Tak jest, panie Bergman - powiedział Donald. Zreflektowawszy się, że w tak krótkim czasie zdążył popełnić następną gafę, pozwolił sobie na drugi uśmiech. - Trudno mi zmienić przyzwyczajenia.
- Właśnie widzę - stwierdził Perry. - Czy słusznie się domyślam, że swoje doświadczenie zawodowe zdobyłeś w siłach zbrojnych?

- Zgadza się - odparł Donald. - Służyłem dwadzieścia pięć lat na okrętach podwodnych.

- Byłeś oficerem? - zapytał Perry.

- Tak. Przeszedłem w stan spoczynku w stopniu komandora.

Perry przeniósł wzrok na łódź podwodną. Teraz, gdy po-

1

30

godził się już z czekającą go wyprawą, potrzebował czegoś, co ukołoby jego obawy. — Jak się sprawuje Oceanus?

- Niezawodnie - odparł Donald.

- Więc to porządna łódeczka? - zapytał Perry. Poklepał zimny stalowy kadłub.

- Doskonała. Najlepsza ze wszystkich, jakie dotychczas pilotowałem, a było ich niemało.

- Czy to nie patriotyzm przez ciebie przemawia? - zapytał Perry.

- Bynajmniej - odparł Donald. - Po pierwsze, może zanurzyć się głębiej niż którykolwiek inny załogowy pojazd, z którym miałem do czynienia. Jak na pewno wiesz, robocza głębokość zanurzenia wynosi sześć tysięcy metrów, a dokumentacja podaje, że kadłub ulega zmiażdżeniu dopiero na głębokości większej niż dziesięć tysięcy sześćset. Ale nawet to nie jest cała prawda. Biorąc pod uwagę przewidziany margines bezpieczeństwa, moglibyśmy prawdopodobnie bez problemu zejść aż na dno Rowu Mariańskiego.

Perry przełknął ślinę. Na słowo "zmiażdżenie" znów przeszedł go dreszcz.

-Może zrobisz Perry'emu szybki przegląd pozostałych parametrów Oceanusa? ~ wtrącił się

Mark. - Tak dla odświeżenia pamięci.

- Jasne - odparł Donald. - Ale zaczekajcie chwilę. - Zwinął dłonie wokół ust i ryknął do

jednego z pracujących przy przeglądzie robotników: - Sprawdziliście kamery?!

- Tak jest - odparł robotnik.

Donald ponownie zwrócił się do Perry'ego:

- Łódź ma wyporność sześćdziesięciu ośmiu ton, w kabinie jest miejsce dla dwóch pilotów, dwóch obserwatorów i sześciu innych pasażerów. Mamy służę wyjściową dla nurków, a w razie potrzeby możemy połączyć się z pokładowymi komorami dekompresyjnymi. Zapas powietrza wystarcza na maksimum dwieście szesnaście godzin. Zasilanie z akumulatorów srebrowo-cynkowych. Napęd stanowi śruba o przestawialnym skoku skrzydeł, dodatkowo zwrotność

31

zwiększają pionowe i poziome śruby manewrowe, kierowane za pomocą bliźniaczych drążków sterowych, zaopatrzonych w przyciski. Łódź jest wyposażona w wąskostromieniowy sonar boczny bliskiego zasięgu, radar penetracyjny, magnetometr protonowy i termistory. Do rejestracji służą samonaprowadzające się kamery wideo. Łączność zapewnia radiotelefon powierzchniowy oraz hydrotelefon UQC. Nawigacja jest inercyjna. - Donald przerwał, lecz nadal wodził oczami po łodzi. — Myślę, że to tyle, jeśli chodzi o sprawy najistotniejsze. Jakieś pytania?

- W tej chwili nie - odparł szybko Perry. Bał się, że Donald zechce zapytać go o coś. Z całego monologu w pamięci utkwilo mu tylko jedno: granica odporności na zmiążdżenie na głębokości dziesięciu tysięcy sześciuset metrów.

- Gotowi do wodowania Oceanusa! — zatrzeszczał głos przez megafon.

Donald odprowadził Perry'ego i Marka od batyskafu. Lina nośna naprężyła się i łódź ze zgrzytem uniosła się z pokładu, chroniona przed kołysaniem przez liny wodowania-we, zamocowane wzdłuż kadłuba. Wysoki pisk oznajmił ruch żurawika, który wyniósł łódź poza rufę statku i powoli opuszczał ją na wodę.

- Ach, a oto i nasza pani doktor - powiedział nagle Mark.

Perry od niechcienia obejrzał się za siebie, by spojrzeć na postać, która ukazała się właśnie w głównych drzwiach wiodących do wewnętrznych pomieszczeń statku. Nagle zamrugał

gwałtownie. Dotychczas widział Suzanne Newell tylko raz, kiedy prezentowała wyniki pierwszych badań sejsmicznych Morskiego Olimpu. Ale to było w Los Angeles, gdzie pięknych twarzy było pod dostatkiem. Tu, na środku oceanu, na czysto użytkowym Benthic Explorerze, wśród jego załogi złożonej niemal wyłącznie z samych niechlujnych mężczyzn, wyglądała jak lilia pośród chwastów. Tuż przed trzydziestką, energiczna i wysportowana, ubrana w kombinezon podobny do tego, jaki nosił Donald, wydawała się uosobieniem kobiecości. Na czubku jej głowy tkwiła granatowa czapeczka baseballowa, ze złotym galonem wyhaftowanym na daszku i napisem BENTHIC EKPLORER. Z tyłu,

32

ponad zapięciem, wystawał koński ogon gęstych, lśniących, kasztanowych włosów.

Spostrzegłszy grupę, Suzanne pomachała ręką, po czym żwawo ruszyła w ich stronę. Perry z wrażenia powoli rozdziawił usta. Jego reakcja nie uszła uwagi Marka.

- Niezła, co? - powiedział.

- Dość atrakcyjna - przyznał Perry.

- Dobra, dobra, poczekaj parę dni - odparł Mark. - Robi się tym lepsza, im dłużej tu jesteśmy. Niezła figura jak na oceanografa, nie uważasz?

- Nie spotkałem zbyt wielu oceanografów - mruknął Perry. Nagle przyszło mu do głowy, że może ta podmorska wyprawa nie będzie jednak taka przykra.

- Szkoda, że nie jest doktorem medycyny - powiedział Mark, zniżając głos. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zbadała mnie na przepuklinę.

- Jeśli pozwolicie, wrócę zająć się Oceanusem — odezwał się Donald.

- Oczywiście - odparł Mark. - Nowe wiertło i sonda rdzeniowa powinny zaraz tu być, więc jak tylko się zjawią, każę je od razu załadować do zasobnika.

- Tak jest! - rzucił krótko Donald. Zasalutował i odszedł na skraj platformy, by przyjrzeć się

spuszczaniu łodzi.

- Jest trochę sztywny — powiedział Mark. — Ale to cholernie solidny pracownik.

Perry nie słuchał. Nie mógł oderwać oczu od Suzanne, która zbliżała się do nich sprężystym krokiem. Jej uśmiech był przyjazny i zachęcający. Lewą ręką przyciskała do piersi dwie wielkie książki.

-Pan Perry Bergman! - wykrzyknęła, wyciągając prawą dłoń. - Z radością usłyszałam, że przybył pan na statek i cieszę się, że wybiera się pan z nami pod wodę. Jak się pan ma? Musi pan być zmęczony po tak długim locie.

- Czuję się świetnie, dziękuję - odparł Perry, ściskając dłoń oceanografki. Machinalnie uniósł rękę, by poprawić włosy nad rzednącym miejscem na szczycie czaszki. Zauważył, że zęby Suzanne są równie białe jak jego własne.

3 — Urowadzenie

33

- Po naszym spotkaniu w Los Angeles nie miałam dotąd okazji powiedzieć panu, jak bardzo jestem szczęśliwa, że postanowił pan sprowadzić Benthic Explorera z powrotem nad Morski Olimp.

- Bardzo mi miło — odparł Perry z wymuszonym uśmiechem. Był oczarowany oczami Suzanne. Nie potrafił stwierdzić, czy są niebieskie czy zielone. - Żałuję tylko, że wiercenia nie przebiegają bardziej pomyślnie.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała Suzanne. -Ale muszę przyznać, że z mojego osobistego, egoistycznego punktu widzenia to bardzo korzystny obrót zdarzeń. Jak pan sam się już wkrótce przekona, ta podmorska góra jest fascynującym miejscem, a problemy z wierceniami dają mi okazję je odwiedzać. Tak więc ode mnie nie usłyszysz pan żadnych skarg.

- Cieszę się, że chociaż ktoś jest z tego wszystkiego zadowolony - odparł Perry. - Cóż jest

takiego fascynującego w tej górze?

- Chodzi o geologię - wyjaśniła Suzanne. - Wie pan, co to są dajki bazaltowe?

- Nie za bardzo - przyznał Perry - poza tym, że, jak przypuszczam, są z bazaltu. - Roześmiał się z zakłopotaniem i zdecydował, że jej oczy są niebieskie, zabarwione na zielono przez ocean. Spostrzegł też, że podoba mu się jej oszczędny makijaż. Jej usta wydawały się ledwie muśnięte szminką. Kosmetyki były wieczną kością niezgody między Perrym i jego żoną. Pracowała jako wizażystka w studiu filmowym i, ku jego utrapieniu, sama tynkowała się bez opamiętania. Ich córki, jedenaste- i trzynastoletnia, zaczynały już iść w ślady matki. Kwestia ta przerodziła się w regularną wojnę, w której Perry miał małe szanse zwycięstwa.

Suzanne uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Dajki bazaltowe istotnie są z bazaltu. Formują się, kiedy płynny bazalt zostaje wypchnięty w górę przez szczeliny w skorupie ziemskiej. Intrygujące w nich jest to, że niekiedy przybierają tak regularne kształty, że sprawiają wrażenie sztucznych tworów. Proszę poczekać, aż zobaczy pan to na własne oczy.

34

- Przepraszam, że przeszkadzam - wtrącił się Donald -ale Oceanus jest już gotowy do zanurzenia i powinniśmy znaleźć się na pokładzie. Nawet przy spokojnym morzu nie jest bezpiecznie utrzymywać go zbyt długo na cumach przy statku.

- Tak jest! - odparła kokieteryjnie Suzanne. Zasalutowała dziarsko, patrząc na niego z przeciągłym, lekko drwiącym uśmiechem. Donald zachował kamienną twarz. Wiedział, że drażni się z nim.

Suzanne gestem dała Perry'emu znak, by ruszył przodem po schodkach prowadzących do platformy służącej jako pomost dla płetwonurków i przystań batyskafu zarazem. Perry zrobił parę kroków i zawahał się. Po plecach przebiegł mu kolejny mimowolny dreszcz. Choć usilnie

zapewniał sam siebie, że łódź podwodna jest bezpiecznym środkiem lokomocji, i choć cieszył się na przyjemne towarzystwo Suzanne, znajomy niepokój znów owionął go niczym lodowaty podmuch w podziemnym grobowcu, z którym kojarzyło mu się wnętrze Oceanusa. Głos w głębi umysłu mówił mu, że popełnia szaleństwo, dając się zamknąć na środku oceanu w łodzi zatopionej jeszcze przed rozpoczęciem rejsu.

- Chwileczkę! - zawołał. - Jak długo potrwa ta wyprawa?

- Nie dłużej niż dwie godziny, albo tak długo, jak sobie zażyczysz - odparł Donald. -

Zazwyczaj zostajemy na dole, dopóki nurkowie są w wodzie.

- Dlaczego pan pyta? - zapytała Suzanne.

- Dlatego... - Perry gorączkowo szukał wytłumaczenia. -Dlatego, że muszę zadzwonić do biura.

- W niedzielę? - zdumiała się Suzanne. — Kto może być w biurze w niedzielę?

Perry poczuł, że znowu się czerwieni. Po nocnym locie z Nowego Jorku na Azory zupełnie pogubił się w kalendarzu. Zaśmiał się głucho i postukał się w głowę.

- Zapomniałem, że dziś jest niedziela. To chyba początki Alzheimera.

- Ruszajmy! - zawołał Donald, schodząc na platformę. Perry, schodek po schodku, ruszył za nim. Czuł się jak żalosny tchórz. A potem, wbrew własnemu rozsądkowi, wszedł niepewnym krokiem na rozkołysaną kładkę. Zdumiało go, jak niespokojne jest na pozór gładkie jak stół morze.

Kładka prowadziła wprost do nadbudówki Oceanusa. Łódź miała niemal neutralną pływalność, górna część kadłuba znajdowała się już więc na równi z lustrem wody. Nie bez problemów Perry przecisnął się przez właz. Schodząc do wnętrza kabiny, musiał przytulać się mocno do lodowato zimnych szczebli stalowej drabinki.

Kabina była tak ciasna, jak ostrzegał Mark. Perry zaczynał wątpić, czy istotnie jest tam miejsce dla dziesięciu osób. Musieliby być upakowani jak sardynki w puszcze. Wrażenie ciasnoty

pogłębiało też i to, że ściany w przedniej części kabiny wypełnione były wszelkiego rodzaju przyrządami pomiarowymi, wskaźnikami, ekranami ciekłokrystalicznymi i przełącznikami. Nie było tam choćby skrawka powierzchni, na którym nie byłoby tarczy lub pokrętła. Cztery iluminatory niknęły w obfitości elektronicznego sprzętu. Jediną cechą pozytywną było to, że powietrze pachniało czysto. W tle słychać było szum wentylatora.

Donald wskazał Perry'emu nisko zawieszony fotel przy lewej burcie, tuż za swoim. Kilka wielkich monitorów naprzeciw siedzenia pilota ukazywało generowany komputerowo wirtualny obraz morskiego dna. Donald kontynuował przegląd sprzętu i urządzeń elektrycznych, komunikując się z Larrym Nelsonem w przedziale nurkowym przez radiotelefon.

Właz w górze zamknął się z głuchym odgłosem, po którym nastąpił charakterystyczny trzask. Kilka chwil później z nadbudówki wynurzyła się Suzanne. Radziła sobie z drabinką o wiele zgrabniej niż Perry. Nie przeszkadzały jej w tym nawet trzymane pod pachą książki. Stanąwszy na podłodze, podała je Perry'emu.

- Przyniosłam je dla pana - powiedziała. - Ta gruba jest o życiu w oceanach, a ta druga o geologii podmorskiej. Pomyślałam, że może będzie pan miał ochotę poczytać trochę o tym, co zobaczymy. Nie chcielibyśmy, żeby się pan nudził.

- To miło z pani strony — odparł Perry. Suzanne najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że był zbyt zdenerwowany, by się nudzić. Czuł się dokładnie tak, jak tuż przed startem samolotu: zawsze istniało ryzyko, że następne chwile będą ostatnie w jego życiu.

Suzanne usiadła w fotelu drugiego pilota. Po chwili, zaczęła manipulować przełącznikami, odczytując Donaldowi rezultaty. Nie ulegało wątpliwości, że oboje stanowią zgrany zespół. Odkąd Suzanne przyłączyła się do przeglądu, w ciasnej przestrzeni kabiny zaczęły się rozlegać upiorne świsty - charakterystyczny dźwięk, który przywodził Perry'emu na myśl łodzie podwodne ze starych filmów wojennych.

Znów przeszedł go dreszcz. Zamknął na chwilę oczy i usiłował nie wracać do swych bolesnych dziecięcych wspomnień z chwil, gdy brat trzymał go uwięzionego pod kołdrą. Jednak podstęp się nie udał. Wyjrzał przez lewy iluminator, zastanawiając się, skąd bierze się dręczące go przecucie, że decydując się na udział w tej krótkiej rutynowej wyprawie, popełnia największy błąd w swoim życiu. Wiedział, że jest to irracjonalne, skoro, jak zdawał sobie sprawę, znajduje się wśród fachowców, dla których praca pod wodą to nie pierwszozna. Wiedział też, że batyskaf zasługuje na zaufanie i że ostatnio zapłacił za przegląd.

Nagle drgnął z przerażenia. Upiorna maska wyłoniła się znikąd dosłownie tuż przed jego oczyma. Rozpaczliwy jęk mimo woli wyrwał mu się z ust, zanim się zorientował, że patrzy w twarz jednego z obsługujących batyskaf płetwonurków. Chwilę później dostrzegł następnych. W majestatycznym podwodnym balecie nurkowie sprawnie odłączyli podtrzymujące łódź liny. Rozległo się stukanie w kadłub. Oceanus był wolny.

- Sygnał wolnej drogi otrzymałem - powiedział Donald do mikrofonu. Rozmawiał z kierownikiem zespołu wodującego. - Proszę o zezwolenie na oddalenie się od statku.
- Udzielam zezwolenia - odpowiedział bezcielesny głos.

Perry poczuł, jak do biernego kołysania, myszkowania i kiwania batyskafu dołącza się nowy ruch. Przycisnął nos do iluminatora i ujrzał, jak Benthic Explorer ucieka mu z pola widzenia. Z twarzą wciąż przyciśniętą do pleksiglasu opuścił wzrok w dół, ku głębinom, w które miał się właśnie pogrążyć. Promienie słońca, załamując się na falującej powierzchni wody, płatały jego oczom dziwne figle. Zdawało mu się, że zagłąda w gardziel bezdennej otchłani.

Znów zadrżał, gdy uświadomił sobie, że jest bezbronny jak dziecko. Próżność połączona z głupotą sprowadziły go w to obce środowisko, w którym nie miał żadnej władzy nad swoim losem. Choć nie był religijny, zorientował się nagle, iż modli się, aby ta podmorska wycieczka okazała się krótka, przyjemna i bezpieczna.

- Brak echa - odezwała się Suzanne. Donald zapytał ją właśnie, czy sonar wykrył pod Oceanusem jakieś nieoczekiwane przeszkody. Choć kołysali się jak korek na pustym oceanie, do standardowej procedury przedzanurzeniowej należało sprawdzenie, czy niepostrzeżenie nie wpłynął pod nich jakiś inny pojazd podwodny.

Donald sięgnął po mikrofon radiotelefonu i połączył się z Larrym Nelsonem w przedziale nurkowym.

- Oddaliliśmy się od statku. Tlen jest włączony, regeneratory powietrza włączone, właz zamknięty, hydrotelefon włączony, podłóżę normalne, sygnał z echosondy wolny. Proszę o zezwolenie na zanurzenie.

- Czy sygnalizator jest włączony? - zapytał przez radio głos Larry'ego.

- Tak jest - odparł Donald.

- Zezwalam na zanurzenie - dotarła wśród lekkich trzasków odpowiedź Larry'ego. -

Głębokość do głowicy otworu wynosi trzysta trzy metry. Powodzenia.

- Przyjąłem - odparł Donald. Miał właśnie odwiesić mikrofon, gdy Larry dodał jeszcze: -

Ciśnienie w PKD zbliża się do wartości docelowej, więc już niedługo zaczniemy opuszczać dzwon.

Oceniam, że nurkowie będą na miejscu za jakieś pół godziny.

- Będziemy czekać - powiedział Donald. - Przyjąłem, bez odbioru. - Odwiesił mikrofon. -

Zanurzenie! Zanurzenie! Otworzyć główne zbiorniki balastowe! - zawołał.

Suzanne nachyliła się i przerzuciła dźwignię.

- Otwieram zbiorniki balastowe — powtórzyła dla pełnej jasności. Donald zrobił adnotację na swojej liście.

do zbiorników balastowych Oceanusa. Pływalność łodzi spadła gwałtownie i batyskaf cicho osunął się pod powierzchnię.

Przez następnych kilka minut zarówno Donald, jak i Suzanne mieli pełne ręce roboty.

Musieli sprawdzić, czy wszystkie urządzenia nadal pracują normalnie. Rozmowa ograniczała się do roboczego żargonu. Szybko przebiegli po raz drugi większą część listy kontrolnej. Prędkość opadania batyskafu wzrosła tymczasem do ostatecznej wartości trzydziestu metrów na minutę.

Perry wbił wzrok w iluminator. Barwa wody przeszła z pierwotnego zielonkawego błękitu w szybko ciemniejące indygo. Po pięciu minutach nie było widać już nic poza błękitną poświatą w górze. Niżej rozciągał się głęboki, wpadający w czerń fiolet. Z panującym na zewnątrz mrokiem kontrastowało silnie wewnątrz Oceanusa, skąpane w zimnym, elektronicznym blasku niezliczonych monitorów i wyświetlaczy.

- Wydaje mi się, że mamy trochę ciężki przód — powiedziała Suzanne, gdy zakończyli kontrolę sprzętu.

- Zgadza się - odparł Donald. - Śmiało, zrównoważ pana Bergmana!

Suzanne przesunęła kolejną dźwignię. Dał się słyszeć warkot. Perry nachylił się między dwoje pilotów.

-Co to znaczy, "zrównoważyć" mnie? - Jego głos zabrzmiał śmiesznie nawet dla niego samego. Przełknął ślinę, by zwilżyć zaschnięte gardło.

- Mamy regulowany system balastowy - wyjaśniła Suzanne. - Zbiorniki są wypełnione benzyną i właśnie pompują część z niej w stronę rufy, żeby zrównoważyć pana ciężar na dziobie.

- Aha! - powiedział po prostu Perry. Opadł z powrotem w fotel. Jako inżynier znał się na fizyce. Ulżyło mu też, że nie robili aluzji do bojaźliwości, którą mogło irracjonalnie sugerować jego zakłopotanie.

Zadowolona z wyważenia łodzi Suzanne wyłączyła pompę balastu, po czym odwróciła się

do Perry'ego. Była zdecy-

40

ddowana w miarę możliwości uprzyjemnić mu tę podmorską wycieczkę. Liczyła na to, że gdy wróca na statek, znajdzie okazję, by przedstawić mu argumenty na rzecz czysto badawczych wypraw na Morski Olimp. Jak na razie schodziła na dół jedynie przy okazji wymiany wiertła. Mimo wysiłków nie udawało jej się przekonać Marka Dayidsona o tym, że warto zanurzać się także w celach naukowych.

Jej niepokój powiększały też szerzące się plotki, jakoby z powodu problemów technicznych wiercenia miały zostać wstrzymane. Mieliby więc opuścić Morski Olimp, zanim zdołała przyjrzeć mu się bliżej! Byłaby to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, i to nie tylko ze względów zawodowych. Tuż przed wypłynięciem w ten rejs przeżyła ostateczne, jak miała nadzieję, zerwanie niezdrowego, burzliwego związku z dążącym do sławy aktorem i powrót do Los Angeles był jej w tej chwili zdecydowanie nie na rękę. Nagłe pojawienie się Perry'ego Bergmana było niespodziewanym uśmiechem losu. Miała szansę przedstawić swoje argumenty u samego szczytu.

- Wygodnie panu? - zapytała.

- Nigdy w życiu nie było mi wygodniej - zaręczył Perry.

Suzanne uśmiechnęła się, mimo oczywistego sarkazmu w jego odpowiedzi. Sytuacja nie wyglądała różowo. Prezes Benthic Marinę był wciąż spięty. Widać to było po tym, jak kurczowo ścisnął poręcz swego fotela, jak gdyby miał zamiar z niego wyskoczyć. Książki, które specjalnie dla niego z takim trudem przyniosła, leżały nietknięte na podłodze.

Przez chwilę Suzanne przyglądała mu się uważnie. Perry siedział sztywno, unikając jej wzroku. Nie umiała odgadnąć, czy jego zdenerwowanie wynika z lęku przed podróżą batyskafem, czy też jest po prostu odbiciem jego osobowości. Już pół roku wcześniej, podczas pierwszego spotkania z tym człowiekiem, uznała go za faceta lekko ekscentrycznego, próżnego i nerwowego.

Zdecydowanie nie był w jej typie, pomijając już fakt, że był tak niski, iż musiałyby włożyć tenisówki, aby mógł spojrzeć jej prosto w oczy. Jednak mimo że mieli z sobą niewiele wspólnego, tym bardziej że on był inżynierem przedsiębiorcą, a ona naukowcem, ufała,

41

że okaże się podatny na jej argumenty. Ostatecznie przychylił się już swego czasu do jej prośby, by jeszcze raz sprowadzić Benthic Explorera nad Morski Olimp, nawet jeśli chodziło mu wtedy tylko o dotarcie do wnętrza domniemanej komory magmowej.

Morski Olimp był jej oczkiem w głowie od niemal roku, odkąd w drodze powrotnej z poprzedniej wyprawy, włączwszy z nudów boczny sonar Benthic Explorera, zupełnym przypadkiem odkryła jego istnienie. Początkowo intrygowało ją tylko, dlaczego tak masywny, najwyraźniej wygasły wulkan nie został wykryty przez Geosat. Ale teraz, po czterech wyprawach batyskafem, w nie mniejszym stopniu zafascynowana była formacjami geologicznymi na jego płaskim szczycie, tym bardziej że miała możliwość przyjrzeć się jedynie bezpośredniemu otoczeniu otworu wiertniczego. A jednak najbardziej zdumiewający fakt wypłynął, gdy zabrała się za określenie wieku skały wydobytej wraz ze złamanym wiertłem.

Wyniki okazały się zaskakujące i znacznie bardziej intrygujące niż niezaprzeczalna twardość skały. Biorąc pod uwagę położenie gujotu w pobliżu Grzbietu Śród atlantyckiego, Suzanne spodziewała się, że wiek próbki zmieści się w przedziale od siedmiuset do tysiąca lat.

Tymczasem odczyt wskazywał, że liczy ona sobie około czterech miliardów lat!

Wiedząc, że takiego wieku nie osiągają nawet najstarsze spośród dotychczas znalezionych czy to na lądzie, czy też na dnie oceanów, skał, Suzanne pomyślała, że albo instrument do datowania zwariował, albo ona sama popełniła jakiś głupi proceduralny błąd. Nie chcąc ryzykować ośmieszenia, postanowiła zachować te wyniki dla siebie.

Godzinami niezmordowanie kalibrowała od nowa sprzęt, z najwyższą starannością

analizując kolejne próbki. Ku jej niedowierzaniu odczyty różniły się między sobą nie więcej niż o trzysta do czterystu milionów lat. Wciąż przekonana, że musi tu chodzić o nieprawidłowe działanie przyrządu, kazała przekalibrować go Tadowi Messengerowi, głównemu technikowi laboratorium. Kiedy znów przebadala prób-

42

ke wynik różnił się od poprzedniego raptem o kilka milionów lat- Suzanne, nadal pełna wątpliwości, pogodziła się z myślą, że z ich wyjaśnieniem musi poczekać na powrót do Los Angeles, gdzie będzie mogła skorzystać ze sprzętu w uniwersyteckim laboratorium. Tymczasem wyniki spoczęły bezpiecznie w jej szafce. Próbowwała powstrzymać się od oceny, ale jej zainteresowanie Morskim Olimpem wzrosło niebotycznie.

- Jeśli ma pan ochotę, z tyłu jest termos z gorącą kawą -powiedziała. - Z przyjemnością panu przyniosę.

- Myślę, że byłbym bardziej zadowolony, gdyby została pani przy sterach - odparł Perry.

- Donald, może włączyłbyś na chwilę zewnętrzne światła -zapropnowała Suzanne.

- Jesteśmy dopiero na stu pięćdziesięciu metrach - odparł Donald. - Tu nie ma nic do oglądania.

- Pan Bergnian jeszcze nigdy nie zanurzał się na otwartym oceanie - powiedziała Suzanne. - Powinien zobaczyć plankton.

- Proszę mi mówić po imieniu — wtrącił Perry. — To znaczy, po co bawić się w wersal, skoro tkwimy tu razem jak sardynki w puszcze?

Suzanne przyjęła propozycję Perry'ego z uśmiechem. Było jej przykro, że tak wyraźnie nie jest zadowolony z wycieczki.

- Donald, zrób mi tę przyjemność i włącz światła - powiedziała.

Donald bez dalszych komentarzy nachylił się i włączył reflektory halogenowe na lewej

burcie. Perry odwrócił się do iluminatora.

- Wygląda jak śnieg - orzekł.

- To miliardy drobnych planktonowych organizmów - wyjaśniła Suzanne. - Ponieważ jesteśmy wciąż jeszcze w epi-pelagialu, jest to, jak sędzę, głównie fitoplankton, czyli plankton roślinny, zdolny do fotosyntezy. Razem z sinicami to on właśnie stanowi podstawę całego oceanicznego łańcucha pokarmowego.

- To miło - odparł Perry.

43

Donald wyłączył światło.

- Szkoda baterii na taką reakcję — mruknął do Suzanne.

W ciemnościach, które na powrót spowiły batyskaf, Perry dostrzegł rozbłyskujące tu i ówdzie snopy fosforyzujących zielonkawo i żółto iskier. Zapytał o nie Suzanne.

- To bioluminescencja - wyjaśniła.

- Czy to też plankton?

- Być może. Jeśli tak, to najprawdopodobniej będą bruzd-nice. Oczywiście możliwe też, że są to drobne skorupiaki albo nawet ryby. Włożyłam do książki o życiu w oceanach żółtą zakładkę w tym miejscu, gdzie jest mowa o biolumi-nescencji.

Perry skinął głową, ale nie zrobił żadnego ruchu, aby podnieść książkę.

Miło było spróbować, pomyślała ponuro Suzanne. Jej optymizm co do zapewnienia

Perry'emu dobrej zabawy oklapł już zupełnie.

- Oceanus, tu Benthic Explorer - rozległ się w głośniku głos Larry'ego. - Proponuję przez dwie minuty kurs dwieście siedemdziesiąt stopni przy pięćdziesięciu amperach.

- Zrozumiałem - odparł Donald. Wyregulował moc silników i kilkoma ruchami drążków skorygował kurs. Następnie odnotował to w swoim dzienniku.

- Larry wykreślił nasze położenie, śledząc impulsy naszego sygnalizatora względem hydrofonów umieszczonych na dnie - wyjaśniła Suzanne. - Zwiększając podczas opadania moc w kierunku poziomym, osiągniemy dno dokładnie przy głowicy otworu. To tak, jakbyśmy szybowali do celu.

- Co będziemy robić, zanim przybędą nurkowie? - zapytał Perry. - Siedzieć i kręcić młynka palcami?

- Co to, to nie. - Suzanne zmusiła się do kolejnego uśmiechu. Roześmiała się bez przekonania. - Wyładujemy z zasobnika wiertło i narzędzia, które wieziemy, a potem mamy wolne. Zostanie nam wtedy jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut na to, żeby rozejrzeć się po terenie. To jest ta część wyprawy, która powinna sprawić ci prawdziwą przyjemność.

- Nie mogę się doczekać - powiedział Perry z sarkazmem,

44

który zaczynał już przyprawiać Suzanne o dreszcze. - Ale nie chcę, żebyście robili cokolwiek specjalnie na mój użytek. To znaczy, nie próbujcie mi zaimponować. Już i tak jestem pod wrażeniem.

Nagle monotonne piski echosondy zmieniły brzmienie. Batyskaf zbliżał się do dna i przedni sonar bliskiego zasięgu złapał kontakt z masą. Na maleńkim ekranie ukazał się obraz głowicy otworu wraz z biegnącą z góry na dół rurą osłonową. Donald odrzucił część balastu, spowalniając opadanie, po czym zajął się starannym wyważaniem łodzi, by uzyskać neutralną pływalność.

Podczas gdy on przepompowywał benzynę, Suzanne sięgnęła za siebie i włączyła mały odtwarzacz kompaktowy. Była to część jej misternego planu. W jednej chwili wnętrze kabiny wypełniły tony Święta wiosny Igora Strawińskiego. Uznając to za sygnał dla siebie, Donald włączył zewnętrzne reflektory.

Perry wyjrzał przez iluminator i oniemiał. Planktonowy śnieg zniknął niemal zupełnie i

przejrzystość lodowato zimnej wody była większa, niż sobie wyobrażał. Widoczność sięgała kilkudziesięciu metrów, a to, co ukazywało się jego oczom, wprawilo go w osłupienie. Pamiętając swoją podwodną wyprawę u wybrzeży Santa Cataliny, spodziewał się ujrzeć płaską, monotonną równinę, na której zobaczy co najwyżej kilka strzykw. A tymczasem roztaczał się przed nimi zamglony pejzaż, jakiego nie widział dotąd nawet w wyobraźni: potężne, ciemnoszare kolumnowe formy o płaskich wierzchołkach pięły się schodkowato w górę niczym zastygłe w bezruchu tłoki olbrzymiej maszyny. Upiorne kształty ciągnęły się w dal jak okiem sięgnąć. Wokół nich przemykało leniwie kilka długoogoniastych, wielkookich ryb. Tu i ówdzie na krawędziach skał kołysały się poruszane prądem wachlarzowate gorgonie.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. Był oczarowany w równym stopniu widokiem, co dramatyczną muzyką w tle.

- Dość niezwykle, prawda? - odezwała się Suzanne. Odzyskała nieco ducha. Zachwyt Perry'ego był jego pierwszą dobrze wróżącą reakcją.

45

- To wygląda jak jakaś starożytna świątynia — szepnął w podnieceniu.

- Jak Atlantyda - podsunęła Suzanne. Była zdecydowana wykorzystać sytuację do maksimum.

- Tak! - zawołał z entuzjazmem Perry. - Jak Atlantyda! Rany boskie! Gdyby tak sprowadzić tu na dół turystów i opowiadać, że to była Atlantyda! To byłaby prawdziwa kopalnia złota.

Suzanne odchrząknęła. Sprowadzanie turystów na jej ukochaną podmorską górę było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, ale doceniała entuzjazm Perry'ego. W każdym razie zaczął wreszcie przejawiać zainteresowanie.

- Prędkość prądu poniżej jednej ósmej węzła - odezwał się Donald. - Podchodzę do głowicy otworu. Przygotuj się do wylądowania wiertła.

Suzanne odwróciła się, by wrócić do swych obowiązków. Włączyła siłowniki napędzające ramiona manipulatora. Tymczasem Donald wprawnie posadził Oceanusa na skalistym dnie. Podczas gdy Suzanne przygotowywała się do wyładowania wiertła i narzędzi z zasobnika batyskafu, skontaktował się przez telefon ze statkiem.

- Jesteśmy na dnie - oznajmił. - Wyładowujemy ładunek.

- Zrozumiałem - odparł przez głośnik Larry. - Domyśliłem się tego, kiedy usłyszałem muzykę Suzanne. Czy to jej jedyna płyta, do cholery?

- Akurat ta najlepiej pasuje do tej scenerii - wtrąciła się Suzanne.

- Jeśli będziemy robić jeszcze jakieś zanurzenia, pożyczę ci parę płyt New Age - odparł Larry. - Nie mogę słuchać tej klasyki.

- Czy to właśnie są dajki bazaltowe? - zapytał Perry.

- Tak przypuszczam - odparła Suzanne. - Słyszałeś kiedyś o Drodze Olbrzymów?

- Chyba nie - przyznał Perry.

- To naturalna formacja skalna na północnym wybrzeżu Irlandii. Wygląda podobnie jak to, co tu widzisz.

- Jak duży jest wierzchołek tej góry?

46

_ Oceniałabym go na jakieś cztery boiska futbolowe — odparła Suzanne. - Ale, niestety, to tylko domysły. Problem w tym, że nigdy nie zostajemy na dnie wystarczająco długo, żeby zbadać całość.

- Cóż, myślę, że trzeba by to zrobić - powiedział Perry.

Otóż to! - wykrzyknęła w duchu Suzanne. Z trudem powstrzymała się, by nie wrzasnąć do Larry'ego i Marka z pytaniem, czy słyszeli, co powiedział prezes.

- Czy cały wierzchołek wygląda tak jak tutaj? - zapytał

Perry.

- Nie, niezupełnie - odparła. - Na fragmencie, który udało nam się zobaczyć, są też obszary o bardziej typowych dla morskiego dna formacjach lawy. Podczas ostatniego zanurzenia dostrzeżliśmy w przelocie coś, co wyglądało na uskoku transformujący, ale wezwano nas z powrotem, zanim zdążyliśmy przyjrzeć się temu bliżej. Morski Olimp jest wciąż w znacznej mierze nie zbadany.

- Gdzie był ten uskoku w stosunku do głowicy otworu?

- Dokładnie na zachód stąd. Mniej więcej w kierunku, w którym teraz patrzysz. Widzisz ten szczególnie wysoki rząd kolumn?

- Chyba tak - powiedział Perry. Przycisnął twarz do plek-si, próbując spojrzeć nieco w tył.

Tuż na granicy widoczności wznosił się ciąg skalnych słupów. - Czy odkrycie uskoku transformującego byłoby czymś znaczącym? - zapytał.

- Byłoby zdumiewające - odparła Suzanne. - Spotyka się je wprawdzie wzdłuż całego grzbietu, ale znalezienie czegoś takiego w takiej odległości od osi, i to biegnącego przez środek góry, która, jak przypuszczamy, jest starym wulkanem, byłoby czymś wyjątkowym.

- Rzućmy na to okiem - zaproponował Perry. - To miejsce jest fascynujące.

Suzanne wyszczerzyła zęby w triumfalnym uśmiechu. Spojrzała na Donalda. Nawet on nie mógł ukryć zadowolenia. Odnosił się życzliwie do planu Suzanne, ale nie pałał optymizmem.

Wyładowanie całego sprzętu, upchniętego przez Marka w zasobniku batyskafu, zajęło jej zaledwie kilka minut.

47

Ułożywszy narzędzia w równym rzędzie tuż przy głowicy otworu, złożyła ramiona manipulatora w położenie spoczynkowe.

-1 to by było na tyle - powiedziała. Wyłączyła siłowniki manipulatora.

- Oceanus do kontroli powierzchniowej - powiedział Donald do mikrofonu. - Ładunek

został wyładowany. Co się dzieje z nurkami?

- Kompresja zbliża się do głębokości docelowej - oznajmił przez głośnik głos Larry'ego. -

Wkrótce zaczynamy opuszczanie dzwonu. Przewidujemy osiągnięcie dna za pół godziny, z dokładnością do pięciu minut.

- Zrozumiałem! - odparł Donald. - Informuj nas na bieżąco. Mamy zamiar wziąć kurs na zachód, żeby zbadać skarpe, którą zauważyliśmy podczas ostatniego zanurzenia.

- W porządku - powiedział Larry. - Damy wam znać, kiedy odłączymy dzwon od komory kompresyjnej. Potem zawiadomimy was, kiedy znajdzie się na stu pięćdziesięciu metrach, żebyście mogli zająć odpowiednią pozycję.

- Zrozumiałem - powtórzył Donald. Odwiesił mikrofon. Z dłońmi lekko spoczywającymi na drążkach sterowych zwiększył zasilanie układu napędowego do pięćdziesięciu amperów.

Wprawnie odprowadził batyskaf od głowicy otworu, ostrożnie omijając pionowy przebieg rury.

Kilka chwil później Oceanus sunął powoli nad przedziwną topografią gujotu.

- Jak sądzę to, co tu widzimy, jest doskonale zachowanym fragmentem płaszcza -

powiedziała Suzanne. - Ale jak i dlaczego lava zastygła w te graniastosłupy, to przekracza moje pojęcie. Wyglądają prawie jak gigantyczne kryształy.

- Podoba mi się pomysł, że to Atlantyda - mruknął Perry, z twarzą wciąż przyklepioną do iluminatora.

- Zbliżamy się do miejsca, w którym zauważyliśmy uskok - oznajmił Donald.

- To powinno być tuż za tym najbliższym pasmem kolumn - dodała Suzanne pod adresem Perry'ego.

_ Rany! - wykrzyknął Perry. - To rzeczywiście stromizna.

_ No cóż, to nie jest uskok transformujący - powiedziała Suzanne, gdy formacja ukazała się w całej okazałości. -Prawdę mówiąc, jeśli to w ogóle jest uskok, to byłby raczej graben. Druga strona jest tak samo stroma.

- Co to, u licha, jest graben? - zapytał Perry.

- To blok skalny, który osunął się względem skał po jednej i po drugiej stronie - wyjaśniła Suzanne. - Ale coś takiego nie zdarza się na wierzchołku podmorskiej góry.

- Dla mnie to wygląda jak wielka prostokątna dziura -stwierdził Perry. - Jak myślisz? Jakieś czterdzieści pięć metrów długości i piętnaście szerokości?

- Tak mi się wydaje - przytaknęła Suzanne.

- To niewiarygodne! - powiedział w zdumieniu Perry. -Zupełnie jakby jakiś olbrzym wziął nóż i wyciął z ziemi klocek tak, jak my wycinamy kostkę z arbuza.

Podprowadziwszy Oceanusa nad rozpadlinę, Donald wyłączył silniki. Wszyscy spojrzeli w dół.

- Nie widzę dna - powiedział Perry.

- Ja też nie - odparła Suzanne.

- Nasza echosonda też go nie widzi - odezwał się Donald. Wskazał na ekran sonaru. Był pusty, bez choćby śladu sygnału. Wyglądało to, jak gdyby Oceanus unosił się nad studnią bez dna.

- O rany! - wykrztusiła Suzanne w zdumieniu. Donald postukał w monitor. Bez rezultatów.

- To bardzo dziwne - stwierdziła Suzanne. - Myślisz, że sonar nawalił?

- Nie mam pojęcia - odparł Donald. Próbował zmienić ustawienia.

-Zaczekajcie - odezwał się nerwowo Perry. - Czy wy mnie przypadkiem nie nabieracie?

-A sonar boczny? - podsunęła Suzanne, nie zwracając na niego uwagi.

- Jest tak samo zwariowany - odparł Donald. - Sygnał jest straszliwie zniekształcony, chyba

że zgodzimy się przy-

'~ Urowadzenie

49

jąc, że ten dół ma tylko półtora albo dwa metry głębokości. Tak właśnie wskazują pomiary.

- Wyraźnie widać, że ta dziura jest o wiele głębsza — powiedziała Suzanne.

- Oczywiście — zgodził się Donald.

- Hej, ludzie, zaczynacie mnie straszyć! — zawołał Perry. Suzanne odwróciła się na chwilę w jego stronę.

- Wcale nie chcemy cię straszyć - powiedziała. - Po prostu sami nie wiemy, co o tym myśleć.

-Moim zdaniem tuż na obrzeżu tej formacji musi być potężna termoklina - stwierdził

Donald. - Impulsy sonaru najwyraźniej odbijają się od czegoś.

- Mógłbyś łaskawie powiedzieć to po ludzku? - zapytał Perry.

- Fale dźwiękowe odbijają się od warstw o dużej różnicy temperatur - wyjaśniła Suzanne. -

Myślimy, że z tym właśnie mamy tu do czynienia.

- Żeby uzyskać prawidłowy odczyt głębokości, musimy opuścić się na trzy albo cztery metry w głąb jamy - powiedział Donald. - Zrobię to, zmniejszając naszą pływalność, ale najpierw chcę zmienić ustawienie łodzi.

Kilkoma szarpnięciami prawej przedniej śruby manewrowej Donald obrócił batyskaf równolegle do dłuższej osi zapadliska, po czym wyregulował balast, aby nadać łodzi ujemną pływalność. Oceanus zaczął powoli opadać w głąb jamy.

- Może to nie jest najlepszy pomysł - odezwał się Perry. Spoglądał nerwowo to w iluminator, to na ekran bocznego sonaru.

Głośnik hydrotelefonu zatrzeszczał i ożył.

- Oceanus, tu kontrola powierzchniowa. W tej właśnie chwili dzwon jest odłączony od komory kompresyjnej. Głębokość stu pięćdziesięciu metrów osiągnie mniej więcej za dziesięć minut.

- Zrozumiałem - powiedział Donald do mikrofonu. - Jesteśmy około trzydziestu metrów na zachód od głowicy otworu. Znaleźliśmy, jak nam się zdaje, silną termoklinę w formacji skalnej. Chcemy ją sprawdzić. Łączność może być

50

hwilowo przzerwana, ale wrócimy na stanowisko, zanim przybędą nurkowie

_ W porządku - odparł głos Lany ego.

_ Spójrzcie na połysk ścian - odezwała się Suzanne, gdy batyskaf opadł poniżej szczytu zapadliska. - Są zupełnie gładkie. To wygląda prawie jak obsydian.

-Wracajmy z powrotem do głowicy otworu - zaproponował Perry.

- Może to wylot wygasłego wulkanu? - podsunął Donald. Lekki uśmiech przemknął przez jego nieruchomą poza tym twarz.

- To jest myśl - odparła Suzanne, rozbawiona. - Choć muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam o idealnie prostokątnej kalderze. - Znów wybuchnęła śmiechem. - To, co robimy, przypomina mi Wyprawę do wnętrza Ziemi Juliusza Verne'a.

- Co takiego? - zapytał Donald.

- Czytałeś to?

- Nie czytam powieści.

- Prawda, zapomniałam. Tak czy inaczej, bohaterowie tej książki dostają się przez wygasły wulkan do czegoś w rodzaju prehistorycznego podziemnego świata.

Ze wzrokiem utkwionym we wskaźniku termistora, Donald pokręcił głową.

- Co za strata czasu - powiedział. - Właśnie dlatego nie czytam powieści. I tak zbyt dużo

jest fachowych czasopism, do których nie mam kiedy zajrzeć.

Suzanne zamierzała zareplikować, ale rozmyśliła się. Nigdy nie udawało jej się dokonać wyłomu w sztywnych opiniach Donalda na temat beletrystyki w szczególności oraz sztuki w ogóle.

- Nie chciałbym być natrętny - odezwał się Perry - ale sądzę...

Nie dokończył. Ni stąd, ni zowąd prędkość opadania ba-tyskafu gwałtownie wzrosła i

Donald wykrzyknął:

- Boże wszechmogący!

fryrę uchwycił skraj swego fotela tak mocno, aż zbielewały ostki palców. Bardziej nawet niż nagle przyspieszenie

51

spadku przeraził go niezwykle u Donalda okrzyk. Jeśli niewzruszony komandor Fuller stracił zimną krew, sytuacja j musiała być krytyczna.

- Odrzucam balast stały—zawołał Donald. Opadanie zwolniło natychmiast, po czym ustało zupełnie. Donald zwolnił jeszcze nieco ciężaru i batyskaf zaczął się wznosić. Następnie z pomocą lewej śruby manewrowej skorygował ustawienie łodzi wzdłuż dłuższej osi zapadliska. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było uderzenie o ścianę.

- Co to było, u diabła? - zapytał Perry, odzyskawszy głos.

- Straciliśmy pływalność - odparła Suzanne.

- Nagle zrobiliśmy się ciężsi, albo woda stała się lżejsza -powiedział Donald, sprawdzając przyrządy.

- Co to znaczy? - zapytał nerwowo Perry.

- Nasz ciężar oczywiście nie mógł wzrosnąć, więc to naprawdę woda zrobiła się lżejsza - odparł Donald, patrząc na wskaźnik temperatury. - Weszliśmy w termoklinę, której się

domyślaliśmy, i gradient okazał się o niebo większy, niż mogliśmy przypuszczać... w przeciwnym

kierunku. Temperatura na zewnątrz wzrosła o prawie czterdzieści stopni!

- Wynośmy się stąd do diabła! - krzyknął Perry.

- Właśnie to robimy - rzucił krótko Donald. Gwałtownym ruchem sięgnął po mikrofon hydrotelefonu, próbując wywołać Benthic Explorera. Gdy mu się to nie udało, odłożył mikrofon z powrotem. - Fale dźwiękowe nie przedostają się tu ani w jedną, ani w drugą stronę - powiedział.

- Co to jest? Jakaś dźwiękowa czarna dziura? - zapytał z irytacją Perry.

- Echosonda daje teraz odczyt - powiedziała Suzanne. - Ale to nie może być prawda!

Wynikałoby, że ta dziura ma przeszło dziewięć tysięcy metrów głębokości!

- Ale dlaczego miałyby źle działać? - mruknął pod nosem Donald. Jeszcze mocniej pacnął instrument grzbietem dłoni. Na wyświetlaczu nadal widniała wartość 9217,4.

- Do diabła z echosondą - wtrącił Perry. - Czy nie możemy wydostać się stąd szybciej? - Oceanus wciąż się wznosił, jednak bardzo powoli.

52

- Nigdy dotąd nie miałem z nią kłopotów - wymamrotał

Donald.

_ Może ta rozpadlina jest jakimś kanałem magmowym - powiedziała Suzanne. - Jest najwyraźniej głęboka, nawet jeśli nie wiemy, jak bardzo, a woda jest gorąca, co sugerowałoby kontakt z lawą. - Pochyliła się do przodu, by wyrzeć przez iluminator.

- Czy moglibyśmy przynajmniej wyłączyć muzykę? - zapytał Perry. Przybierające na sile dźwięki szarpały tylko jego i tak już napięte nerwy.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknęła Suzanne. - Spójrzcie na ściany na tym poziomie! Bazalt jest zorientowany poprzecznie. Nigdy nie słyszałam o poprzecznej dajce. I zobaczcie! Ma zielonkawy odcień. Może to jest gabro, nie bazalt.

- Obawiam się, że będę musiał zrobić użytek z mojego stanowiska - warknął Perry, nie

kryjąc rozdrażnienia. Miał dość traktowania go jak powietrze. — Proszę natychmiast odwieźć mnie na powierzchnię!

Suzanne odwróciła się, żeby odpowiedzieć, ale zdążyła jedynie otworzyć usta. W tej samej chwili batyskafem wstrząsnęła potężna, powolna vibracja. Suzanne uchwyciła kurczowo skraj fotela, chroniąc się przed upadkiem. Wszystko, co nie było odpowiednio zabezpieczone, posypało się na podłogę. Dzbanek z kawą runął w dół, roztrzaskując się na kawałki, które turlały się teraz wśród rozrzuconych długopisów. Jednocześnie rozległo się głuche dudnienie, niczym daleki odgłos gromu.

Wstrząsy trwały niemal minutę. Nikt się nie odezwał, choć z ust Perry'ego wyrwał się mimowolny jęk. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Co to było, na Boga? - zapytał Donald. Gorączkowo zlustrował przyrządy.

- Nie jestem pewna - odparła Suzanne - ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to trzęsienie ziemi. Są dosyć częste w tym obszarze.

~ iv ^en^e zieim' ~ wyrwało się Perry'emu.

~ Może ten stary wulkan się budzi - powiedziała Suzan-

53

ne. - To by dopiero była wyprawa, gdybyśmy trafili na taką okazję!

- Rany! - zawołał Donald. - Coś jest nie tak!

- Co się dzieje? - zapytała Suzanne. Podobnie jak on, błyskawicznie przebiegła wzrokiem po leżących na wprost jej oczu skalach, wyświetlaczach i ekranach. Tu właśnie znajdowały się najważniejsze dla obsługi batyskafu instrumenty. Wszystko wydawało się w porządku.

- Echosonda! - krzyknął Donald z niezwykłą dla siebie gwałtownością.

Spojrzenie Suzanne w jednej chwili padło na wyświetlacz umieszczony tuż nad podłogą między siedzeniami pilotów. Jego wskazanie malało w alarmującym tempie.

- Co się dzieje? - zapytała. - Myślisz, że lawa podnosi się w szybie?

- Nie! — wrzasnął Donald. — To my. My toniemy, a wyrzuciłem już cały stały balast.

Straciliśmy pływalność!

- Ale wskaźnik ciśnienia! - krzyknęła Suzanne. - Ciśnienie nie rośnie. Jak możemy tonąć?

- Być może nie działa - rzucił niecierpliwie Donald. - To jasne, że toniemy. Rany boskie, spójrz tylko przez iluminator!

Suzanne w jednej chwili zwróciła głowę w stronę okna. To była prawda. Tonęli. Gładka skalna ściana mknęła gwałtownie w górę.

- Opróżniam zbiorniki balastowe - warknął Donald. - Na tej głębokości nie będzie dużego efektu, ale nie mamy wyboru.

Syk uwalnianego sprężonego powietrza zagłuszył Święto wiosny Strawieńskiego, nie trwało to jednak dłużej niż dwadzieścia sekund. Przy takim ciśnieniu zbiorniki opróżniły się momentalnie. Opadanie nie zwolniło ani odrobinę.

- Zrób coś! - wrzasnął Perry, kiedy odzyskał mowę.

- Nie mogę - ryknął w odpowiedzi Donald. - Stery nie reagują. Nic więcej nie da się zrobić.

Rozdział 5

Mark Davidson rozpaczliwie pragnął papierosa. Jego nałóg był absolutny, choć nie uważał, żeby rzucenie go było szczególnie trudne: robił to przecież mniej więcej raz w tygodniu.

Najbardziej korciło go, żeby zapalić, kiedy odpoczywał, pracował lub był zdenerwowany, a w tym momencie istotnie denerwował się ogromnie. Prace głębinowe zawsze wydawały mu się kuszeniem losu; z doświadczenia wiedział, jak szybko sytuacja potrafi stać się prawdziwie dramatyczna.

Podniósł wzrok na potężny zegar na ścianie przedziału nurkowego. Monstrualna wskazówka sekundowa sunęła nieubłagalnie, nie pozwalając zignorować upływu czasu. Dwanaście minut minęło już od ich ostatniego kontaktu z Oceanusem. Choć Donald wyraźnie uprzedził, że

może nastąpić krótka przerwa w łączności, to wydawało się nieco zbyt długo, tym bardziej że batyskaf nie odpowiedział na ostatni komunikat Larry'ego Nelsona, gdy ten próbował powiedzieć im, że nurkowie są już na głębokości stu pięćdziesięciu metrów.

Oczy Marka przemknęły ku paczce marlboro, rzuconej niedbale na blat konsoli. Prawdziwą męczarnią było nie sięgnąć po nią, nie wyciągnąć papierosa i nie zapalić. Niestety, od niedawna na statku obowiązywał zakaz palenia w miejscach publicznych, a kapitan Jameson był pedantem, jeśli chodzi o przepisy i zarządzenia.

Z pewną trudnością Mark oderwał wzrok od papierosów i rozejrzał się dookoła. Wszyscy inni wydawali się zupełnie spokojni, co wprawiało go tylko w jeszcze większe zdenerwowanie.

Larry Nelson, nieruchomy jak posąg, siedział wraz z operatorem echosondy, Peterem Rosenthalem, przy sta-

55

nowisku nadzoru operacji podwodnych. Tuż za nimi dwóch dyżurnych obserwowało pulpity sterownicze urządzeń nurkowych. Choć ich oczy wędrowały nieustannie po wskaźnikach ciśnienia obu użytkowanych obecnie kabin dekompresyjnych oraz dzwonu nurkowego, reszta ich ciał pozostawała bez ruchu.

Po drugiej stronie kabiny, na wysokim stołku przed oknem wyglądającym na centralną studnię, siedział operator wciągarki. Jego dłoń spoczywała na dźwigni zmiany biegów. Na zewnątrz lina nośna, połączona z zaczepem na szczycie dzwonu, szła w dół z największą dozwoloną szybkością. Równocześnie z sąsiedniego bębna opuszczany był drugi, pasywny przewód, zawierający węże ze sprężonym gazem i gorącą wodą oraz kable łączności.

Na samym końcu kabiny siedział kapitan Jameson, ssąc w zamyśleniu wykałaczkę. Przed nim znajdowały się urządzenia sterownicze, stanowiące przedłużenie mostka. Choć śruby napędowe i silniki manewrowe statku były sterowane komputerowo, tak by utrzymać go w stałym

położeniu względem głowicy otworu, kapitan Jameson mógł przejść na sterowanie ręczne, gdyby w trakcie prac podwodnych zaszła taka potrzeba.

- Niech to diabli! - zaklął nagle Mark. Cisnął na pulpit ołówkę, nad którym znęcał się bezmyślnie i wstał, - Jaka jest głębokość nurków?

- W tej chwili sto osiemdziesiąt sześć metrów - oznajmił operator wciągarki.

- Spróbuj jeszcze raz połączyć się z Oceanusem! - warknął Mark do Larry'ego. Zaczął chodzić nerwowo w tę i z powrotem po kabinie. Ścisnęło go w dołku i z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. Wyrzucał sam sobie, że zachęcał Perry'ego Bergmana do tej wyprawy. Znajac osobiście zainteresowanie doktor Newell Morskim Olimpem i wiedząc, jak zależało jej na wykonywaniu czysto badawczych zanurzeń, podejrzewał, że usiłowała olśnić prezesa, aby postawić na swoim. W rezultacie mogła wymusić na Donaldzie coś, czego normalnie nigdy by nie zrobił, a Mark miał świadomość, że była ona jedyną osobą na statku, która mogła mieć tego

56

typu wpływ na zazwyczaj ściśle przestrzegającego ustalonych reguł byłego oficera marynarki.

Wzdrygnął się. Byłoby prawdziwą katastrofą, gdyby batyskaf zaklinował się w szczelinie albo rysie, do której mógł się zapuścić, żeby zbadać z bliska jakąś formację geologiczną. Coś takiego niemal przytrafiło się kiedyś Alwinowi, łodzi podwodnej Instytutu Woods Hole, a zdarzenie to miało miejsce właśnie na Grzbiecie Sródatlantyckim, niedaleko od ich obecnego położenia.

- Nadal bez odpowiedzi - oznajmił Larry po kilku bezskutecznych próbach skontaktowania się z Oceanusem.

- Jest jakiś ślad batyskafu na sonarze bocznym? - zapytał Mark operatora echosondy.

- Nie - odparł Peter. - A denne hydrofony nie mają łączności z ich sygnalizatorem. Ta termoklina, którą znaleźli, musi być imponująca. Zupełnie, jakby zapadli się pod ziemię.

Mark przestał krążyć i znów spojrzął na zegar.

- Ile czasu minęło już od tego wstrząsu? - zapytał.

- To było coś więcej niż wstrząs — odparł Larry. — Tad Messenger zmierzył, że to miało 4,4 stopnia w skali Rich-tera.

- Wcale mnie to nie dziwi; rozwaliło cały ten stos rur na pokładzie - powiedział Mark. - A cokolwiek poczuliśmy tu, na górze, na dnie musiało być diablo gorsze. Jak dawno to było?

Larry zerknął w swój dziennik.

- Prawie cztery minuty temu. Chyba nie sądzisz, że to ma jakiś związek z tym, że nie możemy złapać Oceanu-sa, co?

Mark wolał nie odpowiadać. Nie był przesądny, ale nie znosił wypowiadać na głos swoich obaw, jak gdyby wyartykułowanie ich mogło zwiększyć prawdopodobieństwo ich spełnienia.

Zdawał sobie sprawę, że trzęsienie ziemi o sile 4,4 stopnia mogło spowodować osunięcie się skał, które uwięziły Oceanusa. Taka katastrofa z pewnością nie była wykluczona, jeśli Donald istotnie opuścił się na prośbę Su-zanne w jakąś wąską szczelinę.

57

- Chciałbym porozmawiać z nurkami — powiedział. Przejął od Larry'ego mikrofon.

Zbierając myśli, spojrzął w górę na monitor pokazujący czubki głów i skrócone w perspektywie sylwetki trzech mężczyzn.

- Kurna, facet! -jęknął Michael. - Kopnąłeś mnie prosto w jaja!

Jego mowa brzmiała niczym ciąg pisków i kwików, niemal zupełnie niezrozumiałych dla ucha przeciętnego człowieka. Zniekształcenia powodował hel, którym oddychał zamiast azotu.

Przy ciśnieniu panującym na głębokości trzystu metrów pod powierzchnią oceanu azot działał jak narkotyk. Zastąpienie azotu helem rozwiązywało ten problem, powodowało jednak silną deformację głosu. Nurkowie byli do tego przyzwyczajeni. Choć skrzeczeli jak disneyowski Kaczor

Do-nald, rozumieli siebie nawzajem doskonale.

- To zejdz mi z nimi z drogi - warknal Richard. - Nie moge nalozyc tych cholernych pletw.

Wszyscy trzej tkwili scisnieni wewnatrz dzwonu nurkowego, stalowej kuli o srednicy zaledwie dwuch i pol metra. Wraz z nimi upchniete byl caly ich sprzet nurkowy, kilkaset metrów zwiniętego węża i wszelkie niezbędne oprzyrządowanie.

- Zejdz mi z drogi, jasne - wyśmiał go Michael. - To co niby mam zrobic? Wyjsc na zewnatrz?

Z glosnika zamontowanego na samym szczycie dzwonu rozlegly sie trzaski. Tuż obok znajdowala sie miniaturowa kamera z szerokokatnym obiektywem. Nurkowie wiedzieli, ze sa nieustannie obserwowani, nie przejmowali sie tym jednak zupelnie.

- Panowie, prosze o uwage! - zawolal Mark. W przeciwienstwie do nurkow, jego glos brzial wzglednie normalnie. — Mowi kierownik robot.

- Ja pierdole - wykrzyknal Richard, przyjrzawszy sie pletwie, z ktora bezskutecznie sie mocowal. - Nic dziwnego, ze nie moge wlozyc tego draństwa. To nie moja. To twoja, Do-naghue. -

Bez ostrzezenia zdzielil Michaela pletwa po glo-

58

wie, stracajac mu przy tym jego ukochana czapeczke Red Soksow. Czapka stoczyla sie do wylotu dzwonu, zatrzymujac sie na zamknietej klapie wlazu.

- Hej, niech nikt sie nie rusza! - zawolal Michael. - Maz-zola, podaj mi moja czapke! Nie chce, zeby sie zamoczyla. - On sam byl juz w pelnym rynsztunku pletwonurka: neo-prenowym skafandrze, kamizelce ratunkowej i obciaznikach. Nie bylo mowy, by mogl pochylic sie na tyle, zeby odzyskac zgube.

- Panowie! - Glos Marka stal sie donośniejszy i bardziej natarczywy.

- Odwal sie - mruknal Louis. - To, ze zostalem dzwonowym, nie znaczy, ze jestem twoim

służącym.

- Słuchajcie, troglodyci! - ryknął z drobnego głośnika głos Larry'ego. Ogłuszający dźwięk przetoczył się po ciasnym wnętrzu dzwonu jak grzmot. — Pan Dayidson chce z wami pogadać, więc zamknijcie jadaczki!

Richard wcisnął nieszczęsną płetwę, wraz z drugą od pary, do rąk Michaela, po czym zwrócił twarz w stronę kamery.

- Już w porządku - powiedział. - Słuchamy.

- Zaczekajcie chwilę - odezwał się Larry. - Nie zauważyłem, że nie włączyliśmy korektora dźwięku.

- No to dawaj moje płetwy - zwrócił się tymczasem Richard do Michaela.

- Mówisz, że te, które mam na sobie, nie są moje?

- Kurde! - W głosie Richarda brzmiała drwina. - Skoro trzymasz je w rękach, jak możesz mieć je na nogach, tumanie?

Michael przykucnął niezdarnie i ściskając własną parę pod pachą, zsunął ze stóp te, które włożył wcześniej. Richard wyrwał mu je z pogardliwą miną. Chwilę później bezładnie zderzyli się ze sobą, gdy obaj równocześnie schylili się, by założyć płetwy na nogi.

- W porządku, chłopaki - odezwał się znowu Larry. - Jesteśmy na linii z korektorem, więc przestańcie się wiercić i słuchajcie! Oto pan Davidson.

Nurkowie nie zadali sobie trudu, żeby spojrzeć w górę.

59

Przybrawszy znudzony wyraz twarzy, rozparli się niedbale pod ścianami dzwonu.

- Nie udało nam się skontaktować z Oceanusem przez hydrotelefon ani wysledzić go sonarem - mówił Mark. -Zależy nam, żebyście postarali się nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

Jeśli nie zobaczycie ich, kiedy dotrzecie do głowicy otworu, dajcie nam znać, a my wydamy wam

dalsze instrukcje. Czy to jasne?

- Tak - odparł Richard. - Możemy już wrócić do naszych przygotowań?

-Tak jest.

Richard i Michael oderwali się od ściany i dając sobie nawzajem odrobinę swobody ruchów, zdołali wreszcie nałożyć płetwy. Gdy Richard zajął się wkładaniem kamizelki ratunkowej i pasa z obciążnikami, Michael pokusił się nawet o próbę podniesienia czapeczki z podłogi, ale, tak jak się obawiał, była poza jego zasięgiem.

Pięć minut później głos operatora wciągarki poinformował ich, że minęli właśnie dwieście siedemdziesiąt pięć metrów. Po tym komunikacie opadanie dzwonu zwolniło wyraźnie. Podczas gdy Richard i Michael starali się nie wchodzić w drogę, Louis zabrał się za węże. Na niego, jako na nurka dzwonowego, spadała obsługa lin i kabli.

- Włączamy światła zewnętrzne - oznajmił Larry.

Richard i Michael wykręcili głowy w stronę maleńkich iluminatorów po przeciwległych stronach dzwonu. Louis był zbyt zajęty, by rzucić okiem przez któreś z dwóch pozostałych okien.

- Widzę dno - powiedział Richard.

- Ja też - dodał Michael.

Dzwon, zawieszony na pojedynczej linii nośnej, obracał się powoli, ograniczany w tym ruchu przez pasywny przewód zbiorczy: po kilku obrotach w jednym kierunku kula zaczynała wirować w drugą stronę. Gdy na głębokości dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu metrów dzwon zatrzymał się, obroty także ustały, do tego czasu jednak obaj nurkowie mieli szansę obejrzeć pełną panoramę terenu.

Ponieważ dzwon zawieszony był cztery metry ponad ska-

60

dhstą powierzchnią jednego z wyższych fragmentów wierzchołka gujotu, nurkowie widzieli

stosunkowo rozległy obszar, ograniczony zasięgiem zewnętrznych lamp halogenowych. Jedyne od zachodu widok nieco przesłaniała im skalista grań, wyglądająca niczym szereg zrośniętych ze sobą kolumn, któr'ych szczyty wznosiły się tuż ponad poziomem ich wzroku. Ale nawet ta formacja niknęła na obrzeżu strefy światła.

- Widzisz batyskaf? - zapytał Richard.

- Nie - odparł Michael. - Ale widzę wiertła i narzędzia obok otworu. Wszystko grzecznie i ładnie poukładane.

Richard odwrócił się od iluminatora i uniósł twarz w stronę kamery.

- Nie widać Oceanusa - powiedział. - Ale był tutaj.

- To oznacza, że będzie zmiana w programie — odezwał się głos Larry'ego. - Pan Davidson życzy sobie, żeby czerwony i zielony skierowali się dokładnie na zachód. Czy widzicie tam jakąś skarpe?

- Co to, u diabła, jest skarpa? — zapytał Richard.

- To ściana albo urwisko - wtrącił się Mark.

- Tak, chyba widać coś takiego - Richard spojrzał jeszcze raz na kolumnowe pasmo.

- Pan Davidson chce, żebyście popłynęli za ten grzbiet - powiedział Larry. - Jaka jest jego wysokość w stosunku do dzwonu?

- Prawie na równi - odparł Richard.

- W porządku; przepłyniecie górą i sprawdźcie, czy stamtąd nie widać batyskafu. Pan Davidson sądzi, że tam może być szczelina. I uważajcie na temperaturę. Wygląda na to, że na 4ym obszarze jest potężny gradient.

- Kapuję - powiedział Richard.

- I pamiętajcie - dodał Larry - że jesteście ograniczeni do jednej pięćdziesiątej głębokości docelowej. Nie wznóście się więcej niż na trzy metry ponad dzwon. Nie chcemy, żeby przez

chorobę kesonową wszystko wzięło w łeb. Jasne?

- Kapuję - powtórzył Richard. Napomnienia Larry'ego były standardowym zestawem przykazań obowiązujących podczas nurkowania saturowanego.

61

- Dzwonowy - mówił dalej Larry - skład mieszanki oddechowej ma wynosić jeden i pół procent tlenu na dziewięćdziesiąt osiem i pół procent helu. Zrozumiałeś?

- Tak jest — odparł Louis.

-1 jeszcze jedno, czerwony i zielony. Nie życzę sobie, bez-mózgie twardziele, żebyście pakowali się w jakieś ryzyko, więc uważajcie na siebie.

- Jasne! - odparł Richard. Uniósł kciuk w górę do kamery, lecz jednocześnie mruknął do Michaela, wykrzywiając pogardliwie twarz: — Mówić nam, żebyśmy uważali na siebie tu na dole to tak, jak powiedzieć swojemu dzieciakowi, żeby uważał na siebie, posyłając go, żeby pobawił się na środku autostrady.

Michael pokiwał głową, ale nie słuchał go. Teraz nie była pora na żarty. W pełnym skupieniu przyłączył wąż oddechowy i pozostały sprzęt. Gdy był już gotów, Louis podał mu maskę wpuszczoną w jasnopomarańczowy hełm z włókna szklanego. Czekał na Richarda, Michael przytrzymał ją pod pachą. Mimo swego olbrzymiego doświadczenia zawsze miał tremę tuż przed wyjściem do wody.

Richard czym prędzej poszedł w jego ślady. Potem sięgnął po dwie latarki nurkowe, sprawdził obydwie i podał jedną Michaelowi. Gdy był gotowy, dał Michaelowi znak skinieniem głowy i obaj jednocześnie nałożyli hełmy.

Pierwszą rzeczą, jaką sprawdzili, kiedy Louis otworzył przewód zbiorczy, był przepływ gazu. Następną była gorąca woda, niezbędna przy temperaturze wody wynoszącej zaledwie dwa stopnie Celsjusza: zmarznętemu nurkowi trudno jest pracować. Na koniec skontrolowali łączność

oraz czujniki mierzące ich tętno i oddech. Gdy wszystko okazało się w porządku, Louis zawiadomił zespół powierzchniowy, prosząc o zezwolenie na wyjście nurków do wody.

- Udzielam zezwolenia - odparł głos Larry'ego. - Otworzyć pokrywę luku.

Louis, stękając i sapiąc, z wysiłkiem przecisnął swoją tęgą postać ku wylotowi dzwonu.

- Moja czapka! - ryknął Michael głosem stłumionym przez syk uciekającego gazu oddechowego.

62

Louis podał mu zgubę. Michael radośnie zawiesił ją na jednym z licznych występów sterujących ze ścian. Traktował tę czapeczkę jak swój najcenniejszy skarb. Choć nie przyznawał się do tego nikomu, uważał, że przynosi mu szczęście.

Louis odblokował klapę wjazdu, nie bez trudu uniósł ją i zabezpieczył, opierając o ścianę.

Świetlista, zielonkawo-błękitna woda oceanu uniosła się groźnie w dolnej części dzwonu. Trzej nurkowie wydali ciche westchnienie ulgi, gdy zatrzymała się, tak jak powinna, tuż na krawędzi luku. Wiedzieli oczywiście, że tak będzie, ale wiedzieli też, że gdyby stało się inaczej, nie mieliby dokąd uciec.

Richard dał Michaelowi znak podniesionym kciukiem. Ujrzawszy w odpowiedzi ten sam gest, ostrożnie zszedł w dół do wjazdu. Gdy tylko znalazł się w wodzie, odepchnął się od krawędzi dzwonu.

Uwolnienie się z ciasnego wnętrza komory transferowej było dla niego ulgą, którą porównywał do powtórnych narodzin. Upajał się nagłą wolnością. Jedyłą częścią jego ciała, która mogła odczuwać chłód wody, były jego okryte rękawicami dłonie. Regulując swoją pływalność, jednocześnie rozejrzał się dookoła. Niemal natychmiast dostrzegł ciemny kształt krążący tuż na obrzeżu światła. To nie była łódź podwodna. To był rekin ze świecącymi oczami. Olbrzymia ryba była przeszło dwukrotnie dłuższa od średnicy dzwonu.

- Mamy towarzystwo - powiedział spokojnie Richard. -Rzuć na dół mój drąg, tak na wszelki wypadek, i niech Michael weźmie swój. - Z bogatej oferty wymyślnych środków mających chronić przed atakiem rekinów, za najlepszy uważał zwykły, metrowej długości kawał metalowego pręta. Wielokrotnie już się przekonał, że rekiny uciekały w popłochu, jeśli po prostu skierował go w ich stronę. Nie był zbyt pewien, czy mógłby liczyć na to również w napadzie żarłoczności, ale w takiej sytuacji nic nie skutkowało w stu procentach.

Kilka sekund później pręt opadł w dół i brzęknął cicho o skałę. Chwilę później z dzwonu wynurzyły się nogi Mi-chaela, z wysiłkiem przeciskającego się przez właz. Gdy wy-

63

dostał się na zewnątrz, obaj nurkowie spojrzeli sobie w oczy. Richard gestem wskazał rekina, który wpłynął teraz w krąg światła.

— Ach, to tylko rekin polarny — powiedział do Louisa, który dopilnował, żeby Michael też to usłyszał. Teraz już niemal zupełnie przestał się przejmować. Ten gatunek był duży, ale niegroźny. Jak wiedział, ze względu na niemrawy tryb życia nazywano go także śpiochem. Kiedy Michael wyregulował swoją pływalność, Richard wskazał skalną grań. Michael skinął głową i obaj ruszyli w tamtą stronę. W lewych dłoniach ściskali latarki, w prawych metalowe drągi. Jako znakomici pływacy pokonali tę odległość w krótkim czasie, chociaż płynęli bez pośpiechu. Przy ciśnieniu niemal trzydziestu atmosfer samo oddychanie lepkim, sprężonym gazem było aż nazbyt wyczerpującą pracą.

Wewnątrz dzwonu Louis gorączkowo wydawał oba zestawy uwięzi. Nie chciał ani ograniczać kolegom ruchów, ani dawać im zbyt dużego luzu, co groziło splątaniem. Dopóki nurkowie nie dotarli na miejsce pracy, nurek dzwonowy miał pełne ręce roboty. Zajęcie to wymagało koncentracji i szybkiego refleksu. Louis musiał jednocześnie luzować kable, obserwować wskazówki ciśnieniomierzy oraz cyfrowy wskaźnik zawartości tlenu, a jakby tego

było mało, musiał być w stałej łączności z obydwoma nurkami oraz ze stanowiskiem kontrolnym na pokładzie statku. By mieć wolne ręce, nosił na głowie słuchawki z umieszczonym tuż przy ustach mikrofonem.

Richard wraz z Michaelem dopłynęli do szczytu grani i zatrzymali się. W tej odległości od dzwonu natężenie światła zmniejszyło się wyraźnie. Richard dał znak i obaj włączyli latarki.

Za nimi dzwon nurkowy jarzył się niesamowitym blaskiem, niczym statek kosmiczny spoczywający w skalistym, niezwykłym krajobrazie. Strumień bąbelków wydostawał się z jego wnętrza, umykając ku odległej powierzchni oceanu. Przed sobą mieli ciemność przechodzącą w nieprzeniknioną czerń, jedynie w górze rozjaśnioną nikłą poświatą

64

dochodzącego przez niemal trzystumetrową warstwę wody światła dnia. Wciąż pamiętali, że wielki rekin krąży gdzieś poza zasięgiem ich wzroku. Z latarek padały skąpe stożki światła, które przenikało lodowatą ciemność zaledwie na dwanaście czy piętnaście metrów.

- Za granią jest urwisko - oznajmił Richard. - To musi być ta skarpa.

Louis przekazał tę wiadomość stanowisku kontrolnemu. Choć zespół powierzchniowy mógł słyszeć nurków oraz rozmawiać z nimi, Larry wolał wykorzystywać dzwonowego jako pośrednika. Zniekształcenie głosu przez hel, w połączeniu z szumem gazu oddechowego w maskach nurków, wybitnie utrudniało zrozumienie ludziom w przedziale nurkowym nawet przy włączonym korektorze dźwięku. O wiele rozsądniej było wykorzystać w tym celu nurka dzwonowego, gdyż ten był bardziej przyzwyczajony do zniekształceń mowy.

- Czerwony! - zawołał Louis. - Kontrola chce wiedzieć, czy widać jakiś ślad Oceanusa.

- Nie ma nic - odparł Richard.

- A jakąś szczelinę albo jamę?

- Na razie nie, ale zaraz opuścimy się wzdłuż tej ściany. Obaj z Michaelem przepłynęli

ponad granią i skierowali się w dół urwiska.

- Skala jest gładka jak szkło - zauważył Richard. Michael skinął głową. Przeciągnął po niej dłonią.

- Idziecie na ostatnich trzydziestu metrach węża - ostrzegł Louis. Szybko ściągnął z haków dwie ostatnie pętle, już teraz klnąc pod nosem na swój los. Wkrótce będzie zwijał to wszystko z powrotem. Rzadko zdarzało się, żeby nurkowie tak bardzo oddalali się od dzwonu, i akurat jemu musiała przy tej okazji przypaść rola dzwonowego.

Richard zatrzymał się nagle i złapał Michaela za ramię. Wskazał na swój ręczny termometr.

Michael spojrział na swój i oniemiał.

- Właśnie zmieniała się temperatura wody - zgłosił Richard. - Poszła w górę o prawie czterdzieści stopni. Zakręć nam gorącą wodę!

5 — Urowadzenie

65

- Czerwony, jaja sobie robisz? - zapytał Louis.

-Termometr Michaela pokazuje to samo - odparł Richard. - Zupełnie, jakbyśmy wleźli do gorącej wanny.

Kiedy się opuszczali, szukając podstawy skarpy, Richard świecił latarką w dół, teraz jednak omiół snopem światła dookoła. Na granicy mroku majaczyła ściana przeciwległa do tej, wzdłuż której opadali.

-Rany, wygląda na to, że jesteśmy w jakiejś ogromnej szczelinie — powiedział. — Ledwo widać drugą stronę. Musi mieć jakieś piętnaście metrów szerokości.

Michael poklepał Richarda w ramię i wskazał na lewo.

- Ma też koniec - powiedział.

- Michael ma rację - stwierdził Richard, spojrzawszy w tamtą stronę. Potem odwrócił się i

skierował latarkę w przeciwnym kierunku. - Myślę, że to jakiś zamknięty kanion, bo nie widzę czwartej ściany, przynajmniej nie stąd, gdzie jesteśmy.

- Rany Julek! - zawołał Michael. - Toniemy!

Richard obejrzał się na najbliższą ścianę. Rzeczywiście tonęli, i to o wiele szybciej, niż wydawało mu się to możliwe. Prawie zupełnie nie odczuwał oporu wody.

Kilkoma silnymi kopnięciami nurkowie próbowali wzniesić się w górę. Ku ich zdziwieniu nie dało to większego efektu. Nadal pogrążali się coraz głębiej. Z mieszaniną zdumienia i trwogi obaj w zgodnym odruchu wypełnili gazem kamizelki ratunkowe. Kiedy i to odniosło tylko niewielki skutek, ściągnęli pasy z obciążnikami. Ich pływalność w dalszym ciągu pozostawała jednak zdecydowanie ujemna. Odrzucili nawet swe metalowe drągi. Ostatecznie, wciąż kopiąc i wierzgając nogami, zdołali wreszcie spowolnić i powstrzymać opadanie.

Na znak Richarda ruszyli znów w górę. Mimo wysiłku, jaki sprawiało im oddychanie, płynęli ostro. Niedawne przeżycie wytrąciło ich z równowagi, a co gorsza przez skafandry zaczęli już czuć gorąco.

Byli już na równi ze szczytem urwiska, gdy z głębin, niczym fala uderzeniowa, przetoczyła się dziwna, przeciągła wibracja. Przez kilka sekund obaj byli lekko dezoriento-

66

wani. Mieli kłopoty z oddychaniem i pływaniem jednocześnie. Wstrząs był podobny do tego, który odczuli podczas spuszczenia dzwonu nurkowego, tylko o wiele gorszy. Uświadomili sobie, że to podwodne trzęsienie ziemi i obaj intuicyjnie wyczuli, że są jeśli nie w samym epicentrum, to w każdym razie w jego pobliżu.

Sytuacja Louisa była jeszcze bardziej dramatyczna. W chwili wstrząsu gorączkowo wciągał do wnętrza dzwonu poluzowane nagle uwięzie, musiał jednak puścić je, aby uchronić się przed nadzianiem na jeden z licznych sterczących ze ścian występów.

Richard oprzytomniał wreszcie na tyle, by wziąć oddech, choć było to bolesne. Fala ciśnienia zgmiotła mu żebra. Jak na doświadczonego nurka przystało, w pierwszym odruchu gorączkowo rozejrzał się za kolegą. Przez krótką chwilę, na którą zamarło mu serce, nie mógł go nigdzie dostrzec. Potem spojrzał w dół. Michael był tam. Miotał się rozpaczliwie, jak gdyby brnąc w górę przez wodę. Richard wyciągnął do niego rękę, lecz gdy Michael ujął ją, zdał sobie sprawę, że obaj toną - i to szybko.

Nie mogąc już w żaden sposób zmniejszyć swojego ciężaru, Richard wzorem Michaela usiłował własnymi siłami wypłynąć w górę. W przyływie desperacji obaj odrzucili nawet latarki, aby uwolnić dłonie. Jednak ich wysiłki nie przyniosły żadnych efektów. Wydawało się wręcz, że powoli pogrążają się coraz bardziej. A potem tempo opadania wzrosło gwałtownie, aż odbijając się od skalnej ściany, zostali nieubłaganie wessani w otchłań.

Tymczasem wewnątrz dzwonu Louis odzyskał równowagę na tyle, by złapać luźne jeszcze uwięzie. Szybko zwinął je w pętlę, lecz zanim zdążył przerzucić ją przez wieszak, nastąpiło gwałtowne szarpnięcie w przeciwną stronę. Początkowo próbował utrzymać liny, ale było to niemożliwe. Gdyby nie wypuścił ich z rąk, wywlokłyby go z dzwonu.

Klnąc, gorączkowo uskoczył z drogi kablom, umykającym teraz w szaleńczym tempie.

Wyglądało to tak, jak gdyby Richard i Michael byli przynętą, pochwyconą przez jakąś olbrzymią rybę.

67

- Dzwonowy, wszystko w porządku? - rozległ się głos Lar-ry'ego.

- Ze mną tak! — wrzasnął Louis. — Ale dzieje się coś dziwnego! Przewody wychodzą w tempie stu mil na godzinę!

-Widzimy to na monitorze - odparł nerwowo Larry. -Nie możesz tego zatrzymać?

- Jak? — krzyknął Louis przez łyzy. Spojrzał na resztkę kabla. Niewiele już zostało. Zamarł

ze zgrozy. Nie wiedział zupełnie, czego się spodziewać. Ostatnie pętle wysunęły się z dzwonu i przewody naprężyły się na krótką chwilę. Potem, ku najwyższemu przerażeniu Louisa, zostały wyrwane z oprawy i przemknąwszy przez właz, zniknęły w głębinach bezlitosnego morza.

- O Boże! - jęknął Louis, mocując się z zaworem, by odciąć dopływ gazu.

- Co się tam dzieje na dole? - zapytał Larry.

- Nie mam pojęcia! - wrzasnął Louis.

Nagle, jak gdyby tego wszystkiego było mało, wstrząsy i dudnienie zaczęły się od nowa.

Louis gorączkowo złapał się czegoś na oślep, gdyż dzwon podskakiwał niczym solniczka w dłoni olbrzyma. Zaczął krzyczeć i, jak gdyby w odpowiedzi na jego modły, wstrząsy osłabły, przechodząc w zwykłe drzenie. W tej samej chwili zdał sobie sprawę ze skwierczącego dźwięku i czerwonej poświaty, sączącej się przez iluminatory. Rozluźniwszy kurczowy uchwyt, którym trzymał się przewodu sprężonego gazu, odwrócił się, by wyrzeć przez jedno z okien. To, co zobaczył, ponownie wypełniło go zgrozą. Ponad pobliską granią, którą tak niedawno przekroczyli nurkowie, przelewała się upiorna kaskada rozżarzonej do czerwoności lawy. Jej przednia krawędź pryskała, strzelała i dymiała, zmieniając lodowatą wodę w kłęby pary.

Gdy Louis oprzytomniał na tyle, by odzyskać głos, odrzucił głowę w tył, wbijając wzrok w kamerę.

- Zabierzcie mnie stąd! - ryknął rozpaczliwie. - Cholera, jestem w samym środku wybuchającego wulkanu!

W kabinie zapadła przytłaczająca cisza. Jedyнным dźwiękiem był dochodzący z zewnątrz szum silników napędzają-

cych wciągarki, które windowały w górę dzwon nurkowy oraz przewód zbiorczy. Parę chwil wcześniej, gdy tylko stało się jasne, że w jakiejś piroklastycznej katastrofie stracili dwóch

nurków, panowało tu zupełne pandemonium. Jedynym pocieszeniem było to, że trzeci nurek, cały i zdrowy, zmierzał bezpiecznie na powierzchnię.

Mark nerwowo zaciągnął się swoim marlboro. Niepomny na nowe zarządzenia, odruchowo sięgnął po papierosa, gdy tylko zaczęły się problemy, a teraz, kiedy wydarzyła się prawdziwa tragedia, palił jednego za drugim z czystego zdenerwowania. Nie dość, że udało mu się stracić łódź podwodną za sto milionów dolarów z dwoma wyszkolonymi pilotami na pokładzie oraz dwóch doświadczonych nurków, musiał dopisać do tej listy także prezesa Benthic Marine. Gdyby tylko nie zachęcał Perry'ego Bergmana do tej wyprawy! Za to odpowiedzialny był wyłącznie on sam.

- Cholera, co my teraz zrobimy? - odezwał się Larry w oszołomieniu. Nawet on sięgnął po papierosa, choć wydawało się, że rzucił palenie pół roku temu. Jako kierownik zespołu nurków on także czuł się odpowiedzialny za tragedię.

Mark westchnął ciężko. Zrobiło mu się słabo. W całej jego dotychczasowej karierze nie zdarzył się ani jeden śmiertelny wypadek, a prowadził już ryzykowne operacje w różnych zakazanych miejscach, jak choćby w Zatoce Perskiej podczas "Pustynnej Burzy". Teraz stracił pięć osób. To było zbyt wiele, jak na jego siły.

- Dzwon mija poziom stu pięćdziesięciu metrów - oznajmił nie wiadomo komu operator wciągarki.

- Co z wierceniami? - medytował na głos Larry.

Mark znów zaciągnął się głęboko papierosem i niemal sparzył sobie palce. Gniewnie zdusił niedopałek i zapalił następnego.

- Przygotuj kamery do spuszczenia - powiedział. - Musimy zobaczyć, co się tam na dole dzieje.

- Mazzola mówił zupełnie jasno. - Larry wzdrygnął się. - Kiedy zaczęliśmy podnosić dzwon, powiedział, że jak daleko sięga wzrokiem, cały wierzchołek góry jest roztopioną,

bulgoczącą lawą, wylewającą się spoza grani. Poza tym rejestrujemy niemal ciągle wstrząsy.

Do diabła, siedzimy na żywym wulkanie. Jesteś pewien, że chcesz spuszczać kamery w takie piekło?

- Chcę to zobaczyć i zarejestrować — powiedział powoli Mark. - Jestem pewien, że będzie do diabła i trochę dochodzeń w sprawie tego całego bałaganu. Poza tym chcę rzucić okiem na obszar, gdzie był ten wąwóz czy jama, w której zniknął Oceanus. Muszę mieć pewność, że nie ma żadnych szans... - Nie dokończył. W głębi duszy wiedział, że to beznadziejne; Donald Fuller wprowadził batyskaf w głąb wylotu wulkanu na chwilę przed jego erupcją.

- Dobrze - ustąpił Larry. - Każę ludziom przygotować kamery do spuszczenia. Ale co z wierceniami? Mam nadzieję, że nie zamierzasz wysłać na dół kolejnej ekipy nurków, kiedy tylko ten wulkan się uspokoi.

- Do diabła, jasne, że nie! - odparł z pasją Mark. - Straciłem zainteresowanie wierceniem tej pieprzonej góry, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już Perry'ego Bergmana. To była jego szalona obsesja, nie moja. Jeśli kamery potwierdzą, że ten wylot, czy cokolwiek to jest, został wypełniony świeżą lawą, i nie uda się znaleźć żadnego śladu Oceanusa, zabieramy się stąd w cholerę.

- Świetny pomysł! - powiedział Larry. Wstał. - Dopilnuję, żeby kamery zjechały na dół tak szybko, jak tylko się da.

- Dzięki - odparł Mark. Pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Nigdy w życiu nie czuł się tak fatalnie.

Rozdział 6

Suzanne pierwsza otrząsnęła się z przerażenia karkołomnym lotem w dół na tyle, by odzyskać mowę.

- Chyba się zatrzymaliśmy! Bogu dzięki! - powiedziała niepewnie.

Przez czas, który jego zdjętym zgrozą pasażerom wydawał się wiecznością, batyskaf zapadał się niczym kamień w czeluście dziwnego szybu. Wyglądało to, jak gdyby zostali wessani w gigantyczny spust w dnie oceanu. A pogrążając się, niezależnie od wszelkich wysiłków Donalda Fulle-ra, Oceanus zupełnie nie reagował na stery.

Chociaż z początku opadali zupełnie pionowo, wkrótce batyskaf zaczął wirować wokół własnej osi i bezładnie obijać się o ściany. Jedna z pierwszych takich kolizji zniszczyła zewnętrzne lampy halogenowe. Inna ze zgrzytliwym chrupnięciem oderwała prawy manipulator.

Jedynie Perry krzyczał w trakcie tego lotu, ale nawet on zamilkł, kiedy dotarła do niego beznadziejność tej sytuacji. Mógł tylko przyglądać się bezradnie rosnącym w szaleńczym tempie wskazaniom cyfrowego głębokościomierza. Liczby migały tak szybko, że stały się zamazaną plamą. A kiedy zbliżyło się sześć tysięcy metrów, był w stanie myśleć tylko o jednym. Jak echo wracał do niego przyprawiający o dreszcz parametr: granica odporności na zmiżdżenie!

- Naprawdę wydaje mi się, że stoimy w miejscu - dodała szeptem Suzanne. - Co mogło się stać? Czy to możliwe, żebyśmy byli na dnie? Nie czułam uderzenia.

Żadne z nich nie poruszyło się, jak gdyby najlżejsze drgnienie mogło zakłócić nagły, lecz tak pożądany spokój. Oddychali płytko, z wysiłkiem łapiąc powietrze. Na czołach

71

perlity im się krople potu. Nadal trzymali się kurczowo swych foteli w strachu, że opadanie zacznie się na nowo.

- Wygląda na to, że się nie ruszamy, ale spójrz na głębokościomierz - powiedział Donald.

Zachrypiły głos z trudem wydobywał mu się z zaschniętego gardła.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę wyświetlacza, który jeszcze kilka chwil wcześniej niepodzielnie zajmował ich uwagę. Jego wskazania zmieniały się znowu, z początku powoli, lecz stopniowo nabierały szybkości. Tyle tylko, że tym razem zmiana następowała w przeciwnym

kierunku.

- Ale nie czuję żadnego ruchu — powiedziała Suzanne. Zrobiła głęboki wydech i usiłowała rozluźnić mięśnie. Pozostali postąpili podobnie.

- Ja też nie - przyznał Donald. - Ale patrz na wskaźnik! Zwariował!

Cyfry na wyświetlaczu zaczęły przelatywać w tempie równie szaleńczym co poprzednio.

Suzanne pochyliła się ostrożnie, jak gdyby w obawie, że jej ruch może wytrącić batyskaf ze stanu niepewnej równowagi. Spojrzała w iluminator, ale zobaczyła tam jedynie swe własne odbicie. Bez zewnętrznych reflektorów, zniszczonych w czasie zderzenia ze skałą, małe okienko stało się zupełnie nieprzezroczyste, odbijając jak w lustrze oświetlone wnętrze kabiny.

- Co się teraz dzieje? - wychrypiał Perry.

- Wiemy tyle samo co i ty - odparła Suzanne. Wzięła głęboki oddech. Zaczynała dochodzić do siebie.

- Głębokościomierz mówi, że się wznosimy - powiedział Donald. Sprawdził przyrządy, nie omijając monitorów sonarów. Ich dziwaczne wskazania sugerowały, że w wodzie są silne zakłócenia, wpływające zwłaszcza na sonar bliskiego zasięgu. Skan boczny był nieco lepszy, mniej zaszumiony, lecz za to trudny do zinterpretowania. Niewyraźny obraz wskazywał, że batyskaf spoczywa nieruchomo na rozległej, płaskiej jak stół równinie. Donald znów spojrzał na głębokościomierz. Był zbity z tropu; wbrew temu, co sugerował sonar, Oceanus najwyraźniej wciąż się wznosił, i to szybciej niż jeszcze chwilę wcześniej. Szybko otworzył zbior-

72

niki balastowe, ale nie dało to żadnego efektu. Opuścił płetwy i podał większą moc na układ napędowy. Nie było reakcji. Ale mimo wszystko wciąż się wznosili.

- Przyspieszamy - ostrzegła Suzanne. - Jeśli będziemy dalej wznosić się w takim tempie, za parę minut będziemy na powierzchni!

- Nie mogę się doczekać - powiedział Perry z widoczną

ulgą.

- Mam nadzieję, że nie wynurzymy się pod Benthic Explorerem - dodała Suzanne. - To byłby spory problem.

Wszyscy troje utkwili wzrok w głębokościomierzu. Trzysta metrów przemknęło przez wyświetlacz bez jakichkolwiek oznak zwalniania. Potem sto pięćdziesiąt. Gdy mignęło trzydzieści metrów, Donald zawołał nerwowo:

- Trzymajcie się! Będziemy mieli paskudne przebicie!

- Co to znaczy? — wrzasnął Perry. Zauważył napięcie w głosie Donalda i znów przeszedł go dreszcz.

- To znaczy, że wyskoczmy z wody! - krzyknęła Suzanne, po czym powtórzyła za Donaldem: - Trzymajcie się!

Przy szaleńczym furkocie głębokościomierza Perry, Donald i Suzanne jeszcze raz z całej siły chwycili się foteli. Wstrzymując oddech, każde z nich skupiło siły w oczekiwaniu na zderzenie z powierzchnią oceanu. Wyświetlacz pokazał zero i znieruchomiał. Niemal w tej samej chwili gdzieś na zewnątrz rozległ się wyraźny ssący odgłos, po czym w kabinie zaległa względna cisza. Słysząc było tylko szum wentylatora i silniejszy, choć nadal stłumiony elektroniczny warkot układu napędowego.

Niemal minuta minęła bez choćby najmniejszego wrażenia ruchu. W końcu Perry odetchnął głęboko.

- No i? - odezwał się. - Co się stało?

- Niemożliwe, żebyśmy tak długo lecieli w powietrzu - przyznała Suzanne.

Rozluźnili dłonie kurczowo zaciśnięte na krawędziach foteli i spojrzeli w iluminatory, ale znów ujrzeli jedynie nieprzeniknioną czerń.

- Ki diabeł? - mruknął Donald. Jeszcze raz zerknął na przyrządy. Monitory sonarów

wypełniał teraz bezsensowne-

73

ny elektroniczny szum. Wyłączył je. Zredukował też moc układu napędowego i cichy warkot ustał. Spojrzał na Suzanne.

- Nie pytaj mnie - powiedziała, kiedy ich oczy się spotkały. - Zupełnie nie mam pojęcia, co się dzieje.

- Jeżeli jesteśmy na powierzchni, to dlaczego na zewnątrz jest ciemno? - zapytał Perry.

- To się nie trzyma kupy - przyznał Donald. Znowu spojrzął na przyrządy. Nachylił się i ponownie włączył układ napędowy. Warkot powrócił, ale był to jedyny efekt. Batyskaf nawet nie drgnął.

- Niech ktoś mi powie, co się dzieje - zażądał Perry. Euforia, jaką czuł jeszcze przed chwilą, ulotniła się bez śladu. Oczywiście było, że wcale nie są na powierzchni.

- Sami tego nie wiemy - przyznała Suzanne.

- Nie ma oporu na śrubie - oznajmił Donald. Wyłączył układ napędowy. Warkot ucichł po raz drugi. Teraz jedynym dźwiękiem był szum wentylatora. - Myślę, że jesteśmy w powietrzu.

- Jak możemy być w powietrzu? - zaprotestowała Suzanne. - Przecież jest zupełnie ciemno i nie czuje się ruchu fal!

- Ale to jedyne wytłumaczenie, dlaczego sonar nie działa i dlaczego nie ma oporu na śrubie napędowej - odparł Donald. - Spójrz. Temperatura na zewnątrz wzrosła do dwudziestu jeden stopni. Musimy być w powietrzu.

- Jeśli to jest życie po życiu, ja nie jestem gotowy - oświadczył Perry.

- Chcesz powiedzieć, że znaleźliśmy się zupełnie poza wodą? - Suzanne nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Wiem, że to brzmi jak szaleństwo — przyznał Donald. — Ale to jedyny sposób, w jaki mogę wytłumaczyć wszystko, włącznie z tym, że hydrotelefon nie działa. - Spróbował użyć radia, ale też bez powodzenia.

- Ale jeżeli siedzimy na suchym lądzie - powiedziała Suzanne -jak to możliwe, że się nie przewracamy? Chodzi mi o to, że kadłub ma kształt walca. Gdybyśmy osiedli na suchym lądzie, musielibyśmy przewrócić się na bok.

74

- Masz rację! — przyznał Donald. — Tego nie umiem wyjaśnić.

Suzanne otworzyła skrytkę umieszczoną między fotelami pilotów, wyjęła z niej latarkę i skierowała snop światła w najbliższy iluminator. Po drugiej stronie ukazało się beżowe, gruboziarniste błoto, przyciśnięte do szyby.

- Przynajmniej wiemy, dlaczego się nie przewróciliśmy -powiedziała. - Siedzimy w warstwie mułu globigerynowego.

- Mów po ludzku! — poprosił Perry. Pochylił się do przodu, aby lepiej widzieć.

- Muł globigerynowy to najpospolitszy osad dna oceanicznego — wyjaśniła Suzanne. — Składa się głównie ze szkieletów planktonowych stworzeń nazywanych otwornicami.

- Jak możemy tkwić w osadzie oceanicznym, jeśli jesteśmy w powietrzu? - zapytał Perry.

- Oto jest pytanie — przyznał Donald. — Nie możemy, w każdym razie nie w żaden znany mi sposób.

- Poza tym muł globigerynowy nie może występować tak blisko Grzbietu Śródatlantyckiego

- dodała Suzanne. - Spotyka się go na równiach abysalnych. To wszystko nie trzyma się kupy.

- To absurd - stwierdził krótko Donald. - I zupełnie mi się to nie podoba. Gdziekolwiek byśmy byli, jesteśmy uziemieni!

-Czy to możliwe, żebyśmy byli całkowicie zagrzebani w mule? - zapytał niepewnie Perry.

Jeżeli tak było, nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

- Nie! W żadnym razie! - odparł Donald. - Gdyby tak było, opór na śrubie byłby większy, a nie mniejszy. Na kilka minut zapadła martwa cisza.

- A może jesteśmy we wnętrzu góry? - odezwał się wreszcie Perry, przerywając milczenie.

Donald i Suzanne odwrócili się w jego stronę.

- Jak możemy być we wnętrzu góry? - zapytał gniewnie Donald.

- Rany, tak tylko pomyślałem. Mark powiedział mi dzisiaj rano, że ma jakieś dane radarowe, z których wynika, że góra może zawierać gaz, a nie płynną lawę.

75

- Nigdy mi o tym nie wspomniał - powiedziała Suzanne.

- Nie wspomniał o tym nikomu — odparł Perry. — Nie miał zaufania do tych danych, bo pochodziły z powierzchniowego badania twardej warstwy, przez którą próbowaliśmy się przewiercić. To była ekstrapolacja, i wspomniał mi o tym jedynie mimochodem.

- Jakiego rodzaju gaz? — zapytała Suzanne, próbując jednocześnie wyobrazić sobie, w jaki sposób podmorski wulkan mógłby umknąć zalania wodą. Z geofizycznego punktu widzenia wydawało się to niemożliwe, choć wiedziała, że na lądzie niektóre wulkany istotnie zapadają się do środka, tworząc kaldery.

- Tego nie umiał powiedzieć - odparł Perry. - Wydaje mi się, że za najbardziej prawdopodobne uważał, że to para, utrzymywana wewnątrz przez tę supertwardą warstwę, z którą się tak mordowaliśmy.

- Nie, to nie może być para - stwierdził Donald. - Nie w temperaturze dwudziestu paru stopni.

- A może gaz ziemny? - podsunął Perry.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić - powiedziała Suzanne. - Okolice Grzbietu

Sródatlantyckiego to obszar młody geologicznie. Nie może tu być ani ropy, ani gazu ziemnego.

- W takim razie może to powietrze — zasugerował Perry.

- Skąd by się tu wzięło? - zapytała Suzanne.

- Ty mi to powiedz - odparł Perry. - Ty jesteś oceanografem, nie ja.

- Jeżeli to naprawdę powietrze, nie znam żadnego naturalnego wytłumaczenia dla jego obecności w tym miejscu - powiedziała Suzanne. - I tyle.

Wszyscy troje patrzyli na siebie przez chwilę.

- Chyba będziemy musieli odbić włącz i to sprawdzić - odezwała się Suzanne.

- Odbić włącz? - powtórzył Donald. - A jeśli ten gaz nie nadaje się do oddychania albo jest wręcz trujący?

- Wydaje mi się, że nie mamy większego wyboru — odparła. - Nie mamy łączności ze statkiem. Jesteśmy jak ryba wyjęta z wody. Powietrza wystarczy nam na dziesięć dni, ale co potem?

76

- Nie zadawajmy tego pytania — powiedział nerwowo Perry. — Ja głosuję za otwarciem włączu.

- W porządku - odparł z rezygnacją Donald. - Jako kapitan, sam to zrobię. - Wstał z fotela i zrobił ogromny krok ponad centralnym pulpitem. Perry odchylił się nieco, umożliwiając mu przejście.

Donald wspiął się do nadbudówki. Przystanął, kiedy Suzanne i Perry stanęli u stóp drabinki.

- Może tylko odblokuj go, ale nie otwieraj - zaproponowała Suzanne. - Wtedy sprawdzisz, czy czuć jakiś zapach.

- Dobry pomysł - odparł. Idąc za jej sugestią ujął centralne pokrętło i obrócił je. Rygle

uszczelniające cofnęły się w korpus luku.

-1 co? - zawołała Suzanne po paru chwilach. - Czujesz coś?

- Tylko trochę wilgoci - odparł Donald. - Chyba wyjdę na zewnątrz. Uniósł na chwilę klapę i pociągnął nosem.

- Co myślisz? — zapytała Suzanne.

- Wydaje się, w porządku - odparł z ulgą. Uchylił właz na kilka centymetrów i wciągnął w nozdrza napływające wilgotne powietrze. Uznawszy, że jest bezpieczne, otworzył klapę do końca i wystawił głowę na zewnątrz. Czuć było słoną wilgoć jak na plaży w czasie odpływu.

Powoli obrócił się o 360 stopni, wyężając wzrok w ciemnościach. Nie widział kompletnie nic, jednak intuicyjnie wyczuwał ogrom otaczającej go przestrzeni. Wpatrywał się w cichą, obcą czerń, równie przerażającą, jak rozległą.

Wsunął głowę z powrotem do wnętrza batyskafu i poprosił o latarkę.

Podając mu ją, Suzanne spytała, co widział.

- Wielkie nic - odpowiedział.

Ponownie wyłonił się z luku i poświecił latarką w dal. Wszędzie wokół, jak daleko mogło dotrzeć światło, rozciągał się muł. Kilka odosobnionych kałuż połyskiwało tu i ówdzie niczym lustra.

- Halo! - zawołał ze złożonymi dłońmi wokół ust. Odczekał chwilę, nasłuchując. Od strony dziobu Oceanusa zdawało

77

się dochodzić lekkie echo. Krzyknął jeszcze raz; wyraźne echo wróciło po, jak ocenił, trzech czy czterech sekundach. Zszedł z powrotem do wnętrza batyskafu, spuściwszy klapę włazu. Pozostali spojrzeli na niego wyczekująco.

- To największe cholerstwo, jakie w życiu widziałem - powiedział. - Jesteśmy w jakiejś

pieczarze, która najwyraźniej była niedawno wypełniona wodą.

- Ale teraz jest wypełniona powietrzem - weszła mu w słowo Suzanne.

- To z całą pewnością powietrze - stwierdził. - Co do reszty, nie wiem, co o tym myśleć.

Może pan Bergman ma rację. Może zostaliśmy w jakiś sposób wciągnięci do wnętrza góry.

- Mam na imię Perry, do diabła! - zawołał Perry. - Daj mi latarkę. Idę się rozejrzeć. - Wziął

latarkę od Donalda i niezdarnie wspiął się po drabince do nadbudówki. Aby unieść ciężką, klinowatą klapę wjazdu, musiał zaczepić się łokciem o najwyższy szczebel i wetknąć latarkę do kieszeni.

- O Boże! - wykrzyknął, powtórzywszy krok po kroku, włącznie z badaniem echa, wszystkie poczynania Donalda. Zszedł z powrotem na dół, ale klapę pozostawił otwartą. Podał latarkę Suzanne, która także wspięła się do wjazdu.

Kiedy wróciła, wszyscy troje spojrzeli po sobie, kręcąc głowami. Żadne z nich nie umiało wyjaśnić tego, co widzieli, choć każde miało nadzieję, że będzie potrafił to zrobić ktoś z pozostałych.

- Myślę, że jedno nie wymaga komentarzy - powiedział wreszcie Donald, przełamując nieprzyjemną ciszę. - Nasza sytuacja jest, delikatnie mówiąc, trudna. Nie możemy się spodziewać żadnej pomocy z Benthic Explorera. Po tej serii wstrząsów musieli naturalnie uznać, że spotkało nas jakieś nieszczęście. Mogliby spuścić na dół jedną z kamer, ale ona nas tu nie znajdzie, gdziekolwiek, u diabła, jesteśmy. Krótko mówiąc, jesteśmy zdani na własne siły, bez żadnej łączności i z niewielką ilością żywności i wody. Tak więc... -urwał, jak gdyby się nad czymś zastanawiał.

- Tak więc co proponujesz? — zapytała Suzanne.

- Proponuję, żebyśmy wyszli i zrobili rozpoznanie - odparł Donald.

- A co będzie, jeśli ta pieczara, czy cokolwiek to jest, znów zostanie zalana? - zapytał Perry.

- Wydaje mi się, że musimy zaryzykować - powiedział Donald. - Jestem gotów wyruszyć sam. To od was zależy, czy zechcecie się do mnie przyłączyć.

- Ja pójdę - oświadczyła Suzanne. - To lepsze, niż siedzieć tu beczynnienie.

- Nie zostanę tu sam - oznajmił Perry.

- W porządku - odparł Donald. - Mamy jeszcze dwie latarki. Weźmiemy je, ale będziemy używać tylko jednej, żeby oszczędzić baterie.

- Ja je zabiorę - powiedziała Suzanne.

Donald pierwszy wydostał się przez właz, po czym ruszył w dół po szczeblach zamontowanych na bocznej ścianie nadbudówki i kadłuba. Tworzyły one rodzaj drabinki, mającej zapewnić dostęp do batyskafu, kiedy spoczywał na klockach na tylnym pokładzie Benthic Explorera.

Stojąc na ostatnim szczeblu, poświecił latarką w dół, na podłoże. Z głębokości, na jaką Ocea/ius pogrążył się w mule, ocenił, że warstwa błota ma pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centymetrów grubości.

- W czym problem? - zapytała Suzanne. Wyszła na zewnątrz tuż za nim, zauważyła więc jego wahanie.

- Próbuję zgadnąć, jak głębokie jest błoto - powiedział. Nadal trzymając się szczebla, wysunął prawą stopę. Zniknęła w szlamie. Dopiero, gdy muł sięgnął mu rzepki, poczuł solidny grunt.

- To nie będzie przyjemne - oznajmił. - Błoto jest po kolana.

- Miejmy nadzieję, że to nasz jedyny problem - odparła Suzanne.

Parę chwil później wszyscy troje stali w gęstej mazi. Poza nikłą poświatą, sączącą się z otwartego włazu batyskafu, jedyne oświetlenie zapewniała latarka Donalda, rzucająca w

nieprzeniknioną ciemność wąski snop światła. Suzanne i Perry także nieśli latarki, ale zgodnie z sugestią Donalda nie włączyli ich. W olbrzymiej mrocznej przestrzeni nie rozlegał się żaden dźwięk. Aby oszczędzić akumulatory, Do-

79

nald wyłączył niemal wszystko, nawet wentylator. Pozostawił włączoną tylko jedną lampę, aby służyła im za latarnię morską i pozwoliła odnaleźć łódź, gdyby zbyt daleko od niej oddalili.

- To przerażające - powiedziała Suzanne. Wzdrygnęła się.

- Myślę, że użyłbym mocniejszego słowa - stwierdził Perry. - Jaki jest plan działania?

- To sprawa do dyskusji - odparł Donald. - Osobiście proponuję, żebyśmy skierowali się w tę stronę, w którą zwrócony jest Oceanus. Wydaje mi się, że tam jest najbliższa ściana, przynajmniej sądząc według echa. - Popatrzył na kompas. - To jest prawie dokładnie na zachód.

- Moim zdaniem to brzmi rozsądnie - powiedziała Suzanne.

- Chodźmy — zawołał Perry.

Donald ruszył jako pierwszy. Za nim szła Suzanne. Perry zamykał pochód. Głębokie błoto utrudniało marsz, a zapach był lekko odpychający.

Szli w milczeniu. Każde z nich jasno zdawało sobie sprawę z niepewności sytuacji; im bardziej oddalali się od baty-skaflu, tym bardziej stawało się to oczywiste. Po dziesięciu minutach Perry poprosił o chwilę postoju. Nie doszli do żadnej ściany i zaczynał czuć strach.

- Trudno się poruszać w tym mule - powiedział, unikając właściwego problemu. - A poza tym śmierdzi.

- Jak myślisz, ile już uszliśmy? - zapytała Suzanne. Jak wszyscy, była zdyszana z wysiłku.

Donald odwrócił się w stronę batyskaflu, który był teraz zaledwie drobną plamką światła wśród atramentowej czerni.

- Niewiele - powiedział. - Może ze sto metrów.

- Sądząc po bólu w nogach, powiedziałaabym, że kilometr -stwierdziła Suzanne.

- Ile jeszcze zostało do tej rzekomej ściany? - zapytał Perry. Donald jeszcze raz krzyknął w tamtą stronę. Echo wróciło po dwóch sekundach.

- Oceniałbym, że około trzystu metrów - powiedział.

80

Nagły ruch i seria klaszczących dźwięków w ciemnościach tuż na lewo od nich poderwał ich wszystkich. Donald skierował latarkę w stronę, z której dobiegał odgłos. Porzucona na dnie pieczary ryba zrobiła jeszcze kilka przedśmiertnych podrygów w wilgotnym błocie.

- Boże święty, mało nie umarłam ze strachu - sapnęła Suzanne, przyciskając rękę do piersi. Serce biło jej jak szalone.

- Ja też - przyznał Perry.

- Wszyscy jesteśmy spięci, to rozumiałe - stwierdził Donald. - Jeśli chcecie wracać, będę kontynuował rozpoznanie sam.

- Nie, wytrzymam - powiedziała Suzanne.

- Ja też - dodał Perry. Myśl o samotnym powrocie do batyskafu była gorsza niż dalsze brnięcie przez muł.

-W takim razie w drogę - oświadczył Donald, ruszając naprzód. Perry i Suzanne dołączyli do niego.

Posuwali się mozolnie w milczeniu. Każdy krok w nieznaną ciemność nasilał tylko lęk. Z tyłu, za nimi, batyskaf niknął powoli w mroku. Nim upłynęło kolejne dziesięć minut, ich nerwy były napięte jak struna fortepianu na chwilę przed zerwaniem.

I wtedy właśnie rozległ się alarm. Krótka eksplozja dźwięku rozdarła ciszę niczym wystrzał armatni. W pierwszej chwili cała grupa zastygła w bezruchu, rozpaczliwie starając się zlokalizować źródło dźwięku. Przy zwielokrotnionym echu odbijającym się od ścian pieczary było to jednak

niemożliwe. Moment później wszyscy brnęli z powrotem w stronę batyskafu.

Była to autentycznie paniczna ucieczka, szaleńczy pęd ku domniemanemu bezpieczeństwu.

Niestety błoto odmówiło współpracy. Wszyscy troje niemal natychmiast potknęli się i upadli głową naprzód w ohydny szlam. Pozbierawszy się, znów ruszyli do biegu, i znów z tym samym rezultatem.

Nie uzgadniając tego nawet słowem, jednomyślnie zwolnili tempo. Po kilku minutach brak większych postępów uwidoczniał całą daremność ich ucieczki. Stwierdziwszy, że

6 — Urowadzenie

81

woda nie napływa, by na powrót zalać pieczarę, wszyscy troje zatrzymali się w odległości kilku kroków od siebie, dysząc ciężko.

Zwielokrotnione echa przeraźliwego alarmu zamarły już i znów zapanowała nadnaturalna cisza. Ponownie opadła na atramentową ciemność niczym duszący koc z koszmarów Perry'ego.

Suzanne uniosła dłonie. Szlam, który, jak wiedziała, tworzyły wymieszane szczątki obumarłych organizmów plank-tonowych oraz odchody niezliczonych stworzeń, spływał jej po palcach. Pragnęła wytrzeć oczy, ale nie odważyła się. Donald, stojący nieco z przodu, odwrócił się ku niej i Per-ry'emu. Błoto pokryło smugami szybkę jego latarki, osłabiając jej światło, tak że nikał w cieniach. Widzieli tylko białka jego oczu.

- Co to było, na Boga? - wydusiła z siebie Suzanne. Wypluła z ust odrobinę grudkowego błota. Woląla nie zastanawiać się nad jego składem.

- Bałem się, że to miało oznaczać, że woda wraca - przyznał Perry.

- Niezależnie od tego, co naprawdę oznaczał ten alarm -stwierdził Donald - dla nas ma on pierwszorzędne znaczenie.

- Co masz na myśli? — zapytał Perry.

- Ja wiem, o co mu chodzi - wtrąciła Suzanne. - Chce powiedzieć, że to wcale nie jest naturalna formacja geologiczna.

- Otóż to! - przyznał Donald. - To musi być jakaś pozostałość zimnej wojny. A ponieważ w marynarce miałem dostęp do najtajniejszych informacji, mogę wam powiedzieć, że to nie jest nasz obiekt. To na pewno radzieckie!

- Chcesz powiedzieć, że to jakaś tajna baza? - zapytał Perry. Rozejrzał się po mrocznej pustce, teraz bardziej z podziwem niż z przerażeniem.

- To jedyne, co mogę sobie wyobrazić - odparł Donald. - Jakaś atomowa instalacja podmorska.

- Myślę, że to możliwe — powiedziała Suzanne. — A jeśli tak, nasza przyszłość wygląda o wiele bardziej optymistycznie.

82

- Może tak, może nie — stwierdził Donald. — Po pierwsze, urządza nas to tylko pod warunkiem, że ktoś nadal obsługuje ten obiekt. A jeśli tak, pojawia się problem, jak bardzo zależy mu na utrzymaniu go w tajemnicy.

- O tym nie pomyślałam - przyznała Suzanne.

- Przecież zimna wojna już się skończyła. Nie musimy się przejmować tymi starymi szpiegowskimi sprawami - uspokajał Perry.

- Są w rosyjskich kręgach wojskowych ludzie, którzy nie podzielają tego zdania - powiedział Donald. - Wiem, bo takich spotkałem.

- Więc jak myślisz, co powinniśmy zrobić w tym momencie? - zapytała Suzanne.

- Myślę, że na to pytanie już odpowiedziano za nas - odparł Donald. Unosząc wolną dłoń, wycelował palec ponad ich ramionami. - Obejrzyjcie się za siebie, tam, dokąd szliśmy przed alarmem!

Suzanne i Perry odwrócili się. Mniej więcej czterysta metrów dalej jednoskrzydłowe wrota powoli otwierały się w ciemność. Ze znajdującego się za nimi pomieszczenia wylewało się do mrocznego wnętrza pieczary jaskrawe, sztuczne światło, rzucając na powierzchnię błota smugę, ciągnącą się aż do ich stóp. Byli zbyt daleko, by dostrzec jakieś szczegóły we wnętrzu, mogli jednak stwierdzić, że światło jest silne.

- To tyle, jeśli chodzi o kwestię, czy ktoś jeszcze obsługuje ten obiekt - stwierdził Donald. -

Jak widać, nie jesteśmy sami. Teraz pytanie brzmi, jak bardzo się cieszą z naszej wizyty.

- Myślisz, że powinniśmy tam podejść? - zapytał Perry.

- Nie mamy wielkiego wyboru. Prędzej czy później będziemy musieli tam pójść - odparł

Donald.

- Dlaczego po prostu nie wyjdą i nie przywitają nas osobiście? - zastanawiała się Suzanne.

- Dobrze pytanie - stwierdził Donald. - Być może to ma coś wspólnego z powitaniem, jakie

dla nas szykują.

- Znow zaczynam się bać — powiedziała Suzanne. — To wszystko jest bardzo dziwne.

83

— Ja w ogóle nie przestałem się bać — przyznał Perry.

— Chodźmy przywitać naszych zdobywców — powiedział Donald. - I miejmy nadzieję, że

nie uważają nas za szpiegów... i że znają postanowienia konwencji genewskiej.

Wyprężywszy się, ruszył naprzód, pozornie nie zwracając uwagi na błoto lepiące mu się do

stóp. Wyminął Perry'e-go i Suzanne, pełnych podziwu dla jego odwagi i zdecydowania.

Po chwili wahania także i oni ruszyli za emerytowanym komandorem. Żadne z nich nie

odzywało się, gdy z rezygnacją brnęli mozolnie jego śladem w stronę zapraszająco otwartych wrót.

Nie mieli pojęcia, czy znajdą tam ocalenie czy zgubę, ale, jak powiedział Donald, i tak nie mieli

wyboru.

Był to mozolny marsz. W pewnej chwili Perry poślizgnął się i upadł na plecy. Cały wysmarowany był szlamem.

— Pierwsza rzecz, jaką zamierzam zrobić, to poprosić o prysznic - wymamrotał, próbując rozładować napięcie. Nie udało się. Odpowiedziało mu milczenie.

Idąc w stronę otwartych wrót, mieli nadzieję, że ich obawy zostaną ukojone. Ale nikt nie ukazał się w progu, żeby ich powitać, światło zaś wylewające się w mrok pieczary było tak jasne, że nie mogli dostrzec żadnych szczegółów wnętrza. Trudno było nawet patrzeć w otwór bez przysłaniania oczu.

Gdy zbliżyli się bardziej, mogli stwierdzić, że wrota mają przeszło pół metra grubości, a na obwodzie znajduje się pierścień potężnych, wpuszczonych w korpus rygli. Przypominały wejście do podziemnego skarbcza. Krawędzie masywnego portalu załamywały się do wewnątrz.

Konstrukcja najwyraźniej obliczona była na wytrzymywanie olbrzymiego ciśnienia zalewającej pieczarę wody.

Niespełna dziesięć metrów od ściany Suzanne i Perry zatrzymali się. Nie kwapili się iść dalej, nie wiedząc dokładnie, w co się pakują. Przyglądali się uważnie wrotom, licząc na to, że może tu znajdą jakieś wskazówki. Na ile mogli to stwierdzić, wydawało się, że ściany, podłoga oraz sufit znajdującego się za nimi pomieszczenia wykonane są ze stali nierdzewnej, wypolerowanej i lśniącej jak lustro.

Donald szedł dalej sam. Chociaż on też nie przekroczył progu, pochylił się i zajrzał do środka. Osłaniając przedramieniem oczy przed światłem odbitym od lustrzanych powierzchni, rozglądał się po pomieszczeniu.

-1 co? Co widzisz? - zawołała Suzanne.

- To duża, kwadratowa sala o metalowych ścianach - odkrzyknął Donald przez ramię. - W środku są dwie wielkie, błyszczące kule, i nic poza tym. Nie wydaje mi się też, żeby były tu jakieś inne drzwi oprócz tych. I nie mam pojęcia, skąd bierze się światło.

- Widać jakichś ludzi? — zapytał Perry.

- Nie - odparł Donald. - Słuchajcie, zdaje mi się, że kule są zrobione ze szkła. Mają około półtora metra średnicy. Chodźcie i zobaczcie!

Perry spojrzał na Suzanne. Wzruszył ramionami.

- Po co odkładać nieuniknione? - powiedział. Suzanne stała skulona, zaciskając dłonie na ramionach. Wzdrygnęła się.

- Miałam nadzieję, że zanim dojdziemy, spojrzę na to wszystko bardziej optymistycznie, ale wcale nie czuję się lepiej. To nie może być podmorska baza wojskowa. Mówimy o wyczynie technicznym, w porównaniu z którym budowa piramid egipskich to pestka.

- W takim razie co to jest według ciebie? - zapytał Perry.

Suzanne odwróciła się, by spojrzeć na batyskaf. Blask płynący z otwartych wrót oświetlał go mimo odległości. Dalej rozciągała się ciemność.

- Sama chciałabym to wiedzieć.

Kiedy Donald spostrzegł, że Suzanne i Perry oglądają się w stronę łodzi podwodnej, nie czekając na nich, przekroczył próg i wszedł do wnętrza metalowej sali. W tej samej chwili rozłożył ręce, aby utrzymać równowagę. Mokry szlam na jego butach w połączeniu z wypolerowaną stalą sprawiał, że podłoga była śliska jak lód.

Stanąwszy pewnie na nogach, jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu. Teraz, gdy jego oczy przyzwyczyły się nieco do blasku, widział o wiele lepiej, także setki własnych odbić we wszelkich możliwych kierunkach. Ściany, podłoga i sufit były zupełnie gładkie. Jedyne drzwi, jakie zdołał dostrzec, były te, przez które wszedł. Rozglądał się za źródłem

oślepiającego światła, ale, co niezwykle, nie mógł go nigdzie znaleźć. Kiedy jego wzrok padł na wielkie szklane kule, oniemiał. Zauważył teraz, że szkło nie jest zupełnie

86

nieprzezroczyste. Było wystarczająco przejrzyste, by mógł rozpoznać, co jest w środku.

- Suzanne, Perry! - wykrzyknął. - Tu jednak są jacyś

ludzie, tylko że zamknięci w szklanych kulach. Chodźcie tu!

Chwilę później Suzanne i Perry ukazali się w drzwiach.

- Uważajcie na podłogę! Jest śliska jak lód - ostrzegł Donald.

Przesuwając stopy kawałek po kawałku, jak gdyby ślizgali się bez łyżew, Suzanne i Perry niepewnie zbliżyli się do Donalda, by z bliska rzucić okiem na szklane kule.

- O Boże! - wykrzyknęła Suzanne. - Oni pływają w jakiejś cieczy.

- Poznajesz ich? - zapytał Donald.

- A powinnam?

- Chyba tak. Wydaje mi się, że to nasi nurkowie.

Suzanne spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nachyliła się ku jednej z kul, której opalizująca powierzchnia odbijała wypełniające salę światło; by lepiej widzieć, przyłożyła dłoń do oczu.

- Chyba masz rację - przyznała. - Zdaje mi się, że widzę logo Benthic Explorera na skafandrze i z boku hełmu.

Perry także osłonił oczy dłońmi i zajrzał do wnętrza tej samej kuli. Donald zrobił to samo z drugiej strony.

- On oddycha! - zauważył Perry. - To znaczy, że żyje.

- Ma na brzuchu jakieś urządzenie, z którego wychodzi coś w rodzaju pępowiny - powiedziała Suzanne. - Czy któryś z was widzi, dokąd to idzie?

- Wchodzi pod spód. Do podstawy zbiornika - odparł Donald.

Suzanne odsunęła się nieco, by przykucnąć. Kula spoczywała na spłaszczonym fragmencie dna. Nie widać było żadnych otworów, a gdyby tam były, musiałyby prowadzić wprost pod podłogę.

- To jest równie zdumiewające jak ta pieczara - powiedziała Suzanne, wstając. Dotknęła kuli czubkiem palca. Materiał, z którego była zrobiona, wyglądał jak szkło, ale nie była pewna, czy tak jest w istocie.

Pozostali również wyprostowali się.

87

- Skąd oni się tam, u licha, wzięli? - zapytał Perry.

- Jest wiele pytań i bardzo niewiele odpowiedzi - stwierdził Donald.

- Nadal sądzisz, że to jakiś obiekt wojskowy? — spytała go Suzanne.

- A cóż by to mogło być innego? - odparł obronnym tonem.

- Jeżeli ci nurkowie są zamknięci w kulach i żyją, nie potrafię nawet zgadnąć, jaka technologia wchodzi tu w grę - stwierdziła Suzanne. — Wyglądają jak dwa gigantyczne embriony.

Nie potrafię nawet wyjaśnić choćby istnienia tej pieczary. Samo to pomieszczenie sprawia wrażenie czegoś bardziej zaawansowanego.

- Bardziej zaawansowanego niż co? - zapytał Donald.

- Drzwi! - wykrzyknął Perry.

Oczy wszystkich zwróciły się ku wejściu. Potężne wrota zamykały się cicho.

Wszyscy troje rzucili się jak oszaleli, aby ratować się przed uwięzieniem w metalowym wnętrzu, jednak śliska podłoga uniemożliwiała szybki bieg. Zanim dotarli do wyjścia, wrota były już niemal zamknięte. Wspólnymi siłami natarli na nie, by zmusić je do otwarcia się, ale ich olbrzymi ciężar oraz śliska podłoga sprawiały, że ich zabiegi były daremne. Brama zamknęła się z

głuchym łoskotem. Po chwili usłyszeli stłumiony mechaniczny szczełk zasuwanych rygli.

Na powrót zdjęci przerażeniem, odsunęli się od drzwi.

- Ktoś steruje tym wszystkim - powiedziała poważnie Suzanne. Ogarnęła pomieszczenie niespokojnym spojrzeniem. - A teraz znaleźliśmy się w pułapce.

- To muszą być Rosjanie - oświadczył Donald.

- Skończ już z tymi Rosjanami! - krzyknęła Suzanne. - Zbyt długo byłeś w wojsku. Widzisz wszystko w kategoriach wczorajszych wojen. To nie ma nic wspólnego z Rosjanami.

- Skąd wiesz? - odpowiedział krzykiem Donald. - I nie waz się mówić w ten sposób o mojej służbie dla kraju!

- Och, proszę! - zawołała Suzanne. - Nie lekceważę twojej służby w marynarce. Ale rozejrzyj się, Donald! To nie

jest z tego świata. Spójrz na to światło, na litość boską. - Wyciągnęła przed siebie dłoń. -

Wypływa nie wiadomo skąd, ale jest idealnie równomierne. I nie ma cienia.

Perry wyciągnął ręce, by rzucić cień, okazało się to jednak niemożliwe. Donald przyglądał się, ale sam nie powtórzył tego doświadczenia.

- To jednorodny strumień fotonów, który najwyraźniej w jakiś sposób przenika przez ściany

- mówiła dalej Suzan-ne. - A gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że zawiera dużą składową ultrafioletu.

- Skąd to wiesz? - zapytał Perry.

- Nie wiem - przyznała. - To znaczy nie wiem na pewno, ponieważ ludzkie oko nie odbiera ultrafioletu, ale domyślam się po wyraźnym zniekształceniu niebieskiej barwy naszych kombinezonów i bordowej twojego dresu.

Perry spojrzał na swoje ubranie. Dla niego jego kolor był taki sam, jak zawsze.

- Patrzcie na kule! - krzyknął Donald.

Oczy wszystkich zwróciły się ku szklanym kulom. Opali-zacja nasiliła się niespodzianie do tego stopnia, że jarzyły się teraz oślepiającym blaskiem. Chwilę później dało się słyszeć trzask i kule otworzyły się, poczynając od góry, niczym olbrzymie kwiaty rozchylające płatki. W potokach wypełniającej je cieczy obaj nurkowie wypłynęli bezwładnie na podłogę.

Donald jako pierwszy ochłonął z szoku. Najszybciej, jak tylko był w stanie, podbiegł do Richarda. Widząc, że nieprzytomny nurek próbuje oddychać, zdjął mu z głowy hełm i odrzucił go na bok. Richard zakaszłał gwałtownie.

Perry popędził do Michaela. Ściągając mu hełm, słyszał, jak Richard zaczyna kaszleć.

Michael jednak nawet nie oddychał. Perry przywołał na pamięć umiejętności zdobyte na kursie pierwszej pomocy; wiedział, co robić. Przede wszystkim wywlókł Michaela ze szczątków kuli, ciągnąc wraz z nim wciąż przyłączoną do brzucha pępowinę. Sprawdziwszy szybko, czy w ustach nurka nie ma ciała obcych, zacisnął mu palcami nozdrza, wziął oddech i wdmuchnął w jego płuca powietrze. Odwrócił głowę na bok, zrobił kolejny wdech

89

i miał właśnie powtórzyć cały cykl, kiedy zauważył, że Michael ma otwarte oczy.

- Co ty, kurna, robisz, facet? - zapytał nurek, odpychając od siebie twarz Perry'ego.

- Robiłem "usta-usta" - wyjaśnił Perry. Podniósł się na nogi. — Wydawało mi się, że nie oddychasz.

- Oddycham! - powiedział dobitnie Michael. Wykrzywił się z obrzydzeniem i otarł usta grzbietem dłoni. - Jak rany boskie, oddycham.

Richard wykaszłał się wreszcie. Zamrugał powiekami, by osuszyć załzawione oczy.

Najpierw zatroszczył się o Michaela. Kiedy zobaczył, że kumpel żyje i ma się dobrze, rozejrzał się po pomieszczeniu. Potem dopiero spojrział w górę na pozostałych.

- Co się dzieje? - zapytał. - Co się stało?

- Oto pytanie za milion dolarów - odparł Perry.

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? - Richard jeszcze raz omiół wzrokiem salę. Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie.

- To równie interesująca kwestia - stwierdził Perry.

- Czy szukaliście nas, kiedy nurkowaliście, by wymienić wiertło? — zapytał Richarda Donald.

Przez chwilę Richard wyglądał na zdezorientowanego. Pytanie Donalda pomogło mu odzyskać pamięć.

- O Boże! - krzyknął. - Nurkowaliśmy na prawie trzysta metrów i nie przeszliśmy dekompresji! - Próbował wstać. Nogi trzęsły mu się i tracił równowagę na śliskiej podłodze. - Michael, musimy iść do komory dekompresyjnej!

- Spokojnie! - powiedział Donald. Złapał go za ramię, aby go uspokoić i uchronić przed upadkiem. - Tu nie ma komory dekompresyjnej. Poza tym nic wam nie jest. Wcale nie macie choroby kesonowej.

Zmieszanie Richarda pogłębiło się. Rozprostował ręce i nogi, by skontrolować stawy.

Mrugając co chwila, jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu, a wtedy dostrzegł pępowinę łączącą go z podstawą nie istniejącej już kuli.

- Co to jest, u diabła? - zapytał. Chwycił w dłoń wiązkę rur i kabli, lecz wypuścił ją natychmiast. Jego wargi wy-

90

1

krzywiły się z odrazą. - Jezu, to jest miękkie! Mam wrażenie, jakbym trzymał czyjeś flaki.

- To musi być jakieś urządzenie podtrzymujące życie - powiedziała Suzanne, odzywając się po raz pierwszy, odkąd nurkowie wynurzyli się ze swych osłon. - Biorąc pod uwagę formę, w

jakiej jesteście bez dekompresji, myślę, że to ma i z tym coś wspólnego.

Richard ostrożnie dotknął sterczącego mu na brzuchu urządzenia. Miało wymiary i kształt przepychacza do wanny. Odpadło, gdy tylko go dotknął. Chwycił je i przyjrzał mu się uważnie. Ku swemu przerażeniu odkrył pod spodem robakowate wypustki o wijących się główkach nasiąkniętych krwią - jego krwią.

- Aaa! - krzyknął. Upuścił urządzenie, które szybko cofnęło się do płaskiej podstawy kuli niczym znikający kabel odkurzacza. W panice rozpiął zamek skafandra aż do pod-brzusza i spojrzawszy na swój brzuch, wrzasnął po raz drugi. Wokół pępka widniało sześć nakłuc ułożonych w krąg.

Widząc to wszystko, Michael z trudem dźwignął się na nogi i niepewnie spojrzął na własny brzuch. Ze zgrozą dostrzegł tam podobny aparat. Krzywiąc się dokładnie tak samo jak Richard, niechętnie dotknął go palcem. Ku jego uldze urządzenie natychmiast odpadło i zniknęło w podstawie kuli. Rozpiąwszy skafander, odkrył wokół pępka ten sam krąg lekko krwawiących ranek.

- Jasna dupa! - zawołał. - Wygląda, jakby ktoś dźgał nas szpikulcem do lodu. - Wzdrygnął się. - Nie znoszę krwi.

Richard zapiął skafander. Spróbował zrobić kilka kroków na chwiejnych nogach, musiał jednak podeprzeć się ręką o ścianę.

- Ludzie, czuję się, jakbym się naćpał - powiedział.

- A ja się, kurna, czuję, jakby przejechała po mnie ciężarówka - stwierdził Michael.

- Gdzie jest Mazzola? - zapytał Richard.

- Nie mamy pojęcia - odparł Donald. - Co się stało podczas nurkowania?

Richard podrapał się w tył głowy. Początkowo mógł sobie jedynie przypomnieć wejście do komory dekompresyjnej,

jednak z pomocą Michaela udało się w końcu zrekonstruować z grubsza przebieg wydarzeń, począwszy od odłączenia dzwonu od PKD aż po wyjście do wody.

-1 to wszystko? - zapytał Donald. - Nie pamiętacie nic, co się działo, odkąd opuściliście dzwon? Richard pokręcił głową. Michael też.

- Dlaczego wy wszyscy wyglądacie, jakbyście wyszli z chlewa? - zapytał Richard. Nie czekał na odpowiedź. Zamiast tego przyjrzał się dokładniej ścianom pomieszczenia. — Co to jest, jakiś szpital, czy co?

- To nie jest szpital - odparł Donald. - Możemy wam tylko opowiedzieć, w jaki sposób sami się tu dostaliśmy, ale to wyjaśni też, dlaczego jesteśmy brudni.

- To już coś - stwierdził Richard. - Wał dalej!

Donald opowiedział im wszystko. Nurkowie słuchali, oparci plecami o ścianę. Była to nieprawdopodobna historia i ich oczy zwęziły się z niedowierzania.

- Och, przestań! - wyśmiał go Richard. - Co to ma być? Jakiś kawał? - Przyjrzał się trójce z podejrzliwością. Nabierali go, był tego pewien. Michael skinął głową, zgadzając się z nim.

- To nie kawał - zapewnił go Donald.

- Rozejrzyjcie się choćby po tym pomieszczeniu — powiedziała Suzanne.

- Słuchajcie! - zawołał Donald, usiłując zachować cierpliwość. — Czy żaden z was nie pamięta ani trochę, jak się tu dostaliście? Widzieliście kogoś?

Richard pokręcił głową. Nogą trącał na wszystkie strony oklapłe szczątki kuli. Materiał był teraz miękki, nie twardy i kruchy jak przedtem.

- Mówicie poważnie, że byliśmy w środku tego czegoś? Mówiłeś, że to wyglądało jak szkło. Teraz już na pewno tak nie wygląda.

- Wyglądało jeszcze niedawno - zapewniła go Suzanne.

- Myślimy, że to rosyjska baza podmorska - ciągnął Donald.

- Poprawka! - przerwała mu Suzanne. - To ty tak myślisz.

92

- Rosjanie? - powtórzył Richard. - Bez kitu! - Wyprostował się wyraźnie i rozejrzał po pomieszczeniu z nowym zainteresowaniem, podobnie jak Michael. Obydwaj dotknęli dłońmi wypolerowanych ścian. Richard postukał w lśniąca powierzchnię kostkami palców. — Co to właściwie jest? Tytan?

Suzanne zamierzała właśnie mu odpowiedzieć, kiedy rozległ się syk. Wszyscy spojrzeli tam, gdzie jeszcze niedawno stały kule. Z odsłoniętych otworów wydobywały się kłęby dymu. Wkrótce drażniący zapach wypełnił hermetyczne pomieszczenie i oczy wszystkich zaczęły łzawić.

- Chcą nas zagazować! - zdążyła wykrzyknąć, nim pochwycił ją gwałtowny kaszel.

Cała grupa cofnęła się z przerażeniem, przyciskając się do zimnych metalowych ścian w daremnej próbie ucieczki przed gazem. Jednak już wkrótce wszyscy bez wyjątku kaszleli i zaciskali piekące powieki.

- Kładźcie się na podłogę! - nakazał Donald.

Wszyscy poza Perrym rozpląszczyli się na podłodze, jednocześnie bezskutecznie usiłując osłonić dłońmi usta i nosy. Perry wrócił, zataczając się, do wrót prowadzących do pieczary i zaczął walić w nie pięściami, wrzeszcząc, by je otworzono.

Wrota ani drgnęły, jednak Perry mimo paniki i fizycznych katuszy zachował dość przytomności umysłu, by zwrócić uwagę na pewną rzecz. Nie robiło mu się słabo ani nie czuł się w najmniejszym stopniu oszołomiony. Gaz najwyraźniej nie miał śmiertelnych skutków, których Perry obawiał się najbardziej.

Siłą woli opanował kaszel i pomimo pieczenia oczu zdołał na chwilę otworzyć powieki. W pomieszczeniu było gęsto od mętnego dymu, który przesłaniał mu widok, niespodzianie zauważył

jednak, że ma gołe ręce. Zdumiony, co stało się z rękawami jego dresu, zerknął w dół, by stwierdzić, że rozpadły się na strzępy, jak gdyby zanurzył je w kwasie.

Uświadomiwszy sobie, że całym ciałem zaczyna odczuwać chłód, Perry pomacał się po piersi. Cały dres - jak zresztą wszystko, co miał na sobie - spotkał ten sam los.

93

Materiał, z którego wykonane było jego ubranie, stopniowo tracił swoją strukturę.

Perry'emu śniło się nieraz, że jest nagi w miejscu publicznym. Teraz nagle ten koszmar miał się ziścić: czuł, jak poszczególne części garderoby spadają z niego kawałek po kawałku. Próbował je przytrzymać, ale rozpadły mu się w rękach.

- Nasze ubrania! Gaz rozpuszcza nasze ubrania! - krzyknął do pozostałych.

Tamci byli jednak zbyt przerażeni, by zareagować od razu. Perry powtórzył swój okrzyk i chwiejnym krokiem ruszył w mgłę, nieomal potykając się o Donalda.

- Gaz rozpuszcza nasze ubrania — powiedział już ciszej. — I nie wydaje mi się, żeby wpływał w jakikolwiek sposób na psychikę.

Donald podparł się na rękach i usiadł. Jego kombinezon spotkał ten sam los co dres

Penyego. Szybko obmacał się, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest nagi, jednak nie mógł otworzyć oczu. Gaz gryzł zbyt mocno. Nie potrzebował jednak wzrokowego potwierdzenia, by przekonać się, że to prawda.

- Perry ma rację! - zawołał.

Suzanne, jak Perry, zdołała na chwilę otworzyć oczy, by ujrzeć, że tak jest w istocie. Jej

kombinezon dosłownie rozpadł się na strzępy. Zauważyła też, że mimo drapania w gardle i ucisku w piersiach nie odczuwa żadnych zmian psychicznych. Z ulgą podniosła się na nogi.

Richard i Michael również usiedli. Byli zbyt oszołomieni, by stwierdzić, czy gaz wpływa na ich świadomość, ale obaj kaszleli niesamowicie. Jego działanie na drogi oddechowe było dla nich

znacznie bardziej dokuczliwe niż dla pozostałych.

- Mój skafander jest w porządku - wydusił z siebie Richard wśród kaszlu. Jednak chwilę potem popełnił błąd, przeciągając dłonią po ramieniu. Neopren zdepolimeryzował się natychmiast, rozpadając się pod jego dotknięciem na drobniutkie kuleczki.

Mimo załzawionych oczu Michael dostrzegł, co się stało

94

ze skafandrem Richarda. Mrugając powiekami, spojrzął na własny kombinezon, nie chcąc go dotykać ani nawet poruszyć się, ale Richard wyciągnął rękę i z całej siły klepnął go w ramię. Skutek był natychmiastowy. Jeszcze przed sekundą normalnie wyglądający skafander spłynął z niego niczym krople wody.

Nagle rozległ się alarm i na ścianie przeciwległej do wrót, choć jeszcze przed chwilą wydawała się zupełnie jednolita, zaczęło migotać czerwone światło. Poniżej, poprzez gryzące opary dało się rozpoznać zarys otwartych drzwi.

Dźwięk ucichł po paru minutach, ale światło migotało nadal. Potem usłyszeli wysoki gwizd powietrza przeciskanego przez wąski otwór.

Perry ruszył powoli w stronę migającego światła. Zbliżywszy się, spostrzegł, że zarys drzwi stał się wyraźniejszy. Przeciągnął dłonią wzdłuż krawędzi otworu. Wyczuł wciskający się do środka silny prąd powietrza. To tłumaczyło gwizd. Wysunął stopę, by sprawdzić, czy nie ma progu, i przeszedł na drugą stronę.

Natychmiast poczuł ulgę. Kurtyna szybko przepływającego powietrza skutecznie uniemożliwiała przedostawanie się gryzącego gazu do korytarza, w którym się znalazł. Jego ściany, podłoga i sufit wykonane były z tego samego lśniącego materiału, co wypełnione gazem pomieszczenie, jednak światło było tu znacznie mniej intensywne. Sześć metrów dalej widać było wejście do kolejnej sali.

Perry wystawił głowę przez kurtynę powietrzną.

- Tam jest następny pokój - zawołał. - I nie ma gazu. Chodźcie szybko!

Pozostała czwórka z wysiłkiem podniosła się na nogi i ruszyła w stronę migającego światła.

Suzanne musiała prowadzić Donalda; nie był w stanie otworzyć oczu. Minutę później całe towarzystwo znalazło się w korytarzu.

Skutki działania gazu ustępowały szybko. Sprawilo im to taką ulgę, że nie martwiła ich nawet całkowita dezintegracja ubrań. Wszyscy byli nadzy jak ich Pan Bóg stworzył, ale mieli na głowie większe troski. Na końcu korytarza czekało na nich drugie pomieszczenie.

95

- Chodźmy - powiedział Donald. Dał Perry'emu znak, aby szedł przodem, skoro już i tak był na czele, ten jednak przycisnął się plecami do ściany, robiąc mu przejście.

- Myślę, że to ty powinieneś prowadzić. Wciąż jesteś kapitanem.

Donald skinął głową i przecisnął się obok niego. Perry ruszył za nim, za sobą mając Suzanne. Dwaj nurkowie zamykali pochód.

- Wiem już, o co w tym wszystkim chodzi - oświadczył Donald.

- Cieszę się, że przynajmniej ty to wiesz - powiedział Perry.

- Co masz na myśli? - zapytała Suzanne.

- Jesteśmy przygotowywani do przesłuchania — odparł Donald. - To znana metoda, pozbawia człowieka poczucia tożsamości, aby złamać jego opór. Nasze ubrania z pewnością stanowią element naszej tożsamości.

- Ja wcale nie zamierzam się opierać. Powiem im, kimkolwiek są, wszystko, co tylko chcą wiedzieć - stwierdził Perry.

- Donald, czy to znaczy, że wiesz, co to był za gaz? - zapytała Suzanne.

- Co to, to nie - odparł Donald. Zatrzymał się na progu drugiego pomieszczenia i zajrzał do

środku. Było znacznie mniejsze od poprzedniego, jednak i ono wyłożone było tym samym tajemniczym metalem. Z miejsca, gdzie stał, mógł dostrzec szklane drzwi, za nimi zaś początek białego korytarza o ścianach ozdobionych czymś, co wyglądało na obrazy w ramach. Podłoga pomieszczenia nachylała się ku środkowi, gdzie znajdowała się kratka. Druga taka sama kratka wieńczyła centralny punkt wznoszącego się jak namiot sufitu.

-1 co? - zapytała Suzanne. Stała zbyt daleko, by móc cokolwiek dojrzeć.

- Wygląda zachęcająco - stwierdził Donald. - Dalej są szklane drzwi i stosunkowo normalnie wyglądający korytarz.

- W takim razie ruszajmy - zawołał niecierpliwie Richard zza pleców Suzanne.

96

Trzymając się obiema rękami framugi, Donald postawił na pochyłej podłodze najpierw jedną stopę, po czym dostawił do niej drugą. Jak przewidywał, poślizgnął się, gdy tylko zwolnił uchwyt. Młóćąc rękoma dla zachowania równowagi, przejechał może metr po wypolerowanej tafli i zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie nachylenie podłogi zmniejszało się niemal do poziomu. Odwrócił się i ostrzegł pozostałych.

Wszyscy byli ostrożni - z wyjątkiem Michaela. Już jako pięciolatek grywał w hokeja w swoim rodzinnym Chelsea i nie zamierzał przejmować się śliską podłogą. Ale jej pochyłość zaskoczyła go. Stopy uciekły mu już przy pierwszym kroku i wpadł na pozostałych jak kula między kręgle. W mgnieniu oka cała grupa zmieniła się w bezładną plątaninę nagich kończyn.

- Cholera jasna! - warknął Donald. Wyplątał się z kłębowiska i pomógł wstać Suzanne.

Pozostali męczyli się sami. Michael nie był zbyt skruszony. Odkąd mógł swobodnie otworzyć oczy, o wiele bardziej interesowało go podziwianie ciała Suzanne. Richard zaklął i zdzielił go po głowie. Michael w rewanżu popchnął go, wskutek czego obaj znów znaleźli się na podłodze.

- Przestańcie!—wrzasnął Donald. Uważając, aby nie upaść, rozdzielił nurków. Richard i

Michael usłuchali go, choć nadal patrzyli na siebie spode łba.

- O Boże! - wykrzyknęła Suzanne, wskazując drzwi, przez które dopiero co weszli. -

Patrzcie!

Wszyscy wpatrywali się w zdumieniu. Otwór w metalowej ścianie zasklepił się bezgłośnie, jak gdyby zarastał. W ciągu paru chwil nie było po nim nawet śladu. Ściana znów była jednolicie gładka.

- Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył - odezwał się Perry. -

To niesamowite, zupełnie jak trik filmowy.

- Poziom tej techniki jest dla mnie niepojęty. Myślę, że to bije Rosjan na głowę — stwierdziła Suzanne.

Z kratki na środku podłogi wydobył się głęboki, bulgocący dźwięk. Oczy wszystkich zwróciły się w tym kierunku.

7 — Urowadzenie

97

— Och, nie! — zawołała Suzanne. — Znów coś nowego?

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, z kratki wytrysnął, kłębiąc się, przejrzysty jak woda płyn. Wszyscy cofnęli się odruchowo, by po chwili zacząć gramolić się w stronę szklanych drzwi. Pochyłość i śliska powierzchnia podłogi zmusiły ich do poruszania się na czworakach.

Pierwsi, którzy dotarli do drzwi, zaczęli walić pięściami w szybę, rozpaczliwie szukając wyjścia. Z tyłu, za nimi, wdzierająca się do wnętrza woda tryskała jak gejzer, przybierając gwałtownie.

Już po paru minutach stali w wodzie po pas. Parę chwil później unosili się w niej pionowo, z przerażeniem wpatrując się w coraz bliższy sufit. Choćby nawet byli w stanie pływać tak bez końca, niedługo nie będą mieli czym oddychać. Wkrótce wszyscy tłoczyli się twarzami do siebie, walcząc o ostatnie resztki powietrza pod spiczastym szczytem sufitu. Richard i Michael, jako

najsilniejsi pływacy, znaleźli się w środku, tuż pod kratką, i w rozpaczliwej walce o dodatkowy zasób powietrza precyzyjnie palce przez otwory, usiłując wyrwać kratkę z obudowy.

Ale ich wysiłki były daremne. Kratka nie ustąpiła, a wody wciąż przybywało, aż pomieszczenie wypełniło się po sufit. W tej samej chwili jednak, gdy wszyscy co do jednego znaleźli się pod wodą, jej poziom zaczął opadać, i to w niesamowitym tempie. Już po paru sekundach mogli wynurzyć głowy. Kilka minut później Donald i Richard, najwyżsi z całej piątki, poczuli pod stopami podłogę.

Wkrótce resztki wody z nagłym głośnym siorbnięciem zniknęły w odpływie i cała grupa legła moką, nagą stertą w centralnym zagłębieniu podłogi. Przez pewien czas nikt się nie poruszał. Śmiertelny strach, paniczny wysiłek i mimowolne połknięcie pokaźnych haustów płynu, wszystko to wyczerpało ich tak fizycznie, jak i psychicznie.

Wreszcie Donald podźwignął się na łokciu i usiadł. Kręciło mu się w głowie. Miał dziwne wrażenie, że upłynęło więcej czasu, niż mógł się doliczyć. Przez głowę przemknęła mu myśl, że w wodzie znajdował się jakiś narkotyk. Zamknął na chwilę oczy i potarł skronie. Znow otworzył powieki

98

i spojrzał na pozostałych. Wydawało się, że śpią. Przeniósł wzrok na szklane drzwi, gdy nagle coś go tknęło. Jeszcze raz przyjrzał się Suzanne.

- Dobry Boże! - wymamrotał. Nie wierzył własnym oczom. Suzanne była łysa!

Przeciągnął dłonią po głowie, ale golił ją gładko już od lat. Pomacał palcami wąsa. Zniknął!

Uniósł przedramię i stwierdził, że tam także nie pozostał ani jeden włos. Spojrzał w dół na klatkę piersiową: to samo.

Potrząsnął Perrym i szturchnął lekko Suzanne. Kiedy oboje rozbudzili się na tyle, by zrozumieć, co do nich mówi, podzielił się z nimi swym odkryciem.

- Och, nie! - wykrzyknął Perry. W jednej chwili usiadł i ostrożnie pomacał się po czaszce.

Zamiast włosów jego dłonie napotkały tylko gładką skórę. Odsunął je jak oparzony. Był w szoku.

Suzanne zareagowała raczej zaciekawieniem niż zgrozą. Coś kompletnie pozbawiło ich włosów. Jak się to stało... i dlaczego?

- Co się dzieje? - wybełkotał Richard. Podniósł się do pozycji siedzącej, po czym natychmiast musiał się podeprzeć, żeby nie upaść. — Ooo... czuję się, jakbym się natankował.

- Mnie też trochę kręci się w głowie - przyznał Perry. -Może coś było w wodzie. Wiem, że połknąłem trochę.

- Myślę, że zaprawiono nas narkotykami — powiedział Donald.

- Wszyscy nałykaliśmy się sporo wody - stwierdził Richard. - W takich warunkach trudno tego nie zrobić. To było gorsze niż ćwiczenia z ratownictwa podmorskiego.

- Myślę, że wiem, o co tu chodzi - odezwała się Suzanne.

- Tak, ja też - stwierdził Perry. - Jesteśmy torturowani i upokarzani.

- Wszystkie techniki przesłuchań - dodał Donald.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało coś wspólnego z przesłuchaniem - powiedziała Suzanne.

- To dziwne, ostre światło, gryzący gaz, a teraz depilacja, sugerują coś innego.

- Co to jest depilacja? - zapytał Richard.

- To, co się stało z twoją głową - odparł Perry.

99

1

Richard zamrugał. Przez chwilę przyglądał mu się badawczo, po czym pomacał się po głowie.

- Boże, jestem łysy -jęknął. Spojrzał na Michaela, który wciąż jeszcze drzemał. Szturchnął go. — Hej, ty łyse чудо. Obudź się!

Michael z wysiłkiem otworzył oczy.

- Wydaje mi się, że jesteśmy odkażani - stwierdziła Su-zanne. - Myślę, że właśnie o to tu chodzi: o usunięcie wszelkich bakterii i wirusów. Zdezynfekowano nas dokładnie.

Nikt się nie odezwał. Perry, kiwając głową, rozważał słowa Suzanne. Uznał, że to możliwe.

- Ja mimo wszystko uważam, że to jest po prostu przygotowanie do przesłuchania - odparł

Donald. - Po co miano by nas dezynfekować? Nie wiem, czy stoją za tym Rosjanie czy kto inny, ale ktoś najwyraźniej czegoś od nas chce.

- Być może już wkrótce się dowiemy — powiedział Perry. Ruchem głowy wskazał szklane drzwi. Były uchylone. -Wygląda na to, że pora na ciąg dalszy.

Donald niepewnie dźwignął się na nogi.

- W tej wodzie naprawdę musiał być jakiś narkotyk -stwierdził. Odczekał, aż minie kolejna fala zawrotów głowy, po czym skierował się ku otwartym drzwiom. Tam, gdzie śliska podłoga załamywała się w górę, zmuszony był posuwać się na czworakach. Dotarłszy do drzwi, wstał i zajrzał w głąb białego, długiego na piętnaście metrów korytarza.

- Czuję się naćpana, ale jestem też dziwnie głodna - odezwała się Suzanne.

- Właśnie to samo pomyślałem - przyznał Perry.

- Słuchajcie, ludzie - zawołał Donald. - Sprawy wyglądają lepiej. Na końcu tego korytarza są kwatery mieszkalne. Weźmy się w garść!

Suzanne i Perry podkurczyli nogi i wstali, podobnie jak on zmagając się z zawrotami głowy.

- Domyślam się, że kwatery mieszkalne oznaczają łóżka - powiedziała Suzanne. - A tego właśnie mi trzeba. Poza tym wolę wydostać się stąd na wypadek, gdyby woda wróciła.

100

- Dokładnie tak jak ja — zawtórował jej Perry.

Richard i Michael ponownie zapadli w sen. Suzanne dała każdemu z nich szturchańca, oni jednak nawet nie drgnęli. Perry przyłączył się do jej wysiłków.

- Cokolwiek było w tej wodzie, na nich podziałało bardziej niż na nas - stwierdziła Suzanne, potrząsając Richar-dem, aby skłonić go do otwarcia oczu.

- Już wcześniej byli oszołomieni od przebywania w tych kulach - odparł Perry.

Szarpnięciem podniósł do pozycji siedzącej Michaela, który jęczał, żeby zostawić go w spokoju.

- Chodźcie! - zawołał Donald. - Nie chciałbym, żeby ktoś został w środku, jeśli te drzwi się zamkną.

Pomimo otępienia, uwaga o drzwiach przeniknęła do świadomości nurków. Posłusznie podnieśli się na nogi. Gdy tylko zaczęli się ruszać, ich stan poprawił się gwałtownie. Zanim cała czwórka dołączyła do Donalda, byli już nawet w stanie rozmawiać.

- Nie jest tak źle - stwierdził Richard, przyjrzawszy się korytarzowi spod półprzymkniętych powiek. Ściany i sufit tworzył tu nie lustrzany metal, lecz biały, lśniący laminat. Na ścianach wisiały rzędem oprawione w ramki, trójwymiarowe obrazy. Podłogę pokrywał gęsty, biały dywan.

- Te obrazy są jakieś dziwne - zauważył Michael. - Niesamowicie realistyczne. Mam wrażenie, jakbym mógł w nie zajrzeć na dwadzieścia kilometrów w głąb.

- To hologramy. Ale nigdy nie widziałam hologramu o tak żywych, naturalnych barwach. Są wstrząsające, zwłaszcza przy tym białym otoczeniu - rzekła Suzanne.

-Wszystkie wyglądają jak sceny ze starożytnej Grecji -stwierdził Perry. - Kimkolwiek są nasi dręczyciele, w każdym razie są cywilizowani.

- Chodźcie już, ludzie - zawołał Donald. Czekał niecierpliwie na progu następnego pomieszczenia. - Musimy podjąć parę taktycznych decyzji.

- Taktycznych decyzji! - przedrzeźniał go szeptem Perry. -Czy on nigdy nie odpuszcza sobie tego wojskowego tonu?

- Rzadko mu się to zdarza - przyznała Suzanne.

101

Grupa pokonała korytarz i przystanęła, zaskoczona otwierającą się przed nimi scenerią. Po szeregu surowych, przemysłowych pomieszczeń, przepych tej sali był dla nich zupełną niespodzianką. Mimo futurystycznego wystroju, pełnego luster i białych marmurów, panowała tu atmosfera spokoju, chłodu i gościnności. Pod ścianami stało dwanaście wąskich łóżek z baldachimami, nakrytych białymi kaszmirowymi kocami. Na pięciu z nich przykrycie było odwinięte zapraszająco, ukazując na każdej poduszce świeże, złożone w kostkę ubranie. Nastroju dopełniała łagodna instrumentalna muzyka w tle.

Na środku pokoju rozstawiony był duży, niski stół otoczony długimi, miękko wyściełanymi krzesłami. Na stole, zastawionym do posiłku, widać było nakryte pokrywkami półmiski i dzbanki mrożonych napojów. Naczynia i obrus były śnieżnobiałe, sztucce zaś - złote.

- Jeżeli to niebo, ja nie jestem gotowy - odezwał się Per-ry, gdy wreszcie ochłonął na tyle, by odzyskać mowę.

- Nie wydaje mi się, żeby w niebie żarcie pachniało tak bosko - powiedział Richard. - A właśnie zorientowałem się, że jestem bardziej głodny niż zmęczony. - Ruszył naprzód z Michaeliem deptającym mu po piętach.

- Stójcie! - krzyknął Donald. - Lepiej nie ruszajmy tego jedzenia. Może być zaprawione narkotykami albo jeszcze gorzej.

- Naprawdę? - jęknął Richard z wyraźnym rozczarowaniem. Wahając się, spoglądał to na Donalda, to na zastawiony stół.

- I jeszcze te lustra - ciągnął Donald, wskazując wielkie tafle pokrywające przeciwległą ścianę. - Podejrzewam, że są półprzepuszczalne, co oznaczałoby, że jesteśmy obserwowani.

- Kogo to, u diabła, obchodzi, skoro traktują nas w taki sposób - odparł Michael. - Ja

głosuję za tym, żebyśmy jedli.

Wzrok Suzanne padł na leżące na łóżkach ubrania. Nie zauważyła ich wcześniej, gdyż białe, jak niemal wszystko w tym pokoju, były prawie niewidoczne na tle białej pościeli.

102

Podeszła do najbliższego łóżka, podniosła ubranie i potrząśnięciami rozprostowała w powietrzu. Był to komplet złożony z prostej, rozciętej z przodu tuniki z długimi rękawami oraz pary szortów. Obie części zrobione były z jedwabnej białej satyny i obie dziwnym sposobem nie miały ani jednego szwu.

- No nie! Piżama! To już naprawdę nie mieści się w głowie - wykrzyknęła Suzanne. Bez chwili wahania naciągnęła szorty. Obszerna tunika sięgała do kolan, zakrywając spodenki. Do wiązania jej służył złoty pleciony sznur. Po bokach znajdowało się kilka kieszeni.

Widok ubranej Suzanne przywrócił wszystkim poczucie wstydu. Czterej mężczyźni czym prędzej sięgnęli po przyodziewek.

Michael przyjrzał się sobie w lustrzanych taflach na końcu pokoju.

- Trochę nieszczerolne te łachy - stwierdził. - Ale fakt, że wygodne. Richard parsknął śmiechem.

- Wyglądasz jak pedzio.

- A ty niby nie, palancie? - odciął się żywo Michael.

- Dość tego! — warknął Donald. — Nie życzę sobie sporów między nami. Zachowajcie je dla tych, z którymi będziemy mieć do czynienia. To mi nasuwa pomysł wystawienia warty.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - zapytał Richard. - To nie są ćwiczenia wojskowe. Ja mam zamiar jeść, a potem idę kimać. Mam w nosie twoją wartę.

-Wszyscy jesteście zmęczeni. Ale musimy wziąć pod uwagę, że są tu drzwi, których nie możemy w żaden sposób zabezpieczyć - zauważył Donald.

Wszyscy rozejrzeli się dookoła. Istotnie, na końcu pokoju, wprost luster, znajdowały się drzwi. Były równie białe jak wszystko w tym wnętrzu i nie miały ani klamki, ani zamka, ani zawiasów.

- Musimy zachować czujność - dodał Donald. - Nie chcę, żeby ci Rosjanie, czy kimkolwiek są ci ludzie, zakradli się tutaj i zrobili z nami, co chcą.

103

- Sądząc po trudach, jakie zadali sobie z tym mieszkaniem, nie wydaje mi się, żeby twoja paranoja była uzasadniona. I myślałam, że ustaliliśmy już, że nie mamy tu do czynienia z Rosjanami - stwierdziła Suzanne.

- Dobra, wy się kłóćcie - powiedział Richard. Podszedł do stołu i unióśł pokrywę jednego z półmisek. Smakowity aromat wypełnił pokój.

- Co to jest? - zapytał Michael. Nachylił się, żeby lepiej widzieć.

- Nie mam pojęcia - odparł Richard. Podniósł łyżkę. Parująca potrawa miała kremowy kolor i konsystencję kaszki na mleku. - Wygląda jak papka, a pachnie niesamowicie. - Włożył łyżkę do ust i spróbował. - Niech mnie diabli! Skąd wiedzieli? Smakuje jak moje ulubione zarcie: stek. Michael również spróbował.

- Stek? Czyś ty oszalał? Smakuje jak pataty.

- Spadaj! Ty i twoje pataty - ofuknął go Richard. Usiadł na jednym z krzeseł i nałożył sobie pokąźną chochlę potrawy. - Tylko to jedno ci w głowie.

Michael usiadł naprzeciw niego i także nałożył sobie porcję.

- Przepraszam bardzo - powiedział z przekąsem. - Tak się składa, że lubię pataty.

Suzanne i Perry zbliżyli się do stołu. Rozmowa nurków wzbudziła ich ciekawość, a do tego dręczył ich niemal nieodparty głód. Suzanne pierwsza spróbowała dziwnej potrawy.

- To niewiarygodne - powiedziała. - Smakuje jak mango.

- Aż się wierzyć nie chce - odparł Perry. - Bo ja czuję smak świeżej kukurydzy, takiej prosto z kolby. Suzanne spróbowała jeszcze raz.

- Dla mnie to jest mango, bez dwóch zdań. Może ta potrawa w jakiś sposób oszukuje nasze mózgi, żeby interpretowały smak według naszych upodobań.

Nawet Donald był zaintrygowany. Podszedł do stołu i spróbował odrobinę papki. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Dla mnie to smakuje jak herbatniki. Świeże maślane herbatniki. - Usiadł na jednym z krzeseł. - Chyba jestem równie głodny jak wszyscy.

104

Wszyscy nałożyli sobie po porcji niezwykłego dania. Trudno im było powstrzymać się przed sięgnięciem po dokładkę. Przekonali się też, że mrożony napój miał takie same właściwości: smakował różnie, zależnie od upodobań pijącego.

Gdy tylko zaspokoiли wilczy głód, wcześniejsze wyczerpanie i senność powróciły, i to ze zdwojoną siłą. Walcząc z opadającymi powiekami, wstali od stołu i powlekli się do łóżek. Gdy tylko naciągnęli na siebie koce, wszyscy poza Donaldem zapadli w głęboki, twardy sen. Donald zmagął się z ogarniającą go sennością, usiłując zachować czujność, ale była to daremna walka.

Kilka minut później spał także i on.

W tej samej chwili, w której jego oczy zamknęły się wreszcie, na baldachimie każdego łóżka pojawiło się niewielkie czerwone światełko. Jednocześnie z baldachimów spłynęła poświata, otaczając śpiące postacie fioletową aureolą.

Rozdział 8

Małeńkie czerwone światełka nad łózkami w pomieszczeniu mieszkalnym zmieniły barwę na zieloną i fioletowa poświata przygasła. Chwilę później one również zamigotały i zgasły.

Perry obudził się jako pierwszy. Nie było to stopniowe przejście, ale gwałtowny przeskok

od głębokiego snu do pełnej świadomości. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w baldachim nad swoją głową, usiłując umieścić dziwną konstrukcję w kontekście i rozeznaczyć się we własnym położeniu. Jednak bez powodzenia. To, co widział, nie przypominało absolutnie tego, czego się spodziewał: pustego sufitu VIP-owskiej kajuty na pokładzie Benthic Explorera.

Był zdezorientowany, ale gdy tylko odwrócił głowę, przypomniał sobie wszystko. To nie był sen. Przerazające p*o-grażanie się Oceanusa w bezkresne głębie zdarzyło się naprawdę. Obok łóżka, w zasięgu ręki, stał prosty wieszak na ubrania. Wisiał na nim komplet złożony z białych satynowych szortów i tuniki, takich samych jak te, które włożył na siebie przed snem. Perry zdał sobie nagle sprawę, że czuje się dziwnie nagi pod przykryciem. Podniósł skraj kaszmirowego koca i spojrzał w dół. Istotnie był nagi, a co więcej, wokół jego pępka widniał taki sam osobliwy pierścień nakłuc, jaki widział u Richarda i Michaela, kiedy wyłonili się z kuł. Z głuchym okrzykiem Perry wyskoczył z łóżka, by dokładniej przyjrzeć się swym ranom. Rozciągnął miękką skórę brzucha. Ku jego wielkiej uldze nakłucia nie były ani głębokie, ani bolesne. A co najważniejsze, wydawały się zagojone.

106

Wraz z tym odkryciem przyszło też następne. Na jego nogach i podbrzuszu znów pojawiły się włosy! Spojrzał na swoje przedramię, by przekonać się, że i ono jest owłosione. Przyłożył dłoń do czaszki i uśmiechnął się.

Pochwycił ubranie z hebanowego wieszaka i naciągnął je w biegu, pędząc do lustrzanej ściany. Na widok własnego odbicia o mało nie zemdleł z wrażenia. Jego głowę pokrywała zwarta czupryna. Włosy miały niecałe trzy centymetry długości, ale były tak gęste i ciemne, jak za jego szkolnych lat. Miał wrażenie, że trafił na źródło młodości.

Usłyszał, że pozostali również wstają, i odwrócił się akurat w chwili, gdy Donald i Suzanne wciągali na siebie tuniki i szorty. Richard i Michael siedzieli na skraju łóżek, wpatrując się tępo w

otoczenie. Poskładane grzecznie ubrania trzymali na kolanach.

- Tak jak myślałem - odezwał się Donald, nie zwracając się do nikogo konkretnego. -

Wiedziałem, że te sukinsyny będą kombinować coś przy nas, kiedy będziemy spać. Dlatego właśnie chciałem wystawić wartę.

- Nie jest tak źle - stwierdził Perry, podchodząc wolnym krokiem. - Mamy włosy! Możecie to sobie wyobrazić? Moje są bardziej gęste, niż były, kiedy je straciłem.

- Zauważyłam swoje włosy — powiedziała bez większego entuzjazmu Suzanne.

- Nie cieszysz się? - zapytał Perry.

- Wolałam tę długość, jaką miałam wczoraj - odparła. - Czy może raczej trzy dni temu.

- Dlaczego trzy dni temu? - zdziwił się Perry.

- Wczoraj był dwudziesty pierwszy lipca - powiedziała Suzanne. - Zgadza się?

- Chyba tak - odparł Perry. Po nocnym przelocie na Azory był trochę na bakier z kalendarzem.

- W porządku. Mój zegarek, który ktoś ściągnął mi z ręki, ale był na tyle miły, żeby go zostawić, wskazuje, że dzisiaj jest dwudziesty czwarty.

Zegarek Suzanne jako jedyny przetrwał gazowanie. Złota bransoletka nie uległa rozpuszczeniu w oparach.

107

- Może ten, kto go zdjął, przesunął też datę - podsunął Perry. Myśl o tym, że mógł przespać całe trzy dni, była co najmniej niepokojąca.

- Możliwe - powiedziała Suzanne - ale wątpię w to. Rozumiesz, żeby urosły nam takie włosy, nawet trzy dni to trochę za mało. Być może to był miesiąc i trzy dni.

Perry wzdrygnął się.

- Miesiąc? - jęknął. - Nie mogę sobie tego wyobrazić. Poza tym włosy mogły odrosnąć nam

tak szybko dzięki jakiejś niezwyklej kuracji. Moje są znowu takie, jakie były, gdy miałem czternaście lat. Powiem ci coś: jako człowiek interesu byłbym gotów zabić, byle odkryć ten sekret.

Wyobrażasz sobie? Co za produkt!

- Mnie to wcale nie cieszy - odezwał się Donald. - Nie chciałem mieć włosów na głowie.

- Zauważyliście u siebie nakłucia na brzuchach? — zapytała ich Suzanne.

Obaj pokiwali głowami.

-To chyba oznacza, że byliśmy podłączeni do jakiegoś układu podtrzymywania życia — powiedziała. — Być może tego samego, co nasi nurkowie, kiedy byli w kulach.

- Tak właśnie sobie pomyślałem - przyznał Perry. - Przypuszczam, że musieli zrobić z nami coś, skoro byliśmy tak długo nieprzytomni.

- Hej, chłopaki, dobrze się czujecie? - zawołała Suzanne do nurków, którzy właśnie kończyli się ubierać.

- Ja tak - odparł Richard. - Ale czułbym się lepiej, gdyby to wszystko okazało się tylko snem.

- Podawanie nam narkotyków stanowi pogwałcenie konwencji genewskiej - burknął Donald. - Jesteśmy cywilami! Kto wie, co oznaczają te nakłucia. Mogli wstrzyknąć nam wszystko: AIDS albo środki na prawdomówność.

- Prawdę mówiąc, ja osobiście czuję się znakomicie - stwierdził Perry. Zgiął ręce w łokciach i rozprostował nogi. Miał wrażenie, że wraz z włosami odmłodzono całe jego ciało.

- Ja też - powiedział Michael. Zrobił skłon, dotykając palców u nóg, po czym potruchtał chwilę w miejscu. - Chyba dałbym radę przepłynąć trzydzieści kilometrów.

108

- Mam z powrotem włosy, ale zniknęła mi broda - oznajmił Richard. - Wytlumaczcie to!

Trzej mężczyźni odruchowo przeciągnęli dłońmi po podbródkach. To była prawda. Nie

mieli zarostu.

- To się robi coraz bardziej interesujące - mruknął Perry.

- Powiedziałaabym, że to się robi coraz bardziej niesamowite - stwierdziła Suzanne.

Przyjrzała się bliżej policzkom Perry'ego. Przedtem miał wyraźny zarost. Teraz jego twarz była zupełnie gładka.

- Trzymajcie się, ludzie - zawołał Richard. Wskazał na drzwi w ścianie naprzeciw luster. -

Chyba mają zamiar wypuścić nas z klatki.

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Drzwi otwierały się cicho, ukazując następny długi biały korytarz z rzędem hologramów na ścianach. Światło dochodzące z jego drugiego końca było jasne i naturalne.

- Wygląda jak światło dzienne — powiedziała Suzanne.

- To nie może być światło dzienne - sprzeciwił się Donald. - Chyba że zostaliśmy w jakiś sposób przeniesieni na powierzchnię.

Perry poczuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie. Intuicja mówiła mu, że wszystko, co wydarzyło się dotychczas, było tylko wstępem do tego, co miało zdarzyć się w ciągu następnych paru minut. Sęk w tym, że nie miał pojęcia, co to będzie.

Richard podszedł do drzwi, by mieć lepszy widok. Osłonił oczy przed jasnością bijącą z lśniących białych ścian.

- Widzisz coś? - zapytała Suzanne.

- Niewiele - przyznał. - Rozszerza się na końcu, a dalej jest ściana. Musi otwierać się na niebo. Chodźmy!

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Suzanne. Potem spojrzała na Donalda. - Co mówisz?

Powinniśmy iść? Najwyraźniej nasi gospodarze tego od nas oczekują.

- Myślę, że trzeba iść, ale całą grupą. Powinniśmy trzymać się razem, na ile się da, ale

chyba dobrze byłoby wybrać jedną osobę, żeby przemawiała w imieniu wszystkich, kiedy spotkamy naszych zdobywców - orzekł Donald.

- Świetnie. Ja typuję Perry'ego - powiedziała Suzanne.

109

- Mnie? - jęknął Perry. Odchrząknął. - Dlaczego mnie? Przecież Donald jest kapitanem.

- To prawda - przyznała Suzanne. - Ale ty jesteś prezesem Benthic Marine. Ci, którzy nas tu trzymają, mogą docenić fakt, że mówisz z pozycji pewnej władzy, zwłaszcza jeżeli chodzi o wiercenia.

- Myślisz, że znaleźliśmy się tutaj z powodu wierceń?

- Przyszło mi to do głowy.

- Mimo wszystko Donald był w wojsku, a ja nie. A jeśli to jest rosyjska baza wojskowa? - wykręcał się Perry.

- Myślę, że spokojnie możemy przyjąć, że to nie jest rosyjska baza — odparła Suzanne.

- To nie jest całkowicie wykluczone — stwierdził Donald. — Ale abstrahując od tego, uważam, że Perry to dobry wybór. Będę mógł dzięki temu skupić się na ocenie sytuacji, zwłaszcza gdyby sprawy przybrały zły obrót.

- Richard, Michael! Macie jakieś propozycje co do tego, kto powinien przemawiać w naszym imieniu? - Suzanne zwróciła się do nurków.

- Ja myślę, że to powinien być prezes - odparł Michael. Richard jedynie skinął głową ze zniecierpliwieniem. Chciał już iść dalej.

- W takim razie postanowione - oświadczyła Suzanne. Gestem dała Perry'emu znak, by pierwszy ruszył korytarzem.

- Niech będzie - powiedział Perry z większą skwapliwością, niż naprawdę czuł. Zacisnął mocniej złoty pas tuniki, wyprostował ramiona i skierował się w stronę drzwi. Gdy mijał Richarda,

ten rzucił mu pogardliwe spojrzenie, po czym wyszedł za nim. Pozostali gęsiego ruszyli ich śladem, Michael zamykał pochód.

Zbliżając się do końca korytarza, Perry zwolnił krok. Był coraz bardziej przekonany, że wpadające do środka światło jest światłem słonecznym. Czuł przecież na skórze jego ciepło. Oceniał, że ma przed sobą rodzaj odkrytego atrium, o wymiarach mniej więcej sześć na sześć metrów. Po dalszych paru krokach nagle przystanął, tak że zderzył się z Richardem.

110

- Co się stało? - zapytała Suzanne, przeciskając się obok nurka.

Nie odpowiedział, bo sam nie wiedział dobrze, dlaczego się zatrzymał. Powoli wychylił się naprzód, ogarniając wzrokiem coraz większy fragment przeciwległej ściany. Chciał zobaczyć jej górną krawędź, był jednak jeszcze zbyt daleko. Zrobił następny krok i spróbował ponownie. Tym razem udało mu się dostrzec szczyt ściany. Oceniał, że ma około czterech i pół metra wysokości. Wyżej widać było stopy, kostki, nagie łydki i rąbki ubrań, takich samych jak to, które miał na sobie.

Wyprostował się i odwrócił do pozostałych.

- Tam w górze, na wprost, są ludzie. Są ubrani tak samo jak my - wyszeptał.

- Naprawdę? - zapytała Suzanne. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć to na własne oczy, ale stała za daleko, żeby cokolwiek dojrzeć.

- Nie jestem całkiem pewien - odparł Perry. - Ale wydaje mi się, że noszą takie same satynowe ubranka jak my. — Do tej pory, podobnie jak pozostali, uważał kuse, dziwaczne, piżamowate wdzianka za ubiór więźniów.

- Ruszcie się! - zawołał Richard, teraz jeszcze bardziej zniecierpliwiony. — Muszę to zobaczyć. Chodźmy!

- Dlaczego mieliby ubierać się jak starożytni Grecy? - zapytała Donalda Suzanne. Ten

wzruszył tylko ramionami.

- Zagięłaś mnie. Ruszajmy i przekonajmy się sami.

Perry szedł pierwszy. Osłaniając oczy dłonią przed oślepiającym blaskiem kwadratu jasnego nieba, podniósł głowę i spojrzał w górę. To, co zobaczył, zdumiało go do tego stopnia, że stanął jak wryty z rozdziawionymi ustami. Suzanne wpadła na niego z rozpędu. Reszta grupy stłoczyła się wokół niej, równie osłupiała.

Stali w zamkniętym ze wszystkich stron atrium. Cztery i pół metra wyżej wznosiła się przeszklona loggia, otoczona marmurową balustradą i wsparta na żłobkowanych kolumnach, których kapitele zdobiły złożone wizerunki morskich stworzeń. Od strony atrium loggię wypełniał tłum

111

ludzi. Cisnęli się do szkła i bez ruchu, w milczeniu patrzyli w dół z ciekawością i skupieniem. Jak Perry domyślił się ze swojej wcześniejszej, ukradkowej obserwacji, wszyscy ubrani byli w jednakowe, piżamowate, luźne satynowe tuniki i szorty.

Perry sam nie wiedział, co właściwie spodziewał się zobaczyć, ale widok, który miał przed sobą, przeszedł jego najśmielsze wyobrażenia. Zanim dostrzegł w przelocie satynowe stroje, oczekiwał mundurów oraz surowych, jeżeli nie otwarcie wrogich twarzy. Tymczasem zaś wpatrywał się w kolekcję najpiękniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek oglądał, na twarzach których malował się niemal boski spokój. Choć były wśród nich zarówno małe dzieci, jak i krzepcy starcy, przeważającą większość stanowili dwudziestoparolatko-wie. Wszyscy wyglądali kwitnąco ze swymi giętkimi ciałami, skrzącymi się oczyma, lśniącymi włosami i zębami tak białymi, że Perry'emu jego własne wydały się nagle żółte.

- Niemożliwe! - wypalił Richard, ogarnąwszy wzrokiem tę scenę.

- Kim są ci ludzie? - zapytała trwożnym szeptem Suzanne.

- Nigdy nie widziałem tak olśniewającej gromady - wykrztusił Perry. - Są cudowni, wszyscy, co do jednego. W całym tłumie nie ma nikogo, o kim można by powiedzieć, że wygląda przeciętnie.
- Mam wrażenie, że jesteśmy szczurami w gigantycznym eksperymencie - mruknął pod nosem Donald. - Spójrzcie, jak się na nas gapią! I pamiętajcie, że pozory mogą się okazać zwodnicze! Nie zapominajcie, że ci ludzie bawili się nami dla własnej rozrywki. Całe to widowisko może być po prostu pułapką.
- Ale oni są oszałamiająco piękni - zaprotestowała Suzanne, obracając się powoli, by widzieć więcej - szczególnie dzieci, ale nawet starsi. Gdzie tu widzisz pułpkę? Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: sam wygląd tych ludzi świadczy dobitnie, że to nie jest rosyjska tajna baza podmorska.
- Cóż, nie są to też Amerykanie. W całym tłumie nie ma ani jednej osoby z nadwagą - zauważył Perry.
- To musi być raj - szepnął w oszołomieniu Michael.

112

- Myślę, że bardziej przypomina zoo. Z tym, że to my jesteśmy zwierzętami - prychnął Donald.
- Spróbuj spojrzeć na to bardziej pozytywnie — zaproponowała Suzanne. — Ja muszę powiedzieć, że mi ulżyło.
- No dobrze, jest coś pozytywnego - przyznał Donald. -Nie widzę u nich żadnej broni.
- Masz rację! — zawołał Perry. — To zdecydowanie zachęcające.
- Oczywiście nie potrzebują broni, skoro my jesteśmy uwięzieni tu, na dole, a oni siedzą na górze - dodał Donald.
- Chyba rzeczywiście tak jest. Suzanne, co ty o tym myślisz?

- Nie mogę myśleć. To wszystko nadal za bardzo przypomina sen. Czy to, co widzimy w górze, to niebo?

- Tak w każdym razie wygląda - stwierdził Perry.

- Jak wam się zdaje, czy to możliwe, żeby przeniesiono nas na wschód, kiedy Oceanus spadł na dno szybu? — zapytała Suzanne. - Chodzi mi o to, czy możliwe jest, żebyśmy byli teraz na Azorach?

- Tego się nie dowiemy, chyba że oni sami zdecydują się nam powiedzieć - odparł Donald.

- Kogo to obchodzi, gdzie jesteśmy? - wtrącił się Michael. - Patrzcie na te kobiety! Co za ciała! Czy one są naprawdę, czy tylko nam się to śni?

- To interesujące pytanie - stwierdziła Suzanne. - Wczoraj wieczorem, czy kiedy tam to było, jedzenie smakowało nam tak, jak sobie życzyliśmy. Czy to samo może dziać się teraz z naszym wzrokiem? W końcu wzrok to też zmysł. Być może widzimy to, co chcemy zobaczyć.

- To zbyt abstrakcyjne, jak na moją głowę. Nigdy specjalnie nie wierzyłem w zjawiska nadprzyrodzone - powiedział Perry.

-Hej, kogo to, u diabła, obchodzi? - zawołał Richard. -Zobaczcie tę laskę z długimi brązowymi włosami. Co za figura! Rany, ona na mnie patrzy!

Uśmiechnął się szeroko, uniósł ręce i pomachał entuzjastycznie. Kobieta odpowiedziała uśmiechem i przycisnęła dłoń do szyby.

-Urowadzenie

113

- Hej, spodobałem jej się! - zanucił Richard. Posłał jej całusa, co wywołało na jej twarzy jeszcze szerszy uśmiech.

Ośmielony sukcesem kolegi, Michael nawiązał kontakt wzrokowy z kobietą o lśniących, kruczoczarnych włosach. Dała mu znak, że go widzi, przyciskając dłoń do szyby, tak samo jak

zrobiła to znajoma Richarda. Michael oszalał z radości. Podskakiwał, wymachując rękami jak opętany. Kobieta odpowiedziała serdecznym śmiechem, choć przez dzielącą ich szybę nie przedostał się żaden dźwięk.

Suzanne opuściła wzrok.

- Nie widzę żadnych oznak wrogości. Wydają się nastawieni pokojowo - powiedziała do Donalda.

- Myślę, że to zwykły podstęp - odparł Donald. - Zachowują się tak, żeby zmylić naszą czujność.

Perry niechętnie oderwał wzrok od pięknych ludzi, aby naradzić się z Suzanne i Donaldem.

Richard i Michael kontynuowali swoje błazeństwa na użytek dwóch kobiet. Usiłowali teraz porozumieć się z nimi zaimprovizowanym językiem migowym.

- Co zrobimy? - zapytał Perry.

- Ja osobiście nie mam ochoty stać tutaj i robić z siebie widowiska - powiedział Donald. -

Proponuję, żebyśmy wrócili do pomieszczenia mieszkalnego i zczekali, co będzie dalej. To jasne, że teraz kolej na ich ruch. Niech sami pofatygują się do nas, że się tak wyrażę.

- Ale kim oni są? - zapytała Suzanne. - To niesamowite, jak z filmu science fiction.

Perry zamierzał właśnie odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Palcem wskazał coś za plecami Suzanne i Donalda. Jedna ze ścian atrium w niewytłumaczalny sposób otwierała się, ukazując schody prowadzące w górę, do loggii.

- No cóż, jak powiedziałaś, Donald, teraz kolej na ich ruch, i wydaje się, że jesteśmy proszeni na osobiste spotkanie - zawołała Suzanne.

- Co robimy? - zapytał nerwowo Perry.

- Myślę, że powinniśmy pójść na górę - stwierdził Donald. - Ale idźmy powoli i trzymajmy się razem. I, Perry, tak jak uzgodniliśmy. Ty będziesz mówić.

Richard i Michael nie zauważyli dyskretnego ukazania się schodów — zbyt pochłonięci byli obmyślaniami nowych porozumiewawczych gestów, prześcigając się nawzajem w głupocie. Tłum w górze witał te błazeństwa oznakami wesołości, co tym bardziej zachęcało ich do nowych wyczynów. Ale kiedy tylko spostrzegli schody, rzucili się pędem w ich stronę. Obaj palili się do zawarcia bliższej znajomości ze swymi nowo poznanymi przyjaciółkami.

- Stójcie! - warknął Donald. Zrobił krok w bok, by zatrzymać nurków. - Zbiórka! Idziemy jako grupa, a pan Bergman będzie przemawiał.

- Muszę się spotkać z tą brunetką - zawołał gorączkowo Richard.

- Umówiłem się z tą kruczowłosą kochaneczką - dodał zdyszany Michael.

Obaj usiłowali wyminąć Donalda, ale ten miażdżącym uściskiem chwycił ich za ramiona.

Zaczęli protestować, jednak na widok jego rozszerzonych nozdrzy i zaciśniętych stanowczo warg zmienili zdanie.

- Myślę, że to może chwilę poczekać - wydusił Richard.

- Tak, pewnie - zawtórował mu Michael. - Będzie czas.

Donald puścił ich, po czym dał Perry'emu znak, by ruszył przodem.

Wchodząc na schody, Perry czuł się znacznie bardziej pewny siebie, niż wcześniej, gdy szli korytarzem. Stanięcie twarzą w twarz z mieszaną grupą tak urodziwych ludzi, podobnie jak on przyodzianych w bieliznę, wydawało się nieporównanie mniej przerażające niż obrazy, które wtedy podsuwała mu wyobraźnia. Jednak niezwykłość sytuacji sprawiała, że jego odwaga znikła, w miarę jak zbliżał się do celu. Przyłapał się na tym, iż zastanawia się, czy Michael mógł mieć rację co do tego, że cała scena jest zbiorową halucynacją, a zatem wymyślną pułapką, jak sugerował Donald. Ale był z natury optymistą i nie potrafił znaleźć racjonalnego uzasadnienia dla pułapki, tym bardziej że kimkolwiek byli ci ludzie, nie musieli wcale uciekać się do takich środków, skoro

już i tak całkowicie panowali nad sytuacją.

115

Piękni ludzie, jak Perry nazywał ich w myślach, początkowo rzucili się, by stłoczyć się u szczytu schodów jak grupa nastolatków oczekujących na pojawienie się gwiazdy rockowej. Ale gdy piątka przybyszy znalazła się bliżej, cofnęli się. Nawet to zmieszało Perry'ego, gdyż cofnęli się jak gdyby ze strachu, a co najmniej zaprawionego ostrożnością szacunku, jak mogliby postąpić na widok wytresowanego, lecz potencjalnie niebezpiecznego zwierzęcia.

Na najwyższym stopniu Perry zatrzymał się. Trzy metry dalej tłum pięknych ludzi ustawił się w półkole. Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie uśmiechał.

Perry przypuszczał, że zdobywcy przemówią jako pierwsi. Nie przewidywał, że to do niego należeć będzie pierwszy ruch, ale w końcu zdecydował się przełamać nieprzyjemną ciszę.

- Cześć - odezwał się niepewnie.

Z tłumu odpowiedziało mu kilka oderwanych chichotów, ale nic poza tym. Odwrócił się ku kolegom. Suzanne wzruszyła ramionami. Donald nie miał nic do zaproponowania. Nadal wydawał się znacznie bardziej nieufny niż Perry.

Perry znów odwrócił się w stronę pięknych ludzi.

- Czy ktoś z was mówi po angielsku? - zapytał desperacko. - Po angielsku albo po hiszpańsku? - Perry znał trochę ten język.

Z tłumu wystąpiło dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna. Oboje wydawali się mieć po dwadzieścia parę lat i, jak wszyscy inni, byli olśniewająco piękni. Ich klasycznie regularne rysy przypominały Penyemu wizerunki, jakie widział na starożytnych kameach. Mężczyzna miał jasne włosy do ramion i intensywnie błękitne oczy. Włosy jego towarzyszki, układające się na czole w wyraźny szpic, miały barwę ogniście czerwoną. Jej oczy były zielone jak szmaragdy. Oboje mieli różaną, świetlistą, nieskazitelną cerę. W Los Angeles nie byłoby dwóch zdań: tych dwoje to

materiał na gwiazdy filmowe.

- Witajcie, przyjaciele. Jak się macie? - odezwał się mężczyzna z doskonałym amerykańskim akcentem. — Prosimy, nie bójcie się. Nie zrobimy wam nic złego. Ja mam na imię Arak, a to jest Sufa. - Wskazał gestem stojącą obok kobietę.

116

- Ja także chciałabym dołączyć się do powitania — powiedziała Sufa. - Jak mamy się do was zwracać?

Płynąca z ich ust najczystsza angielszczyzna wprowadziła Perry'ego w osłupienie. Znajome dźwięki podziały na niego dziwnie kojąco na tle obcości wszystkiego, co napotkali od chwili zatonięcia Oceanusa.

- Kim jesteście? - zapytał wreszcie.

- Jesteśmy mieszkańcami Interterry - odparł Arak. Jego dźwięczny baryton przypominał nieco głos Donalda.

- A gdzie, u diabła, jest Interterra? - zapytał Perry. Mimo woli w jego głosie pojawił się szorstki ton. Przyszła mu nagle do głowy myśl, że wszystko to stanowi nie pułapkę, jakiej obawiał się Donald, lecz wyrafinowany żart.

- Proszę! - powiedział Arak z troską. - Wiem, że jesteście oszołomieni i wyczerpani, i z pewnością macie do tego prawo po wszystkim, co musieliście przejść. Dobrze zdajemy sobie sprawę, jak wyczerpująca potrafi być procedura odkażania, więc proszę, spróbujcie się odprężyć. Czeka was wiele atrakcji.

- Czy jesteście emigrantami ze Stanów Zjednoczonych? -zapytał Perry.

Arak i Sufa przesłoniли usta dłońmi, daremnie usiłując powstrzymać śmiech. Wszyscy piękni ludzie, którzy byli na tyle blisko, by usłyszeć pytanie Perry'ego, zrobili to samo.

- Wybaczcie nam, proszę, ten śmiech - powiedział Arak. -Nie zamierzaliśmy być

niegrzeczni. Nie, nie jesteśmy Amerykanami. My, Interterranie, znamy dość dobrze wasze języki, a Sufa i ja specjalizujemy się właśnie w angielskim, we wszystkich jego odmianach.

Suzanne nachyliła się do Perry'ego, szepcząc mu do ucha:

- Zapytaj ich jeszcze raz, gdzie jest Interterra. Zrobił, o co prosiła.

- Interterra jest pod oceanami - wyjaśnił w odpowiedzi Arak. - Mieści się w przestrzeni pomiędzy tym, co wy określacie jako skorupę ziemską, a płaszczem. Wasi sejsmolodzy nazywają ten obszar nieciągłością Mohorovičića.

- Podziemny świat? Naprawdę? - wyrwało się Suzanne.

117

Spojrzała w górę, gdzie widać było najwyraźniej zalany słońcem skrawek nieba. Nic z tego nie rozumiała.

- Ścisłej mówiąc, podmorski - wtrąciła się Sufa. - Ale proszę... wiemy, że będziecie mieć wiele pytań. Na wszystkie otrzymacie odpowiedź w stosownym czasie. Na razie błagamy was o wyrozumiałość.

- Co to jest wyrozumiałość? - zapytał Richard.

- To znaczy cierpliwość - odparła Sufa. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Ale musimy wiedzieć, jak mamy się do was zwracać - przypomniał Arak.

- Ja jestem Perry, prezes Benthic Marine - powiedział Perry, klepiąc się po piersi. Potem wymienił imiona wszystkich pozostałych.

Arak wystąpił naprzód, by osobiście przedstawić się Suzanne. Był o dobrą głowę wyższy od niej. Wyciągnął prawą rękę, zwracając dłoń w jej stronę.

- Czy zechcesz zaszczyścić mnie interterrańskim powitaniem? - Wskazał otwartą dłoń gestem drugiej ręki. - Przy-ciśnij swoją dłoń do mojej.

Suzanne zawahała się. Zanim spełniła jego prośbę, ukradkiem spojrzała na Perry'ego i

Donalda. Jej dłoń była sporo mniejsza od dłoni Araka.

- Witaj, doktor Newell - powiedział Arak, gdy ich dłonie spotkały się. - Niezmiernie się cieszymy, że przybyłaś do nas. - Ukłonił się, po czym cofnął dłoń.

- Och, dziękuję - odparła Suzanne. Była zmieszana, a jednak pochlebilo jej, że właśnie ona została wyróżniona indywidualnym powitaniem.

Arak wrócił na swoje miejsce obok Sury.

-A teraz, moi szanowni goście, zaprowadzimy was do waszych mieszkań, które z całą pewnością przypadną wam do gustu.

- Zaczekaj, Arak - krzyknął Richard. Wspiął się na palce. - Tam gdzieś jest cudowna brunetka, która pali się, żeby mnie poznać.

-1 kruczowłosa piękność, z którą ja chcę się spotkać -dodał Michael.

118

Dwaj nurkowie wypatrywali obu kobiet w tłumie, odkąd tylko znaleźli się na górze.

Niestety nie udało im się dostrzec ani jednej, ani drugiej.

- Będzie jeszcze mnóstwo czasu na kontakty towarzyskie - odparł Arak. - W tej chwili najważniejsze jest rozłokowanie was, ponieważ musicie coś zjeść i umyć się jak należy. Później będzie uroczystość na cześć waszego przybycia, w której, jak mam nadzieję, wszyscy weźmiecie udział. Tak więc proszę, chodźcie za mną.

- To zajmie tylko kilka minut - rzucił Richard. Ruszył naprzód, zamierzając ominąć Araka i Sufę i wmieszać się w tłum, ale Donald pochwycił go z równą siłą jak poprzednio.

»j.

- Dość tego, marynarzu! - warknął półgłosem. - Trzymamy się razem! Pamiętaj!

Richard przez chwilę wpatrywał się w niego z wściekłością, walcząc z impulsem, by

odesłać go do wszystkich diabłów. Był tak bliski spotkania z tą piękną kobietą, jak mógłby więc sobie tego odmówić? Samodyscyplina nigdy nie była jego mocną stroną. Ale pod piorunującym spojrzeniem Do-nalda ustąpił.

- Myślę, że trochę żarcia to niezły pomysł - powiedział,
by zachować twarz.

- Lepiej się nie wychylaj, bracie, albo będzie między nami wojna - warknął Donald.

- Żeby sprawa była jasna - odparł Richard - wcale się ciebie nie boję.

1

Rozdział 9

Suzanne posłusznie wlokła się za Arakiem i Sufą, ale czuła się dziwnie oderwana i chwilami zdawało jej się, że traci poczucie rzeczywistości. Nie były to zawroty głowy, ale coś bardzo podobnego. Obił jej się kiedyś o uszy psychiatryczny termin "depersonalizacja" i zastanawiała się, czy nie cierpi na jakąś formę tego stanu. Wszystko, czego doświadczała, było tak nierealne. Czuła się jak we śnie, a jednak jej zmysły zdawały się funkcjonować normalnie. Obrazy, zapachy, dźwięki docierały do niej zupełnie tak jak zawsze. Tyle że wszystko to nie miało sensu. Jak mogli znaleźć się pod oceanem?!

Będąc oceanografem geofizykiem, Suzanne wiedziała doskonale, że mianem nieciągłości Mohorovičića określa się pewną warstwę we wnętrzu kuli ziemskiej, w której obserwuje się gwałtowny skok prędkości rozchodzenia się fal dźwiękowych lub sejsmicznych. Leży ona na głębokości od pięciu do dziesięciu kilometrów pod dnem oceanu oraz około trzydziestu pięciu kilometrów pod kontynentami. Suzanne wiedziała też, że nazwa tej warstwy pochodzi od nazwiska odkrywcy, serbskiego sejsmologa, oraz że choć nadano jej nazwę, nikt nie miał pojęcia, czym jest w istocie. Ani ona sama, ani, na ile się orientowała, żaden inny geolog czy sejsmolog nie brał w ogóle pod uwagę możliwości, że jest to olbrzymia, wypełniona powietrzem jama. Pomysł ten był

zbyt absurdalny, by rozważać go na poważnie.

- Proszę, potraktujcie naszych gości z całym należnym im szacunkiem - zawołał Arak do Interterran, kierując się w środek tłumu. — Cofnijcie się i pozwólcie nam przejść!

Dał znak, aby ich przepuszczono. Tłum rozstał się w milczeniu.

120

_ Proszę! - zwrócił się łagodnie do Suzanne i pozostałych, wskazując utworzone w ciżbie przejście. Ruszył pierwszy i pomachał, aby poszli za nim. - Kiedy wydostaniemy się z hali przyjęć, czeka was jeszcze tylko krótka podróż do waszych mieszkań.

Jak gdyby oglądając siebie samą w filmie, Suzanne szła środkiem tłumu Interterran. Tuż za sobą czuła obecność Perry'ego i wiedziała, że Donald oraz nurkowie także są w pobliżu. Sytuacja przestała już być groźna. Piękni ludzie uśmiechali się do nich z ukradkowymi, niemal nieśmiałymi gestami powitania i Suzanne stwierdziła, że nie umiałaby nie odpowiedzieć im uśmiechem.

Czy to się dzieje naprawdę? - zadawała sobie raz po raz pytanie, idąc za Arakiem. Czy to tylko sen? Istotnie, wszystko to było niesamowite, a jednak nie ulegało wątpliwości, że pod bosymi stopami czuje chłodny marmur, zaś na policzkach musnięcia lekkiego wiatru. Tak subtelnych wrażeń nie doznawała nawet w najbardziej realistycznych snach.

Sufa odwróciła się w jej stronę.

- Zauważysz, że jesteście prawdziwymi gwiazdami - powiedziała. — Ludzie drugiej generacji są tu ogromnie popularni. Wnosicie zawsze z sobą takie ożywienie. Lepiej ostrzegę was, że będziecie bardzo rozchwytywani.

- Co masz na myśli, mówiąc: "ludzie drugiej generacji"? -zapytała Suzanne.

- No no, Sufa - Arak łagodnie zbeształ swoją towarzyszkę. - Pamiętaj, co postanowiliśmy!

Będziemy wtajemniczać tych gości w nasz świat wolniej, niż robiliśmy to z innymi w przeszłości.

- Pamiętajam - odparła Sufa. Znów zwróciła się do Suzanne: - Omówimy wszystko w

stosownym czasie i otrzymacie odpowiedzi na wszystkie pytania. Obiecuję.

Grupa wkrótce wydostała się na obszerną werandę, z której otwierał się widok na wnętrze olbrzymiej pieczary, tak przestronnej, że wydawała się nie mieć granic. Choć nie było tu słońca, oświetlenie przypominało światło dzienne. Sklepiony strop był jasnobłękitny niczym niebo w mglisty letni dzień. Kilka lekkich chmurek płynęło leniwie z wiatrem.

121

Weranda przylegała do budynku znajdującego się na samym skraju miasta. Za balustradą rozciągał się sielski pejzaż falujących wzgórz, bujnej roślinności i jezior, wśród których dostrzec można było także kilka miasteczek, wzniesionych z czarnego, polerowanego na wysoki połysk bazaltu, przybierającego formy łuków, kopuł, wież i klasycznych kolumnowych portyków. W oddali piętrzyło się pasmo stożkowych gór o potężnych podstawach, które wyżej, cieńsze już, łączyły się z opadającym ze sklepienia wachlarzem, tworząc gigantyczne filary.

- Jeszcze sekundę - powiedział Arak, po czym szepnął coś do małego mikrofonu na przyrządzie, który nosił na nadgarstku.

“Ludzie drugiej generacji” stali urzeczeni niespodziewaną urodą i zapierającym dech w piersiach ogromem podziemnego raju. Wykraczało to daleko poza wszystko, co mogłaby spłodzić ich wyobraźnia. Nawet nurkowie z wrażenia zapomnieli języka w gębie.

- Czekamy na poduszkowiec - wyjaśniła Sufa.

- Czy to Atlantyda? - zapytał Perry. Z otwartymi ustami wpatrywał się w krajobraz.

- Skąd znowu! - odparła Sufa, lekko urażona. - To nie jest Atlantyda. To miasto to Saranta.

Atlantyda leży na wschód od nas. Ale nie widać jej stąd. Jest za tymi kolumnami, wspierającymi powierzchniowe wzniesienia, które wy nazywacie Azorami.

- Więc Atlantyda istnieje naprawdę? - zagadnął Perry.

- Tak, oczywiście. Ale osobiście uważam, że nawet się nie umywa do Saranty. To młode,

nowobogackie miasto z dość beczelnymi mieszkańcami, jeśli chcecie znać moje zdanie. Ale będziecie musieli ocenić to sami - powiedziała Sufa.

- Ach, już jest - zawołał Arak, gdy kopulasty, przypominający spodek pojazd bezgłośnie zmaterializował się u podnóża schodów. Nadleciał tak cicho, że jedynie ci, którzy akurat patrzyli we właściwym kierunku, spostrzegli jego przybycie.

- Wybaczcie, że to trwało tak długo - powiedział Arak. - Najwyraźniej z jakiegoś powodu jest na nie w tej chwili

122

wiątkowo duże zapotrzebowanie. Ale proszę, wy pierw-

_ Wykonał dłonią gest w stronę otwartego wjazdu, który w tajemniczy sposób pojawił się z boku spodka.

Cała siódemka zeszła po schodach i wsiadła do pojazdu, nieruchomo unoszącego się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Miał około dziewięciu metrów średnicy i przejrzysta kopułkę na szczycie, niczym UFO z okładek ilustrowanych czasopism, jakie widać się przy kasach supermarketów. Wewnątrz znajdowała się kolistą kanapą pokrytą białą tapicerką oraz umieszczony na środku czarny, okrągły stolik. Nie było żadnych urządzeń sterujących.

Arak wsiadł jako ostatni, a zaraz potem wjazd zniknął równie cicho i tajemniczo, jak się pojawił.

- No tak, zawsze to samo - mruknął z niezadowoleniem Arak, rozejrzawszy się po wnętrzu.

- Akurat kiedy staramy się zrobić na was jak najlepsze wrażenie, dostajemy jeden ze starszych poduszkowców. Ten goni już resztkami sił.

- Nie narzekaj. Jest jeszcze zupełnie na chodzie - powiedziała Sufa.

Suzanne spojrzała na Donalda, który odpowiedział niemal niedostrzegalnym uniesieniem brwi. Rozejrzała się po poduszkowcu. Nasuwało jej się tak wiele pytań, że nie wiedziała, od czego

zacząć.

Arak położył dłoń na środku czarnego stolika i nachylił się lekko.

-Pałac gości - powiedział. Potem oparł się wygodnie i uśmiechnął się. Chwilę później krajobraz zaczął się przesuwać.

Suzanne odruchowo złapała brzeg stolika, aby przytrzymać się czegoś, jednak okazało się, że nie było to potrzebne.

ie odczuwało się żadnego wrażenia ruchu, nie słysząc też

^yło żadnego dźwięku. Mogło się wydawać, że pojazd tkwi

leruchomo, a samo miasto przesuwa się pod nim, podczas

g y Poduszkowiec wznosił się trzydzieści metrów, nim na-

! W?dk°Ści w trunku poziomym, te n • r°tCe nauczymy was, jak przywoływać i

obsługiwać

powietrzne taksówki - powiedział Arak. - Będz

mnóstwo czasu na wycieczki.

iziecie mie-

123

Kilka głów skinęło w odpowiedzi. Załoga Benthic Expl0. rera w oszołomieniu przyglądała się wszystkiemu dookoła Trasa prowadziła najwyraźniej przez centrum tętniącej życiem metropolii, pełne krzątających się ludzi i śmigających we wszystkie strony poduszkowców.

Dla Suzanne świat ten krył w sobie dziwne sprzeczności. Samo miasto i zaawansowana technika wydawały się tak futurystyczne, a jednak drzewa i roślinność miały w sobie coś niepokojąco prehistorycznego. Przypominały jej florę karbońską sprzed trzystu milionów lat.

Wkrótce wielopiętrowe budynki z lśniącego czarnego bazaltu ustąpiły miejsca rzadziej zabudowanym, najwyraźniej mieszkalnym terenom z trawnikami, drzewami i sadzawkami. Tłumy

ludzi zniknęły gdzieś, podobnie jak roje taksówek powietrznych i widać tu było jedynie pojedyncze osoby lub małe grupki spacerujące po parkach. Wielu z nich towarzyszyły osobliwe zwierzęta, przywodzące Suzanne na myśl skrzyżowanie psa, kota i małpy.

Krajobraz zaczął zwalniać. Zbliżali się do wspaniałego, otoczonego murem zespołu pałacowego. Dominowała nad nim potężna kopuła centralnego gmachu, wsparta na czarnych, żłobkowanych kolumnach doryckich. Wokół tej budowli rozsiane były liczne mniejsze budynki owalnego kształtu, zbudowane ze znajomego polerowanego czarnego bazaltu. Ścieżki wiły się pośród kryształowych sadzawek, rozległych trawników i bujnych kęp paproci.

Taksówka powietrzna zawisła w miejscu i opadła gwałtownie. Chwilę później otworzył się właz, równie cicho i tajemniczo jak poprzednio.

- Doktor Newell - odezwała się Sufa. - Oto twoje mieszkanie. Zechciej tu wysiąść. Będę ci towarzyszyć, żeby się upewnić, że jest ci wygodnie. - Zrobiła gest w stronę wyjścia.

Zmieszana Suzanne spoglądała to na nią, to na Donalda. Nie spodziewała się, że zostanie odłączona od grupy i dobrze zdawała sobie sprawę, że Donald uważał, iż powinni pozostać razem.

- A co z resztą? - zapytała. Starła się rozszyfrować wy-

124

twarzy Donalda, jednak nie potrafiła stwierdzić, czego od niej oczekuje.

- Arak zajmie się ich rozlokowaniem. Każdy będzie miał własny bungalow - odparła Sufa.

- Liczyliśmy na to, że zostaniemy razem - powiedziała

Suzanne.

-Ależ zostanieie - uspokoił ją Arak. - Ten pałac i jego tereny są właśnie dla was, dla gości.

Będziecie wspólnie jadać posiłki i nie mamy nic przeciwko temu, żebyście sypiali po dwoje w jednym domku, jeśli tak zechcecie.

Oczy Suzanne i Donalda spotkały się. Były oficer wzruszył ramionami. Przyjmując to jako

znak, że pozostawił jej decyzję, wysiadła z poduszkowca. Sufa wyszła za nią. Chwilę później spodek bezgłośnie przepłynął nad trawnikiem i zatrzymał się przy sąsiednim bungalowie.

- Chodź! - przynagliła ją Sufa. Zdążyła już odejść kawałek ścieżką, jednak odwróciła się, gdy spostrzegła, że Suzanne nie idzie za nią.

Suzanne oderwała oczy od poduszkowca i szybkim krokiem dopędziła swoją przewodniczkę.

- Już niedługo spotkasz się z przyjaciółmi przy posiłku - powiedziała Sufa. - Chcę tylko się upewnić, że twoje mieszkanie jest urządzone jak należy. Poza tym pomyślałam, że mogłabyś mieć ochotę popływać trochę dla relaksu, zanim siądziesz do stołu. Ja tylko o tym marzyłam, kiedy wyostałam się z odkażalni.

- Więc ty też przeszłaś to co my?

- Tak. Ale już bardzo dawno temu. Kilka wcieleń temu, jeśli chodzi o ścisłość.

- Słucham? - Suzanne zdawało się, że się przesłyszała. Sformułowanie "kilka wcieleń temu" nie miało żadnego sensu.

- Chodź! - powiedziała Sufa. - Trzeba cię ulokować. Pytania muszą na razie poczekać.

J?ła Suzanne za ramię. Razem wspięły się na wiodące ^budynku schodki i weszły do środka.

uzanne przystanąła w progu, oszołomiona wystrojem rza- W ostrym kontraście do czarnych ścian zewnątrz-

125

nych, tu niemal niepodzielnie panowała biel: biały marmur, biały kaszmir oraz

wszechobecne lustra. Przypominało to jej pomieszczenie mieszkalne, gdzie jeszcze tak niedawno spała, tamto jednak wydawało się skromne w porównaniu z tym przepychem. Nie było tam też

lazurowego basenu, który tu łączył wnętrze pokoju z otwartą przestrzenią na zewnątrz. Basen

zasilany był przez tryskający wprost ze ściany wodospad.

- Nie podoba ci się? - spytała Sufa z niepokojem w głosie. Obserwowała twarz Suzanne i mylnie wzięła jej zdumienie za niezadowolenie.

- Nie chodzi nawet o to, czy mi się podoba czy nie - odparła Suzanne. - To wszystko jest niesamowite.

- Ale zależy nam, żebyś dobrze się tu czuła.

- A inni? Czy ich mieszkania są podobne do tego?

- Są identyczne. Wszystkie bungalowy dla gości wyglądają tak samo. Ale jeżeli potrzebujesz tu jeszcze czegoś, proszę, daj mi znać. Z pewnością będziemy w stanie to dostarczyć.

Wzrok Suzanne przeniósł się na olbrzymie okrągłe łóżce, stojące na marmurowym podwyższeniu na samym środku pokoju. Nakrywał je potężny baldachim, z którego obwodu zwieszały się zebrane razem fałdy przejrzystej białej tkaniny.

- Powiedz, czego ci tu brakuje - prosiła Sufa.

- Niczego - odparła Suzanne. - Ten pokój jest oszałamiający.

- A więc ci się podoba. - W głosie Sufy zabrzmiała ulga.

- Jest fantastyczny.

Suzanne przyłożyła dłoń do marmurowej ściany. Jej powierzchnia, wypolerowana na lustrzany połysk, zdawała się ciepła, jak gdyby ogrzana wewnętrznym promieniowaniem.

Sufa podeszła do wbudowanej w ścianę szafki na prawo od drzwi wejściowych.

- Tu w środku znajdziesz pulpity medialne, ubrania na zmianę, coś do czytania w twoim języku, dużą lodówkę z zestawem napojów i przekąsek, znane ci artykuły toaletowe, i niemal wszystko inne, czego mogłabyś potrzebować - powiedziała, przeciągając wzdłuż ręką.

- Jak się ją otwiera? - zapytała Suzanne.

_ Zwykłą komendą głosową - odparła po prostu Sufa. Wskazała jedno z dwojga drzwi na przeciwległej do szafek ścianie. - Łazienka i toaleta są tam.

Suzanne podeszła do Sury i stanęła twarzą do szafki.

- Co konkretnie mam powiedzieć?

- Wystarczy, że wymienisz to, czego szukasz - wyjaśniła Sufa - dodając na końcu "proszę", "zaraz" albo inny tego typu wyraz.

- Jedzenie, proszę - powiedziała nieśmiało Suzanne.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, drzwi szafki otworzyły się, ukazując sporych rozmiarów lodówkę obficie zaopatrzoną w pojemniki z napojami i jedzeniem o przeróżnej konsystencji i barwach.

Sufa pochyliła się i zajrzała do środka. Poszperała w zawartości.

- Mogłam się tego spodziewać. Obawiam się, że masz tylko standardowy zestaw, chociaż prosiłam o parę specjal-nych artykułów. Ale to nie ma znaczenia. Klony robocze dostarczą ci wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Co to są "klony robocze"? - zapytała Suzanne. Określenie to brzmiało niepokojąco.

- Klony robocze są robotnikami. Wykonują całą ręczną pracę w Interterze - wyjaśniła Sufa.

- Czy widziałam je już?

- Jeszcze nie. Niechętnie się pokazują, dopóki nie zostaną wezwane. Wolą własne towarzystwo i własne pomieszczenia.

Suzanne skinęła głową na znak zrozumienia, ale jej zrozumienie oznaczało co innego, niż przypuszczała Sufa. Suzanne skinęła głową, gdyż wiedziała, że z reguły w zakłamaniu grupa dominująca skłonna jest przypisywać ciemieźnym postawy, dzięki którym ciemieźcom łatwiej jest przejść do porządku dziennego nad niesprawiedliwością.

- Czy te klony robocze są prawdziwymi klonami? - zapytała.

-Jak najbardziej. Klonujemy je od setek lat. Wywodzą S1ę z rasy prymitywnych hominidów, zbliżonych do tych, które wy, ludzie, nazywacie neandertalczykami.

127

- Co masz na myśli, mówiąc "wy, ludzie"? - zapytała Su-zanne. - Co odróżnia nas od was poza faktem, że wygląda-eie wszyscy tak olśniewająco?

- Proszę... — zaczęła błagalnie Sufa.

- Wiem, wiem — mruknęła Suzanne, zawiedziona. — Mam nie zadawać żadnych pytań.

Tylko że każda twoja odpowiedź na nawet najprostsze pytanie domaga się dalszych wyjaśnień.

Sufa roześmiała się.

- Zbija cię to z tropu, jestem pewna. Ale prosimy cię o zwykłą cierpliwość. Jak wspomnieliśmy, wiemy z doświadczenia, że najlepiej jest wprowadzać w nasz świat bez pośpiechu.

- Z czego wynika, że mieliście już takich gości jak my.

- Oczywiście. Wiele razy w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Usta Suzanne powoli otworzyły się z wrażenia.

- Powiedziałaś: dziesięć tysięcy lat?

- Tak - odparła Sufa. - Przedtem nie interesowaliśmy się waszą kulturą.

- Chcesz powiedzieć...

- Proszę - przerwała jej Sufa. Wzięła głęboki oddech. -Żadnych pytań więcej, jeżeli nie dotyczą one twojego mieszkania. Muszę nalegać.

- W porządku - ustąpiła Suzanne. - Wróćmy do klonów roboczych. Jak się je przywołuje?

- Komendą głosową - odparła Sufa. - Tak jak nieomal wszystko w Interterze.

- Mam powiedzieć po prostu: "klon roboczy"?

- "Klon roboczy", albo tylko "klon". Musisz oczywiście dodać jeszcze: "proszę". Ale wszystko to musi zabrzmieć jak prawdziwy rozkaz.

- Mogę spróbować już teraz?

- Jak najbardziej.

- Klon, proszę - powiedziała Suzanne. Spojrzała na Sufę. Nic nie nastąpiło.

- To było zbyt mało stanowcze - wyjaśniła Sufa. - Spróbuj jeszcze raz.

128

- Klon, proszę! - krzyknęła Suzanne.

_ To już lepiej - stwierdziła Sufa. - Ale nie musi być aż tak głośno. Nie chodzi o natężenie dźwięku, ale o intencję. Humanoidy muszą mieć absolutną pewność, że chcesz, aby się pojawiły.

W normalnych warunkach nie pokazują się, żeby nie sprawiać kłopotu.

- Celowo użyłaś określenia: "humanoid"?

- Oczywiście. Klony robocze bardzo przypominają ludzi, mimo że łączą w sobie partie androidalne, sztucznie wyhodowane elementy biomechaniczne oraz fragmenty homini-dalnych istot. Są w połowie maszynami, w połowie organizmami żywymi, które potrafią same troszczyć się o siebie, a nawet rozmnażać się.

Suzanne wpatrywała się w Sufę z wyrazem twarzy, w którym walczyły o lepsze konsternacja i niedowierzanie. Sufa zinterpretowała to jako strach.

- Ależ nie przejmuj się - powiedziała. - Bardzo łatwo jest sobie z nimi poradzić i są niezmiernie pomocne. Jak sama się z pewnością przekonasz, to naprawdę cudowne stworzenia. Ich jedyną wadą jest to, że podobnie jak hominidy, które były ich przodkami, nie potrafią mówić. Ale rozumieją cię doskonale.

Suzanne wciąż wytrzeszczała na nią oczy. Zanim jednak zdążyła zadać kolejne pytanie, jedne z drzwi naprzeciw szafek otworzyły się i ukazała się w nich kobieca postać o posągowych kształtach. Suzanne uświadomiła sobie, że spodziewała się zobaczyć groteskowy automat.

Tymczasem kobieta, którą miała przed sobą, była czarująco piękna, o klasycznych rysach twarzy,

jasnych włosach, alabastrowej skórze i ciemnych, przenikliwych oczach. Ubrana była w czarny satynowy kombinezon z długimi rękawami.

- Oto doskonały przykład żeńskiej wersji klona roboczego - powiedziała Sufa. - Zwróć uwagę na kolczyk w kształcie kółka. Wszyscy oni noszą je z jakiegoś powodu, którego n*gdy nie zrozumiałam, choć sądzę, że ma to coś wspólnego z ich dumą lub pochodzeniem. Widzisz też, że jest dość miła dla oka, podobnie jak męskie egzemplarze. Lecz co najważniejsze, przekonasz się, że jest posłuszna twoim życzeniom.

9 —

Uprowadzenie

129

Po prostu powiedz jej, czego chcesz, a ona postara się to wykonać, z wyjątkiem uszkodzenia lub zniszczenia siebie samej.

Suzanne wpatrywała się w oczy kobiety. Przypominały dwa ciemne stawy. Jej twarz była równie regularna i piękna jak twarz Sury, jednak zupełnie pozbawiona wyrazu.

- Czy ona ma imię?

- Ależ skąd - odparła Sufa, tłumiąc śmiech. - To z pewnością skomplikowałoby sprawy. Nie chcielibyśmy perso-nalizować naszych stosunków z klonami. To jeden z powodów, dla których nie zaprojektowaliśmy ich tak, żeby mogły mówić.

- Ale zrobi to, o co poproszę?

-Jak najbardziej. Absolutnie wszystko. Może pozbierać twoje ubrania, wyprać je, przygotować ci kąpiel, uzupełnić zapasy w lodówce, zrobić ci masaż, nawet zmienić temperaturę wody w twoim basenie. Co tylko zechcesz.

- W tej chwili chyba lepiej byłoby, gdyby sobie poszła -powiedziała Suzanne. Wzdrygnęła się lekko. Sama myśl o istnieniu takich pół ludzi, pół maszyn budziła w niej niepokój.

- Odejdź, proszę! - rozkazała Sufa. Kobieta odwróciła się i wyszła równie cicho, jak się pojawiła. Sufa ponownie przeniosła wzrok na Suzanne. - Oczywiście kiedy następnym razem wezwiesz klona roboczego, będzie to najprawdopodobniej inny osobnik. Przychodzi ten, który jest wolny.

Suzanne skinęła głową na znak zrozumienia, lecz w głowie miała mętlik.

- Skąd one przychodzą?

- Spod ziemi.

- Z jakichś jaskiń?

- Tak sędzę - odparła wymijająco Sufa. - Nigdy nie schodziłam tam na dół ani nie znam

nikogo, kto by to zrobił. Ale dość już o klonach! Musimy doprowadzić cię do jadalni na posiłek.

Chciałabyś popływać albo wykapać się? Decyzja należy do ciebie, ale nie mamy zbyt dużo czasu.

Suzanne przełknęła ślinę. Zaszło jej w gardle. Po wszystkim, co zobaczyła i usłyszała,

trudno było jej podjąć nawet

130

najprostszą decyzję. Spojrzała na basen. Jego barwa, teraz bardziej zielonobłękitna niż

lazurowa, była równie nęcąca iak jego łagodnie rozmigotana powierzchnia.

- Myślę, że chętnie popływałabym trochę - powiedziała.

_ Doskonale. W szafce znajdziesz świeże ubranie. I buty też, mogłabym dodać.

Suzanne skinęła głową.

_ Poczekam na ciebie na zewnątrz - dodała Sufa. - Mam wrażenie, że dobrze ci zrobi, jeśli

pobędziesz chwilę sama, żeby złapać oddech.

- Chyba masz słuszość - odparła Suzanne.

Rozdział 10

Jadalnia znajdowała się w budynku podobnym wymiarami i kształtem do bungalowów, z tą

różnicą, że nie było tu basenu. Sala również otwierała się na zewnątrz, wzrok napotykał jednak nie rozległe trawniki i zarośla paproci, lecz potężny pawilon centralny. Długi, ustawiony na środku stół przypominał ten, który znajdował się w pomieszczeniu mieszkalnym odkaźalni. Także miękko wyściełane fotele wyglądały podobnie.

Cała grupa zebrała się tu niemal jednocześnie, w wyraźnie różnych nastrojach. Richard i Michael zdecydowanie odrzucali wszelkie obawy. Byli pełni entuzjazmu niczym dwójka dzieci wypuszczonych na swobodę w wymarzonej parku rozrywki i zdecydowanych wykorzystać każdą nadarzającą się okazję. Również Perry zafascynowany był możliwościami kryjącymi się w tym nowym świecie, choć na zewnątrz zachowywał większy chłód niż lekkomyślni nurkowie. Suzanne wciąż jeszcze czuła się raczej zagubiona niż podniecona. Po głowie tłukła jej się myśl, że wszystko to jest być może tylko zbiorową halucynacją, odzwierciedlającą ich osobiste upodobania. W przeciwieństwie do nich wszystkich Donald pozostał czarnowidzem, był przeświadczony, że cała sytuacja jest wyrafinowanym, rozmyślnym oszustwem, mającym służyć jakimś niegodziwym celom.

Rozmowa koncentrowała się na podróży spodkiem i wspaniałościach ich apartamentów.

Richard i Michael byli najbardziej ożywieni, szczególnie odkąd usłyszeli, że klon roboczy Suzanne był kobietą. Richard napomknął o pragnieniach, jakie mogłoby zaspokoić tak uległe stworzenie.

132

Suzanne była wstrząśnięta i dała mu to poznać bez ogródek.

- Spróbuj się zachowywać, jakbyś był człowiekiem cywilizowanym!

Jedzenie było podobne do tego, które dostali w odkaźalni tak samo w niezwykle sposób zmieniało smak, choć tu serwowane było w wytwornych, samoobsługowych naczyniach.

Przyniosło je dwóch niezwykle przystojnych mężczyzn w czarnych, satynowych kombinezonach z długimi rękawami, zapinanych z przodu na zamek. Każdy z nich nosił w uchu kolczyk w kształcie

kółka.

Nagle Donald cisnął złoty widelec na swój złoty talerz. Brzęk, odbity od marmurowych ścian, rozbrzmiał niespodziewanie głośno. Richard, który z ustami wypchanymi czymś, co jak uparcie twierdził, było porcją karmelowych lodów z bakaliami, opowiadał właśnie, jak zanurkował w swoim basenie, zamilkł nagle w pół zdania. Suzanne podskoczyła ze strachu, upuszczając, z nieco niniejszym hałasem, swój widelec, co uzmysłowiło jej, jak bardzo jest spięta. Michael zakrztusił się kęsem czegoś, co uważał za zapiekankę z patatów.

- Ludzie, jak wy możecie jeść w takich warunkach! - wrzasnął Donald.

- W jakich warunkach? - zapytał Richard, z ustami wciąż pełnymi jedzenia. Rozejrzał się gorączkowo po sali, przerażony, że zostali nagle zaatakowani.

Donald obrócił się w jego stronę.

- W jakich warunkach? - powtórzył z wyraźną drwiną, kręcąc głową w pogardliwym zdumieniu. - Nigdy nie byłem w stanie rozgryźć, czy nurkowie po prostu muszą być głupi, żeby brać się do takiej roboty, czy to ciśnienie i gaz obojętny niszczą tę garstkę komórek mózgowych, którą mogli jeszcze mieć, kiedy zaczynali.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - zapytał Michael, który poczuł się osobiście dotknięty.

- Powiem ci, o czym mówię - warknął Donald. - Rozejrzyj się wokół siebie! Gdzie my, u licha, jesteśmy? Co my tu

133

robimy? Kim są ci ludzie, odstrojeni, jakby wybierali się na bal przebierańców?

Na kilka chwil zapanowała cisza. Wszyscy unikali wściekłego spojrzenia Donalda.

Dotychczas skrupulatnie wystrzegali się takich pytań.

- Ja wiem, gdzie jesteśmy - odezwał się w końcu Richard. - Jesteśmy w Interterze.

- O Boże! - krzyknął Donald, z frustracją wyrzucając w górę ręce. - Jesteśmy w Interterze.

To wszystko wyjaśnia. No dobra, pozwól, że ci powiem, że to nie mówi nam nic. Nie mówi nam, gdzie jesteśmy ani co tu robimy, ani kim są ci ludzie. A teraz jeszcze odizolowali nas w osobnych mieszkaniach.

- Obiecali, że wyjaśnią nam wszystko, co chcemy wiedzieć - powiedziała Suzanne. - Prosimy, żebyśmy byli cierpliwi.

- Cierpliwi! - przedrzeźniał ją Donald. - Powiem ci, co tu robimy... Jesteśmy więźniami!

- No i co? - spytał Richard.

Znów zapadło milczenie. Michael, wstrząśnięty, odłożył widelec. Richard, bezczelnie wbijając wzrok w Donalda, powrócił do swego deseru. Suzanne i Perry po prostu patrzyli przed siebie. Nieme klony robocze przyglądały się wszystkiemu obojętnie.

Richard włożył do ust kopiastrą porcję deseru.

- Jeżeli jesteśmy więźniami, chciałbym zobaczyć, jak ci ludzie traktują swoich przyjaciół - powiedział, nim jeszcze przełknął wszystko. - Rozejrzyjcie się tylko. Tu jest fantastycznie. Jak nie chcesz jeść, Fuller, to nie jedz! Mnie osobiście to żarcie zupełnie odpowiada, więc się odpieprz!

Donald zerwał się na równe nogi, chcąc rzucić się na niego przez stół, zanim jednak doszło do bójki, Perry wkroczył do akcji.

- Dajcie spokój, obydwaj! - ryknął. - Przestańcie się nawzajem prowokować! Nie bijmy się między sobą. W końcu obaj macie rację. Nie wiemy zupełnie, gdzie i dlaczego jesteśmy, ale jesteśmy traktowani dobrze. Może nawet zbyt dobrze.

134

Widząc, że Donald się uspokoił, puścił jego ramię i spojrzał na stojące bez ruchu klony robocze. Zastanawiał się, czy ten drobny incydent zaniepokoił je. Ale nie. Ich twarze były równie nieruchome i pozbawione wyrazu jak przedtem.

Donald podążył za jego wzrokiem, jednocześnie poprawiając na sobie tunikę.

- Widzisz, o co mi chodzi - warknął. - Dali nam nawet strażników, żeby nas pilnowali, kiedy jemy.

- Nie wydaje mi się, żeby to o to chodziło - odezwała się Suzanne. Potem, głośniejszym tonem, dodała: - Klony, odejdźcie, proszę!

Bez jakiegokolwiek znaku na potwierdzenie rozkazu, obydwaj klony zniknęły w jednych z trojga drzwi jadalni.

- To tyle, jeśli chodzi o czujne oczy dozorców - powiedziała.

- Ach, to nic nie znaczy - odparł Donald. Jego wzrok błędził po sali. - Przypuszczam, że mają tu mnóstwo ukrytych mikrofonów i kamer.

- Słuchajcie! Patrzę na ten talerz i widelec i zastanawiam się. To jest prawdziwe złoto czy nie? — zawołał Michael. Suzanne podniosła widelec, by zważyć go w dłoni.

- Też o tym myślałam. To dość niewiarygodne, ale sądzę, że tak - odparła.

-Bez jaj! - Michael podniósł talerz i ocenił ciężar obu przedmiotów. - Mamy tu małą fortunę.

- Jak na razie, traktowano nas dobrze - powiedział Donald, wracając do poprzedniego tematu.

- Myślisz, że to się zmieni? - zapytał Perry.

-To może się zmienić w ciągu sekundy - odparł Donald, pstrykając palcami. - Kiedy tylko dostaną to, o co im chodzi, kto wie, co się stanie? Jesteśmy całkowicie bezbronni.

- Możliwe, ale nie sądzę, żeby tak się stało - stwierdziła Suzanne.

- Skąd możesz wiedzieć? - zapytał Donald.

- Nie mogę - przyznała. - Ale tak mówi rozsądek. Hożej-rzYJ się. Ci ludzie, kimkolwiek są, są tak zaawansowani.

Nie potrzebują od nas niczego. Myślę że to raczej my możemy nauczyć się od nich
niezwykłych rzeczy.

- Wiem, że unikaliśmy tej kwestii - wtrącił Perry. - Ale kiedy mówisz, że są tak
zaawansowani, czy sugerujesz, że ci ludzie są kosmitami?

Po tym pytaniu znów zapanowała cisza. Nikt nie wiedział zbyt dobrze, co myśleć, a tym
bardziej, co powiedzieć.

-Masz na myśli istoty z innych planet? - odezwał się w końcu Michael.

- Nie wiem, co sugeruję - odparła Suzanne. - Ale mamy za sobą niesamowitą podróż
latającym talerzem. To musi być jakaś supertechnologia, o jakiej żadne z nas nawet nie słyszało. I
podobno jesteśmy pod oceanem, czego wciąż nie potrafię przyjąć do wiadomości. Ale muszę
powiedzieć wam, że nieciągłość Mohorovičića istnieje naprawdę i nikt dotąd nie zdołał tego
wyjaśnić.

Richard lekceważąco machnął ręką.

- To nie są żadni kosmici - powiedział. - Jezu, widzieliście te dziewczyny? Do diabła,
widziałem mnóstwo filmów o kosmitach i w żadnym nie wyglądali tak jak ci ludzie.

- Mogliby dostosować swój wygląd do naszych gustów -stwierdziła Suzanne.

- Tak - poparł ją Michael. - To właśnie sobie najpierw pomyślałem. Śni nam się, że oni
wyglądają tak świetnie.

- Dlatego właśnie gwizdzę na to wszystko - odparł Richard. - Liczy się to, co jest w mojej
głowie. Jeśli myślę, że są piękni, są piękni.

- Istotną kwestią są ich motywy - powiedział Donald. -To nie przypadek, że sprowadzili nas
tutaj. Jasne jak słońce, że zostaliśmy dosłownie wessani w ten szyb. Chcą czegoś od nas albo już
dawno bylibyśmy martwi.

- Myślę, że masz rację, że sprowadzono nas tu celowo -zgodziła się Suzanne. - Sufa

przyznała mi się do paru spraw. Po pierwsze, potwierdziła, że istotnie poddano nas odkażaniu.

- Ale po co? - zapytał Perry.

- Tego nie powiedziała. Ale przyznała, że miewali już takich gości jak my.

136

_ To już jest ciekawe — stwierdził Donald. — Czy powiedziała, co się z nimi stało?

- Nie - odparła Suzanne.

- Dobra, ludziska, możecie się zamartwiać do obrzydzenia - skwitował Richard. Odwrócił głowę i wrzasnął: - Klony robocze, przyjdźcie!

Natychmiast pojawiły się dwa humanoidy, jeden męski i jeden żeński. Richard rzucił okiem na kobietę i spojrzał konspiracyjnie na Michaela.

- Bingo! - szepnął z podnieceniem.

- Richard - zawołała Suzanne. - Chcę, żebyś obiecał, że nie zrobisz nic, co mogłoby postawić nas wszystkich w złym świetle albo narazić na niebezpieczeństwo.

- Kim ty jesteś, moją matką? - zapytał. Podniósł wzrok na żeńskiego klona. - Może jeszcze trochę tego deseru, kochanie?

- Dla mnie też - powiedział Michael. Zabrzęczał złotym widelcem o talerz.

Donald zaczął podnosić się z krzesła, ale Perry powstrzymał go jeszcze raz.

- Nie spierajmy się. To nie ma sensu.

Richard uśmiechnął się prowokacyjnie do Donalda, co tylko nasiliło jego frustrację i gniew.

Cichy dźwięk dzwonka zagłuszył stłumioną muzykę w tle i echem odbił się od ścian.

Chwilę później do jadalni zwawym krokiem wszedł Arak. Jego zwykły interterrański strój uzupełniała tym razem niebieska aksamitka, zawiązana wokół szyi na prostą kokardkę. Jej kolor harmonizował idealnie z błękitem jego oczu.

- Cześć, przyjaciele! - zawołał radośnie. - Ufam, że posiłek przypadł wam do gustu.

- Był wspaniały - odparł Richard. - Ale co to właściwie było? Bo nie przypominało wyglądem tego, czym smakowało.

- To głównie proteiny planktonowe i węglowodany roślinne - odparł Arak. Zatarł ręce w entuzjastycznym geście. -Dobrze! Co z uroczystością, o której wspomniałem wam wcześniej? Nie macie pojęcia, ilu mieszkańców Saranty jest

137

zachwyconych, że przybyliście do naszego miasta. Musieliśmy odprawiać ich z kwitkiem.

Widzicie, nieczęsto trafiają do nas goście z waszego świata: z pewnością nie tak, jak do Atlantydy na wschodzie czy do Barsamy na zachodzie. Wszyscy palą się do tego, żeby was poznać. A to sprowadza nas do zasadniczego pytania: czy macie ochotę przejść się do pawilonu, czy jesteście zbyt zmęczeni po odkażaniu?

- Gdzie jest ten pawilon? - zapytał Michael.

- Tam - odparł Arak, wskazując otwarty koniec jadalni. - To ten budynek z kopułą na terenie pałacu gości. Jest bardzo wygodny. W gruncie rzeczy to niecałe sto metrów, więc możemy podejść piechotą. Co wy na to?

- Ja się piszę. Nigdy nie przepuszczę imprezy — powiedział Richard.

- Ja też - zawtórował Michael.

- Wspaniale! - ucieszył się Arak. - A reszta? Nastąpiła niezręczna cisza. W końcu Perry odchrząknął.

-Arak, szczerze mówiąc, jesteśmy trochę zdenerwowani.

- Użyłbym mocniejszego słowa - wtrącił Donald. - Powiem otwarcie. Zanim cokolwiek zrobimy, chcielibyśmy wiedzieć, kim jesteście i dlaczego się tu znaleźliśmy. Zdajemy sobie sprawę, że nasza obecność tu nie jest przypadkowa. Mówiąc bez ogródek, wiemy, że zostaliśmy uprowadzeni.

- Rozumiem wasze troski i waszą ciekawość - odparł Arak. Rozpostarł ręce w pojednawczym geście. - Ale proszę, dziś jeszcze zdajcie się na moje doświadczenie. Miałem już do czynienia z gośćmi z waszego świata, niezbyt wieloma, to prawda, i nie w tak licznej grupie, ale to jednak dość, żebym wiedział, co jest dla was najlepsze. Jutro odpowiem na wszystkie wasze pytania.

- Po co czekać? Czemu nie możesz powiedzieć nam teraz? - zapytał Donald.

- Nie zdajecie sobie sprawy, jak wielkim obciążeniem była dla was procedura odkażania - wyjaśnił Arak.

- Możesz przynajmniej powiedzieć nam, jak długo trwała? - zapytała Suzanne.

- Nieco ponad miesiąc, według waszego sposobu liczenia.

138

_ Spaliśmy przez przeszło miesiąc? - zapytał Michael z niedowierzaniem.

_ W zasadzie tak - odparł Arak. - A to jest stresujące zarówno dla mózgu, jak i dla ciała.

Jutro będziecie musieli się uporać z bardziej szokującymi informacjami. Przekonaliśmy się, że naszym gościom łatwiej jest je przyjąć, kiedy są wypoczęci. Nawet jedna noc sprawia ogromną różnicę. Tak więc proszę, dziś wieczorem odprężcie się, albo tutaj razem, albo sami w swoich pokojach, albo, najlepiej, wspólnie z nami na naszej uroczystości z okazji waszego przybycia.

Perry przyjrzał mu się badawczo. Błękitne oczy Interter-ranina wytrzymały jego spojrzenie i nie mógł zaprzeczyć, że bije z nich szczerłość.

- W porządku - powiedział. -1 tak nie sędzę, żebym mógł teraz zasnąć. Idę na uroczystość, ale jutro mam zamiar wyegzekwować od ciebie spełnienie obietnicy.

- Dobrze - odparł Arak. Spojrzał na Suzanne. - A ty, doktor Newell? Jakie jest twoje życzenie?

- Przyjdę.

- Cudownie! Panie Fuller, a pan?

- Nie - odparł Donald. - Trudno byłoby mi świętować w takich okolicznościach.

- No cóż - stwierdził Arak, jeszcze raz zacierając dłonie z wyraźnym zadowoleniem. - To naprawdę wspaniale. Cieszę się, że większość z was zgodziła się przyjść. Wielu ludzi byłoby rozczarowanych, gdybym wrócił sam. Panie Fuller, rozumiem pańskie uczucia i szanuję je. Życzę miłego wypoczynku. Klony robocze są na pana usługi.

Donald posępnie skinął głową.

-A teraz ruszajmy - Arak zwrócił się do pozostałych. Wskazał gestem otwarty koniec jadalni.

- Czy na tym przyjęciu będzie żarcie? - zapytał Richard.

- Oczywiście - odparł Arak. - Najlepsze, jakie można znaleźć w Sarancie.

- W takim razie odpuszczę sobie dokładkę deseru. - Richard odrzucił łyżeczkę na stół, wstał, przeciągnął się i bek-nął donośnie.

139

Suzanne spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

- Mógłbyś mieć trochę szacunku dla nas, nawet jeżeli nie masz go dla siebie.

- Ależ mam - odparł Richard z szelmowskim uśmiechem. - Powstrzymałem się przed pierdnięciem w tym dostojnym towarzystwie.

Arak roześmiał się.

- Richard, będziesz wielką sensacją. Jesteś tak cudownie prymitywny.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

-Nigdy w życiu. Będziesz rozchwytywany, zapewniam cię. Chodźcie! Pokażcie się ludziom! - Machając na nich, Arak ruszył w stronę otwartego końca sali.

- Dobra! - powiedział Richard, dając Michaelowi znak wzniesionym kciukiem. Michael

odpowiedział tym samym.

- Bawmy się! - wykrzyknął. Nurkowie ochoczo ruszyli za Arakiem.

Suzanne spojrzała na Perry'ego. Ten tylko wzruszył ramionami.

- To szaleństwo, świętować w takich okolicznościach - powiedział. - Ale właściwie czemu nie mielibyśmy podejść do tego na luzie?

Suzanne zwróciła się do Donalda.

- Jesteś pewien, że nie chcesz iść?

- Tak, najzupełniej - odpowiedział ponuro. - Ale jeżeli wy dwoje chcecie się z nimi kumać, bawcie się dobrze.

- Idę tam, bo może dowiem się czegoś więcej. Nie, żeby się, jak to określiłeś, kumać - rzuciła Suzanne.

- Chodź! - zawołał Perry z drugiego końca sali.

- Zobaczymy się później - rzuciła krótko. Popędziła za Perrym i innymi, którzy szli już przez trawnik.

Donald zastanawiał się nad słowami Araka. Wiedział na pewno tylko jedno: nie ufał temu człowiekowi. Wydawał mu się zbyt przymilny. Cała ta fantastyczna gościnność musiała być jakąś pułapką. A jednak nie miał pojęcia, czemu miałyby służyć, poza, oczywiście, osłabieniem ich czujności.

Odwrócił się i spojrzał w otwarty koniec sali. Pozostali byli już w połowie drogi do otoczonego kolumnami pawilonu.

140

Ich sylwetki rysowały się na tle jasno oświetlonych ścian. Skierował wzrok w inną stronę, do wnętrza jadalni, gdzie, nieco na uboczu, stały nieruchomo dwa klony robocze. Przyglądał im się przez chwilę. Miały tak ludzki wygląd, że trudno mu było uwierzyć, iż są, jak twierdził Arak,

częściowo maszynami. Może to tylko kolejne kłamstwo, pomyślał.

- Klonie, chcę pić - powiedział. Natychmiast jeden z klonów, kobieta, sięgnął do kredensu po dzbanek i zbliżył się do stołu. Jej włosy, długie do ramion, były jasnobrązowe, zaś cera blada i przezroczysta. Pochyliwszy się, zaczęła napełniać mu szklankę.

Bez ostrzeżenia złapał ją za nadgarstek. Palcami poczuł chłód jej skóry. Nie drgnęła ani nie zareagowała w żaden inny widoczny sposób. Nadal spokojnie nalewała napój. Ścisnął mocniej jej przegub, aby zmusić ją do reakcji, ale nadaremno. Gdy szklanka była pełna, kobieta wyprostowała dzbanek mimo uchwytu Donalda. Zdumiało go to. Była nadszpodziewanie silna.

Unosząc głowę, spojrział w nieruchomą twarz kobiety. Nie próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale dość obojętnie odwzajemniła jego spojrzenie. Puścił jej rękę.

- Jak masz na imię? - zapytał.

Nie odpowiedziała ani nie wykonała najlżejszego gestu. Jedynym ruchem było rytmiczne falowanie klatki piersiowej. Nawet jej powieki były nieruchome.

- Klonie roboczy, odezwij się! - rozkazał. I znów odpowiedziało mu milczenie. Przeniósł wzrok na drugiego klona, ale ten także nie zareagował.

- Jak to jest, że wy pracujecie, a inni nie? - zapytał. Cisza.

- W porządku - powiedział. - Klony, odejdźcie!

Bez chwili zwłoki obydwaj zniknęli za drzwiami, z których wcześniej wyszły. Donald wstał i otworzył je. Zobaczył schody prowadzące w dół, w ciemność.

Zamknął drzwi i podszedł do otwartego końca sali. Wyjrzał na zewnątrz. Światło, wcześniej tak jasne, teraz przygasło, jak gdyby nieistniejące słońce schowało się za horyzontem, i ledwie mógł dostrzec Araka oraz pozosta-

łych, zbliżających się już do pawilonu. Pokręcił głową. Jeszcze raz zastanawiał się, czy nie

śni. Wszystko wydawało się tak dziwaczne, a jednak niepokojąco realne. Pomacał się po ramionach i twarzy. Wydawały się normalne w dotyku.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Intuicja mówiła mu, że stoi właśnie przed najbardziej wymagającą misją w swej! karierze. Miał nadzieję, że nie zawiodą go umiejętności -j zwłaszcza te dotyczące postępowania w niewoli.

DRozdział 11

Richard i Michael, wyrażając się ich własnym skatologicznym żargonem, "srali w portki ze strachu", jednak milcząco przyjęli sobie za punkt honoru nie przyznawać się do tego za wszelką cenę. Podobnie jak wobec ryzyka związanego z nurkowaniem, tak i teraz prezentowali na zewnątrz brawurę, mającą ukryć ich prawdziwe uczucia.

- Myślisz, że te dziewczyny, które widzieliśmy wcześniej, też będą na imprezie? - odezwał się Richard. Szli wraz z innymi na przyjęcie do pawilonu, ale wlekli się nieco z tyłu za resztą grupy.

- Zawsze możemy mieć nadzieję - odparł Michael.

Przez chwilę kroczyli w milczeniu. Słyszeli głos Araka rozmawiającego z Suzanne i Perrym, ale nawet nie próbowali się przysłuchiwać.

- Myślisz, że naprawdę spaliśmy przeszło miesiąc? - zapytał Michael. Richard zatrzymał się nagle.

- Nie masz zamiaru rozklejać mi się tutaj, co?

- Nie! - odparł żywo Michael. - Tak tylko pytałem.

W przeciwieństwie do większości ludzi, sen nigdy nie kojarzył mu się z błogą ulgą. W dzieciństwie nawiedzały go koszmary. Kiedy spał, jego ojciec wracał do domu pijany i bił matkę. Budził się wtedy i próbował jej bronić, ale skutek był zawsze ten sam: on także obrywał. Sen nieodłącznie kojarzył mu się z tamtymi wydarzeniami, tak więc sama myśl o tym, że mógł spać

przez miesiąc, budziła w nim ogromny lęk.

- Halo! - zawołał Richard. Poklepał go kilka razy po twarzy. - Jest tam kto? Michael ze złością odepchnął jego rękę.

143

- Przestań! - wrzasnął.

- Pamiętaj, nie przejmujemy się tym całym gównem - powiedział Richard. — Dzieją się tu jakieś przekręty, to jasne jak słońce, ale kogo to obchodzi? Idziemy się bawić, a nie jak ten dupek Fuller. Boże! Kiedy go słucham, zaczynam się cieszyć, że wywalili nas w cholere z marynarki. Inaczej dostawalibyśmy rozkazy od takich typów jak on.

- Oczywiście, że idziemy się bawić - odparł z naciskiem Michael. - Pomyślałem tylko, wiesz, że to głupio tak długo kimać.

- No to nie myśl! Dostaniesz od tego szmergla - skwitował Richard.

- Dobra! - zakończył Michael.

Suzanne zawołała na nich, żeby przyspieszyli kroku. Pozostali przystanęli, czekając.

- A do tego jeszcze mamy na głowie mamuszkę - dodał Richard.

Dopędzili resztę grupy, która zatrzymała się u podnóża schodów prowadzących do wejścia do pawilonu.

- Wszystko w porządku? — zapytała Suzanne.

- Wdechowo - odparł Richard, zmuszając się do uśmiechu.

- Arak właśnie powiedział nam coś, co mogłoby was zainteresować - mówiła dalej Suzanne.

- Zauważyliście pewnie, że robi się ciemno, jak gdyby zapadł zmierzch.

- Zauważyliśmy - burknął Richard.

- Oni mają tutaj noc i dzień - wyjaśniła Suzanne. - I dowiedzieliśmy się, że światło pochodzi z bioluminescencji. Dwaj nurkowie odchyliłi głowy w tył, by spojrzeć w górę.

- Widzę gwiazdy - powiedział Michael.

- To punkciki błękitnobiałej bioluminescencji - odparł Arak. - Naszym zamiarem było

odtworzenie świata takiego, jaki znaleźliśmy, co oczywiście musiało obejmować również cykl dobowy. Różni się on od waszego tym, że nasze dni i noce są dłuższe i mają tę samą długość przez cały rok. Oczywiście nasze lata także są dłuższe.

- A więc żyliście w świecie zewnętrznym, zanim przenieśliście się pod ziemię - zagadnęła Suzanne.

144

_ Oczywiście - odparł Arak.

- Kiedy to się stało? - zapytała.

Arak uniósł ręce w obronnym geście. Roześmiał się.

- Za bardzo się spieszymy. Nie powinienem zachęcać was dziś do zadawania pytań.

Pamiętajcie, tym zajmiemy się

jutro.

- Jeszcze tylko jedno - powiedział błagalnie Perry. - To proste, jestem pewien. Skąd czerpicie energię tu, pod ziemią?

Arak westchnął z rozdrażnieniem.

- To ostatnie pytanie, obiecuję - dodał Perry. - Przynajmniej na dzisiaj.

- Jesteś słowny?

-Jak najbardziej.

-Zasadniczo wykorzystujemy dwa źródła - wyjaśnił Arak. - Po pierwsze, energię geotermalną, którą czerpiemy z jądra Ziemi. To stwarza jednak problem, jak pozbyć się nadmiaru ciepła, a ten rozwiązujemy na dwa sposoby: wypuszczamy magmę kanałami, które wy nazwaliście grzbietami oceanicznymi, lub ochładzamy ją obiegiem wody morskiej. Wymiana ciepła wymaga

dużych ilości wody, co daje nam jednocześnie okazję do odfiltrowywania planktonu. Ujemną stroną są powstające przy tym prądy morskie, ale wy nauczyliście się żyć z nimi, zwłaszcza z tym, który nazywacie Golfsztromem. Drugim źródłem energii jest reakcja syntezy. Rozkładamy wodę na tlen, którym oddychamy, i wodór, który wykorzystujemy do syntezy jądrowej. Ale o tych sprawach będziemy rozmawiali jutro. Dzisiaj chcę, żebyście wszystkiego spróbowali i bawili się dobrze. Przede wszystkim bawili się.

- A nam o nic innego nie chodzi - powiedział Richard. - Ale powiedz mi, czy to będzie przyjęcie na sucho czy zakrapiane?

- Obawiam się, że nie znam tego określenia.

- Ogólnie chodzi tu o alkohol - wyjaśnił Richard. - Czy dysponujecie tutaj czymś takim?

- Ależ oczywiście — odparł Arak. — Mamy wino i piwo oraz wyjątkowo mocny trunek, który nazywamy kryszta-

10 — Urowadzenie

145

łem. Nasze wino i piwo są podobne do tych, które znacie. Ale kryształ jest inny i radzę wam uważać, zanim się do niego nie przyzwyczaiacie.

- Nic się nie martw, bracie. Michael i ja jesteśmy zawodowcami - uspokoił go Richard.

- Bawmy się! - krzyknął radośnie Michael.

Perry'ego i Suzanne trzeba było szturchnąć, by ruszyli dalej. Oboje, a zwłaszcza Suzanne, byli zbici z tropu wyjaśnieniami Araka. Mieli tu gotowe rozwiązanie dwóch zagadek oceanografii: dlaczego w grzbietach oceanicznych następuje wypływ magmy oraz skąd biorą się prądy morskie, szczególnie Golfsztrom. Odpowiedzi na oba te pytania do tej pory wymykały się naukowcom.

Cała grupa z Arakiem na czele wspięła się po schodach. Gdy przechodzili między potężnymi kolumnami, na których wspierał się kopułowy dach, Suzanne dostrzegła kątem oka

rozochocną twarz Richarda. Obawiając się, do czego może być zdolny, gdy się upije, nachyliła się do niego.

- Pamiętaj, żebyś się zachowywał przyzwoicie - szepnęła. Nurek spojrzał na nią z mieszaniną pogardy i niedowierzania.

- Mówię poważnie, Richard — dodała. — Nie wiemy, z czym mamy do czynienia i nie chcemy powiększać niebezpieczeństwa, w jakim już i tak jesteśmy. Jeżeli musisz pić, rób to wstrzemięźliwie.

- Spadaj! - powiedział Richard. Przyspieszył kroku i do-pędził Araka akurat w chwili, gdy wielkie dwuskrzydłowe drzwi z brązu otwarły się na oścież.

Pierwszą rzeczą, jaka powitała gości, był szmer podnieconych głosów, wypełniający przestronne, wyłożone białym marmurem wnętrze pawilonu. Znajdowali się na okolonym balustradą balkonie, obiegającym pierścieniem wielką okrągłą salę. Stanąwszy u szczytu monumentalnych schodów, spojrzeli na dół.

- Ale impreza! - wykrzyknął Richard. - Mój Boże! Tam jest chyba z tysiąc osób.

- Moglibyśmy mieć dziesięć tysięcy, gdybyśmy mieli je gdzie pomieścić - odparł Arak.

146

\V środku potężnej, nakrytej kopułą sali balowej znajdował się okrągły basen, oświetlony tak, że przypominał gigantyczny, przejrzyste błękitny klejnot. Basen otaczało wysokie na trzydzieści centymetrów i szerokie na trzy metry ocembrowanie. Dolną salę z balkonem łączyły liczne schody.

Sala balowa była wypełniona ludźmi. Wszyscy mieli na sobie jednakowe białe, proste satynowe stroje, z wyjątkiem widocznych tu i ówdzie klonów roboczych ubranych w zwykłą czerń. Klony dźwigały wielkie tace załadowane złotymi pucharami i jedzeniem. Każdego z gości zdobiła

zawiązana na szyi aksamitka, taka sama, jaką miał Arak. Wszystkie miały tę samą wielkość i kształt, były też tak samo zawiązane. Różniły się tylko kolorem. I, jak poprzednio, wszyscy byli uderzająco piękni.

Wieść o przybyciu gości rozeszła się w tłumie lotem błyskawicy. Rozmowy urwały się, a twarze uniosły ku górze. Grupa zafascynowana patrzyła na ten milcząco wyczekujący w dole tłum.

Arak uniósł ponad głowę zwrócone na zewnątrz dłonie.

- Pozdrawiam was wszystkich! - zawołał. - Miło mi oznajmić, że wszyscy nasi goście, poza jednym, zgodzili się zaszczyścić swą obecnością naszą uroczystość z okazji ich przybycia do Saranty.

Odpowiedział mu chóralny okrzyk radości. Zebrani unosili dłonie, naśladując jego gest.

- Chodźcie! - zwrócił się Arak do czwórki gości. Ponagląjąc ich gestem, ruszył w dół monumentalnych schodów.

Richard i Michael ochoczo rzucili się naprzód. Suzanne i Perry z pewnym wahaniem ruszyli ich śladem.

- Ja wysiadam! Spójrz na te kobiety! Czuję się jak w sypialni w żeńskim internacie - szeptał Richard w podnieceniu.

- Każda z nich nadawałaby się na rozkładówkę - odparł Michael.

- Trudno jest zachować tu dystans - szepnęła do Perry'ego Suzanne. — Mam wrażenie, jakbyśmy brali udział w jakiejś superprodukcji Cecila B. De Mille'a.

147

- Wiem, co masz na myśli - odparł Perry. - Poza tym zaczynam rozumieć, co to znaczy być gwiazdą rocka. Ci ludzie są naprawdę szczęśliwi, że nas widzą. I zobacz, jacy oni wszyscy są młodzi. Większość z nich wygląda, jakby ledwie przekroczyła dwudziestkę.

- To prawda, ale jest też bardzo dużo dzieci - zauważyła Suzanne. - Widzę kilkoro, które na

pewno nie mają więcej niż trzy czy cztery lata.

-I prawie wcale nie ma ludzi w podeszłym wieku - stwierdził Perry.

Tłum u podnóża schodów cofnął się, gdy grupa schodziła w dół, ale gdy tylko cała czwórka stanęła na podłodze, napłynął z powrotem, wznosząc w górę zwrócone na zewnątrz dłonie.

Mimo oczywistej przychylności tłumowi Suzanne i Perry instynktownie cofnęli się o parę kroków. W przeciwieństwie do nich Richard i Michael pozwolili się otoczyć ludzkiej masie. Szybko zorientowali się, że tłum chce fizycznego kontaktu i radośnie wyciągnęli ręce, dotykając wychodzących im na spotkanie dłoni. Było to powitanie podobne do tego, które Arak wykonał, przedstawiając się Suzanne.

- Kocham was wszystkich! - wykrzyknął Richard, ku radości najbliższych stojących Interterran, lecz torując sobie drogę przez tłum, starannie wybierał dłonie młodych, pięknych kobiet. W zapale objął nawet kilka z nich i pocałował -i nagle świąteczny nastrój zgasł.

Richard spojrzał na pocałowane przed chwilą dziewczyny i przez głowę przemknęła mu myśl, że powinien być może wycofać się na schody. Oszołomione kobiety przytykały palce do warg, po czym uważnie oglądały je, jak gdyby spodziewały się zobaczyć krew. Najwyraźniej w Interte-rze pocałunki nie należały do standardowego repertuaru powitalnych gestów. Richard z zakłopotaniem spojrzał na Michaela, który był równie przerażony nagłą zmianą nastroju.

- Nie mogłem się powstrzymać - wyjaśnił. Nagle trzy dziewczyny, które pocałował, spojrzały na siebie nawzajem i wybuchnęły śmiechem. W następnej chwili

148

razem rzuciły się na niego, by odwzajemnić ten p.est. Tłum krzyknął radośnie i jeszcze bardziej skupił się wokół nurków. Po kilku nieporadnych całusach trzy dziewczyny z wdziękiem odsunęły się, by zrobić miejsce dla innych. Na twarzy Richarda zakwitł szelmowski uśmiech.

- Wygląda na to, że możemy nauczyć te laski paru rzeczy -powiedział rozpromieniony.

Reakcja Interterranek dodała mu odwagi do jeszcze śmielszych wyczynów. Michael, widząc sukcesy Richarda, szybko poszedł w jego ślady. Jednak wkrótce ich poczynania zostały przerwane przez klona roboczego, który na polecenie Araka zbliżył się, by zaproponować gościom coś do picia. Do rąk wciśnięto im złote puchary.

Nawet rezerwa Suzanne i Perry'ego zaczęła się kruszyć w obliczu zaraźliwego nastroju biesiadnego. Wokół nich tłoczyli się przyjaźni, piękni ludzie, ochoczo przyciskający dłonie do ich dłoni. Wśród witających były także małe dzieci, które Suzanne spostrzegła tuż po wejściu do sali. Zapytała o wiek jedno z nich, dziewczynkę, która zrobiła na niej wrażenie swą bezbłędną angielszczyzną i rzucającą się w oczy inteligencją.

- A ile ty masz lat? - spytała mała, nie odpowiadając na pytanie Suzanne.

Suzanne miała właśnie odpowiedzieć, kiedy mężczyzna, który mógłby grać greckiego boga w filmie De Mille'a, zapytał ją, czy żyje z partnerem. Zanim zdążyła zareagować na to osobliwe pytanie, starszy mężczyzna, nie mniej atrakcyjny, zapytał ją, czy zna swoich rodziców.

- Chwileczkę - powiedział Arak, wchodząc między Suzanne i jej adoratorów. - Jak wiecie, powiedzieliśmy wyraźnie naszym gościom, że ich pytania muszą poczekać do jutra.

Sprawiedliwość nakazuje, żeby nasze również poczekały. Dzisiejszy wieczór przeznaczmy na zabawę i świętowanie tego wspaniałego dla Saranty wydarzenia.

- Hej, Arak! - ryknął Richard ze środka grupy wielbicielek, unosząc swój złoty puchar. -

Czy to właśnie jest ten kryształ, o którym mówiłeś?

149

- Istotnie - odkrzyknął Arak.

- Jest fantastyczny! Naprawdę mi podchodzi.

- Cieszy mnie to.

- Jeszcze jedno - wrzasnął Richard. - Czy macie tu jakąś muzykę? Co to w końcu za

impieza bez muzyki?!

- Właśnie - zawtórował mu Michael.

- Klony, muzyka - zawołał Arak, przekrzykując zgiełk. Chwilę później poprzez paplaninę dało się słyszeć płynąc jak gdyby znikąd tony, równie kojące jak muzyka, którą słyszeli w pomieszczeniu mieszkalnym odkażalni.

Michael roześmiał się pogardliwie.

- Nie chodziło mi o tapetę - krzyknął Richard. - Miałem na myśli coś zdecydowanego, z rytmem. Coś, przy czym" można by potaćzyć.

Arak wydał klonom roboczym kolejny rozkaz i po chwili ! muzyka zmieniła się.

Richard i Michael wymienili zdezorientowane spojrzenia. Melodia miała wprawdzie rytm, ale swym dziwnym synko-powaniem nie przypominała niczego, co kiedykolwiek słyszeli.

- Co to jest, u diabła? -jęknął Michael. Przekrzywił głowę na bok, żeby lepiej słyszeć.

- Cholera wie - odparł Richard. Zamknął oczy i zaczął kiwać łagodnie głową. Kołysząc się w biodrach, zrobił kilka niepewnych kroków. Jego ruchy wywołały chichot u otaczających go dziewcząt.

- Podoba się wam, co?! - zawołał do nich.

Pokiwały głowami.

Richard podniósł puchar do ust i ku zaskoczeniu obserwujących to ludzi wychylił go jednym haustem. Odstawiwszy naczynie na podłogę, chwycił dłoń najbliższej stojącej kobiety i ruszył pędem ku podwyższeniu otaczającemu basen na środku sceny. Wśród salw śmiechu tłum rozstąpił się, wykrzykując słowa zachęty. Dotarwszy do celu, Richard wskoczył na obmurowanie basenu, wciąż ciągnąc kobietę za sobą. Odwrócił się twarzą do niej i oniemiał z zachwytu. Mając wokół siebie tylu pięknych ludzi, zaczął już traktować to jako rzecz naturalną, a jednak jej uroda wstrząsnęła nim do głębi.

_ Jesteś cudowna - wyszeptał, ciut niewyraźnie wymawiając słowa.

, _ Dziękuję -

odparła, - Ty też jesteś atrakcyjny.

- Tak uważasz?

_ Jesteś bardzo zabawny.

- Miło mi - odpowiedział. Musiał zrobić krok w bok, żeby odzyskać równowagę. Na krótką chwilę obraz kobiety stracił wyraźne kontury. Kręciło mu się w głowie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała kobieta.

- Tak, świetnie - zapewnił ją. Czuł mrowienie w koniuszkach palców. — Ten kryształ potrafi dać łupnia.

- Uwielbiam go - powiedziała.

- W takim razie ja też. Chcesz się nauczyć tańczyć?

- Co to właściwie znaczy?

- To, co robiłem wcześniej - wyjaśnił. - Tylko że teraz zrobimy to we dwójkę.

Zamknął oczy i powtórzył swoje ewolucje. Niemal natychmiast musiał jednak je otworzyć, by po raz drugi złapać równowagę. Tłum odpowiedział okrzykami i brawami. Wołali o więcej.

Richard odwrócił się ku widowni i złożył przesadny ukłon. Wywołało to nową falę oklasków.

Zwróciwszy się znów twarzą do kobiety, zaczął kroczyć, wyginać się i podrygiwać, usiłując, na ile się dało, trzymać się dziwnego rytmu tej muzyki. Jego partnerka przyglądała się temu z zainteresowaniem i rozbawieniem, ale nie potrafiła powtórzyć jego ruchów. Jedyne, co wychodziło jej jako tako, to unoszenie rąk w powietrze i wymachiwanie nimi tak jak on.

- Pokażę ci - powiedział Richard. Objął dłońmi jej biodra, demonstrując jej, jak kołysać nimi w rytm muzyki. Nie udawało jej się, ale uznała swoje nieporadne próby za zabawne. Tłum był

podobnego zdania.

Suzanne i Perry przyglądali się temu ze zrozumiałymi obawami. Zgodzili się, że Richard najprawdopodobniej jest pijany. Nie mogli jednak nie zauważyć, jak bardzo tłum cieszy się z jego błazeństw.

- Wasz przyjaciel jest bardzo zabawny — usłyszał Perry tuż za plecami. Odwrócił się, by ujrzeć uroczą, może osiem-

151

nastoletnią dziewczynę. Miała wesołe błękitne oczy, które przypominały mu oczy Suzanne, i zaraźliwy uśmiech. Wy. ciągnęła dłoń. Perry nieśmiało przycisnął do niej swoją; czuł, jak na twarz wypływa mu rumieniec. Dziewczyna była rozbijająco atrakcyjna i kilkanaście centymetrów wyższa od niego.

- Mam na imię Luna - powiedziała głosem, od którego zmiękły mu kolana.

- Ja jestem Perry.

- Wiem. Jesteś bardzo pociągający. Widzę, że masz bielsze zęby niż Richard.

Perry zarumienił się jeszcze bardziej. Skinął głową.

- Dziękuję - wykrztusił z trudem. Wzrok Luny przesunął się na środek areny.

- Ty też potrafisz tańczyć tak jak Richard?

Perry spojrzał znów na nurka. Ten prezentował akurat własną interpretację breakdance'a; w tej chwili, leżąc na plecach, kręcił się w kółko z wyrzuconymi w powietrze nogami.

- Potrafiłbym, jak sądzę - powiedział wymijająco. - Może niezupełnie tak dobrze jak on.

Richard jest trochę bardziej ekstrawertywny niż ja. Ale, prawdę mówiąc, nie tańczyłem już od paru lat.

- Richard nie jest wcale gorszy niż klon rozrywkowy - stwierdziła Luna. Z zachwytem wpatrywała się w nurka, który wykonywał teraz moonwalk, ku wielkiej uciechu tłumy.

- Założę się, że takiego komplementu jeszcze nigdy nie słyszał - odparł Perry.

Michael, wieczny naśladowca, ujął dłoń jednej z otaczających go kobiet i za przykładem Richarda wszedł na obmurowanie basenu. Gdy tylko zaczął tańczyć, tuzin innych kobiet wspiął się na platformę, by przyłączyć się do zabawy. Richard i Michael znaleźli się nagle w otoczeniu gromady pięknych dziewcząt, które wymachując rękami i kołysząc biodrami, starały się ich naśladować - z mizernym skutkiem, zwłaszcza że dobrze już zawiani nurkowie sami mieli kłopoty ze skoordynowaniem swych ruchów z dziwnym rytmem muzyki.

152

paru co śmielszych interterrańskich mężczyzn także wdra-ło się na platformę, by spróbować dziwnego tańca. Richardowi nie przypadło to do gustu. Nie przerywając swych wygibasów, zbliżył się do nich i szybkimi, przesadnymi ruchami bioder zepchnął ich po kolei z platformy. Tłum, i nawet oni sami, byli zachwyceni, sądząc, że wszystko to jest elementem zabawy.

Po pół godzinie nieprzerwanego tańca nurkowie dotarli do kresu wytrzymałości. Richard, jak zawsze pierwszy, rozłożył ramiona, by ogarnąć uściskiem jak najwięcej kobiet, nim wśród chichotów zwałił się wraz z nimi na podłogę. Michael powtórzył jego manewr, powiększając tym kłębowisko nóg, rąk i lekko odzianych, spoconych torsów. Leżący nurkowie ochoczo przyciskali dłonie do wyciągających się ku nim rąk, a kobiety z nie mniejszym zapilem odwzajemniały im się pocałunkami. Na dany przez Araka znak klony robocze pospieszyły ku nim z napojami.

- To miejsce to raj na ziemi! - wykrzyknął Michael, pociągawszy wielki łyk ze świeżo napełnionego pucharu.

- Biedny Mazzola. Stary dobry nurek dzwonowy stracił taką zabawę - powiedział Richard.

- Jak myślisz, z czego oni robią ten kryształ? - zapytał Michael. Zajrzał w swój kielich. Płyn był idealnie przezroczysty.

- Kogo to obchodzi? - parsknął Richard. Demonstracyjnie objął ramieniem jedną z przytulonych do niego kobiet, przy okazji wylewając sobie trunek na pierś ku uciesze wszystkich, którzy zwrócili na to uwagę.

- Michael, mam coś dla ciebie - odezwała się niebieskooka brunetka.

- Co, kochanie? - zapytał Michael. Leżał na plecach i z tej pozycji patrzył na kobietę stojącą tuż przy podwyższeniu. Kobieta uśmiechnęła się i podniosła do góry mały słoik.

- Chcę, żebyś spróbował trochę kaldorfiny - powiedziała, odkręcając pokrywkę.

Wyciągnęła słoik ku niemu. Michael wolną dłonią zgarnął nieco kremistej zawartości. -J-o trochę więcej, niż potrzeba - powiedziała. - Ale to nie szkodzi.

153

- Przepraszam - odparł Michael. - Co mam z tym zrobić? - Podniósł maź do nosa i powąchał. Nie miała żadnego zapachu.

- Rozetrzyj to na dłoni — wyjaśniła dziewczyna. — Ja zrobię to samo, a potem zetkniemy się dłońmi.

- Hej, Richie! — zawołał Michael, próbując usiąść. — Mam tu coś nowego.

Richard nie odpowiedział. Starał się właśnie o kolejną dolewkę kryształu.

Michael roztarł krem na dłoni, po czym uniósł wzrok ku atrakcyjnej dziewczynie, która mu go dała. Robiła wrażenie sennej. Jej oczy były w półprzymknięte. Powoli uniosła rękę i Michael przycisnął dłoń do jej dłoni.

Skutek okazał się szybki i gwałtowny. Oczy Michaela otworzyły się szeroko, by znów zamknąć się w najwyższej rozkoszy. Przez kilka minut trwał w błogiej ekstazie, niezdolny do najmniejszego ruchu. Gdy wreszcie otrząsnął się, wyrwał słoik z rąk dziewczyny. Potrząsnął Richarda za ramię.

- Richie! - ryknął. - Musisz tego spróbować.

Richard próbował uwolnić się od niego, ale bezskutecznie.

- Nie widzisz, że jestem zajęty? - powiedział. Starał się właśnie pocałować dwie kobiety jednocześnie.

- Richie, musisz tego spróbować - powtórzył Michael. Wyciągnął ku niemu słoik.

- Co to jest, u diabła? - zapytał Richard. Uniósł się na łokciu.

- Krem do rąk - odparł Michael.

- Zawracasz mi głowę, żebym spróbował jakiegoś kremu do rąk? - W głosie Richarda brzmiało niedowierzenie. - Co się z tobą dzieje?

- Bierz - nalegał Michael. - Takiego czegoś jeszcze nie próbowałaś. To lepsze niż koka. Mówię ci, to dynamit!

Richard westchnął. Nabrał odrobinę kremu i roztarł go na dłoniach. Spojrzał na Michaela.

- No i co niby ma się teraz stać?

- Przyciśnij dłoń do dłoni jakiejś dziewczyny - powiedział Michael.

154

Richard kiwnął na jedną z dwóch, które przed chwilą całował, ale ona gestem dała mu znak, by poczekał. Sięgnęła po krem, wtarła go w dłoń i przycisnęła ją do dłoni Richarda. Efekt był taki sam jak u Michaela. Minęła minuta, nim nurek wyrwał się z błogiego odrętwienia.

- O mój Boże - wykrzyknął. - To było jak orgazm. Daj no jeszcze!

Michael porwał słoik sprzed jego wyciągniętej ręki.

- Znajdź sobie inny - powiedział.

Richard ponownie zamierzył się na słoik, ale Michael odepchnął jego dłoń.

Perry wyjaśniał właśnie Lunie, co oznacza bycie prezesem Benthic Marine, kiedy poczuł, że ktoś klepie go w ramię. To była Suzanne. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Richard i Michael zaczynają się sprzeczać. Martwią się. Arak pilnuje, żeby ich kielichy nigdy nie były puste i obaj są już porządnie pijani.

- O rany - jęknął Perry. - To może oznaczać kłopoty. - Spojrzał w kierunku nurków i zobaczył, że szarpią się i popychają nawzajem.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy tam i spróbujemy ich uspokoić - stwierdziła Suzanne.

- Może i masz rację - mruknął Perry. Nie miał ochoty opuszczać Luny.

- Niech się bawią - powiedział ktoś za plecami Suzanne. - Wszystkim się to podoba. Oni są tacy żywiołowi.

Suzanne odwróciła się, by ujrzeć tego samego mężczyznę, który wcześniej pytał ją, czy żyje z partnerem.

- Boimy się, że ich zachowanie może stać się groźne - odparła. - Nie chcemy nadużywać waszej gościnności.

- Niech Arak martwi się o ich zachowanie. Jak widzisz, sam zachęca ich do picia - stwierdził mężczyzna.

- Zauważyłam to. To nie jest dobry pomysł.

- Zostaw to Arakowi. On jest tu po to, by się o nich troszczyć, nie ty. Poza tym chciałbym przez chwilę porozmawiać z tobą na osobności.

- Naprawdę? - Prośba wprawiła ją w zakłopotanie. Jeszcze raz rzuciła okiem na nurków, by z ulgą stwierdzić, że

155

skończyli swą sprzeczkę i opadli z powrotem w gromadę otaczających ich kobiet. Spojrzała na Perry'ego, zastanawiając się, czy też słyszał prośbę mężczyzny. Słyszał. Uśmiechnął się figlarnie i szturchnął ją dla zachęty łokciem.

- Czemu nie? - szepnął, nachylając się do niej. - W końcu mamy się bawić, a ze strony nurków na razie nic nam nie grozi.

- Zajmę ci tylko chwilę - powiedział mężczyzna.

- Co miałaś na myśli, mówiąc: "na osobności"? - zapytała Suzanne. Wpatrywała się w rzeźbione rysy i przejrzyste oczy nieznajomego, i poczuła, że kręci jej się w głowie. Nigdy w życiu nie widziała tak klasycznie przystojnego mężczyzny, nie mówiąc już o prowadzeniu z nim rozmowy.

- Cóż, właściwie nie na osobności - odparł z rozbijającym uśmiechem. - Pomyślałem, że moglibyśmy po prostu odejść nieco na ubocze albo może wyjść na balkon. Chciałbym tylko móc porozmawiać z tobą przez chwilę sam na sam.

- Dobrze. - Suzanne jeszcze raz spojrzała na Perry'ego.

- Będę tutaj — uspokoił ją. — Razem z Luną. Suzanne pozwoliła poprowadzić się na schody.

- Mam na imię Garona - powiedział mężczyzna, gdy wspinali się schodami.

-Aja Suzanne Newell.

- Wiem. Doktor Suzanne Newell, jeśli chodzi o ścisłość.

Dotarli na szczyt schodów i oparli się o balustradę. W dole kłębił się rozbawiony tłum; do ich uszu dobiegały strzępy ożywionych rozmów. Większość ludzi skupiła się wokół basenu, gdzie królowali nurkowie ze swoim haremem. Tłum był zdyscyplinowany, przyjazny i uprzejmy. Ludzie stojący najbliżej tańczących stale ustępowali miejsca innym, stojącym głębiej, aby i ci mogli przyjrzeć się z bliska.

- Dziękuję, że ofiarowałaś mi tę chwilę - odezwał się Garona. - Wiem, że nie powinienem tak monopolizować twojego czasu.

_ Wszystko w porządku. Dobrze jest czasem wycofać się spojrzeć z góry na całość —

odparła Suzanne.

_ Poprosiłem cię o rozmowę, żeby powiedzieć ci, że nie potrafię ci się oprzeć - powiedział Garona.

Suzanne spojrzała badawczo w jego przystojną twarz. Spodziewała się zobaczyć przynajmniej lekki ślad figlarnego uśmiechu. On jednak patrzył na nią z ciepłym uśmiechem i uwagą, kładącą wiarę w jego absolutną szczerłość.

- Powtórz to jeszcze raz - powiedziała.

- Nie potrafię ci się oprzeć.

- Naprawdę? - zapytała. Zachichotała nerwowo.

- Naprawdę - padła odpowiedź.

Suzanne spojrzała znów w stronę tłumu, by spokojnie zastanowić się nad tym nieoczekiwanym spotkaniem. Zawahała się, nim na powrót zwróciła wzrok w jego stronę.

- Pochlebiasz mi, Garona - powiedziała. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Tak więc wybacz, jeśli jestem sceptyczna, ale wobec tych wszystkich cudownych i nieskazitelnych kobiet trudno jest mi uwierzyć, że możesz się mną interesować. To znaczy, znam swoje ograniczenia. Jeśli chodzi o urok, nie mogę konkurować z żadną z nich.

Uśmiech Garony nie zmienił się.

- Być może trudno jest ci w to uwierzyć — powiedział — ale taka jest prawda.

- Cóż, w takim razie pochlebiłeś mi szczerze - stwierdziła Suzanne. - Wytlumacz mi więc, dlaczego nie możesz mi się oprzeć.

- Trudno jest wypowiedzieć to słowami - odparł Garona.

- W każdym razie spróbuj.

- Przypuszczam, że jest to zasługa twojej świeżości i niewinności. A może chodzi o twój

zniewalający prymitywizm.

- Prymitywizm? - powtórzyła Suzanne. - Tak właśnie Arak określił Richarda.

- Cóż, on z całą pewnością również ma tę cechę.

-1 to ma być komplement?

- Tu, w Interterze, tak.

- Czym właściwie jest Interterra? I od jak dawna istnieje? - zapytała Suzanne.

157

Garona uśmiechnął się protekcyjnie, kręcąc głową.

- Zwrócono mi uwagę, bym nie odpowiadał na żadne pytania, z wyjątkiem czysto osobistych. Suzanne przewróciła oczami.

- Przepraszam - powiedziała z odrobiną sarkazmu. - Tak mi się tylko wymknęło.

- Nic nie szkodzi.

!

- A więc muszę wymyślić jakieś osobiste pytania?

- Jeżeli chcesz.

- Cóż... - Suzanne zastanowiła się chwilę. - Czy zawsze mieszkałeś tu, na dole?

Garona wybuchnął śmiechem, wystarczająco głośno, by przyciągnąć uwagę dwóch stojących w dole mężczyzn. Spojrzeli w górę, rozpoznawszy Garonę, pomachali mu i skierowali się w stronę schodów.

- Przepraszam za ten śmiech - powiedział - ale twoje pytanie podkreśla, jak jesteś cudownie niewinna. To takie odświeżające. Chciałbym, żebyśmy poznali się lepiej. Kiedy będziesz miała dość świętowania i zechcesz wyjść, proszę, daj mi znać. Z przyjemnością odprowadzę cię do domu. Moglibyśmy posiedzieć razem, przyciskając dłonie, zupełnie sami, tylko ty i ja. Co na to powiesz?

Suzanne z wrażenia otworzyła usta, gdy dotarło do niej prawdziwe znaczenie propozycji

Garony. Znów roześmiała się drwiąco.

- Garona, nie wierzę w to. Nie tak dawno zdawało mi się, że zaraz umrę. Teraz znalazłam się w cudownej krainie, gdzie olśniewająco przystojny facet podrywa mnie i chce przyjść do mojego pokoju. Co mam z tym zrobić?

- Po prostu powiedz "tak".

- Obawiam się, że jestem zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć tak gładko.

- Rozumiem to - odparł Garona. - Ale przy mnie możesz poczuć się lepiej i odprężyć się.

Suzanne pokręciła głową.

- Chyba nie do końca rozumiesz. Nie potrafię nawet zebrać myśli.

158

_ Podniecasz mnie — powiedział. — Jestem tobą oczarowany. Chcę być z tobą.

- Muszę dać ci wysoką ocenę za wytrwałość - odparła.

_ Dokończymy naszą rozmowę później - powiedział Ga-rona. - Nadchodzą moi przyjaciele.

Suzanne odwróciła się, by ujrzeć dwóch mężczyzn, którzy wcześniej zwrócili uwagę na śmiech Garony, a którzy teraz pokonali właśnie ostatnie stopnie schodów i zbliżali się do nich. Nie mogła nie zauważyć, że obaj atrakcyjnością nie ustępowali Garonie. Szli pod rękę, jak para zakochanych.

- Witajcie, Tarła i Reesta - zawołał Garona. - Poznaliście już naszego szacownego gościa, doktor Suzanne Newell?

- Jeszcze nie - odparli obaj zgodnym chórem. - Ale liczyliśmy na ten zaszczyt. - Ukłonili się elegancko.

Suzanne zmusiła się do uśmiechu. To wszystko było tak niezwykle. Zdawało jej się, że śni.

Richard wiedział, że jest pijany, ale z pewnością bywał już bardziej pijany w przeszłości.

Jego stan najwyraźniej nie odstraszał żadnej z kobiet, które nadal tłoczyły się wokół niego. Zdawał

sobie sprawę, że ich twarze zmieniały się, kiedy tańczył, co wskazywało na jakąś rotację, ale nie miało to żadnego znaczenia, skoro wszystkie były tak piękne.

Niechący zderzył się z Michaeliem, wystarczająco mocno, by obaj stracili równowagę.

Runęli na podłogę, zbyt bezwładni, by zrobić sobie krzywdę. Kiedy uświadomili sobie, co się stało, ryknęli śmiechem, aż w oczach pojawiły im się łzy.

- Co za impreza! - zawołał Michael, gdy doszedł do siebie na tyle, by móc mówić. Otarł oczy wierzchem dłoni.

- Nikt nam nie uwierzy, kiedy wrócimy do domu - powiedział Richard. - Szczególnie jak im powiemy, że każda 2 tych lasek jest do wzięcia. Jak bułka z masłem. To się w głowie nie mieści.

159

- Ci faceci po prostu mają to w nosie - stwierdził Michael. - Rany, patrz na tę dziewczynę!

- Którą? — Richard przeturlał się i spojrzał za Michaelern w kłębiący się tłum. Jego wzrok padł wreszcie na rudowłosą piękność idącą za rękę z małym chłopcem. — Ja cię kręcę - wymamrotał.

- Ja pierwszy ją zobaczyłem - powiedział Michael.

-Tak, aleja pierwszy ją dostanę.

- Nie ma mowy.

- Pieprz się - odparł Richard, gramoląc się na nogi.

Michael złapał kolegę za nogę, wytrącając go z równowagi. Richard upadł głową naprzód, zsunął się z krawędzi platformy i uderzył czołem o podłogę. Nie zrobił sobie krzywdy, ale upadek rozwścieczył go, zwłaszcza że Michael natychmiast rzucił się pędem w stronę dziewczyny.

Udało mu się wysunąć stopę w samą porę, by Michael potknął się o nią. Kiedy próbował wstać, Richard skoczył na niego z impetem. Przytrzymał go za fałdy tuniki, z całej siły zdzielił go pięścią w nos.

Na ten niespodziewany akt przemocy imprezowicze cofnęli się w popłochu. Widok krwi spływającej z rozbitego nosa wywołał zbiorowe westchnienie.

Michael zrzucił z siebie Richarda i podniósł się na nogi. Richard także próbował wstać, ale Michael rozłożył go ciosem wymierzonym w bok głowy.

- No już, skurwysynu - sztydził. - Wstawaj i walcz. - Krew spływała mu po podbródku, kapiąc na podłogę. Ledwo trzymał się na nogach.

Richard stanął na czworakach. Podniósł wzrok na Michaela.

- Jesteś trup! - ryknął.

- No już, fagasie! - odparł Michael.

Richard wstał, ale również nie mógł utrzymać się prosto.

Arak, który był dość daleko, kiedy zaczęła się bijatyka, przecisnął się przez oszołomiony, milczący tłum. Wszedł między pijanych nurków.

- Proszę - powiedział. - Jeśli jest jakiś problem, możemy rozwiązać go spokojnie.

160

- Zejdź mi z drogi - fuknął Richard. Odepchnął Araka • zamachnął się, by zdzielić Michaela w głowę. Michael zdążył uchylić się, ale stracił równowagę i runął na podłogę. Richard zachwiał się, gdy jego cios trafił w próżnię.

- Klony, obezwładnijcie gości! — ryknął Arak.

Richard i Michael zdołali jeszcze wyprostować się i wymienić kilka nieskutecznych ciosów, gdy do akcji wmieszały się dwa potężne klony. Każdy z nich zajął się jednym nurkiem, krępując go w niedźwiedzim uścisku. Richard i Michael szamotali się, próbując uderzyć jeden drugiego, dopóki nie odsunięto ich od siebie. W tym momencie przez tłum przedarł się Perry.

- Zapomnieliście, gdzie jesteście, idioci? - wrzasnął. - Na miłość boską, nie bijcie się! Co się z wami obydwoma dzieje?

- To on zaczął! - krzyknął Richard.

- To on zaczął! — wrzasnął Michael.

- Nie, to on.

- Nie, to on.

Zanim Perry zdążył odpowiedzieć na tę dziecinną wymianę zdań, nurkowie niespodzianie parsknęli śmiechem. Im dłużej na siebie patrzyli, tym głośniej się śmiali. Wkrótce ich wesołość zaraziła wszystkich z wyjątkiem Perry'ego i klonów roboczych. Na rozkaz Araka klony uwolniły nurków, którzy natychmiast przybili piątki.

- O co była ta bójka? - zapytał Arak Perry/ego.

- Wypili za dużo kryształu - odparł Perry.

-Może powinniśmy zaproponować im teraz coś słabszego?

- Tak, albo lepiej nie dawać im już nic.

J

- Ale nie chciałbym zepsuć imprezy. Wszyscy są nimi zachwyceni.

- To twoja impreza - odparł Perry.

Richard i Michael ruszyli znów w stronę platformy.

- Coś ci powiem - szepnął Richard. - Zrobimy to uczciwie. Zagramy o rudowłosą w marynarza.

- Dobra - odparł Michael.

- Ty obstawiaj. Parzyste czy nieparzyste?

" —Urowadzenie

161

- Parzyste.

Policzywszy do trzech, obaj wystawili po jednym palcu Michael uśmiechnął się z

satysfakcją.

- Moje górą! - wrzasnął.

- A niech to szlag - zaklął Richard.

- Ale gdzie ona jest, u diabła? — zapytał Michael. Nurkowie rozejrzeli się w tłumie.

- Jest tam - powiedział Richard. Pokazał palcem. - I cią gle jest z tym smarkaczem.

- Zaraz wracam - zawołał Michael. Popędził prosto do dziewczyny, która, jak zauważył, obserwowwała go z wielkim zainteresowaniem.

- Cześć, mała - powiedział, unikając wzrokiem towarzyszącego jej chłopca. - Mam na imię Michael.

- Ja jestem Mura. Jesteś ranny?

- Do diabła, nie! - odparł. - Mały pstryczek w nos nie zrobi staremu Michaelowi krzywdy. Nic z tych rzeczy.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni do widoku krwi - powiedziała Mura.

- Słuchaj! — Michael zmienił temat. — Może masz ochotę potrzebować się ze mną dłońmi? Mamy własną małą imprezkę przy basenie.

- Bardzo chciałabym zetknąć się z tobą dłońmi - odparła Mura. - Ale najpierw pozwól, że przedstawię ci Sarta.

- Tak, cześć, Sart - mruknął od niechcienia Michael. - Masz bardzo piękną mamuszkę, ale może poszedłbyś sobie j i pobawił się z kolegami.

Mura i Sart zachichotali. Michaelowi nie było do śmie- j chu.

- Zabawne, co? - zapytał rozdrażniony.

- Może raczej nieoczekiwane - wykrztusiła Mura. Michael ujął ją za ramię.

- Chodź, kochanie. - powiedział. - Zobaczymy się póź-, niej, Sart.

Krocząc dumnie mimo kilku nie planowanych potknięć, wrócił z Mura u boku do Richarda

i reszty grupy. Richard wyłuskał z tłumu dwie kobiety, które szczególnie demonstracyjnie okazywały zainteresowanie jego osobą. Przedsta-

162

wił je jako Meetę i Paleną. Jedna była blondynką, druga brunetką, obie zaś były niewiarygodnie zmysłowe.

_ Richie, poznaj Murę - powiedział z dumą Michael.

Richard udawał, że nie zauważa imponującej rudowłosej piękności. Obojętnie wycelował palec nad ramieniem Michaela, pytając o nastolatka. Michael odwrócił się i ku swemu rozdrażnieniu stwierdził, że chłopiec przywłókł się za nimi.

- Spadaj, mały - mruknął.

Mura zignorowała go i zachęciła Sarta, żeby podszedł bliżej. Przedstawiła go Richardowi.

- Cześć, miło mi cię poznać, Sart - powiedział Richard. - Ciebie też, Mura. Czemu oboje nie ulżycie sobie i nie usiądziecie?

- Z przyjemnością - odparła Mura.

- Jak najbardziej - dodał Sart.

Michael przewrócił oczami w stłumionej złości, wściekły, że Richardowi udało się pomniejszyć jego triumf. Przez chwilę miał ochotę położyć go trupem na miejscu.

- Hej, ty też, Mikey - dokuczał mu Richard. - Dalej, bra-chu, siadaj i wyluzuj się. Dobrze ci to zrobi. W końcu wszyscy jesteśmy tu jedną wielką, szczęśliwą rodziną.

Uwaga ta wywołała chichot wśród najbliższych stojących Interterran, co wprowadziło Michaela w jeszcze większe zakłopotanie. Nurek przełknął dumę i usiadł.

- Słuchaj, Mikey - ciągnął dalej Richard. - Moja mała seksblondyna, Meeta, właśnie powiedziała mi coś ciekawego. Wszyscy Interterranie uwielbiają pływać.

- Bez jaj - rozpromienił się Michael. - Powiedziałaś, że jesteśmy zawodowcami?
- Oczywiście. Ale coś mi się zdaje, że nie do końca rozumiały, o czym mówię. Wygląda na to, że pojęcie pracy jest dla nich dosyć obce.
- Jeżeli pływasz dla pracy, czy to oznacza, że lubisz pływać? - zapytała Meeta.
- Oczywiście, że lubimy pływać - odparł Michael.
- W takim razie może zrobimy sobie wspólną kąpiel? - zaproponowała Meeta.

163

- Czemu nie? - zgodziła się Mura. - Musicie trochę ochłoniąć.
 - Myślę, że to wspaniały pomysł - dodał Sart. Richard spojrział na kusząco błękitny basen.
 - Mówicie o pływaniu w tej chwili? - zapytał.
 - Jaka pora mogłaby być lepsza? - odparła Palenąue. -Wszyscy jesteśmy tacy zgrzani i spoceni.
 - Ale co z naszymi ubraniami? - powiedział Richard. -Pomoczymy je.
 - Nie nosimy ubrań, kiedy pływamy - odparła Meeta. Richard spojrział na Michaela.
 - To miejsce z każdą chwilą coraz bardziej mi się podoba -oświadczył.
 - I co? - zapytała Meeta. - Co mówią zawodowi pływacy? Richard przełknął ślinę. Bał się powiedzieć cokolwiek w obawie, że się obudzi.
 - Ja jestem za - krzyknął Michael.
 - Wspaniale! - powiedziała Meeta. Rażno zerwała się na nogi i pomogła wstać Palenąue.
- Sart podniósł się i podał rękę Murze. W mgnieniu oka wszyscy oni bez skrupowania zrzucili tuniki i szorty. Nadzy i wspaniali, czystym łukiem wskoczyli do wody i silnymi, wprawnymi ruchami popłynęli ku środkowi basenu.
- Richard i Michael przez chwilę byli zbyt oszołomieni, by pójść ich śladem. Rozejrzeli się po najbliższej stojących, ale ku ich tym większemu zaskoczeniu jedynie Perry zwrócił uwagę na to,

co się działo. Spojrzeli znów po sobie.

- Na co, u diabła, czekamy? - zapytał Richard z pijackim uśmiechem.

W pośpiechu dwaj nurkowie niezdarnie szamotali się, by uwolnić się z ubrań, pędząc jednocześnie w stronę basenu. Michael nie mógł poradzić sobie z szortami i omal nie przewrócił się w biegu. Richard miał więcej szczęścia. Już po chwili płynął szybko ku płyce na środku basenu.

Na miejscu został dosłownie zaatakowany przez Meetę i Paleną, które dla zabawy topiły go, nie dając mu wypłynąć. Przyjmował te tortury ze strony nagich piękności z rozkoszą, ale wkrótce zabrakło mu tchu. Gdy wreszcie

164

Michael dołączył do niego i wdał się w podobne igraszki z Murą, bowiem Sart i Paleną odpłynęli tymczasem na drugi koniec basenu, Richard z zadowoleniem spoczął leni-ynie u boku Meety. Znaleźli miejsce, gdzie obydwójce mogli usiąść z głowami wystającymi nad powierzchnię wody.

-Richard, Richard, Richard - wołała radośnie Meeta, przyciskając raz po raz dłoń do jego dłoni i gładząc go po głowie. - Jesteś najcudowniejszym gościem, jaki kiedykolwiek trafił do Saranty. Chyba nawet w całej Inter-terrze nie było takiego przez ostatnie kilka tysięcy lat.

- A myślałem, że tylko mamusia mnie doceniała - zażartował Richard.

- Znałeś swoją matkę? - zapytała Meeta. - Jakie to niezwykle.

- Oczywiście, że znałem swoją matkę. Czy ty nie znasz swojej?

- Nie - powiedziała Meeta ze śmiechem. - Nikt w Inter-terze nie zna swojej matki. Ale nie mówmy o tym. Może lepiej zaprosiłbyś mnie do swego pokoju?

- To jest myśl - przyznał Richard. - Ale co z twoją przyjaciółką, Paleną? Co jej powiemy?

- Co tylko zechcesz - odparła beztrąsko Meeta. - Ale najprościej byłoby ją również zaprosić. Jestem pewna, że zgodzi się przyjść. I Karenę. Wiem, że ona też ma ochotę.

Richard starał się zachować kamienną twarz, ale obawiał się, że jego zaskoczenie tym nieoczekiwanym uśmiechem losu było aż nazbyt widoczne. A przy tym wszystkim zaczął żałować, że wypił aż tak wiele.

Pochód, który wyruszył z pawilonu ku sali jadalnej, z pewnością nie należał do najcichszych. Suzanne, Perry i obaj nurkowie śpiewali na całe gardło stare piosenki Beatlesów, ku uciesze swych towarzyszy, którzy, o dziwo, znali ich słowa. Suzanne szła z Garoną, Perry z Luną, Richard z Meeta, Paleną i Kareną, zaś Michael z Murą i Sartem.

Choć Suzanne i Perry pilnowali się, by nie wypić zbyt wiele, ilość na jaką sobie pozwolili, wystarczająco poszła im do głowy. Daleko było im do stanu Richarda i Michaela, ale

165

oboje zdawali sobie sprawę, że są zawiani. Oboje też doskonale się bawili.

Arak pożegnał się z nimi, gdy uroczystość dobiegła końca i obiecał spotkać się z nimi rano.

Życzył im przyjemnego wypoczynku i podziękował, że wzięli udział w święcie.

- Hej! - zawołał Richard, kiedy skończyli Come Together. ~\ Czy wy, ludziska, nie macie jakichś własnych piosenek?

- Oczywiście, że mamy - odparła Meeta,

Interterranie, nie każąc się prosić, zaczęli śpiewać, lecz choć słowa ich pieśni były angielskie, rytm miała równie nieregularny, jak muzyka podczas uroczystości.

- Dość! To brzmi zbyt dziwnie. Wróćmy do Beatlesów -zawołał Richard.

- Richard, bądźmy sprawiedliwi — upomniała go Suzanne.

- Nic się nie stało - powiedziała Meeta. - My też wolimy wasze piosenki.

- Michael? Co ty, u diabła, robisz z tymi kielichami? -wykrzyknął Richard, widząc, że jego kumpel taszczy kilka pustych pucharów.

- Pytałem Araka - odparł Michael. - Powiedział mi, że mogę je wziąć. Są ze złota. Założę

się, że mam tu dość forsy na pierwszą ratę na nową furgonetkę.

Richard nachylił się i porwał mu jeden puchar.

- Hej, oddaj! - krzyknął Michael. Richard roześmiał się.

- Odsuń się. Rzucę ci z daleka.

Michael podał resztę pucharów Murze, po czym chwiejnym krokiem ruszył przed siebie.

Richard rzucił puchar jak piłkę, tak że spiralnym lotem wpadł prosto w ręce Michaela. Wyczyn ten wywołał gromkie brawa. Michael uklonił się, stracił równowagę i upadł. Pozostali odpowiedzieli śmiechem i nową salwą braw.

- Mamy zwierzaki, które bawią się w ten sposób - powiedziała Mura.

- Widziałam jakieś, kiedy lecieliśmy tutaj - odparła Suzanne. - Wyglądały jak zlepki różnych stworzeń.

- Tak właśnie jest - przyznała Mura.

- Czy macie tu jakieś gry sportowe? - zapytał Richard.

166

wrócił i odebrał od Mury swe puchary. Nie, nie uprawiamy sportu. Chyba że masz na myśli gry umysłowe, czy coś w tym rodzaju.

_ Do diabła, nie! - powiedział Richard. - Chodzi mi o coś takiego jak hokej, albo futbol.

- Nie. Nie mamy zawodów fizycznych - odparła Meeta.

- Dlaczego?

- To niepotrzebne - wyjaśniła. - A poza tym niezdrowe. Richard spojrział na Michaela.

- Nic dziwnego, że ci wszyscy faceci wyglądają na takich mięczaków - powiedział. Michael przytaknął ruchem głowy.

- Co powiecie na Lucy in the Sky with Diamonds! - podsunęła Suzanne. - Myślę, że to bardzo na czasie.

Kilka chwil później, wciąż śpiewając refren, grupa wtoczyła się do jadalni. Było ciemno, ale Interterranie w jakiś sposób sprowadzili światło. Perry miał właśnie zapytać, jak to zrobili, kiedy zauważył Donalda. Były oficer siedział milcząco w ciemnościach. Jego twarz była równie zawzięta jak wówczas, gdy wychodzili.

- Rany boskie, pan sztywniak wciąż siedzi tam, gdzie go zostawiliśmy - powiedział Richard.

Michael z dumną miną złożył na stole swoją kolekcję pucharów. Złoto brzęknęło donośnie.

Richard niepewnym krokiem podszedł do stołu naprzeciw Donalda. Za sobą, niczym trofea, ciągnął trzy kobiety.

-1 co, admirał Fuller - zaczął drwiącym tonem, salutując błazeńsko. - Jak sądzę, nasze obecne towarzystwo i łupy mówią ci, że naprawdę wiele straciłeś.

- Na pewno - odparł Donald z sarkazmem.

- Nie wyobrażasz sobie, jak tam było wspaniale, spryciarzu - mówił dalej Richard.

- Jesteś pijany, marynarzu - stwierdził pogardliwie Donald. - Na szczęście niektórzy z nas mają dość rozsądku, by nie dać się ogłupić.

- Świetnie! Pozwól, że ci powiem, co jest z tobą nie tak -powiedział Richard, celując drżącym palcem w twarz Donalda. - Wciąż ci się, kurna, zdaje, że jesteś w marynarce. Dobra, coś ci powiem. Nie jesteś.

167

- Jesteś nie tylko głupi - wycedził Donald. - Jesteś odrażający.

W umyśle Richarda coś zaskoczyło. Odepchnął kobiety i rzucił się przez marmurowy stół.

Mimo upojenia udało mu się wziąć mężczyznę przez zaskoczenie; dosiadł go okrakiem i wymierzył kilka mało skutecznych ciosów w głowę.

W odpowiedzi Donald zamknął Richarda w niedźwiedzi i uścisku. Spleceni ze sobą,

stoczyli się z fotela, na który i siedział Donald. Żaden nie mógł zrobić drugiemu większ i krzywdy, lecz mimo to nie przestali okładać się nawzaje i krótkimi ciosami. W ferworze walki zderzyli się ze stołei wskutek czego kolekcja pucharów Michaela runęła z wic kim brzękiem na podłogę.

Interterranie cofnęli się z przerażeniem. Suzanne i Per-ry wkroczyli do akcji. Nie było to łatwe, ale w końcu udało im się rozdzielić walczących. Tym razem to Richard miał rozbity nos.

- Ty skurwysynu - wybełkotał, gdy dotknął swego nosa i zobaczył krew.

- Masz szczęście, że przyjaciele cię obronili. Inaczej bym cię zabił - rzucił Donald.

- Dość już - zawołał Perry. - Przestańcie skakać na siebie. To niepoważne. Obaj zachowujecie się jak dzieci.

- Idiota! - rzucił Donald. Strącił podtrzymujące go ręce Perry'ego i poprawił na sobie tunikę.

- Dupek! - odparował Richard. Odsunął się od Suzanne i spojrzał na swoje trzy przyjaciółki.

- Chodźcie, dziewczyny! - powiedział. - Pójdziemy do mojego pokoju, żeby nie musiał już patrzeć na parszywą mordę tego gościa.

Zrobił kilka niepewnych kroków w ich stronę, ale one cofnęły się przed nim. Potem, bez jednego słowa, wszystkie trzy wybiegły w noc. Richard rzucił się za nimi, ale zatrzymał się na skraju trawnika. Kobiety były już w połowie drogi do pawilonu.

-Hej! - wrzasnął przez złożone dłonie. - Wracajcie! Meeta...

- Myślę, że pora, żebyś poszedł do łóżka - odezwała się Suzanne. — Narobiłeś już dość kłopotów jak na jedną noc.

168

Richard, zawiedziony i wściekły, odwrócił się w stronę sali- Trzasnął otwartą dłonią w blat stołu z taką siłą, że wszyscy obecni podskoczyli.

_ Kurwa! - wrzasnął.

Perry pchnięciem otworzył drzwi swego bungalowu i wpuścił Lunę przed sobą. Drżały mu

dłonie i starał się jak mógł, żeby to ukryć. Od dawna już nie był sam na sam z kobietą taką jak ta. Nie miał pojęcia, czy jego niepokój wypływa z poczucia winy wobec żony, czy ze świadomości, że Luna jest jeszcze bardzo młoda. Na domiar złego był lekko zawiany, ale jeszcze silniej niż kryształ działał na niego fakt, że przecudowna młoda kobieta mogła uznać go za atrakcyjnego. Choć zmagał się ze zdenerwowaniem, starczyło mu wrażliwości, by spostrzec, że Luna również jest poruszona.

- Masz na coś ochotę? - zapytał. - Podobno mam tu do dyspozycji jedzenie i picie. -

Przyglądał się, jak dziewczyna podchodzi do basenu i pochyła się, by sprawdzić temperaturę wody.

- Nie, dziękuję - odparła. Zaczęła krążyć bez celu po pokoju.

- Wydajesz się zdenerwowana - powiedział Perry. Nie wiedząc za bardzo, co robić, podszedł i usiadł na łóżku.

- Bo jestem - przyznała Luna. - Nigdy nie widziałam, żeby ktoś zachowywał się tak jak Richard.

- Nie jest naszym najlepszym ambasadorem - odparł Perry.

- Czy tam, skąd pochodzisz, jest wielu takich jak on?

- Niestety, ten typ nie należy do rzadkości. Agresja przechodzi zazwyczaj z pokolenia na pokolenie. Luna pokręciła głową.

- Ale co wyzwala tę agresję?

Perry podrapał się w głowę. Nie zamierzał wdawać się w dyskusję socjologiczną ani nie sądził, by był w tej chwili do niej zdolny. Jednocześnie czuł, że powinien coś powiedzieć. Luna patrzyła na niego uważnie.

- No cóż, zobaczymy - zaczął. - Właściwie nigdy nie za-

niezadowolenia z powodu zawyżonych oczekiwań i poczucia, że wszystko nam się należy. Nikt ni-
gdy nie jest w pełni usatysfakcjonowany.

- Nie rozumiem - odparła Luna.

- Wyjaśnię ci to na przykładzie. Jeśli ktoś kupi sobie for-1 da explorera, następną rzeczą,
jaką widzi, jest reklama lin- j colna navigatora, po której explorer przestaje być dla niego j
atrakcyjny.

- Nie wiem, co to takiego.

- Po prostu przedmioty - powiedział Perry. - A nieusta- i jąca reklama wpaja w nas
przekonanie, że to nigdy nie są właściwe przedmioty.

-Nie rozumiem takiej zachłanności. W Interterze nie mamy nic w tym rodzaju —
stwierdziła Luna.

- Cóż, w takim razie trudno to wytłumaczyć - przyznał Perry. - W każdym razie istnieje
wiele niezadowolenia, które szczególnie daje się we znaki w biednych rodzinach, które mają
jeszcze mniej tego wszystkiego niż inni, i w takich rodzinach często zdarza się, że ludzie odbijają
sobie poczucie krzywdy na sobie nawzajem.

- To smutne. I przerażające.

- Być może - zgodził się Perry. - Ale w pewnym sensie uczy się nas nie zwracać na to
uwagi, ponieważ wszystko to napędza naszą gospodarkę.

- To dziwne, że może istnieć społeczeństwo, które zachęca do przemocy - powiedziała
Luna. - Przemoc jest dla nas czymś szokującym, bo tu, w Interterze się jej nie spotyka.

-Nigdy?

-Tak, nigdy. Nie widziałam jeszcze, żeby jeden człowiek uderzył drugiego. Słabo mi się
robi na ten widok.

- Więc może usiądź. - Perry poklepał dłonią łóżko. Miał niemiłe wrażenie, że jest

przezroczyście. Mimo wszystko Luna podeszła do łóżka i usiadła obok niego. - Nie kręci ci się w głowie, prawda? - zapytał, usiłując nawiązać rozmowę, skoro znalazła się tak blisko niego. - To znaczy, nie masz chyba zamiaru zemdleć?

- Nie, przejdzie mi.

170

Perry spojrzał w błękitne oczy Luny. Na chwilę odebrało mu mowę.

- Wiesz, jesteś bardzo młoda - powiedział, kiedy ją odzyskał.

- Młoda? - zdziwiła się. - Co to ma do rzeczy?

-Cóż... - Przez chwilę szukał odpowiednich słów. Sam nie był pewien, czy chodziło mu o jej reakcję na zachowanie Richarda, czy o własną reakcję na jej osobę. - Z wiekiem nabiera się doświadczenia. Być może nie zdążyłaś jeszcze zetknąć się z przemocą.

- Posłuchaj, tu nie ma przemocy - odparła. - Została wyeliminowana. Poza tym wcale nie jestem tak młoda, jak sobie prawdopodobnie wyobrażasz. Ile twoim zdaniem mam lat?

- Nie wiem - zająknął się Perry. - Około dwudziestu.

- Teraz ty wydajesz się zdenerwowany.

- Chyba trochę jestem - przyznał. - Mogłabyś być moją córką. Luna uśmiechnęła się.

- Zapewniam cię, że mam więcej niż dwadzieścia lat. Czy teraz ci ulżyło?

- Trochę - przyznał Perry. - Właściwie nie wiem, dlaczego czuję się taki spięty. Wszystko tu jest bardzo sympatyczne, a jednak ma w sobie coś onieśmielającego.

- Rozumiem. - Luna znów uśmiechnęła się i uniosła ręce. Perry nieśmiało przyłożył dłonie do jej dłoni.

- Co to właściwie oznacza? - zapytał.

- To po prostu sposób, w jaki okazujemy miłość i szacunek. Nie podoba ci się?

- Jeśli chodzi o okazywanie miłości, jestem zwolennikiem pocałunków - odparł.

- To jest to, co robił Richard na imprezie?

- Moja technika jest trochę delikatniejsza.

- Pokaż mi.

Perry wziął oddech, pochylił się i lekko pocałował Lunę w usta. Gdy się odsunął, Luna ostrożnie dotknęła warg koniuszkami palców, jak gdyby zaskoczona tym doznaniem.

- Nie podoba ci się to? - zapytał.

171

Pokręciła głową.

;

- Moje palce i dłonie są chyba bardziej wrażliwe niż wargi. Ale pokaż mi więcej.

Perry nerwowo przełknął ślinę.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej — odparła. Przysunęła się bliżej, spoglądając na niego rozmarzonym wzrokiem. - Jesteś niezwykłe pociągający, panie prezesie Benthic Marine.

Perry otoczył ją ramionami i razem opadli na białą kasz mirową narzutę.

Michael był w siódmym niebie. Mura była kobietą jego marzeń. Nie mógł trafić lepiej. Nie przeszkadzała mu nawet ciągła obecność Sarta. Chłopiec odszedł do basenu, zostawiając go sam na sam z Murą.

Kiedy był bliski omdlenia z niewysłowionej rozkoszy, jego uniesienie przerwało nagle pukanie do drzwi. Próbował je zignorować, ale w końcu, nagi jak go Pan Bóg stworzył, wstał i poczłapał do drzwi. Stojąc na nogach, czuł się jeszcze bardziej pijany.

- Kto tam, u diabła? - warknął.

- To ja, twój kumpel Richard. Michael otworzył drzwi.

- O co chodzi?

- O nic - odparł Richard, zapuszczając żurawia do środka. - Po prostu pomyślałem sobie, że może potrzebujesz pomocy, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Otępiały mózg Michaela dopiero po chwili pochwycił sens słów Richarda. Nurek obejrzał się w stronę czekającej na okrągłym łożu Mury, potem znów przeniósł wzrok na Richarda.

- Jaja sobie robisz? - zapytał.

- Nie - odparł Richard. Uśmiechnął się krzywo.

- Mura! Zgadzasz się, żeby Richard wszedł i przyłączył się do nas?! - zawołał Michael.

- Tylko jeśli obieca, że będzie się przyzwoicie zachowywał! - odkrzyknęła Mura.

Michael znów spojrział na Richarda, udając zaskoczenie.

172

_ Słyszałeś, co powiedziała dama - powiedział z szelmowskim uśmiechem. Otworzył szerzej drzwi i wpuścił kumpla do środka. Kiedy mężczyźni zbliżyli się do łóżka, Mura wyciągnęła w górę obie dłonie.

- Chodźcie, dwaj prymitywi! Niech przycisnę dłonie z wami obydwoma! - zawołała.

Nurkowie spojrzeli po sobie z radosnym niedowierzaniem. Michael natychmiast z powrotem wgramolił się do łóżka. Richard wyplątał się ze swego satynowego przyodziewku i usadowił się obok Mury.

- Jesteście dosyć swobodni w miłości - powiedział.

- To prawda - odparła Mura. - Mamy wiele miłości. To nasze bogactwo.

Już wkrótce pijani nurkowie omdlewali z rozkoszy w ramionach Mury. Nie był to seks w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż w swoim zamroczeniu żaden z nich nie był do niego zdolny, ale i tak czuli się jak w raj.

Sart obserwował nadejście Richarda z drugiego końca basenu. Czuł do niego zarówno pociąg, jak i odrazę. Przede wszystkim jednak był zaniepokojony. Zmęczony się pływaniem,

wyszedł z wody. Wysuszył się, po czym podszedł do pogrążonej w błogostanie trójki. Mura uśmiechnęła się do niego. Ramionami obejmowała śpiących kamiennym snem nurków. Ruchem ręki zaprosiła Sarta, żeby usiadł na łóżku. Delikatnie głaskała plecy obu nurków, ale chętnie pozwoliła, by Sart sam zajął się Richardem. Dzięki temu mogła poświęcić całą uwagę Michaelowi.

Sart z początku gładził tylko plecy Richarda tak jak przedtem Mura, lecz wkrótce, znudzony się tym, zaczął improwizować. Najpierw przeciągnął dłonią po jego odsłoniętym ramieniu i barku. Jego skóra wydała mu się intrygująco dziwna w dotyku. Nie była tak jędrna jak skóra Interter-ran i miała mnóstwo dziwnych, drobnych niedoskonałości. Sart skierował uwagę na głowę Richarda, gdzie tuż nad uchem, na linii włosów, zauważył małe, niewyraźne, sinawe przebarwienie. Gdy pochylił się, by dokładniej zbadać to płaskie znamię i dotykał go delikatnie czubkiem palca, Richard znenacka otworzył oczy.

173

Sart obdarzył go rozmarzonym uśmiechem i wrócił do delikatnego głaskania.

- Co jest? — ryknął Richard. Odepchnął dłoń Sarta i z pijacką niezdarnością wyskoczył z łóżka.

Sart również wstał. Zastanawiał się, czy przypadkiem znamię nad uchem Richarda nie było jakimś szczególnie wrażliwym miejscem. Może nie powinien był go do-, tykać.

Gwałtowny ruch Richarda obudził Michaela. Śpiący i oszołomiony nurek usiadł mimo powstrzymującego go ramienia Mury, by ujrzeć swego kumpla, który chwiejąc się na nogach, mierzył wściekłym wzrokiem Sarta stojącego obok ze skruszoną miną.

- O co chodzi, Richie? - zapytał niewyraźnym, ochrypłym głosem.

Richard nie odpowiedział. Przeciągnął ręką po czole, cały czas patrząc wściekle na Sarta.

- Co się stało, Sart? - zapytała Mura.

- Dotknąłem znamienia Richarda - wyjaśnił chłopak. - Tego nad uchem. Przepraszam.

- Michael, chodź tutaj — warknął Richard, kiwając na niego. Niepewnym krokiem ruszył w stronę basenu.

Michael, jeszcze nieprzytomny od snu, wstał i powlókł się za Richardem. Zataczając się, dwaj mężczyźni odeszli poza zasięg słuchu. Michael spostrzegł, że Richard jest wzburzony do ostatnich granic.

- Co się dzieje? - zapytał szeptem. Richard otarł usta wierzchem dłoni. Raz po raz rzucał Sartowi przez ramię nienawistne spojrzenie.

- Chyba już wiem, dlaczego ci goście nie przejmują się, że podrywamy ich kobiety - wyszeptał w odpowiedzi.

- Dlaczego? - zapytał Michael.

- Myślę, że to wszystko banda pedałów.

- Naprawdę? - Michael obejrzał się na Sarta. Podczas imprezy widok licznych spacerujących parami mężczyzn istotnie wzbudził w nim pewne podejrzenia, ale szybko zapomniał o tym w ogólnym podnieceniu.

- Tak, i powiem ci coś jeszcze - dodał Richard. - Ten dur-

174

ny szczeniak głaskał mnie po plecach i po głowie. Przez cały czas myślałem, że to dziewczyna. Ku jego rozgoryczeniu Michael wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne — warknął Richard.

- Założę się, że Mazzola by się tym ubawił - odparł Michael.

- Jeśli powiesz Mazzoli, zakatrupię cię - syknął Richard.

- Ty i dziesięciu innych - zadrwił Michael. - A póki co, co masz zamiar zrobić?

- Myślę, że powinniśmy pokazać temu małemu skurwielowi, co myślimy o takich jak on -

odparł Richard. - Rany boskie, obmacał mnie dokładnie. Nie zamierzam puścić tego płazem. Nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek z tych ludzi miał jakieś fałszywe wyobrażenia co do naszych upodobań w tej materii.

- W porządku - powiedział Michael. - Trzymam z tobą. Co wymyśliłeś?

- Po pierwsze, pozbądź się dziewczyny.

- Och, nie! Czy to konieczne?

- Bezwzględnie - odparł niecierpliwie Richard. - I nie rób takiej zbolącej miny. Możesz powiedzieć jej, żeby przyszła jutro. Musimy dać temu gościowi nauczkę i nie życzymy sobie publiczności. Zacznie się drzeć jak wariatka i zanim się zorientujesz, będziesz miał kupę klonów roboczych na karku.

- No dobrze - ustąpił Michael. Zacerpnął powietrza, by dodać sobie otuchy i ruszył w stronę łóżka.

- Czy z Richardem wszystko w porządku? - zapytała Mura.

- W porządku - odparł. - Ale jest zmęczony. Prawdę mówiąc, obaj jesteśmy zmęczeni.

Można nawet powiedzieć, że wyczerpani. A do tego, jak pewnie sama zauważyłaś, pijani.

- To mi nie przeszkadza. Naprawdę dobrze się bawiłam.

- To miło - stwierdził Michael. - Ale pomyśleliśmy właśnie, że może dobrze byłoby odłożyć dalsze przyciskanie dłoni do jutra. To znaczy, chyba lepiej byłoby, gdybyś sobie poszła.

- Oczywiście - odparła Mura bez wahania. Natychmiast wyslizgnęła się z łóżka i zaczęła się ubierać. Sart zrobił to samo.

175

- Nie chcę, żebyś źle to odebrała. Chciałbym spotkać się z tobą jutro — powiedział Michael.

- Masz prawo być zmęczony - uspokoiła go Mura. - Nie przejmuj się. Jesteście naszymi

gośćmi. Wróć jutro, jeśli tylko chcesz.

Sart zacisnął swój pleciony sznur wokół talii i jeszcze raz spojrzął na Richarda, który nie ruszył się ze swego miejsca w połowie drogi między łóżkiem a basenem.

- Sart - odezwał się Michael, idąc za wzrokiem chłopca. - Może zostałbyś jeszcze chwilę?

Richard chce cię przeprosić, że przestraszył cię, kiedy wyskoczył z łóżka.

Sart spojrzął na Murę. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz, przyjacielu - powiedziała. Znow przeniósł wzrok na Michaela, który uśmiechnął się i mrugnął do niego.

- Skoro goście chcą, żebym został, zostanę - zdecydował. Lekko rozkołysanym krokiem podszedł do łóżka i usiadł.

- Wspaniale - powiedział Michael.

Mura skończyła się ubierać. Podeszła do Michaela, a następnie do Richarda, by ostatni raz przycisnąć dłoń do ich dłoni. Powiedziała im, że miło jej było spędzić z nimi czas i że nie może się doczekać następnego spotkania. Wychodząc, życzyła im dobrej nocy.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, zapadła krótka, niezręczna cisza. Richard i Michael wbili wzrok w Sarta. Sart patrzył to na jednego, to na drugiego z nich. Poruszył się niespokojnie. Wstał.

- Może zamówię jeszcze coś do picia - powiedział, żeby nawiązać rozmowę.

Richard uśmiechnął się sztywno i pokręcił głową. Podszedł do chłopca krokiem, który wskazywał, że niezbyt dobrze wie, gdzie są jego stopy.

- A może coś do jedzenia? - ponowił próbę Sart. Richard jeszcze raz pokręcił głową.

Dzieliła ich już tylko odległość ramienia. Sart zrobił krok w tył.

- Ja i mój kumpel mamy ci coś ważnego do powiedzenia -odezwał się Richard.

- Właśnie - zawtórował mu Michael. Równie niepewnym

krokiem obszedł łóżko dookoła i stanął obok Richarda, zamykając Sarta w rogu między łóżkiem a ścianą.

- Mówiąc wprost, żeby nie było nieporozumień — ciągnął dalej Richard - nie znosimy takich ciot jak ty.

- Rzygać nam się chce na ich widok - dodał Michael. Sart spoglądał nerwowo to na jedną, to na drugą pijaną, wykrzywioną szyderstwem twarz.

- Chyba lepiej już pójdę - wyjąkał.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie upewnimy się, że dobrze zrozumiałeś, o czym mowa - powiedział Richard.

- Nie wiem, co znaczy słowo "ciota" - przyznał Sart.

- Homo, gej, cwel, pedał - wycedził Richard. - Określenie nie ma znaczenia. Chodzi o to, że nie lubimy facetów, którzy lubią mężczyzn. A coś nam się zdaje, że ty należysz do tej kategorii.

- Oczywiście, że lubię mężczyzn. Lubię wszystkich ludzi - odparł Sart.

Richard spojrzał na Michaela, po czym znów wbił wzrok w Sarta.

- Biseksów też to dotyczy.

Sart rzucił się do drzwi, ale nie zdążył już tam dotrzeć, gdyż Richard złapał go za ramię, podczas gdy Michael chwycił w garść jego włosy.

Richard szybkim ruchem ujął drugie ramię chłopca i z triumfalnym śmiechem wykręcił je oba do tyłu. Sart się szamotał, ale bezskutecznie, tym bardziej że drugi nurek wciąż trzymał pęk jego włosów. Kiedy chłopiec był unieruchomiony, Michael wymierzył mu cios w brzuch, aż ten zgiął się wpół.

Obaj nurkowie puścili chłopca, by ze śmiechem przyglądać się jego chwiejnym krokom.

Sart rozpaczliwie łapał powietrze. Twarz mu spąsowiała.

- W porządku, panienko - wybełkotał Richard. - To za kładzenie na mnie swoich

parszywych łap.

Lewą dłonią uniósł twarz Sarta, a prawą wymierzył mu cios. Nie było to zwykłe uderzenie, ale raczej dziki, szeroki zamach, w który włożył całą siłę. Za drugim razem trafił chłopca prosto w twarz, miażdżąc mu nos i zwalając go

12 •— Urowadzenie

177

z nóg. Sart zatoczył się w tył. Padając, wyrznął głową w ostry kant marmurowego stolika nocnego, który zagłębił się na kilka cali w jego czaszkę.

Richard początkowo nie zdawał sobie sprawy z fatalnych j skutków swego potężnego ciosu.

Zbyt przejęty był silnym bólem swych potłuczonych kostek. Krzywiąc się i klnąc głośno, masował obolałą dłoń.

Michael z przerażeniem przyglądał się, jak bezwładne ciało Sarta pada i nieruchomieje. Z paskudnej rany wypływały strzępy tkanki mózgowej. Nagle otrzeźwiały nurek pochylił się nad rannym. Z ust chłopca wydobywał się bulgocący dźwięk.

- Richard! Mamy problem! - zawołał głośnym szeptem. Tamten nie odpowiedział. Zajęty swym bólem krążył po pokoju, wymachując w powietrzu rozpostartą dłonią. Michael wstał.

- Richard! Chryste! Facet nie żyje!

- Nie żyje? - powtórzył Richard. Ostateczność tych słów dotarła wreszcie do jego świadomości.

-No, prawie. Ma dziurę w głowie. Uderzył w ten pieprzony stolik.

Richard podszedł chwiejnym krokiem do Michaela i spojrzał na nieruchomą postać Sarta.

- Jasna dupa! - zaklął.

- Cholera, co my teraz zrobimy? - jęczał Michael. - Musiałeś uderzyć go tak kurewsko mocno?

- Nie chciałem tego, jasne?! - wrzasnął Richard.

- No fajnie, ale co teraz zrobimy? - powtórzył Michael.

- Nie wiem - odparł Richard.

Sponiewierane ciało Sarta wydało ostatnie tchnienie i bulgotanie ustało.

- Otóż to - powiedział Michael, wzdrygając się. - Nie żyje. Musimy coś zrobić, i to szybko.

- Może powinniśmy stąd zwać - podsunął Richard.

- Nie możemy stąd zwać - uziemił go Michael. - Dokąd mielibyśmy pójść? Do diabła, nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

- Dobra, niech pomyślę - powiedział Richard. - Kurwa, nie chciałem zrobić mu krzywdy.

178

- Och, pewnie - mruknął zgryźliwie Michael.

»

- Dobra, nie aż taką.

- Co będzie, jak ktoś tu wejdzie?

- Masz rację. Musimy ukryć ciało.

- Gdzie?

- Nie wiem! - ryknął Richard. Rozejrzał się gorączkowo po pokoju. Potem znów spojrzał na Michaela. - Chyba mam pomysł.

- Świetnie - odparł Michael. - Gdzie?

- Najpierw pomóż mi go podnieść — powiedział Richard. Stanął okrakiem nad ciałem, obrócił je, po czym ujął je pod pachami.

Michael chwycił stopy Sarta i razem dźwignęli ciało z podłogi.

Rozdział 12

Nowy dzień budził się z wolna, zupełnie jak na powierzchni. Światło stopniowo przybierało

na sile, przyćmiewając gwiazdy na ciemnym jeszcze sklepieniu. Jego głęboki fiolet ustąpił miejsca różowościom i czerwieniom, by w końcu przybrać barwę czystego, błękitnego nieba. Saranta zaczęła się ożywiać.

Suzanne pierwsza spośród gości z powierzchni Ziemi obudziła się, gdy nastał sztuczny świt. Rozejrzała się po pokoju, omiotła wzrokiem białe marmury, lustra i basen, i uświadomiła sobie, że niezwykle przeżycia poprzedniego dnia nie były snem, lecz rzeczywistością.

Powoli odwróciła głowę w bok i spojrzała na uszpioną postać Garony. Leżał na boku, twarzą do niej. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że pozwoliła mężczyźnie zostać na noc. Nie było to jej zwyczajem. Zachowała jednak pewną wstrzemięźliwość, zdecydowanie odmawiając zdjęcia jedwabnej tuniki i szortów. Spędziła tę noc kompletnie ubrana.

Nie była pewna, czy swą decyzję złożyć na karb odrobiny kryształu, którą wypiła, czy urzekła ją po prostu uroda i zniewalające pochlebstwa Garony. Choć nie lubiła się do tego przyznawać, w wypadku mężczyzn zewnętrzna atrakcyjność miała dla niej bardzo duże znaczenie.

W istocie to właśnie było jednym z powodów, dla którego tam, w Los Angeles, tkwiła w burzliwym związku z aktorem długo po tym, jak przestało to wychodzić jej na dobre.

Jak gdyby wyczuwając na sobie jej wzrok, Garona otworzył swe ciemne, przejrzyste oczy i uśmiechnął się sennie. Suzanne trudno było żałować swej decyzji.

180

- Przepraszam, jeśli cię obudziłam - powiedziała z trudem. W pierwszym świetle dnia Garona był równie przystojny jak poprzedniej nocy.

- Proszę, nie przepraszaj - odparł. - Cieszę się, że się obudziłem, by zobaczyć, że wciąż jestem z tobą.

- Jak to się dzieje, że zawsze mówisz to, co trzeba? - zapytała Suzanne. Była szczerą, nie uszczypliwą.

- Mówię to, co chciałybym, żeby zostało powiedziane - padła odpowiedź.

Suzanne skinęła głową. Była to rozsądna odmiana zasady "postępuj z innymi tak, jak chciałbyś, aby postępowano z tobą".

Garona przeturlał się bliżej, chcąc objąć ją ramionami, ale ona wyślizgnęła się z jego uścisku i wyskoczyła z łóżka.

- Proszę, Garona. Nie powtarzajmy wczorajszej nocy. Nie teraz.

Mężczyzna opadł z powrotem na łóżko i patrzył na nią z dołu.

- Nie rozumiem twojej niechęci - powiedział. - Czy to możliwe, że nie zależy ci na mnie?

Suzanne jęknęła.

- Och, Garona, nie mieści mi się w głowie, dlaczego tak trudno jest ci to pojąć przy całym twoim doświadczeniu i wrażliwości. Jak powiedziałam ci wczoraj, potrzebuję trochę czasu, żeby kogoś poznać.

- Co musisz wiedzieć? Możesz zadać mi każde osobiste pytanie, jakie chcesz.

- Zrozum - powiedziała Suzanne. - Oczywiście, że zależy mi na tobie. Już samo to, że pozwoliłam ci zostać, jest tego dowodem. Nie mam w zwyczaju spędzać nocy z kimś, kogo znam od tak niedawna. A jednak pozwoliłam ci zostać i cieszę się, że to zrobiłam. Ale nie możesz oczekiwać ode mnie zbyt wiele. Pamiętaj, że wszystko tu jest dla mnie nowe.

- Ale to nienaturalne - oburzył się Garona. - Nie powinnaś tak ograniczać swoich emocji.

- Nieprawda! - stwierdziła Suzanne. - To się nazywa samoobrona. Nie mogę pozwalać, by chwilowe pragnienia kie-

181

rowały moim zachowaniem. I tak samo powinno być z tobą. W końcu nic o mnie nie wiesz. Może mam męża albo kochankę.

- Przypuszczam, że masz - odparł Garona. - Byłbym zdumiony, gdyby było inaczej. Tak czy

owak, to nie ma znaczenia.

-To miło. - Suzanne buntowniczo oparła ręce na biodrach. — Dla ciebie to nie ma znaczenia, ale co ze mną? — Urwała nagle. Potarła dłonią zaspane oczy. Wpadała w coraz większe rozgorączkowanie, a przecież dopiero co wstała z łóżka. - Nie rozmawiajmy o tym teraz - poprosiła. - Ten dzień będzie i tak dość ciężki. Arak obiecał odpowiedzieć na nasze pytania, a wierz mi, mam ich wiele.

Podeszła do jednego z licznych luster i ostrożnie spojrzała na swoje odbicie. Skrzywiła się.

Mogła mieć mętlik w głowie, ale jedno wiedziała na pewno: w tak krótkich włosach nie wyglądała najlepiej.

Garona usiadł i przeciągnął się.

- Wy, ludzie drugiej generacji, jesteście tak poważni.

- Nie wiem, co rozumiesz przez drugą generację - odparła Suzanne. - Ale myślę, że mam powody do powagi. Ostatecznie, nie przybyłam tu z własnej woli. Jak powiedział Donald, zostaliśmy porwani. A nie muszę ci chyba przypominać, że to oznacza, że uprowadzono nas siłą.

Zgodnie z obietnicą, Arak zjawił się u nich tuż po śniadaniu i zapytał, czy wszyscy są gotowi na sesję dydaktyczną. Perry i Suzanne okazali wyraźny entuzjazm, Donald nieco mniejszy, zaś Richard i Michael kompletną obojętność. W ogóle zresztą byli spięci i zgaszeni, co zupełnie nie przypominało ich zwykłego zuchwalstwa. Perry uznał, że cierpią na kaca i podsunął tę myśl Suzanne.

- Nie wątpię - odparła. - Biorąc pod uwagę, jak byli pijani, wcale mnie to nie dziwi. A jak ty się czujesz?

- Świetnie - przyznał Perry. - Zważywszy okoliczności. To był interesujący wieczór. Co z twoim przyjacielem Garona? Został długo?

-Jakiś czas - odparła wymijająco Suzanne. - A jak Luna?

- Tak samo — powiedział Perry. Oboje unikali nawzajem swego wzroku.

Gdy tylko grupa była gotowa, Arak poprowadził ich przez trawnik w stronę półkulistego budynku, podobnego do centralnego pawilonu, choć znacznie mniejszego. Perry i Suzanne szli obok niego. Donald włókł się kilka kroków za nimi, a Richard i Michael jeszcze bardziej z tyłu.

- Myślę, że powinniśmy jednak powiedzieć Donaldowi -szepnął Michael. - Może coś wymyśli.

- Co on może tu, do cholery, zdziałać? Dzieciak nie żyje. Fuller go nie wskrzesi - odparł Richard.

- Może będzie miał lepszy pomysł, co zrobić z ciałem -powiedział Michael. - Boję się, że ktoś je znajdzie. Nie chciałbym, żebyś sprawdził na sobie, co oni robią z mordercami.

Richard stanął jak wryty.

- Co to znaczy: ja?

- W końcu to ty go zabiłeś - stwierdził Michael.

- Ty też go uderzyłeś - przypomniał Richard.

- Ale nie ja go zabiłem - odparł Michael. - A cała sprawa to był twój pomysł.

Richard spiorunował go wzrokiem.

- Tkwimy w tym razem, szmaciarzu. To twój pokój. Cokolwiek przytrafi się mnie, przytrafi się i tobie. To jasne jak słońce.

- Hej, wy! Pospieszcie się! - zawołał Arak. Przytrzymał otwarte drzwi do małej, kopulastej, pozbawionej okien budowli. Reszta grupy stała z boku, oglądając się w stronę nurków.

- Tak czy owak, sprawa jest taka, że ciało leży prawie na wierzchu. Musisz zapytać Donalda, czy potrafi wymyślić dla niego lepsze miejsce. Może i jest mendowatym eks-ofi-cerem, ale ma łeb - szepnął nerwowo Michael.

- W porządku - mruknął z niechęcią Richard.

Dwaj nurkowie przyspieszyli kroku i dopędzili pozostałych. Arak uśmiechnął się miło, po czym wszedł do budynku. Suzanne i Perry poszli natychmiast w jego ślady. Gdy Donald przekraczał próg, Richard pociągnął go za rękaw. Donald wyszarpnął ramię i spojrzał na nurka wściekłym wzrokiem, ale nie zatrzymał się.

183

- Hej, komandorze Fuller! - szepnął Richard. - Poczekaj sekundę.

Donald krótko obejrzał się przez ramię, rzucił mu pogardliwe spojrzenie i poszedł dalej.

Arak prowadził ich zakrzywionym, pozbawionym okien korytarzem.

- Chciałem przeprosić za wczorajsze — powiedział Richard, doganiając Donalda tak, że szedł teraz tuż za nim.

- Za co? - zapytał pogardliwie były oficer. - Za to, że byłeś głupi, że byłeś pijany czy że dałeś się nabrać tym ludziom?

Richard zagryzł dolną wargę, zanim odpowiedział.

- Może za to wszystko. Byliśmy urzędnicy. Ale to nie jest powód, dla którego chcę z tobą rozmawiać.

Donald przystanął jak wryty. Richard ledwie uniknął zderzenia, sam z kolei tarasując drogę Michaelowi.

- O co chodzi, marynarzu? - zapytał Donald rzeczowym tonem. - Gadaj migiem. Mamy przed sobą interesującą rozmowę, której nie chcę stracić.

-No więc, chodzi po prostu o to, że... - zaczął Richard, ale zaraz urwał, nie wiedząc, jak zabrać się do rzeczy. Choć jego wcześniejsza brawura nie wskazywała na to, Donald onieśmiałał go.

- No już, marynarzu - warknął eks-oficer. - Wyrzuć to z siebie.

- Obaj z Michałem uważamy, że powinniśmy wydostać się w cholerę z Interterry -

powiedział Richard.

- Ach, to bardzo inteligentne, zakute pały - powiedział Donald. - Przypuszczam, że to nagłe olśnienie zstąpiło na was tego ranka. Dobra, chyba powinienem przypomnieć wam, że nie wiemy, gdzie, u diabła, jesteśmy, dopóki Arak nie postanowi nam tego powiedzieć. Tak więc kiedy się już dowiemy, może będziemy mogli znów pogadać. - Zabrał się do odejścia, lecz Richard w desperacji chwycił go za ramię. Donald z wściekłością spojrzał na jego rękę. - Zostaw mnie w spokoju, zanim całkiem nie wyjdę z siebie.

-Ale... - zaczął Richard.

- Stul pysk, marynarzu! - warknął Donald, ucinając rozmowę i wyszarpując ramię z jego uścisku. Ruszył szybkim

184

krokiem i w ślad za resztą grupy zniknął w drzwiach na końcu korytarza.

- Dlaczego, u diabła, mu nie powiedziałaś? - zapytał Michael rozdrażnionym szeptem.

- Ty też tego nie zrobiłaś - wytknął Richard.

- Tak, bo powiedziałaś, że sam się tym zajmiesz - odparł Michael. W bezsilności uniósł w górę rękę. - Też mi mowa! Moja babcia lepiej by to załatwiła. Teraz jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia. A musisz przyznać, że ciało nie jest najlepiej ukryte. Co będzie, jeśli je znajdą?

Richard wzdrygnął się.

- Nie chcę o tym myśleć. Ale to było najlepsze, co mogliśmy zrobić w tych warunkach.

- Może powinniśmy po prostu zostać w pokoju - zaproponował Michael.

- To niczego nie załatwi - odparł Richard. - Chodź! Dowiedzmy się przynajmniej, gdzie jesteśmy, żebyśmy mogli pomyśleć, jak się stąd wydostać.

Obaj mężczyźni ruszyli za Donaldem i znaleźli się w futurystycznej, okrągłej, zwieńczonej

kopułą sali o dziewięciometrowej średnicy. Nie było tu okien. Pojedynczy rząd dwunastu profilowanych krzeseł otaczał zaciemnioną, lekko zakrzywioną przestrzeń na środku.

Arak i Sufa siedzieli dokładnie na wprost wejścia, w fotelach; w ich poręcze wbudowane były pulpity sterownicze. Po prawej stronie tuż obok nich siedziało dwoje nieznanymi nurkom ludzi. Choć ubrani byli, jak wszyscy Interterranie, w biel, atrakcyjnością zdecydowanie nie dorównywali innym. Suzanne i Perry siedzieli na lewo od Araka i Sufy, zaś Donald daleko z prawej strony, oddzielony od reszty szeregiem pustych krzeseł.

- Richard, Michael, prosimy bardzo - zawołał Arak. -Zajmijcie miejsca, gdzie chcecie.

Zaraz zaczynamy.

Richard zdecydowanym krokiem ominął kilka pustych krzeseł, by usiąść obok Donalda.

Skinął mu głową, lecz ten w odpowiedzi demonstracyjnie odsunął się od niego. Michael zajął miejsce obok Richarda.

- Jeszcze raz witamy was w Interterze — powiedział

185

Arak. - Dziś rzucimy wyzwanie waszym intelektom. A przy okazji przekonacie się już wkrótce, jak wiele mieliście szczęścia.

- Może najpierw powiedzielibyście nam, kiedy wrócimy do domu? - wtrącił Richard.

- Zamknij się! — warknął Donald. Arak roześmiał się.

- Richard, naprawdę doceniam twoją spontaniczność i bezpośredniość, ale bądź cierpliwy.

- Przede wszystkim chcielibyśmy przedstawić wam dwoje naszych znakomitych obywateli - powiedziała Sufa. -Jestem pewna, że rozmowa z nimi przyniesie wam ogromne korzyści, ponieważ oni, tak samo, jak wy, przybyli ze świata na powierzchni. Pozwólcie, że przedstawię Ismaela i Mary Blacków.

Para wstała i ukloniła się. Michael zaklaskał z przyzwyczajenia, lecz przestał, gdy

zorientował się, że tylko on jeden to robi. Suzanne i Perry przyglądali się tym dwojgu oczyma rozszerzonymi ciekawością.

- Mary i ja również chcielibyśmy was powitać - powiedział Ismael. Był dość wysokim mężczyzną o wąskiej, wychudłej twarzy i głęboko osadzonych oczach. - Jesteśmy tu dlatego, że przeszliśmy przez to, co już niedługo i was czeka, tak więc będziemy mogli służyć wam pomocą. W tej chwili miałbym dla was ogólną radę, żebyście nie starali się wchłonąć zbyt wiele w zbyt szybkim tempie.

Michael nachylił się do Richarda.

- Myślisz, że on mówi o tym fantastycznym kremie do rąk, którego używaliśmy wczoraj w nocy? - wyszeptał.

- Stul pysk! - warknął Donald, podkreślając każde słowo. - Jeśli macie zamiar przeszkadzać, odsuńcie się ode mnie.

- Już w porządku - szepnął Michael.

- Dziękuję, Ismaelu - powiedział Arak. Potem, przeciągając wzrokiem po zebranych, dodał:

- Mam nadzieję, że wszyscy skorzystacie z propozycji Blacków. Sądzymy, że korzystny będzie podział pracy. Sufa i ja będziemy do waszej dyspozycji, jeśli chodzi o wszelkie informacje, natomiast

186

sprawami związanymi z przystosowaniem najlepiej zajmą się Ismael i Mary.

Suzanne nachyliła się do Perry'ego. Na jej twarzy malowała się nowa troska.

- Co on ma na myśli, mówiąc o "przystosowaniu"? Jak długo oni mają zamiar nas tutaj trzymać?

- Nie mam pojęcia - odparł szeptem Perry. On również zwrócił uwagę na to słowo.

- Zanim zaczniemy, wręczę każdemu z was telekomuni-kator i okulary - powiedziała Sufa.

Otworzyła pudełko, które przyniosła ze sobą, i wyciągnęła ze środka pięć małych paczuszek, każdą z imieniem wypisanym wielkimi literami na wieczku. Obeszła salę i rozdała je. Richard i Michael rzucili się na nie jak dzieci na gwiazdkowe prezenty. Suzanne i Perry rozpakowali swoje z uwagą, Donald natomiast odłożył pakunek na kolana, nie otwierając go.

- To wygląda jak okulary i ręczny zegarek bez tarczy - zauważył Michael. Był rozczarowany. Założył okulary na nos. Miały aerodynamicznie ukształtowaną oprawkę i bezbarwne soczewki.

- To telekomunikatory - wyjaśniła Sufa. - Uruchamia się je głosowo i zostały dopasowane do waszych głosów, tak więc nie możecie ich zamieniać. Później pokażemy wam, jak z nich korzystać.

- Do czego one służą? - zapytał Richard. On również przymierzył okulary.

- Do wielu rzeczy - odparła Sufa. - Łączą z centralnymi źródłami informacji, wyświetlając dane poprzez okulary. Zapewniają też dźwiękową i wizualną łączność z dowolną osobą w Interterrze. Robią nawet tak przyziemne rzeczy, jak przywoływanie taksówek powietrznych, ale więcej opowiemy o nich potem.

- Zaczynamy - powiedział Arak. Dotknął płytki na swoim pulpicie i zaciemniony obszar w środku sali rozjarzył się fosforyzującym błękitem.

- Pierwszą rzeczą, jaką musimy się zająć, jest pojęcie czasu - zaczął. - Jest to dla ludzi takich jak wy temat chyba najtrudniejszy do zrozumienia, ponieważ tu, w Interterze,

187

czas nie jest stałą konstrukcją, jaką wydaje się na powierzchni Ziemi. Jeden z waszych uczonych, niejaki Einstein, dostrzegł względność czasu w tym sensie, że zależy on od przyjętego punktu odniesienia. Tu, w Interterze, napotkacie wiele przykładów takiej względności.

Najprostszym jest choćby wiek naszej cywilizacji. Z punktu widzenia powierzchni Ziemi, nasza

cywilizacja jest niewiarygodnie stara, podczas gdy dla nas i względem całego Układu Słonecznego, wcale taka nie jest. Wiek waszej cywilizacji mierzy się w tysiącletniach, naszej w milionach lat, a wiek Układu Słonecznego w miliardach.

- O Boże! - poskarżył się Richard. - Czy musimy wysłuchiwać tych bzdur? Myślałem, że po prostu powiecie nam, gdzie, u diabła, jesteśmy.

- Dopóki nie zrozumiecie podstaw, to, co zamierzam wam powiedzieć, będzie niewiarygodne, a wręcz bezsensowne — wyjaśnił Arak.

- To może zacznij od końca. Powiedz nam, gdzie jesteśmy, a potem całą resztę - zaproponował Richard.

- Richard! — warknęła Suzanne. — Uspokój się! Richard przewrócił oczami. Drugi nurek okazywał swą niecierpliwość, szurając nogami.

- Czas nie jest niezmienny - ciągnął dalej Arak. - Jak powiedziałem, wasz zdolny uczonec, pan Einstein, dostrzegł to, ale popełnił błąd, sądząc, że prędkość światła jest górną granicą ruchu. Tak nie jest, choć pokonanie tej granicy wymaga olbrzymich ilości skoncentrowanej energii. Dobrą analogią z codziennego życia jest dodatkowa ilość energii potrzebna do przejścia ze stanu stałego do ciekłego lub z ciekłego do gazowego. Wypchnięcie obiektu poza prędkość światła przypomina przemianę fazową do wymiaru, gdzie czas jest plastyczny i związany jedynie z przestrzenią.

- Ja nie mogę! - wyrwało się Richardowi. - To jakiś kawał? Donald wstał i przesiadł się daleko od obu nurków.

- Postarajcie się o trochę cierpliwości - powiedział Arak. -I skupcie się na tym, że czas nie jest stały. Pomyślcie o tym! Jeśli czas jest naprawdę względny, może podlegać kontroli,

188

przetwarzaniu i zmianom. A to prowadzi nas do zagadnienia śmierci. Słuchajcie uważnie!

Na powierzchni Ziemi śmierć była koniecznym dodatkiem ewolucji, a ewolucja jedynym

usprawiedliwieniem śmierci. Ale odkąd ewolucja doprowadziła do powstania obdarzonej zmysłami i zdolnościami poznawczymi istoty, śmierć nie tylko przestała być potrzebna; stała się marnotrawstwem.

Na wzmiankę o śmierci Richard i Michael zapadli się głębiej w fotelach. Perry uniósł dłoń.

Arak natychmiast zwrócił się ku niemu.

- Czy wolno nam zadawać pytania? - zapytał Perry.

- Jak najbardziej - odparł zachęcająco Arak. - To ma być raczej seminarium niż wykład. Ale proszę, aby wasze pytania dotyczyły tylko tego, co już powiedziałem, a nie tego, co, jak sądzicie, mam zamiar powiedzieć.

- Mówiłeś o mierzeniu czasu — zaczął Perry. — Czy chciałeś przez to powiedzieć, że wasza cywilizacja, jak to ująłeś, jest wcześniejsza niż nasza cywilizacja na powierzchni Ziemi?

- Istotnie. I to o okres niemal niepojęty dla waszego doświadczenia. Nasza historia pisana sięga niemal sześćset milionów lat wstecz.

- Spadaj! - wykrzyknął drwiąco Richard. - Niemożliwe. To wszystko kupa bzdur. Byłaby starsza niż dinozaury.

- O wiele starsza niż dinozaury - przyznał Arak. - I twoje niedowierzenie jest całkowicie zrozumiałe. Właśnie z tego powodu tak powoli wprowadzamy was w nasz świat. Nie zamierzam zbyt długo rozwodzić się nad tą kwestią, ale o wiele łatwiej będzie wam przystosować się do waszej obecnej rzeczywistości krok po kroku.

- Wszystko to pięknie ładnie - oświadczył Richard. - Ale może udowodniłbyś te bajki, który nam wciskasz? Zaczynam podejrzewać, że to wszystko jest zwykłym oszustwem i szczerze mówiąc, nie mam ochoty marnować czasu na siedzenie tutaj.

Tym razem ani Donald, ani Suzanne nie mieli do niego pretensji za ten wybuch. Oboje myśleli podobnie, choć z pewnością Suzanne nie wyraziłaby swego sceptycyzmu w tak grubiański

sposób. Arak jednak nie okazał zaskoczenia.

189

- Dobrze — powiedział cierpliwie. - Przedstawimy wam dowód, który będziecie mogli powiązać z historią własnej cywilizacji. My, Interterranie, obserwowaliśmy i rejestrowaliśmy postępy cywilizacji ludzi drugiej generacji, odkąd pojawiliście się na ziemi.

- Co właściwie rozumiesz przez ludzi drugiej generacji? -zapytała Suzanne.

- To się już wkrótce wyjaśni - odparł Arak. - Najpierw pozwólcie, że pokażemy wam parę interesujących obrazów. Jak powiedziałem, obserwujemy postępy waszej cywilizacji i do niedawna mogliśmy to robić bez przeszkód. Od pięćdziesięciu lat wasza rozwijająca się technika zmusiła nas do ograniczenia obserwacji, aby uniknąć wykrycia. W gruncie rzeczy przestaliśmy wykorzystywać większość naszych staroświeckich portów wyjściowych, takich jak ten, przez który dostaliście się do Interterry, albo ten w Barsamie, naszym siostrzanym mieście na zachodzie. Oba miały zostać zaplombowane magmą, ale z powodu biurokratycznej niekompetencji klonów roboczych sprawa utknęła w martwym punkcie.

- O Boże, ależ z ciebie gaduła. Gdzie jest dowód? - zawołał Richard.

- Pieczara, w której wylądował nasz batyskaf? Czy to właśnie był ten port wyjściowy? - zapytała Suzanne.

- Zgadza się - odparł Arak.

- Czy normalnie jest wypełniona wodą morską?

- Znowżgadłaś.

Suzanne odwróciła się do Perry'ego.

-Nic dziwnego, że Morski Olimp nie został wykryty przez Geosat. Miał zbyt małą masę, by dał się zarejestrować przez grawimetr.

- No już! - zniecierpliwił się Richard. - Dość zawracania głowy. Zobaczmy dowód!

- W porządku, Richard - powiedział spokojnie Arak. -Zaproponuj jakąś epokę waszej historii, z której mamy pokazać ci materiały z naszych archiwów. Im bardziej będzie odległa w czasie, tym lepiej, aby obronić moją tezę.

Richard spojrzał na Michaela, szukając pomocy.

190

- Może gladiatorzy - podpowiedział Michael. - Zobaczmy rzymskich gladiatorów.

- Walki gladiatorów moglibyśmy pokazać - odparł z ociąganiem Arak - ale takie brutalne zapisy są ściśle cenzurowane. Aby je obejrzeć, musielibyśmy mieć specjalne zezwolenie Rady Starszych. Może inna epoka byłaby bardziej odpowiednia.

- Przecież to śmieszne! - oświadczył Eichard.

- Opanuj się, marynarzu - warknął Donald.

- Chciałabym dobrze zrozumieć, o co chodzi - odezwała się Suzanne. - Sugerujesz, że macie nagrania z całej historii ludzkości i chcesz, żebyśmy zaproponowali jakiś okres historyczny, żeby pokazać nam jego obrazy?

- Otóż to - odparł Arak.

- Więc może średniowiecze? - podsunęła Suzanne.

- To dość rozległa epoka - powiedział Arak. - Możesz trochę uściślić?

- Dobrze. Niech będzie czternastowieczna Francja.

- To okres wojny stuletniej - stwierdził Arak bez entuzjazmu. - To dziwne, że nawet ty, doktor Newell, życzysz sobie obrazów z takich brutalnych czasów. Ale wy, ludzie drugiej generacji, mieliście tak brutalną przeszłość.

- Pokaż ludzi przy zabawie, nie wojnę - powiedziała Suzanne.

Arak dotknął klawiatury na swoim pulpicie, po czym nachylił się, by powiedzieć parę słów do umieszczonego pośrodku mikrofonu. Niemal natychmiast oświetlenie sali przygasło, a

podłogowy ekran ożył, migocząc zamazanymi obrazami, które przemykały przezeń z zawrotną szybkością. Jak urzeczeni, wszyscy pochylili się nad niskim murkiem, wpatrując się w barwne smugi.

Po chwili obrazy zwolniły i zatrzymały się. Przed ich oczyma ukazała się krystalicznie czysta scena, o naturalnych barwach i doskonałej holograficznej trójwymiarowości. Przedstawiała małe poletko pszenicy, widziane z wysokości stu dwudziestu lub stu pięćdziesięciu metrów. Było późne lato. Grupa ludzi odpoczywała przy żniwach. Kosy leżały rzucone beładnie wokół kilku płacht, na których rozłożony był

191

skromny posiłek. W ścieżce dźwiękowej rozlegało się nieustające brzęczenie letnich cykad.

- To nie jest interesujące - powiedział Arak, rzuciwszy okiem na tę scenę. - I niczego nie dowodzi. Poza prostymi strojami tych ludzi nie ma tu żadnych wskazówek co do epoki.

Poszukajmy dalej.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, obraz znów rozmazał się, gdy przez ekran przewijały się tysiące zmiennych scen. Gwałtowne migotanie przyprawiało o zawrót głowy, ale wkrótce znów zwolniło i ustało całkowicie.

-Ach, to jest o wiele lepsze - wykrzyknął Arak. Teraz obraz przedstawiał zamek wzniesiony na skalistym wzgórzu, najwyraźniej odbywał się tam jakiś turniej. Punkt obserwacyjny znajdował się znacznie wyżej niż w poprzedniej scenie. Zabarwienie roślinności wokół murów zamku wskazywało na środek jesieni. Dziedziniec wypełniał hałaśliwy tłum, którego głosy zlewały się w stłumiony szmer. Wszyscy nosili barwne średniowieczne stroje. Heraldyczne proporce łopotały na wietrze. Na obu końcach długiego, niskiego ogrodzenia z kłód, biegnącego przez środek dziedzińca, dwóch rycerzy kończyło przygotowania do potyczki. Ich barwnie osiodłane konie stały naprzeciw siebie, w podnieceniu grzebiąc kopytami.

- Jak robiliście te nagrania? - zapytał Perry. Obrazy wprawiły go w osłupienie.

- To standardowe urządzenie rejestrujące - odparł Arak.

- Chodzi mi o to, z jakiego punktu. Z jakiegoś helikoptera?

Arak i Sufa zachichotali.

- Przepraszamy za nasz śmiech - powiedział Arak. - Helikopter to wasza technologia, nie nasza. Poza tym taki pojazd zbytnio rzucałby się w oczy. Te obrazy były rejestrowane przez mały, cichy, bezzałogowy statek antygravitacyjny, unoszący się na wysokości około sześciu kilometrów.

- Rany, Hollywood nie od dzisiaj robi takie rzeczy. Też mi coś! To nie jest dowód - stwierdził Richard.

- Jeśli to są dekoracje, to tak realistycznych jeszcze nie oglądałam - powiedziała Suzanne.

Nachyliła się bliżej. Na

192

ile mogła ocenić, dokładność szczegółów tej sceny znacznie wykraczała poza możliwości Hollywood.

Tymczasem na ekranie giermkowie asystujący zakutym w zbroje rycerzom odstąpili w tył, a ciężkozbrojni jeźdźcy pochylili kopie. Rozległa się krótka fanfara i dwa konie ruszyły w pędzie z przeciwległych krańców ogrodzenia. Gdy szarżowały na siebie, wiwaty tłumu przybierały na sile.

Nagle, gdy jeźdźcy mieli już, już zewrzeć się ze sobą, ekran zgasł. Chwilę później na powrót wypełnił go fosforyzujący błękit, na którym pojawił się komunikat: "Scena ocenzurowana. Zwróć się do Rady Starszych".

- Cholera! - krzyknął Michael. - Już mnie to brało. Kto w końcu wygrał: ten gościu w zieleni czy ten w czerwieni?

- Richard ma rację - odezwał się nagle Donald, nie zwracając na niego uwagi. - Te sceny można było zbyt łatwo zaaranżować.

- Być może - odparł Arak, w najmniejszym stopniu nie urażony. - Ale mogę pokazać wam cokolwiek chcecie. Nie byłibyśmy w stanie zainscenizować na bieżąco wedle waszej zachcianki kompletnych scen z historii pierwszej generacji.

- Może pokaż coś jeszcze starszego - zaproponował Perry. - Na przykład neolit w tym samym miejscu, gdzie stał zamek?

- Sprytny pomysł! - zauważył Arak. - Wprowadzę współrzędne, nie określając dokładnie czasu poza tym, że ograniczę to do czasów wcześniejszych niż ostatnie dziesięć tysięcy lat i każę maszynie przeszukać zasób.

Ekran znów ożył. Jeszcze raz zaczęły przewijać się obrazy. Tym razem błyski trwały znacznie dłużej.

Suzanne dotknęła ramienia Perry'ego. Nachyliła się do niego, kiedy odwrócił głowę.

- Myślę, że to są autentyczne nagrania - szepnęła.

- Ja też - odparł Perry. - Wyobrażasz sobie, co to za technika!

- Myślę nie tyle o technice, ile o wniosku, jaki stąd wypływa. To miejsce jest prawdziwe.

Nie śni nam się to wszystko.

13 — Urowadzenie

193

- Ach - odezwał się Arak. - Widzę, że coś tu mamy. Zapis sprzed około dwudziestu pięciu tysięcy lat. - Gdy to mówił, obrazy zwolniły i znów zatrzymały się.

Scenerią było to samo skaliste wzniesienie, choć teraz nie było na nim zamku. Zamiast niego na szczycie wzgórza dominowało krótkie urwisko. W środkowej części było podcięte, tworząc płytką grootę. Wokół wejścia do groty siedziała grupa odzianych w futra neandertalczyków, pracujących nad prymitywnymi narzędziami.

- To rzeczywiście wygląda na to samo miejsce - zauważył Perry.

Urządzenie rejestrujące skupiło się na gospodarskiej scenie, która stopniowo wypełniła cały ekran.

-1 obraz jest wyraźniejszy - dodał.

- W tamtych czasach nie przejmowaliśmy się, że nasze statki mogą zostać dostrzeżone -

wyjaśnił Arak - tak więc mogliśmy swobodnie opuszczać się nawet na trzydzieści metrów, żeby dokładnie studiować zachowania.

Jeden z neandertalczyków, skrobiący dotąd skórę, wstał właśnie od roboty. Przeciągając się, przypadkiem spojrział prosto w górę. Jego zwierzęca twarz straciła nagle wyraz, a usta otworzyły się w zaskoczeniu pomieszanym z przerażeniem. Obraz na ekranie był wystarczająco bliski i wyraźny, by oddać jego wielkie, kwadratowe zęby.

- Cóż - skomentował Arak - tu właśnie nasz zdalnie sterowany pojazd antygravitacyjny został dostrzeżony. Biedny potwór myśli chyba, że nawiedzili go bogowie.

- O Boże! - wykrzyknęła Suzanne. - On próbuje przekonać innych, żeby spojrzeli w górę!

- Ich język był bardzo ograniczony - stwierdził Arak. - Ale wiem, że w tym samym okresie i mniej więcej na tym samym obszarze żył też inny podgatunek, który wy nazwaliście człowiekiem z Cro-Magnon. Ich zdolności językowe były o wiele wyższe.

Neandertalczyk chrząkał i podskakiwał, celując dłonią w kamerę. Wkrótce cała grupa patrzyła w niebo. Kilka kobiet pospiesznie zgarnęło swoje dzieci w ramiona i zniknęło w grocie, podczas gdy inni rzucili się do ucieczki.

194

Jakiś przedsiębiorczy mężczyzna pochylił się, podniósł kamień wielkości jajka i cisnął go w niebo. Pocisk zbliżył się, po czym zniknął z boku z pola widzenia.

- Niezły rzut - skomentował Michael. - Red Sox chcieliby go mieć w swoim składzie.

Arak dotknął pulpitu i obraz zbladł. Jednocześnie w sali znów zapaliły się światła. Wszyscy

wyprostowali się na krzesłach. Arak i Sufa rozejrzeli się wkoło. Goście siedzieli w milczeniu.

Nawet Richard na chwilę zapomniał języka w gębie.

- Jaka była data tego nagrania? - zapytał w końcu Perry. Arak spojrział na swój pulpit.

- Według waszego kalendarza to byłoby 14 lipca 23 342 roku przed naszą erą.

- Czy nie przeszkadzało wam, że wasza kamera została dostrzeżona? - zapytała Suzanne.

Wciąż miała przed oczyma twarz neandertalczyka.

- Zaczynaliśmy się już tym martwić — przyznał Arak. — Pojawiały się nawet wówczas w naszym konserwatywnym skrzydle głosy, by całkowicie usunąć świadome istoty z powierzchni Ziemi.

- Dlaczego mielibyście przejmować się takimi prymitywnymi ludźmi? - zapytał Perry.

- Wyłącznie po to, by uniknąć wykrycia - odparł Arak. - To oczywiste, że dwadzieścia pięć tysięcy lat temu wasza cywilizacja była jeszcze tak prymitywna, że to nie miało znaczenia. Ale wiedzieliśmy, że prędzej czy później będzie je miało. Wiemy, że nasze statki bywają niekiedy dostrzegane nawet we współczesnych wam czasach, i to naprawdę nas martwi. Na szczęście te obserwacje są przyjmowane z niewiarą, a jeśli już ktoś w nie uwierzy, sądzi, że nasze międzyplanetarne statki przybywają z kosmosu, nie z wnętrza samej Ziemi.

- Zaczekaj chwilę - odezwał się nagle Donald. - Nie chciałbym psuć nikomu zabawy, ale nie wydaje mi się, żeby ten mały pokaz, który tu daliście, czegokolwiek dowodził. Takie obrazy łatwo dałoby się wygenerować komputerowo. Dlaczego nie skończycie z całą tą gadką i nie powiecie nam po prostu, kogo reprezentujecie i czego od nas chcecie.

195

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Arak i Sufa nachylili się do siebie, by naradzić się półgłosem. Potem przez chwilę konferowali z Ismaelem i Mary. Po krótkiej dyskusji gospodarze wyprostowali się wreszcie. Arak zwrócił wzrok na Donalda.

— Panie Fuller, pański sceptycyzm jest całkowicie zrozumiały - powiedział. - Nie jesteśmy pewni, czy wszyscy podzielają pańskie podejrzania. Być może z czasem zdołają wpłynąć na pana opinię. Oczywiście dowody będą się mnożyć w miarę wprowadzania was w nasz świat, i jestem pewien, że ostatecznie pozwoli się pan przekonać. Tymczasem chcielibyśmy jeszcze przez chwilę prosić pana o cierpliwość.

Donald nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w niego twardym wzrokiem.

— Przejdźmy dalej — powiedział Arak. — Pozwólcie, że przedstawię wam teraz krótką historię Interterry. W tym celu musimy zacząć od waszej dziedziny, od powierzchni Ziemi. Życie powstało pięćset milionów lat po uformowaniu się naszej planety, a dalszych kilka miliardów lat trwała jego ewolucja. Wasi geolodzy dobrze o tym wiedzą. Nie wiedzą jednak o tym, że my, ludzie pierwszej generacji, wyewoluowaliśmy około pięćset pięćdziesięciu milionów lat temu podczas pierwszej fazy ewolucji. Powodem, dla którego wasi uczeni nie zdają sobie sprawy z istnienia tej pierwszej fazy, jest to, że niemal cały kopalny zapis jej przebiegu został unicestwiony w epoce, którą nazywamy erą mroku. Wkrótce opowiem o tym dokładniej. Na razie chcę pokazać kilka obrazów z tych wczesnych dziejów naszej cywilizacji. Niestety ich jakość nie jest najlepsza.

Światło przygasło stopniowo. W narastających ciemnościach Suzanne i Perry wymienili spojrzenia. Wkrótce jednak ich uwagę przyciągnął podłogowy ekran. Po chwili migotania ich oczom ukazała się scena uchwycona z poziomu wzroku, przedstawiająca okolicę przypominającą widoki, jakie oglądali w Interterze. Główną różnicą było to, że budynki nie były tu czarne, lecz białe, choć ich kształty były podobne. A ludzie wyglądali jak zwykłe istoty ludzkie - nie

196

byli nieskazitelnie piękni i zajmowali się różnymi codziennymi pracami.

- Widok tych scen budzi w nas uśmiech politowania dla własnej prymitywności -

powiedziała Sufa.

- Istotnie -potwierdził Arak. - W tamtych odległych czasach nie mieliśmy jeszcze klonów roboczych.

Suzanne odchrząknęła. Próbowała uporządkować sobie wszystko, co tu słyszała. Wykład Araka kolidował ze wszystkim, co jako naukowiec zajmujący się budową Ziemi wiedziała na temat ewolucji w ogóle i ewolucji gatunku ludzkiego w szczególności.

- Sugerujesz, że te obrazy, które widzimy, pochodzą sprzed pięciuset pięćdziesięciu milionów lat?

- Zgadza się - odparł Arak. Stłumił śmiech. Oboje z Sufą byli wyraźnie ubawieni dziwacznymi wyczynami osobnika usiłującego podnieść kamienny blok. - Wybaczcie, że tak nas to śmieszy - powiedział. - Dawno już nie oglądaliśmy tych scen. Pochodzą z czasów, kiedy mieliśmy coś w rodzaju waszych narodów, które zniknęły jednak po pierwszych pięćdziesięciu tysiącach lat naszej historii. W tym samym czasie, jak możecie się domyślić, zniknęły też i wojny. Jak widzicie, powierzchnia Ziemi wyglądała wtedy zupełnie inaczej niż teraz, i taki wygląd odtworzyliśmy tu, w Interte-rze. Istniał wtedy tylko jeden superkontynent i jeden su-perocean.

- Co się stało? - zapytała Suzanne. - Dlaczego wasza cywilizacja zdecydowała się zejść pod powierzchnię?

- Z powodu ery mroku - odparł Arak. - Nasza cywilizacja miała za sobą prawie milion lat pokojowego rozwoju, kiedy zdaliśmy sobie sprawę z niepokojących wydarzeń w pobliskiej galaktyce. W ciągu stosunkowo krótkiego czasu nastąpił szereg gigantycznych wybuchów supernowych. Ziemia była dosłownie bombardowana promieniowaniem wystarczającym do całkowitego zniszczenia warstwy ozonowej. Potrafilibyśmy sobie z tym poradzić, ale nasi naukowcy spostrzegli też, że te galaktyczne katastrofy naruszają delikatną równowagę populacji asteroidów w Układzie Słonecznym. Stało się jasne, że Ziemia zostanie

zasypana deszczem planetozymali, tak jak działo się w początkach jej istnienia.

- Do diabła ciężkiego - jęknął Richard. - Zaraz będę miał tego dość.

- Cicho, Richard! - rzuciła krótko Suzanne, nie spuszczać oczu z Araka. - Tak więc

Interterra została zepchnięta pod ziemię.

- Zgadza się - potwierdził Arak. - Wiedzieliśmy, że powierzchnia Ziemi stanie się niezdatna do zamieszkania. Był to rozpaczliwy czas. Przeszukiwaliśmy Układ Słoneczny, szukając nowego domu, ale bez powodzenia, a nie dysponowaliśmy jeszcze technologią czasową, która pozwoliłaby nam zapuścić się w inne galaktyki. Wówczas rzucono myśl, że naszą jedyną szansą przeżycia jest zejście pod ziemię czy, ściślej mówiąc, pod ocean. Mieliśmy odpowiednie środki techniczne, więc dokonaliśmy tego w niesamowicie krótkim czasie. I wkrótce po naszych przenosinach świat, jaki znaliśmy, padł ofiarą śmiertelniegroźnego promieniowania, bombardowania asteroidami i ruchów górotwórczych. Zagłada była o włos nawet pod ochronną warstwą oceanu, gdyż w pewnym momencie ocean pod wpływem gorąca zbliżył się do stanu wrzenia. Wszelkie formy życia, z wyjątkiem nielicznych prymitywnych bakterii, wirusów i sinic, zostały unicestwione.

Ekran zgasł i sala na powrót rozjaśniła się światłem.

Wszyscy milczeli.

- Cóż, to by było na tyle - powiedział Arak. - Krótkie streszczenie historii Interterry i faktów naukowych. Teraz macie z pewnością pytania.

- Jak długo trwała era mroku? - zapytała Suzanne.

- Nieco ponad dwadzieścia pięć tysięcy lat - odparł Arak.

Suzanne pokręciła głową w zdumieniu i niedowierzaniu, musiała jednak przyznać, że z naukowego punktu widzenia wszystko to ma pewien sens. A co najważniejsze, tłumaczyło rzeczywistość, w jakiej się obecnie znalazła.

- Ale zostaliście pod oceanem - powiedział Perry. - Dlaczego nie wróciliście na

powierzchnię?

- Z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, mieliśmy

198

tu wszystko, czego potrzebowaliśmy, i zdążyliśmy przyzwycząć się do naszego środowiska. A po drugie, kiedy życie na powierzchni rozwinęło się na nowo, bakterie i wirusy, które wyewoluowały, były organizmami, z którymi nigdy nie mieliśmy styczności. Innymi słowy, do czasu, gdy klimat pozwoliłby nam na powrót, biosfera stała się dla nas szkodliwa, można powiedzieć nawet zabójcza, chyba że zdecydowalibyśmy się przejść mozolną adaptację. Tak więc pozostaliśmy tutaj, szczęśliwi i zadowoleni, zwłaszcza że odkąd żyjemy tu, pod oceanem, nie jesteśmy narażeni na kaprysy natury. Z całego wszechświata, jaki odwiedziliśmy do tej pory, ta mała planeta najlepiej odpowiada potrzebom ludzkiego organizmu.

- Teraz rozumiem, dlaczego musieliśmy przejść tak gruntowne odkażanie — stwierdziła Suzanne. — Musieliśmy być wolni od mikroorganizmów.

-Właśnie - powiedział Arak. - A jednocześnie musieliście zostać uodpornieni na nasze drobnoustroje.

- Innymi słowy, ewolucja miała miejsce dwukrotnie z zasadniczo tym samym skutkiem - ciągnęła Suzanne.

- Prawie tym samym - uściślił Arak. - Niektóre gatunki wykazywały pewne różnice.

Początkowo byliśmy tym zaskoczeni, a jednak jest to logiczne, skoro wyjściowe DNA było w obu wypadkach takie samo. Organizmy wielokomórkowe wyewoluowały teraz i wtedy od tych samych sinic i w przybliżeniu w tych samych warunkach klimatycznych.

-1 to dlatego określacie siebie jako pierwszą generację ludzi - domyśliła się Suzanne - a nas jako drugą. Arak uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Liczyliśmy na to, że zrozumiesz wszystko tak szybko, doktor Newell - powiedział.

Suzanne odwróciła się do Perry'ego i Donalda.

- Badania naukowe potwierdzają niektóre z tych faktów - powiedziała. - Pewne świadectwa geologiczne i oceanologiczne wskazują, że istniał niegdyś na Ziemi pojedynczy kontynent, nazwany Pangeą.

- Przepraszam - przerwał jej Arak - nie chciałbym się wtrącać, ale to nie o nim była mowa.

Pangeą uformowała

199

się od nowa w końcowej części wypiętrzen geologicznych ery mroku. Nasz kontynent już wcześniej całkowicie pogrzył się w astenosferze. Suzanne skinęła głową.

- To ciekawe — odparła. — I właśnie dlatego zapewne nie znajdujemy dziś skamieniałości z pierwszej ewolucji. Arak znów uśmiechnął się z satysfakcją.

- Twoja pojętność jest godna podziwu, doktor Newell. Ale przewidywaliśmy to jeszcze przed twoim przybyciem.

- Przed moim przybyciem? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic - dodał szybko Arak. - Zupełnie nic. Być może powinniśmy przypomnieć twoim kolegom, że to przez rozpad Pangei uformował się obecny układ kontynentów.

- Istotnie - potwierdziła Suzanne, przyglądając mu się badawczo. Miała niemiłe wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Spojrzała na Donalda i Perry'ego i zastanawiała się, ile oni pojęli z tego wykładu. Po Richardzie i Michaelu znać było, że w ogóle nie wiedzą, o czym mowa. Wyglądali jak znudzeni uczniowie.

- Cóż, dobrze - powiedział Arak, zacierając dłonie, by dodać sobie animuszu. - Mogę się tylko domyślać, jakie wrażenie zrobiły na was te informacje. Konieczność porzucenia własnych przyjętych i ugruntowanych poglądów to bolesne doświadczenie. Dlatego właśnie obstawaliśmy przy tym, by nie spieszyć się z wprowadzaniem was w nasz świat. Ośmielę się sądzić, że macie już

dość gadania. Wydaje mi się, że dobrze będzie pokazać wam teraz naocznie to i owo z życia

Interterry.

- Masz na myśli wycieczkę do miasta? - zapytał Richard.

- Jeśli tylko wszystkim to odpowiada - odparł Arak.

- Ja się piszę - zawołał ochoczo Richard.

- Ja też - zawtórował Michael.

- A pozostali? - zapytał Arak.

- Ja pójdę - powiedziała Suzanne.

- Oczywiście, że idę - odparł Perry, gdy Arak zwrócił na niego wzrok.

Gdy przyszła kolej na Donalda, ten po prostu skinął głową.

- Wspaniale - powiedział Arak i wstał. - Teraz, jeśli zgo-

200

dzicie się pozostać jeszcze chwilę na swoich miejscach, zorganizujemy wszystko. —

Wyciągnął dłoń w stronę Sufy, która również wstała z krzesła, i oboje opuścili salę. Perry pokręcił głową.

- Już nic nie wiem. To wszystko robi się coraz bardziej nieprawdopodobne.

- Nie za bardzo wierzę w to, co on mówił - stwierdził Donald.

- Jak na ironię, mnie wydaje się to zbyt fantastyczne, by nie było prawdziwe - powiedziała

Suzanne. - I od strony naukowej dosyć trzyma się kupy. - Spojrzała na Ismaela i Mary, którzy

siedzieli cierpliwie. - Opowiedzcie nam swoją historię. Czy to prawda, że jesteście z powierzchni?

- Tak, prawda - odparł Ismael.

- Skąd dokładnie? - zapytał Perry.

- Z Gloucester w Massachusetts - powiedziała Mary.

- Bez jaj - wykrzyknął Michael. Wyprostował się. - Hej, ja też jestem z Massachusetts: z

Chelsea. Byliście tam?

- Słyszałem o tym mieście - przyznał Ismael. - Ale nigdy tam nie byłem.

- Każdy z Północnego Wybrzeża był w Chelsea - prychnął Michael. - Bo tam się kończy Tobin Bridge.

- Nigdy nie słyszałem o Tobin Bridge - odparł Ismael. Oczy Michaela zwięziły się z niedowierzania.

- Jak trafiliście do Interterry? - zapytał Richard.

- Mieliśmy wiele szczęścia - odparła Mary. - Naprawdę wiele szczęścia. Tak jak wy.

- Nurkowaliście? - zapytał Perry.

- Nie - wyjaśnił Ismael. - Trafiliśmy na straszliwy sztorm w drodze z Azorów do Ameryki.

Powinniśmy byli utonąć, jak inni z naszego statku. Ale, jak powiedziała Mary, mieliśmy szczęście i przypadkowo uratował nas interterrański pojazd międzyplanetarny. Zostaliśmy dosłownie wessani w ten sam port wyjściowy co wy, a następnie przywróceniu do życia przez Interterran. —,

- Jak się nazywał wasz statek? - zapytał Donald.

- Burza - odparł Ismael - co okazało się dość trafną nazwą, biorąc pod uwagę jego los. To był szkuner z Gloucester.

14 — Urowadzenie

201

- Szkuner? — zapytał podejrzliwie Donald. — W którym to było roku?

- Zobaczmy - powiedziała Mary. - Miałam wtedy szesnaście lat. Czyli to musiał być tysiąc osiemset pierwszy.

- Och, do diabła - wymamrotał Donald. Zamknął oczy i przeciągnął dłonią po swej gładkiej czaszce. Ogolił ją tego ranka. -1 wy się zastanawiacie, dlaczego jestem sceptyczny?

- Mary, to by było prawie dwieście lat temu - odezwała się Suzanne.

- Wiem. Trudno w to uwierzyć, ale czyż to nie cudowne? Spójrz, jak młodo wyglądamy.

- Oczekujecie, że uwierzmy, że macie przeszło dwieście lat? - zapytał Perry.

- Nie od razu uda się wam zrozumieć świat, w którym się znaleźliście — stwierdziła Mary.

— Mogę wam tylko poradzić, żebyście starali się powstrzymać od jakichkolwiek zdecydowanych osądów, dopóki nie zobaczycie i nie usłyszycie więcej. Pamiętamy, jak się czuliśmy, gdy przekazano nam te same informacje. A weźcie pod uwagę, że dla nas było to o wiele bardziej zdumiewające, gdyż wasza technika znacznie się rozwinęła w ciągu ostatnich dwustu lat.

- Popieram radę Mary - powiedział Ismael. - Starajcie się nie zapominać o tym, co powiedział Arak na początku sesji. Tu, w Interterze, czas ma inne znaczenie. Interterra-nie nie umierają tak jak my na powierzchni.

- Gówny prawda, że nie umierają - szepnął Michael.

- Zamknij się - syknął Richard przez zaciśnięte zęby.

Rozdział 13

Zdaniem Perry'ego i pozostałych taksowka do której właśnie wsiedli, niczym nie różniła się od tej która lecieli poprzedniego dnia, Arak oświadczył jednak, że Ist to model nowszy i znacznie ulepszony. Tak czy inaczej, podróż z terenów pałacu gości do tętniącego życiem miasta była równie cicha, szybka i sprawna jak tamta.

-Imigranci zwykle spędzają cały tydzień w sali konferenc^nej, nim odważą się na taką wyprawę - powiedziała Suff -?ó może być wyczerpujące nie tylko ^elektualnie^ ale T emocjonalnie. Mam nadzieję, że nie nadaliśmy zbyt

ś uwagi na ten temat? - zapytał Arak. -Jesteśmy oczywiście otwarci na propozycje.

nych. Już sam fakt, że nie dochodziło do zderzeń, był zdu-

m - Czy^ktoś ma jakieś wnioski? - ponowił pytanie Arak - To wszystko jest przytłaczające -

przyznał Perry. - Na razie trudno nam więc wyrobić sobie zdanie. Ate jesh o mnie chodzi wydaje

mi się, że im więcej zobaczę, tym lepiej. Sam kontakt z techniką na przykład taką, jaką ?*^bL

taksówka sprawia, że wszystko, co mówiłeś, staje się bar-

z

nam pokazać? - zapytała Suzanne. - To była trudna decyzja. Dlatego tak dużo czasu

zajęły nam uzgodnienia. Nie byliśmy pewni, od czego zacząć - odparł Arak.

203

Zanim skończył mówić, poduszkowiec zatrzymał się nagle, po czym opadł w dół. Chwilę

później na idealnie gładkiej przedtem ścianie pojawił się właz.

- W jaki sposób otwierają się te drzwi? — zapytał Perry.

- To transformacja molekularna w materiale kompozytowym - odparł Arak. Gestem zaprosił

ich do wyjścia. Perry wstał i nachylił się do Suzanne.

- Jak gdyby to cokolwiek tłumaczyło - mruknął rozżalony.

Taksówka przywiozła ich przed stosunkowo niski, pozbawiony okien budynek o ścianach

licowanych, jak wszystkie tu budowle, czarnym bazaltem. Ściany te miały około trzydziestu

metrów długości i sześciu wysokości; nachylały się pod kątem sześćdziesięciu stopni, tworząc

przysadzistą, ściętą piramidę. Wokół budynku panował niewielki ruch. Mimo to, gdy tylko ludzie

drugiej generacji wynurzyli się z taksówki, wokół nich zaczął zbierać się tłum.

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko roli gwiazd — powiedział Arak. - Jak chyba

zauważyliście wczorajszej nocy, cała Saranta jest zachwycona waszym przybyciem.

Gromadzący się tłum był hałaśliwy, lecz uprzejmy. Osoby stojące najbliżej gości z zapalem

wyciągały ręce, starając się zetknąć z nimi dłońmi. Richard i Michael z radością odwzajemniali ten

gest, zwłaszcza wobec kobiet. Arak musiał zabawić się w owczarka, by przeprowadzić swych

podopiecznych, zwłaszcza obu nurków, przez drzwi. Tłum z szacunkiem pozostał na zewnątrz.

- Coraz bardziej mi się tu podoba - stwierdził Richard.

- Ciesz się mnie to - odparł Arak.

- Wszyscy są tak przyjaźnie nastawieni — zauważyła Suzanne.

- Oczywiście - odparła Sufa. - Taka jest nasza natura. A poza tym jesteście niezwykle zajmujący.

Suzanne spojrzała na Donalda, żeby zobaczyć jego reakcję, ale on tylko niedostrzegalnie skinął głową, jak gdyby potwierdziły się jego podejrzenia.

Wszedłszy do budynku, goście znaleźli się w wielkiej, kwadratowej sali. Urządzona była bardzo skromnie, bez

204

żadnych dekoracji, mebli, a nawet drzwi, nie licząc wejściowych. W przeciwieństwie do innych, z reguły białych inter-terrańskich wnętrz, tu niepodzielnie królowała czerń. Kilko Interterran stało twarzą do pustych ścian. Gdy spostrzegli ich przybycie, ożywili się.

Arak poprowadził całą piątkę przez tłum wielbicieli do pustego odcinka ściany i mruknął coś do swego ręcznego komunikatora. Ku zdumieniu wszystkich ściana przed nimi otworzyła się tak samo jak właz taksówek powietrznych, ukazując niewielką wnękę. Tam właśnie wprowadził ich Arak.

- Musisz kiedyś wyjaśnić mi, jak działa to otwieranie i zamykanie - powiedział Perry do Araka. Gdy znaleźli się w mniejszym, lecz równie pustym pomieszczeniu, przyłożył dłoń do ściany. Struktura materiału i jego przewodnictwo cieplne przypominały mu szklane włókno.

- Oczywiście - odparł machinalnie Arak, ale jego uwaga zajęta była czym innym. Mruknął parę słów do swego komunikatora. Chwilę później ściana zamknęła się i pokój zaczął się zapadać.

Czując, że tracą nagle ciężar, wszyscy instynktownie uczyli się kurczowo najbliższych stojących osób.

- O Boże! — wyrwało się Michaelowi. — Spadamy!

- To tylko winda - wyjaśnił Arak.

Ludzie drugiej generacji roześmiali się z zakłopotaniem. Michael uznał, że śmieją się z niego.

- Hej, skąd miałem to wiedzieć? - zawołał żałośnie.

- Wracając do decyzji, co pokazać wam w pierwszej kolejności - odezwał się Arak. -

Postanowiliśmy z Sufą postąpić odwrotnie, niż wy moglibyście uznać za stosowne w waszym świecie. Zamiast pokazać wam życie od kołyski po grób, zdecydowaliśmy, że pokażemy wam życie od grobu do kołyski. - Oboje uśmiechnęli się na to pozornie nielogiczne odwrócenie porządku.

- Chyba zjeżdżamy dość głęboko - zauważyła Suzanne. zbyt zaabsorbowana otoczeniem, by zwrócić uwagę na słowa Araka. Choć ich opadaniu nie towarzyszyły żadne °dgłosy ani dostrzegalne odczucie ruchu, względna nieważkość dawała wskazówkę co do jego tempa.

205

- Istotnie — odparł Arak. — W związku z tym będzie tam dosyć ciepło.

W końcu winda przestała opadać i wszyscy instynktownie zebrali się w sobie. Perry znów przyłożył dłonie do ściany. Tuż przed pojawieniem się otworu wyczuł w niej uderzenie gorąca. Arak i Sufa wyprowadzili grupę na zewnątrz.

Przed sobą mieli trzy rzęsiście oświetlone korytarze, roz-biegające się na trzy strony: prosto, w prawo i w lewo. Wszystkie stanowiły doskonałe studium perspektywy. Od każdego odchodziły pod kątem prostym liczne boczne przejścia.

Przy windzie czekał mały otwarty pojazd. Najwyraźniej był tworem tej samej technologii co taksówki powietrzne, gdyż unosił się cicho kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą. Arak dał im znak, by wsiedli. Perry i Suzanne wdrapali się do środka wraz z Sufą, ale Donald zawahał się, blokując przy tym przejście nurkom. Spojrzał na biegnące zdawałoby się w nieskończoność

korytarze. Jak uprzedził Arak, powietrze było ciepłe. Skóra na głowie lśniła mu od potu.

- Proszę. - Arak jeszcze raz wskazał miejsce w antygra-witacyjnym mikrobusie.

- To wygląda jak więzienie - powiedział podejrzliwie Donald.

- To nie jest więzienie - zapewnił go Arak. - W Interte-rze nie ma więzień.

Michael spojrzał na Richarda, wystawiając kciuk.

- W takim razie co to jest? - zapytał Donald.

- To katakumby - odparł Arak. - Nie ma powodu do obaw. Nic wam tu nie grozi. Poza tym nie zabawimy tu długo.

Donald niechętnie wsiadł do mikrobusu. Widać było, że wizyta w krypcie grobowej wcale nie uśmiecha mu się bardziej niż pobyt w więzieniu. Richard i Michael wgramolili się za nim. Arak wsiadł jako ostatni. Powiedział parę słów do mikrofonu w pulpicie sterowniczym i parę sekund później mknęli już korytarzem jak cichy, jeśli nie liczyć świstu wiatru, ekspresowy pociąg.

Powód, dla którego korzystali z mikrobusu, stał się oczywisty po paru minutach jazdy.

Podróżując w takim tempie,

206

spotęgowanym jeszcze bliskością ścian, pokonali znaczną przestrzeń tego, jak się okazało, rozległego podziemnego labiryntu. Po piętnastu minutach i sześciu karkołomnych zakrętach, pojazd wreszcie zwolnił i zatrzymał się.

Do każdego z korytarzy przylegały niewielkie pomieszczenia i właśnie do jednego z nich Arak poprowadził swą grupę. Donald zdecydowanie oświadczył, że nie zamierza dać się zamknąć i pozostał na zewnątrz.

Ściany pokoiku pokrywały, jedna przy drugiej, niewielkie nisze. Arak podszedł do jednej z nich, znajdującej się na wysokości piersi, i wyciągnął ze środka skrzynkę i książkę.

- Nie byłem tu od dawna - powiedział. Starł kurz z obu przedmiotów. - Ta skrzynka to mój

grób. - Podniósł ją. Była czarna, wielkości mniej więcej pudełka na buty. - Ata książka zawiera spis dat wszystkich moich poprzednich śmierci.

- Pieprzysz! - wypalił Richard. - Teraz chcesz, żebyśmy uwierzyli, że wstałeś z martwych. I to nie raz, ale wiele razy. Przestań, człowieku!

Suzanne przyłapała się na tym, że potakująco kiwa głową, gdy Richard ubierał w słowa jej własną reakcję. Akurat kiedy zaczynała już wierzyć we wszystkie usłyszane rewelacje, Arak musiał wyjść z tak bezbrzeżnie niedorzecznym stwierdzeniem. Spojrzała na Perry'ego, by przekonać się, czyjego reakcja jest podobna, on jednak nie zwracał na nic uwagi. W osłupieniu przeglądał książkę, którą Arak podał mu do rąk.

Arak ostrożnie otworzył skrzynkę, zajrzał do środka, po czym puścił ją w obieg, by wszyscy mogli obejrzeć jej zawartość. Suzanne zerknęła z ociąganiem, niepewna, co tam znajdzie. Był to tylko zwykły kłęb włosów.

Arak i Sufa uśmiechnęli się, wyraźnie bawiąc się zakłopotaniem gości.

- Pozwólcie, że to wyjaśnię - odezwał się wreszcie Arak. - Skrzynka zawiera po kosmyku włosów z każdego z moich poprzednich ciał. Same ciała powróciły do płynnej asteno-sfery, od której niewiele nas stąd dzieli. Jak możecie się domyślać, wszystko w Interterze podlega wtórnemu przetwarzaniu.

207

- Nie rozumiem tej książki - powiedział Perry. Przekart-kował parę stron, spoglądając na kolumny pisanych odręcznie cyfr, które nie miały żadnego sensu jako daty w kalendarzu gregoriańskim. Co gorsza, ciągnęły się setkami.

- Wcale tego od ciebie nie oczekujemy - odparł Arak z łobuzerskim uśmiechem. — Na razie. A przynajmniej dopóki nie pojedziemy na górę do głównej sali operacyjnej. — Odebrał mu książkę i na powrót umieścił ją wraz ze skrzynką w niszy.

^ Kompletnie zbici z tropu, goście wyszli za Arakiem z ciasnego pomieszczenia i na powrót zajęli miejsca w mikrobusie. Droga powrotna wydawała się krótsza i już wkrótce znaleźli się znów przy windzie.

- Jeżeli mieliśmy skorzystać coś z tej wycieczki, to nic z tego nie wyszło - stwierdziła Suzanne, kiedy weszli do windy.

- Wyjdzie - zapewnił ją Arak. - Miej trochę cierpliwości.

Winda zawiozła ich na tętniące życiem piętro. Wśród masy ludzi pierwszej generacji uwijały się nieliczne klony robocze. Panował tu taki ścisk, że grupie trudno było trzymać się razem, zwłaszcza gdy parę osób rozpoznało przybyszów i otoczyło ich tłumem, chcąc zetknąć się z nimi dłońmi. Szczególnie poszukiwani byli Richard i Mi-chael.

Mimo tłoku Arakowi i Sufie udało się w końcu doprowadzić gromadkę swych podopiecznych do dużego ekranu. Na ekranie widniały setki imion, którym towarzyszyły numery pokoi i godziny. Arak przez dłuższą chwilę przeglądał spis, aż znalazł imię, które rozpoznał.

- No proszę! - zwrócił się do Sufy. Wskazał na jedno z imion. - Reesta zdecydował się odejść. Co za wspaniały zbieg okoliczności. I zarezerwował pokój trzydzieści siedem. Nie mogło być lepiej. To jedna z nowszych sal, z ładowarką na widoku.

- Najwyższa pora, żeby odszedł - stwierdziła Sufa. - Narzekał na to ciało od lat.

- Dla nas to znakomita okazja - powiedział Arak.

- W takim razie, skoro tu już wszystko ustalone, może

208

pobiegnę do centrum rozplodowego - zaproponowała Su-fa. - Przygotuję, co trzeba, i poinformuję klony, że grupa wkrótce będzie na miejscu.

- Świetnie. Powinniśmy być tam za jakąś godzinę. Sprawdź, czy zapowiada się w tym czasie jakieś wyjście.

- Spróbuję. Zabierzemy ich potem do nas?
- Tak planowaliśmy - odparł Arak. - Mam tylko nadzieję, że starczy nam na to czasu.
- Więc do zobaczenia - rzuciła Sufa. Lekko dotknęli się z Arakiem dłońmi, i już jej nie było.
- No dobrze - zawołał Arak do grupy. - Starajmy się trzymać się razem. Jeśli ktoś się odłączy, niech pyta po prostu o pokój trzydzieści siedem. - Ruszył naprzód, przedzierając się przez zgromadzony przed ekranem tłum.

Suzanne starała się jak mogła dotrzymać mu kroku.

- Czy "odejść" to u was taki sam eufemizm jak w naszym świecie? - zapytała.
- Może raczej podobny - odparł Arak, ale uwagę zaprzętał mu nurkowie, gorliwie przyciskający każdą napotkaną kobietę dłoń. - Richard i Michael! - zawołał. - Proszę, nie zostawajcie w tyle. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na przyciskanie dłoni. Wieczorem macie czas wolny.

- Czy będziemy świadkami jakiejś eutanazji? - zapytała Suzanne z obawą.
- Ależ skąd! - zaprzeczył Arak.
- Ismael i Mary powiedzieli, że wy nie umieracie tak jak my - powiedziała Suzanne.
- To prawda - odparł Arak. W tym momencie musiał się zatrzymać i zawrócić po nurków, którzy ugrzęźli w tłumie. Gdy był zajęty ich uwalnianiem, Suzanne nachyliła się do Perry'ego.
- Nie jestem przygotowana na oglądanie żadnych makabrycznych scen - mruknęła.
- Ja też nie.
- Może powinniśmy byli optować za dłuższym seminarium przed tą wycieczką w teren - powiedziała Suzanne, siląc się na żart.

Perry roześmiał się głucho.

Arak popędził obu nurków i trzymał ich blisko siebie, chroniąc przed tłumem

zorientowanych wielbicielek. Za nimi szli Suzanne i Perry, zaś Donald zamykał pochód. W takim układzie dotarli wreszcie pod drzwi sali numer trzydzieści siedem.

Perry spojrział na płaskorzeźbę zdobiącą wielkie brązowe drzwi. Rozpoznał na niej trójgłowego psa, Cerbera, strażnika podziemnego świata z greckiej mitologii. Zaskoczony, wspominał o tym Arakowi.

- Nie przejęliśmy tego od Greków — odparł ten z uśmiechem. - Było raczej odwrotnie.

- Chcesz powiedzieć, że Grecy przejęli to od was?

- Otóż to.

-Jak?

- Przez nieudany eksperyment - wyjaśnił Arak. - Parę tysięcy lat temu grupa liberalnie nastawionych ludzi z Atlantydy poddała się adaptacji do życia na powierzchni z imponującymi planami kształtowania rozwoju społecznego na powierzchni Ziemi. Niestety, okazało się to niewypałem. Po kilkuset latach bezowocnych wysiłków stało się boleśnie oczywiste, że nie ma sposobu na usunięcie skłonności do przemocy u ludzi drugiej generacji. Eksperyment został więc zarzucony, a wyspa, którą wzniesli, zatopiona. Coś z interterrańskiej spuścizny pozostało jednak, na przykład nasze formy architektoniczne, pojęcie demokracji oraz strzępy naszej prymitywnej mitologii, z Cerberem włącznie.

- A więc legenda o Atlantydzie opierała się na faktach -wtrąciła się Suzanne.

- Jak najbardziej - odparł Arak. - Atlantyda wyniosła w górę jeden ze swoich portów wyjściowych, tworząc wyspę tuż przy wejściu do Morza Śródziemnego.

- Hej, chodźcie! - ponaglił ich Richard. - Skończmy z tym głędzeniem. Albo wchodzimy do środka, albo wracamy z Michaeliem do głównego hallu, gdzie coś się przynajmniej dzieje.

- W porządku, przepraszam - powiedział Arak. Zwrócił się do Suzanne: - Jeśli masz ochotę, porozmawiamy o tym eksperymencie kiedy indziej.

d- Oczywiście, że mam ochotę — odparła. Gdy Arak otwierał drzwi, nachyliła się do Perry'ego. - Platon istotnie w swoich dialogach umieszczał Atlantyde za Cieśniną Gi-braltarską. - Naprawdę? - mruknął Perry. Ale jego uwagę przyciągnęła już scena rozgrywająca się za drzwiami z brązu. Wbrew obawom Suzanne, nie robiła wrażenia makabrycznej. Przypominała raczej, choć na mniejszą skalę, radosne święto, w jakim brali udział poprzedniego wieczoru. Pokój miał wymiary sporego salonu. Zebrało się tu może ze sto osób, ubranych w zwykłą biel, wśród których odcinał się czerwienią stroju jeden człowiek. Z tyłu sali, na wprost drzwi, wystawała ze ściany spora kapsuła jakiegoś urządzenia. Obok stał stół ze skrzynką i książką, podobnymi do tych, które Arak pokazał im w krypcie.

- Arak! - wykrzyknął mężczyzna w czerwieni, gdy spostrzegł nowo przybyłych. - Co za miła niespodzianka! - Natychmiast przeprosił ludzi, z którymi gawędził i skierował się w stronę drzwi. — I przyprowadziłeś swoich podopiecznych! Witajcie!

- O Boże - szepnęła Suzanne do Perry'ego, gdy mężczyzna w czerwieni zbliżył się. - Spotkałam go wczoraj. - Wyraźnie pamiętała, jednego z dwóch mężczyzn, którzy podeszli, gdy stała z Garoną na balkonie. - Raczej nie wygląda na kogoś, kto ma zamiar umrzeć. - Z gęstymi ciemnymi włosami, idealną cerą i lśniącymi oczyma, wydawał jej się okazem zdrowia i męskiego uroku. Domyślała się, że jest nieco przed czterdziestką.

- A to raczej nie jest ponura stypa - zauważył Perry.

- Dziękuję ci, Reesta - powiedział Arak. - Pomyślałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby nasi goście wpadli na chwilę na twoje przyjęcie. Spotkałeś ich wczoraj na uroczystości?

- Miałem zaszczyt poznać doktor Newell - odparł Reesta. Ukłonił się Suzanne, po czym wyciągnął zwróconą ku górze dłoń.

Suzanne nieśmiało przyłożyła do niej dłoń. Reesta rozpromienił się.

- Pozwól, że przedstawię ci Perry'ego, Donalda, Richarda i Michaela - powiedział Arak, wskazując wymienionych. Reesta uklonił się każdemu po kolei. Richard i Michael niemal nie zwrócili na to uwagi. Bardziej interesowały ich obecne tu kobiety. Niektóre z nich pamiętali z poprzedniego wieczoru.
- Postanowiliśmy z Sufą zapoznać nieco naszych gości z naszą kulturą - ciągnął dalej Arak.
- I to przed udzieleniem im bliższych wyjaśnień. Pomyśleliśmy, że w ten sposób uda się zmniejszyć niedowierzanie, jakie zazwyczaj towarzyszy wprowadzaniu. *•
- Wspaniały plan - stwierdził Reesta. - Chodźcie! Proszę bardzo. - Usunął się na bok i eleganckim gestem zaprosił ich do środka. - Tak więc oni nie mają pojęcia, z jakiej okazji jest to przyjęcie? - zapytał, gdy ludzie drugiej generacji wchodzili, jedno za drugim, do pokoju.
- W zasadzie nie - odparł Arak.
- Ach, taka cudowna niewinność. To takie ożywcze - stwierdził Reesta.
- Właśnie wracamy z wizyty w mojej niszy - dodał Arak. - Jednak celowo nie udzieliłem im pełnych wyjaśnień.
- Mistrzowskie podejście - przyznał Reesta. Mówiąc to, mrugnął i szturchnął Araka łokciem. Spojrzał na grupę, po czym zajrzał w oczy Suzanne. — Dziś jest dla mnie ważny dzień. Dzisiaj moje ciało umiera.
- Suzanne mimo woli drgnęła, słysząc te słowa. Ten człowiek nie tylko wyglądał na całkowicie krzepkiego, ale i tak się zachowywał. Jego oświadczenie zwróciło uwagę nawet Richarda i Michaela.
- Ach, ale nie rozpaczajcie - dodał Reesta, uśmiechając się na widok zakłopotania Suzanne. - Tu, w Interterze, jest to względnie szczęśliwa chwila, co najwyżej pewna niedogodność czy kłopot. A na mnie naprawdę już pora. To ciało było od początku do niczego. Musiałem wymieniać wiele

organów, a kolana nawet dwa razy. Co dzień pojawiał się nowy problem. To b3'ła nie kończąca się walka. A właśnie dziś rano usłyszałem, że z powodu braku popytu czas ocze-

212

kiwania spadł do raptem czterech lat. Z jakiegoś powodu ostatnio nikt nie umiera.

- Tylko cztery lata! — wykrzyknął Arak. — To wspaniale! Zastanawiałem się, czemu zdecydowałeś się tak nagle. Jeszcze w zeszłym tygodniu mówiłeś, że planujesz to w ciągu najbliższych paru lat.

- To jedna z tych rzeczy, do których nikomu się nie spieszy - odparł Reesta. - Odkładałem to, muszę przyznać. Ale teraz, przy tak krótkim czasie oczekiwania, nie mogę przepuścić okazji.

- Przepraszam - wtrącił się Perry. - Mam zamęt w głowie, ale chciałbym zapytać, jak długo przeciętnie żyje się w Interterze?

- Zależy, o co ci chodzi - powiedział Reesta z błyskiem w oku. - Jest wielka różnica między żywotnością ciała a żywotnością istoty.

- Każde ciało żyje zwykle dwieście do trzystu lat - wyjaśnił Arak. - Chociaż zdarzają się wyjątki.

- Jak musiałem przekonać się na własnej skórze - dodał Reesta. - Z obecnego wycisnąłem raptem sto osiemdziesiąt lat. To najgorsze ciało, jakie mi się do tej pory trafiło.

- Sugerujesz, że dualizm ciała i umysłu jest w Interterze faktem? - zapytała Suzanne.

- Istotnie - odparł Arak. Uśmiechnął się niczym dumny rodzic, po czym zwrócił się do Reesty: - Doktor Newell jest bardzo pojętna.

- To widać - odparł tamten.

- O czym wy, u diabła, mówicie? - zapytał Richard.

- Gdybyś słuchał, zamiast gapić się na dziewczyny, miałbyś lepsze pojęcie - odparła Suzanne.

- Przepraszam cię bardzo! - powiedział Richard, naśladowując angielski akcent.

- Co rozumiesz przez istotę? - zapytał Perry.

- Mam na myśli umysł, osobowość, pełen zestaw cech duchowych i umysłowych - odparł Arak. - Wszystko, co sprawia, że człowiek jest sobą. A tu, w Interterze, istota żyje wiecznie. Jest przenoszona w nienaruszonym stanie ze starego ciała do nowego.

213

Suzanne i Perry jednocześnie otworzyli usta, by zasypać go gradem pytań. Perry umilkł, by dać pierwszeństwo Suzanne, lecz Arak uniósł dłonie, by uciszyć ich objęte.

- Pamiętajcie, że jesteśmy tu intruzami. Jestem pewien, że macie wiele pytań. Taki jest cel tej wizyty. Ale niegrzecznie byłoby zakłócać te prywatne chwile, więc szczegóły wyjaśnimy sobie później. - Odwrócił się do Reesty. - Dziękuję, przyjacielu. Nie będziemy kłopotać cię dłużej.

Gratulacje i miłego odpoczynku.

- Nie dziękuj - odparł Reesta. - To dla mnie zaszczyt, że przyprowadziłeś tych gości. Ich obecność czyni tę okazję tym bardziej wyjątkową.

- Skontaktujemy się później - powiedział Arak. - Kiedy masz zamiar umrzeć? - zapytał, kierując grupę z powrotem na korytarz.

- Za jakiś czas - odparł beztrąsko Reesta. - Mamy tę salę do dyspozycji jeszcze przez parę godzin. Ale zaczekaj!

Arak zatrzymał się i odwrócił z powrotem do przyjaciela.

- Właśnie przyszedł mi do głowy pomysł — powiedział Reesta w podnieceniu. - Może nasi goście drugiej generacji chcieliby zobaczyć, jak umieram.

- To bardzo wspaniałomyślna propozycja - odparł Arak. - Oczywiście nie chcemy się

narzucac, ale to byloby pouczajace.

- Nie ma mowy o narzucaniu sie - mowil Reesta, zapalajac sie do pomyslu. - Mam juz troche dosc tego przyjecia, a oni doskonale sobie poradza bez mojej fizycznej obecności.

- W takim razie przyjmujemy - odparl Arak. Gestem przywolal Richarda i Michaela, ktorzy, znudzeni, wyszli na korytarz.

- Mam nadzieje, ze to nie bedzie makabryczne — szepnela Suzanne do Araka.

- Z pewnoscia nie, w porownaniu z tym, co oglada sie dla rozrywki w waszym swiecie - odparl Arak.

Reesta powiedzial cos do swego rącznego komunikatora, po czym okrazyl pokoj, przyciskajac dlonie ze wszystkimi obecnymi. Wywolalo to fale podniecenia. Wreszcie podszedl do stołu, na ktorym lezala skrzynka i ksiazka. Tlum zaczal

214

watowac. Reesta obcial sobie kosmyk wlosow i wlozyl

do skrzyli, po czym wpisal date do ksiazki. Wiwaty doszly do zenitu.

Obok kapsuly pojawily sie drzwi i do sali weszly dwa klony robocze, niosac zlote puchary.

Podaly je Reeście, który uniosl je wysoko w gore. Tlum zamilkł. Reesta wychylin oba kielichy, jeden po drugim. Gdy skonczyl, rozlegly sie brawa. Reesta uklonil sie gošciom, nie pomijajac ludzi drugiej generacji, po czym z pomocą klonow wspial sie do metrowej srednicy otworu kapsuly.

Wszedl stopami do przodu i wsunal sie do srodka wraz z glową. W tym momencie opadlo w dol lustro, tak ze Reesta mogle widziec swych gošci, gošcie zaš widzieli jego twarz. Pomachawszy po raz ostatni dlonią, Reesta zamknal oczy i znieruchomial jak we śnie.

Jeden z klonow roboczych podszedl z boku do aparatu i polozyl dlon na bialym kwadracie.

Niemal natychmiast dalo sie slyszec brzczenie i otwor kapsuly wypełnila czerwona pošwiata.

Chwilę pozniej ciało Reesty zeszywnialo, a jego oczy otworzily sie. Stan ten utrzymwal sie

przez kilka minut, po których ciało Reesty zwiotczało, jego oczy zapadły się, a usta obwisły śmiertelnie.

Mruczący tłum zamilkł. Czerwona poświata w otworze kapsuły zbladła i brzęczenie ucichło. Następnie rozległ się potężny ssący odgłos, po którym nastąpił głuchy stuk zamykającego się wielkiego zaworu i ciało Reesty zniknęło. Przed chwilą jeszcze doskonale widoczne, nagle ulotniło się bez śladu.

Tłum trwał nieruchomy i cichy. Sekundy mijały. Suzanne czuła zamęt tak w uczuciach, jak w myślach. Śmierć, w jakiegokolwiek postaci, była dla niej czymś wstrząsającym. Zaryzykowała rzut oka na Perry'ego. Równie zdezorientowany zareagował tylko wzruszeniem ramion.

- No i co? - zapytał Richard.

gestem nakazał mu, by był cicho i czekał. On przestąpił z nogi na nogę i ziewnął. Wszystkie ręczne komunikatory, także u gości - • uaktywniły się jednocześnie. Choć Ismael 11-™ pokrotce> Jak używać tych urządzeń -sie PO prostu do wydawania im ustnych ko-

co

215

mend - nikt z nich dotąd nie próbował robić z nich użytku. Tak więc kiedy wydobył się z nich głos Reesty, cała piątka była zaskoczona.

- Cześć, przyjaciele — powiedział głos Reesty. — Wszystko w porządku. Śmierć przebiegła pomyślnie i bez komplikacji. Do zobaczenia ze wszystkimi za cztery lata, ale nie zapominajcie o kontaktach.

Ludzie pierwszej generacji wybuchnęli radością, entuzjastycznie przyciskając nawzajem dłonie.

- Śmierć nie jest tu specjalnie wielką sprawą — szepnął Michael do Richarda.

- Tak, ale myślę, że to musi być zrobione w taki specjalny sposób - odparł szeptem Richard.

- To dobry moment, żebyśmy stąd wyszli - powiedział Arak. Dyskretnie wyprowadził swoich podopiecznych na korytarz i skierował z powrotem w stronę wind. Suzanne i Perry mieli mnóstwo pytań, ale on zbył ich krótko. Zbyt zajęty był poganianiem Richarda i Michaela. Donald pozostał obojętny jak zwykle.

Dopiero gdy znów znaleźli się w taksówce powietrznej, mogli wreszcie zająć się rozmową.

Nim jeszcze właz zdążył się zamknąć, odezwał się Perry.

- Obawiam się, że ta wizyta przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi. Arak skinął głową.

-W takim razie była udana - odparł. Położył dłoń na okrągłym czarnym stoliku. - Centrum rozplodowe, proszę! -Niemal natychmiast spodek zamknął się, wzbił się w powietrze, po czym wystrzelił w kierunku poziomym.

- Co właściwie zobaczyliśmy? - zapytała Suzanne.

- Śmierć obecnego ciała Reesty - odparł Arak. Rozparł się wygodnie w fotelu i rozluźnił się.

Nie przywykł do stresu, z jakim wiązała się wizyta w miejscu publicznym z tak wielką, nie wtajemniczoną grupą ludzi drugiej generacji.

- Co się stało z tym ciałem? - zapytał Richard.

- Wróciło do płynnej astenosfery.

- A co z jego istotą? - chciał wiedzieć Perry. Arak zamilkł na chwilę, jak gdyby szukając słów.

216

-Trudno jest wyjaśnić te sprawy, ale przypuszczam, że zrozumiecie, o co chodzi, jeśli powiem, że odcisk jego pamięci i osobowości został wprowadzony do naszego zintegrowanego archiwum.

- Jasna dupa! - wykrzyknął Michael. - Patrzcie, co stoi przed tym budynkiem! Przecież to korweta!

Mimo głębokiego zainteresowania wyjaśnieniami Araka, na okrzyk Michaela wszyscy odruchowo odwrócili głowy, by podążyć wzrokiem za jego wskazującym palcem. Zobaczyli pokrytego pąklami chevroleta corvette, stojącego na bazaltowym postumencie przed budynkiem wyglądającym jak beładny stos dziecięcych klocków.

- Co ten wóz tu robi? - zapytał Michael, gdy taksówka przemykała obok. - To sześćdziesiątka dwójka - ciągnął dalej. - Miałem taką samą, tylko zieloną.

- Ten budynek to nasze Muzeum Powierzchni Ziemi - wyjaśnił Arak. - A samochód uznaliśmy za najlepszy obecnie symbol waszej kultury.

- Jest w fatalnym stanie - powiedział Michael. Usiadł na swoim miejscu.

- Oczywiście - odparł Arak. - Spędził sporo czasu pod wodą, zanim go wyłowiliśmy. Ale wracając do pytania Per-ry"ego. Kiedy klon roboczy uruchomił procedurę śmierci, cały umysł Reesty, to znaczy jego pamięć, osobowość, emocje, samoświadomość, a nawet charakterystyczny dla niego sposób myślenia, został en masse pobrany i zapisany w celu późniejszego odtworzenia. Ludzie drugiej generacji wpatrywali się w niego w osłupieniu.

- Poza tym, że istota Reesty może zostać odtworzona - ciągnął dalej Arak - przed odtworzeniem można się z nim konsultować, a nawet pogawędzić za pośrednictwem ręcznego komunikatora. Co więcej, poprzez centrum medialne, jakie każde z was ma w swoim bungalowie, można nie tylko komunikować się z nim, ale i oglądać go w jego ostatniej cielesnej postaci. Centralne Archiwum tworzy wirtualny obraz podczas każdej rozmowy, którą odbywacie za jego pośrednictwem.

15 — Urowadzenie

217

- A co, jeśli ktoś umrze, zanim dostanie się do tego urządzenia? - zapytał Richard.

- To się nie zdarza - oświadczył Arak. - Śmierć jest w Interterze sprawą planowaną.

- Mam mętlik w głowie - stwierdził Perry. - To, co nam mówisz, jest tak niewiarygodne, że w tej chwili nie wiem nawet, o co pytać.

- Wcale mnie to nie dziwi — odparł Arak. — Dlatego właśnie postanowiliśmy z Sufą najpierw pokazać wam to wszystko, a nie tylko opowiadać o tym.

- Trudno mi uwierzyć, że umysł może być pobrany i odtworzony - powiedziała Suzanne. -

Inteligencja, pamięć i osobowość wiążą się z połączeniami neuronowymi w ludzkim mózgu, a ich liczba jest oszałamiająca. Mówimy o miliardach neuronów, z których każdy może mieć do tysiąca połączeń.

- To istotnie mnóstwo informacji - przyznał Arak. - Ale nie jest to wielkość przytłaczająca według kosmicznych standardów. Masz rację, że połączenia neuronów są tu istotne. W naszym archiwum następuje właśnie odtworzenie sieci neuronowej na poziomie molekularnym za pomocą izomerycznych cząsteczek węgla z podwójnym wiązaniem. Przypomina to odcisk palca.

Nazywamy to odciskiem umysłu.

- Pogubiłem się - przyznał Perry.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Arak. - Pamiętaj, to dopiero początek. Będziecie mieli czas, żeby sobie wszystko ułożyć. Poza tym, za chwilę czeka nas wizyta w centrum rozplodowym, która pokaże wam, co robimy z odciskiem umysłu.

- Co jest w Muzeum Powierzchni Ziemi, które mijaliśmy? - zapytał Donald.

Arak zawahał się. Pytanie Donalda przerwało tok jego myśli.

- Chodzi mi o to, co konkretnie jest tam wystawione? - ** powiedział Donald. - Poza nasiąkniętą wodą korwetą.

- Wiele różnych rzeczy - odparł wymijająco Arak. - Wszystko, co reprezentuje historię i kulturę ludzi drugiej generacji.

- Skąd pochodzą eksponaty? - zapytał Donald.

_ zazwyczaj z dna oceanu - odparł Arak. - Nie licząc katastrof okrętów i wojen, wy, ludzie, na coraz większą skalę h zsensownie wykorzystujecie ocean jako składowisko śmieci Bylibyście zaskoczeni, widząc, co odpadki potrafią powiedzieć o kulturze.

- Chciałbym odwiedzić to muzeum - powiedział Donald. Arak wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz - odparł. - Jesteś pierwszym gościem, który wypowiedział taką prośbę.

Biorąc pod uwagę wszelkie dostępne dla was cuda Interterry, jestem zaskoczony, że cię to interesuje. Z pewnością nie ma tam nic, czego byś już doskonale nie znał.

- Każdy jest inny - stwierdził lakonicznie Donald.

Kilka minut później taksówka powietrzna wysadziła ich przy frontowych schodach centrum rozplodowego. Sam budynek przypominał Partenon - z tą tylko różnicą, że był czarny. Gdy Perry wspomniał o tym podobieństwie, Arak wyjaśnił mu, że i tu, jak przy greckiej adaptacji Cerbera, zależność jest odwrotna, gdyż interterrańskie centrum rozplodowe liczy sobie wiele milionów lat.

Podobnie jak centrum śmierci, centrum rozplodowe mieściło się w mniej zaludnionej części miasta. Mimo to i tu pojawienie się ludzi drugiej generacji natychmiast przyciągnęło tłum, Arak musiał więc znów zająć się trudnym zadaniem przeprowadzenia Richarda i Michaela przez drzwi, poza zasięg gorliwie wyciągających się dłoni Interterran.

Wnętrze, jasne i białe jak budynki w pałacu gości, było zupełnym przeciwieństwem centrum śmierci. Kolejną różnicą była większa liczba krzątających się tu klonów roboczych. Arak poprowadził grupę do bocznego pomieszczenia, gdzie znajdowało się mnóstwo małych, stalowych zbiorników, zdaniem Suzanne przypominających miniaturowe bioreaktory. Płatanina przewodów łączyła poszczególne zbiorniki w układ, wyglądający na zaawansowaną linię produkcyjną.

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Kilka klonów roboczych kontrolowało rozmaite wskaźniki i przyrządy pomiarowe.

- To nie jest najbardziej interesująca część - powiedział Arak. - Ale czemu nie mielibyśmy zacząć od początku? Te zbiorniki zawierają kultury tkanek, jajników i jąder. Ja-jeczka i plemniki są wybierane losowo. Ich chromosomy bada się pod kątem defektów komórkowych, po czym tasuje mikrosomalnie. Przekształcone w ten sposób gamety są, po kontroli, łączone w procesie zapłodnienia. Gdyby ktoś miał ochotę zerknąć, do dyspozycji jest wziernik. - Arak wskazał binokular przy jednym z urządzeń.

Suzanne jako jedyna skorzystała z tej propozycji. Pochyliła się i zajrzała do środka.

Wewnątrz niewielkiej komory pod obiektywem mikroskopu mogła dojrzeć komórkę jajową, do której wnikał aktywny plemnik. Proces nastąpił szybko. Chwilę później zygota zniknęła i do komory zostały wstrzyknięte dwie nowe gamety.

- Ktoś jeszcze? - zapytał Arak, gdy Suzanne odsunęła się od wziernika.

Nikt się nie poruszył.

- W porządku. Przejdźmy do sali ciążowej i bardziej interesującego etapu.

Przeprowadził grupę przez salę gamet do pomieszczenia o wymiarach kilku ustawionych jedno za drugim boisk futbolowych. Wewnątrz, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się rzędy półek, na których spoczywały niezliczone przejrzyste kule. Między rzędami przechadzały się setki klonów roboczych, przyglądając się każdej z kul z osobna.

- Rany boskie! - szepnęła Suzanne, gdy zaświtało jej, na co właściwie patrzy.

- Otrzymywane w procesie zapłodnienia dzielące się zygoty są jeszcze raz sprawdzane pod kątem anomalii komórkowych na poziomie chromosomów - wyjaśnił Arak. - Jeśli okazują się wolne od wszelkich defektów, po osiągnięciu wymaganej liczby komórek zostają przeniesione do kul, gdzie pozwala im się rozwijać.

- Czy możemy przejść się między półkami? - zapytała Suzanne.

- Oczywiście. Po to właśnie tu jesteśmy: żebyście mogli zobaczyć wszystko na własne oczy.

220

Cała grupa ruszyła powoli długim na kilkaset metrów korytarzem między rzędami kuł.

Suzanne była zafascynowana i przerażona jednocześnie. W każdej z kuł pływał embrion o różnej wielkości i wieku. W ich dolnej części widać było bezkształtne, ciemnopurpurowe łożysko.

- To wszystko takie sztuczne - powiedziała.

- Istotnie — odparł Arak.

- Czy całe rozmnażanie na Interterze odbywa się przez ektogenezę? - zapytała Suzanne.

- Jak najbardziej - powiedział Arak. - Czegoś tak ważnego jak reprodukcja nie zamierzamy pozostawić przypadkowi.

Suzanne przystanęła, przyglądając się embrionowi może piętnastocentymetrowej długości.

Pokręciła głową. Jego małe rączki i nóżki poruszały się, jak gdyby pływał.

- Czy coś cię niepokoi? - zapytał Arak. Suzanne skinęła głową.

- To mechanizacja procesu, który moim zdaniem najlepiej pozostawić naturze.

- Natura jest obojętna - stwierdził Arak. - Sami możemy zrobić to o wiele lepiej, i nam nie jest wszystko jedno.

Suzanne wzruszyła ramionami. Nie zamierzała wdawać się w spór. Ruszyła dalej.

- To wygląda jak kule, w których was znaleźliśmy - powiedział nurkom Perry.

- Pieprzysz! - wypalił Richard.

- Proszę! - warknęła z irytacją Suzanne. - Mam już dość języka, którego z takim upodobaniem używacie.

- Przepraszam, że uraziłem waszą wysokość - odciął się Richard.

- Te zbiorniki są podobne, ale nie takie same - wtrącił szybko Arak. Awantura w centrum

rozplodowym była ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył.

Suzanne zatrzymała się nagle i zajrzała do jednej z kul. Nie wierzyła własnym oczom.

Zamknięte wewnątrz dziecko wyglądało na co najmniej dwa lata.

- Dlaczego ono wciąż jeszcze jest w kuli? - zapytała.

- To najzupełniej normalne - zapewnił ją Arak.

221

- Normalne? - zdziwiła się. - W jakim wieku one są... -nie mogła znaleźć właściwego słowa — odsączone?

- My nadal nazywamy to narodzinami - oświadczył Arak. -Albo, bardziej technicznie, wyjściem.

- Nieważne - powiedziała Suzanne. Widok dziecka uwięzionego w wypełnionej płynem kuli przyprawiał ją o mdłości. To wydawało się tak zimne, wyrachowane i okrutne. -W jakim wieku te dzieci są uwalniane?

- Z reguły nie wcześniej niż w czwartym roku życia. Czekamy, aż mózg będzie wystarczająco rozwinięty, by przyjąć odcisk umysłu. Nie chcemy też, żeby mózg nadmiernie zaśmiecił się nie uporządkowanymi, naturalnymi danymi z zewnątrz.

Suzanne i Perry wymienili spojrzenia.

- Chodźcie! - zawołała Sufa, kiwając do nich z daleka. -Zaraz nastąpi wyjście. Próbowałam opóźnić je, jak się dało. Musicie się spieszyć. - Odwróciła się i pobiegła w stronę, z której przyszła. Arak popędził grupę, zamierzając szybko przejść przez salę, którą nazwał salą zapisu, by dotrzeć do mieszczącej się za nią sali wyjść. Ale Suzanne już na progu zawahała się, wstrząśnięta widokiem.

Sala zapisu była cztery razy mniejsza od sali ciężowej. Zamiast szczelnych kul z embrionami wypełniały ją przezroczyste zbiorniki, w których spoczywały anielsko urocze cztero-

latki. Każde dziecko unosiło się w cieczy, ale w ustabilizowanej pozycji. Mimo stosunkowo zaawansowanego wieku dzieci, wciąż jeszcze były one połączone pępowinami z łożyskiem.

- Nie wiem, czy chcę to oglądać - powiedziała Suzanne, gdy Arak delikatnie popchnął ją, by szła dalej.

Pozostali stanęli z rozdziawionymi ustami wokół pierwszego zbiornika. Głowa dziecka była unieruchomiona jak do operacji mózgu. Oczy zabezpieczono przed zamykaniem się rozwieraczami powiek, zaś same gałki oczne unieruchomiono szwami. Z przypominającego działko aparatu poprzez ściankę przezroczystego zbiornika do każdej ze źrenic dziecka biegła wiązka światła. Wiązki migotały z wielką, ale zmienną częstotliwością.

222

- Co się tu dzieje? - zapytał Perry. Wyglądało to jak tortura.

- To całkowicie bezpieczny i bezbolesny proces - odparł Arak. Dołączył do grupy i gestem przywołał Suzanne, by podeszła bliżej.

- Dzieciak wygląda, jakby strzelano do niego z działka laserowego - stwierdził Michael.

- Znając brutalność waszej kultury mogę zrozumieć, dlaczego nasuwa ci to takie skojarzenia. Ale jest to jak najdalsze od prawdy. Kontynuując poprzednią analogię na temat ładowania, którą posłużyłem się w centrum śmierci, to dziecko po prostu otrzymuje zapis odcisku umysłu osoby, której istota została przechowana w Centralnym Archiwum. To, co tu widzicie, jest procedurą odtwarzania.

Suzanne podeszła powoli, trzymając dłoń na ustach. Czuła się jak dziecko na strasznym filmie: bała się patrzeć, a jednak nie mogła odwrócić oczu. Patrząc na unieruchomionego berbecia, zadrżała. Widok ten wydał jej się ucieleśnieniem oszalałej biotechnologii.

- Jak widzieliście w centrum śmierci - ciągnął dalej Arak - na pobranie odcisku umysłu potrzeba zaledwie kilku sekund. Ale zapis to inna sprawa. Musimy tu polegać na prymitywnej

technice z wykorzystaniem niskoenergetycznego lasera, ponieważ nikt jak dotąd nie znalazł lepszej ścieżki dostępu niż siatkówka oka. Oczywiście taka droga jest możliwa, ponieważ siatkówka z rozwojowego punktu widzenia stanowi wypustkę mózgu. Proces jest skuteczny, ale niestety powolny. Może trwać nawet do trzydziestu dni.

- Jezu! - zawołał Richard. - Biedny dzieciak będzie tak uwiązany przez miesiąc?

- Wierz mi, nie wiąże się z tym żadne cierpienie - powiedział Arak.

- A co z własną istotą dziecka? - zapytała Suzanne.

- Właśnie dajemy mu jego istotę - odparł Arak - wraz z niespotykanym zasobem wiedzy i doświadczenia. - Uśmiechnął się dumnie.

Suzanne skinęła głową, ale nie miało to wyrażać zgody. Dla niej cały ten proces był czystym wykorzystywaniem,

223

rodzajem pasożytnictwa, osadzającym starą duszę w ciele niewinnego noworodka. Odcisk umysłu przejmował władzę nad niemowlęciem.

- Arak! Pospiesz się! - zawołała nagle Sufa z drzwi na przeciwległym końcu sali. - Już się zaczęło!

- Chodźcie! - ponaglił grupę Arak. - Musicie to zobaczyć. To produkt końcowy.

Suzanne z ulgą oderwała się od niepokojącego obrazu dziecka o unieruchomionych oczach.

Pospieszyła za Arakiem, z rozmysłem starając się nie patrzeć na pozostałe zbiorniki. Donald, Richard i Michael ociągali się, zahipnotyzowani widokiem. Michael wyciągnął palec, chcąc przerwać wiązkę laserową, lecz Donald odepchnął jego dłoń.

- Nie wydurniaj się, marynarzu - warknął.

- Jasne - dorzucił Richard. - Dzieciak mógłby stracić swoje lekcje fortepianu - zarechotał.

- To porąbane - stwierdził Michael. Obszedł zbiornik dookoła, by sprawdzić, czy uda mu

się zajrzeć w lufę działka.

- Cóż, popatrz na jasne strony - odparł Richard. - To o wiele łatwiejsze niż chodzenie do szkoły. Jeżeli, jak mówi Arak, to nic nie boli, ja byłbym za. Do diabła, nie znosiłem szkoły.

Donald spojrział na niego z pogardą.

- Widać to po tobie.

- Chodźcie! Już najwyższy czas! - zawołał Arak od drzwi.

Trójka mężczyzn popędziła za swym przewodnikiem. W następnej sali znaleźli Araka, Sufę, Suzanne i Perry'ego, zebranych wokół wyściełanego satyną pola u podstawy stalowej zjeżdżalni. Zjeżdżalnia wychodziła ze ściany, a jej górny koniec znikał za podwójnymi drzwiami wahadłowymi. Na środku wyściełanego zagłębienia siedziała urocza czteroletnia dziewczynka, już ubrana w typowy dla Interterran strój. Było oczywiste, że dopiero co się tu zjawiała. Asystowało jej kilka klonów roboczych.

- Witajcie, panowie - powiedział Arak do Donalda i nurków. Wskazał na dziewczynkę. - Poznajcie Barlot.

- Cześć, cukiereczku - zawołał Richard piskliwym, dziecinnym tonem. Wyciągnął rękę, żeby uszczypnąć ją w policzek.

224

_ Proszę - odezwała się Barlot, uchylając się przed ręką "j-ka. _ Lepiej mnie nie dotykać przez piętnaście lub dwadzieścia minut, bo dopiero niedawno wyszłam z suszarni. Nerwy mojej powłoki muszą dopiero dostosować się do gazowego środowiska.

Richard cofnął się.

- Ci trzej mężczyźni także są nowo przybyłymi gośćmi z powierzchni Ziemi - powiedział Arak, wskazując gestem Donalda, Richarda i Michaela.

- No nie. Cóż za okazja! Pięciu gości z powierzchni jednocześnie. Cieszę się, że zostałam

tak zaszczycona w dniu swojego wyjścia.

- Właśnie powitaliśmy Barlot z powrotem w fizycznym świecie - wyjaśnił Arak. Barlot przytaknęła skinieniem.

- To wspaniale znaleźć się tu z powrotem - powiedziała.

Przyjrzała się swoim drobnym rączkom, obracając je i wyciągając przed siebie. Potem obejrzała swoje nogi i stopy. Poruszyła palcami u nóg.

- Wygląda na dobre ciało - dodała. - Przynajmniej jak na razie - zachichotała.

- Myślę, że wygląda znakomicie - powiedziała Sufa. - I takie piękne niebieskie oczy. Miałaś niebieskie oczy w ostatnim ciele?

- Nie, ale w przedostatnim tak. Lubię odmianę. Czasem pozwalam, żeby kolor oczu został wybrany losowo - odparła Barlot.

- Jak się czujesz? - zapytała Suzanne. Wiedziała, że to głupie pytanie, ale w tych warunkach nie mogła wymyślić nic innego. Zbijał ją z tropu wyraźny kontrast między dziecinnym głosem a dorosłą składnią.

- Przede wszystkim jestem głodna - odparła Barlot. - niecierpliwa. Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę w domu.

- Jak długo byłaś w przechowalni? - zapytał Perry. - Je-sł to jest właściwe słowo.

~ «.y nazywamy to przebywaniem w pamięci. I przypusz-°Zam' że trwało to około sześciu lat. Taki był reklamowany

225

czas oczekiwania, kiedy pobierano mi odcisk umysłu. Ale wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Kiedy jesteśmy w pamięci, nasze istoty nie rejestrują czasu - wyjaśniła Barlot.

- Czy bolą cię oczy? - zapytała Suzanne.

- Ani trochę - odparła dziewczynka. - Przypuszczam, że chodzi ci o płomykowane krwotoki

na twardówce, które z całą pewnością mam.

- Istotnie — przyznała Suzanne. Białka oczu dziewczynki były czerwone jak wóz strażacki.

- To od szwów stabilizujących - wyjaśniła Barlot. - Prawdopodobnie zostały niedawno usunięte.

- Pamiętasz, jak byłeś w akwarium? - zapytał Michael. Barlot roześmiała się.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś nazwał zbiornik zapisu akwarium. Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie! Moje pierwsze świadome wspomnienie w tym ciele, i we wszystkich poprzednich ciałach, jeśli o to chodzi, to przebudzenie się na taśmociągu w suszarni.

- Czy proces pobierania, przechowywania i odtwarzania jest stresujący? - zapytała Suzanne.

Barlot pomyślała przez chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Nie - powiedziała w końcu. - Stresujące jest jedynie to, że teraz muszę czekać, aż dorosnę, żeby móc się naprawdę zabawić. - Roześmiała się, podobnie jak Arak, Sufa, Ri-chard i Michael.

- Oto nasz dom - powiedziała Sufa, gdy w unoszącej się nieruchomości taksówce zmaterializował się wjazd. Pokazała budynek podobny do bungalów w pałacu gości, tyle że bez rozległego trawnika wokół. Wciśnięty był między setki innych, podobnych budynków, niczym w osiedlu domków z prefabrykatów. - Arak i ja pomyśleliśmy, że byłoby pouczające, gdybyście zobaczyli na własne oczy, jak żyjemy, i może przekąsili coś. Jesteście już zbyt zmęczeni, czy macie ochotę wejść do środka?

- Ja mógłbym coś zjeść - stwierdził Richard.

- Bardzo chciałabym zobaczyć wasz dom. To bardzo gościnne z waszej strony — powiedziała Suzanne.

226

_ Jestem zaszczycony - odparł Perry.

Donald po prostu skinął głową.

_ Jestem głodny jak wilk - oświadczył Michael.

- A więc postanowione - powiedziała Sufa. Oboje z Arakiem wysiedli z poduszkowca i skinęli na pozostałych, by szli za nimi.

Wnętrze, podobnie jak w bungalowach gości, było jednolicie białe - biały marmur, białe tkaniny oraz mnóstwo luster. Tu także główny pokój otwierał się na zewnątrz, a basen łączył wnętrze z ogrodem. Mebli było niewiele. Jediną dekorację stanowiło kilka wielkich hologramów, takich jak te, które widzieli w korytarzach odkażalni.

- Wejdźcie, proszę - powiedziała Sufa.

Grupa weszła gęsiego, rozglądając się po otoczeniu.

- Wygląda jak moja willa w Ocean Beach - odezwał się Michael.

- Spadaj. - Richard żartobliwie trzepnął go w głowę.

- Czy wszystkie interterrańskie domy są otwarte na zewnątrz? - zapytał Perry.

- Tak - odparł Arak. - Choć może to zakrawać na ironię, my, którzy mieszkamy we wnętrzu Ziemi, lubimy być na świeżym powietrzu.

- Trochę trudno je przez to zamknąć - zauważył Richard.

- Nie zamykamy naszych domów - odparła Sufa.

- Nikt nic nie kradnie? - zapytał Michael. Arak i Sufa parsknęli śmiechem. Natychmiast usprawiedliwili się z zakłopotaniem.

- Nie chcieliśmy was urazić, ale jesteście tak zabawni. Nigdy nie da się przewidzieć, co macie zamiar powiedzieć. To czarujące - wyjaśnił Arak.

- Przypuszczani, że to ten nasz uroczy prymitywizm - wtrącił Donald.

- Właśnie - przytaknął Arak.

- W Interterze nie ma kradzieży - wyjaśniła Sufa. - Nie ma takiej potrzeby, gdyż każdy ma wszystkiego pod dostatkiem. Poza tym nikt niczego nie posiada na własność. Prywatna własność

historii. My, Interterranie, po prostu używamy tego, co jest nam potrzebne.

Wszyscy usiedli. Sufa wezwała klony robocze, które zja-1 wiły się natychmiast. Wraz z nimi przyszło też jedno z tych J stworzeń, które goście widywali z taksówek powietrznych. Z bliska ta przedziwna mieszanka cech psa, kota i małpy l wyglądała nie mniej osobliwie. Zwierzak wpadł susami do pokoju i rzucił się prosto ku gościom.

- Sark! Zachowuj się! — wrzasnął Arak.

Zwierzak posłusznie zatrzymał się w biegu i z wielkim zaciekawieniem przyglądał się ludziom drugiej generacji swymi kocimi oczami. Stojąc na tylnych, pięciopalczastych jak u małpy łapach, miał około metra wysokości. Jego psi nos drgał, kiedy węszył.

- Dziwaczne stworzenie - stwierdził Richard.

- To homid - odparła Sufa. - I to wyjątkowo ładny ho-mid. Czyż nie jest uroczy?

- Uciekaj stąd, Sark! Nie przeszkadzaj naszym gościom -krzyknął Arak.

Sark jednym susem znalazł się za jego plecami i stanąwszy na tylnych łapach, zaczął drapać go po głowie.

- Grzeczny chłopczyk - mruknął z zadowoleniem Arak.

- Jedzenie dla gości — rozkazała Sufa klonom, które momentalnie się ulotniły.

- Sark wygląda jak kupa zwierząt połączonych w jedno -zauważył Michael.

- Można i tak to określić. To chimera wyhodowana eony temu i od tamtego czasu wciąż klonowana. Nadzwyczajny zwierzak. Macie ochotę zobaczyć jedną z jego najlepszych sztuczek?

- Jasne - odparł Richard. Dla niego stworzenie wyglądało jak zbzikowany eksperyment biologiczny.

- Ja też - zawtórował Michael.

Arak wstał i dał Sarkowi znak, by biegł na zewnątrz. Poszedł za zwierzakiem i zawołał nurków. Richard i Michael posłusznie wstali i wyszli do ogrodu, gdzie zastali Araka pracowicie szukającego czegoś w kępie paproci.

- W porządku, mam - powiedział wreszcie. Wyprostował

228

się, ściskając w ręce krótki patyk. Wrócił na trawnik. - Nie uwierzycie w to. To coś niesamowitego.

- Pokaż - odparł z powątpiewaniem Richard.

Arak pochylił się i wyciągnął kijek w stronę Sarka. Sark chwycił go z wielkim podnieceniem, szczebiocząc jak małpa. Zamachnąwszy się, cisnął patyk na drugi koniec ogrodu. Arak śledził kawałek drewna, dopóki ten nie spadł na ziemię. Potem odwrócił się do nurków.

- To się nazywa rzut, co?

- Niezły - przyznał Michael. - Przynajmniej jak na homida. Kąciki ust Richarda wygięły się w wymuszony uśmiech.

- Poczekajcie, aż zobaczycie resztę - powiedział Arak. - Tylko sekundę. - Pobiegnął w miejsce, gdzie upadł patyk, podniósł go i przyniósł z powrotem. Znów podał go Sarkowi. Zwierzak zamachnął się i rzucił kijek mniej więcej w to samo miejsce. Arak posłusznie potruchtał i przyniósł go po raz drugi. Kiedy wrócił, był lekko zdyszany. - Widzicie to? - zapytał. — Ten mały spryciarz będzie tak robił cały dzień. Ile razy podaję mu patyk, on go wyrzuca.

Nurkowie spojrzeli po sobie. Michael przewrócił oczami. Richard stłumił śmiech.

- Jedzenie gotowe! - zawołała Sufa z pokoju. Arak wyciągnął patyk w stronę Richarda.

- Chciałbyś spróbować?

- Myślę, że daruję to sobie - odparł nurek. - Poza tym jestem głodny jak wilk.

- W takim razie chodźmy jeść - powiedział zgodnie Arak. Cisnął kijek z powrotem w gąszcz paproci i ruszył w stronę domu. Sark pobiegł za nim.

- To miejsce robi się coraz bardziej dziwaczne - mruknął Richard do Michaela, gdy obaj szli brzegiem basenu.

- Mowa - odparł Michael. - Nic dziwnego, że nie zależało im, kiedy wczoraj brałem te złote puchary. Wszystko jest niczyje. Mówię ci, moglibyśmy zbić tu na dole fortunę, a ich by to nie obeszło.

Wraz zjedzeniem klony robocze przyniosły składany stół, który ustawiły w kręgu siedmiu drucianych krzesel. Arak i nurkowie dołączyli do reszty towarzystwa. Sark wspiał

229

się na oparcie krzesła swego pana i zaczął drapać go za uszami. Wszyscy nałożyli sobie porcje dań i zaczęli jeść.

- Cóż, tu właśnie spędzamy większość czasu - odezwał się Arak po krótkiej, niezręcznej ciszy. Wyczuwał, że goście są nieco oszołomieni wydarzeniami dnia. - Czy ktoś z was ma jakieś pytania?

- Czym się zajmujecie? - zapytała Suzanne, aby nawiązać rozmowę. Woląla pozostać przy błahej pogawędce niż poruszać poważniejsze, krążące jej po głowie kwestie.

-Korzystamy z życia - odparł Arak. - Dużo czytamy i oglądamy programy holograficzne.

- Czy Interterranie w ogóle nie pracują? - zapytał Perry.

- Niektórzy to robią - przyznał Arak. - Ale nie ma takiej potrzeby i ci, którzy pracują, zajmują się tylko tym, na co mają ochotę. Wszelkie usługi, do czego sprowadza się większość prac, są wykonywane przez klony robocze. Kontrolą i zarządzaniem zajmuje się Centralne Archiwum. Tak więc ludzie mogą swobodnie zajmować się własnymi zainteresowaniami.

- Czy klony robocze nie mają nic przeciwko temu? Czy nigdy nie strajkują ani nie buntują

się? - zapytał Donald.

-Ależ skąd - uśmiechnął się Arak. - Klony są jak... no cóż, jak wasze zwierzęta domowe. Ze względów estetycznych nadaliśmy im ludzki wygląd, ale ich mózgi są o wiele mniejsze. Mają słabiej rozwinięte przodomózgowie, tak że ich potrzeby i zainteresowania są odmienne od naszych. One uwielbiają pracować i służyć.

- Brzmi to jak wyzysk - zauważył Perry.

- Być może. Ale do tego właśnie są maszyny. To tak, jak z waszymi samochodami. Nie podejrzewam przecież, żebyście traktowali korzystanie z nich jako wyzysk. Analogia byłaby lepsza, gdyby samochody miały oprócz części mechanicznych także żywe. Jestem pewien, że jeśli są nie używane, niszczeją. Tak samo jest z klonami roboczymi, tyle że one nie znoszą bezczynności. Bez pracy i wskazówek popadają w przygnębienie i degenerują się.

- To dla nas krępujące, bo mają taki ludzki wygląd - powiedziała Suzanne.

230

- Musicie pamiętać, że one nie są ludźmi - odparła Sufa.

- Czy są różne typy klonów? — zapytał Perry.

-Wszystkie wyglądają zasadniczo tak samo - odparł Arak. - Ale są klony służebne, robocze i rozrywkowe, w wersji męskiej i żeńskiej. Decyduje o tym oprogramowanie.

-Dlaczego przy tak rozwiniętej technice nie używacie robotów? — zapytał Donald.

- Dobre pytanie - przyznał Arak. - W dawnych czasach wykorzystywaliśmy androidy; były nawet całe ich serie. Ale zwykle maszyny mają skłonność do awarii i wymagają napraw. Potrzebowaliśmy androidów do naprawy androidów i tak bez końca. Było to niewygodne, a nawet śmieszne. Dopiero kiedy nauczyliśmy się łączyć elementy biologiczne z mechanicznymi, rozwiązaliśmy ten problem. Ostatecznym efektem tych prac są właśnie klony robocze, a przewyższają one każdego androida. Same w pełni troszczą się o siebie, a nawet same naprawiają

się i rozmnażają, aby utrzymać swą populację na stałym poziomie.

- Zdumiewające - powiedział Perry. Suzanne skinęła głową. Zapadło milczenie. Gdy uporali się zjedzeniem, Sufa odezwała się:

- Myślę, że już pora, byście wrócili do siebie, do pałacu gości. Potrzebujecie trochę czasu, by oswoić się ze wszystkim, co widzieliście i słyszeliście. Poza tym nie chcemy przeciążać was już na samym początku. Jutro też jest dzień. - Uśmiechnęła się miło, podnosząc się z krzesła.

- To prawda, że potrzebujemy trochę czasu - odparła Suzanne, również wstając. -

Rzeczywiście jestem już chyba nieco przeciążona. To był zdecydowanie najbardziej wstrząsający, oszałamiający i niesamowity dzień w moim życiu.

Michael zatrzymał się niepewnie w drzwiach bungalowu. Richard stał tuż za nim. Przed chwilą pożegnali się z Arakiem i Sufą.

- Jak myślisz, co tam znajdziemy? — zapytał Michael.

- Rany boskie! - burknął Richard. - Skąd mam wiedzieć, dopóki nie otworzysz tych cholernych drzwi?

231

Michael pociągnął za klamkę. Obaj przekroczyli próg i rozejrzeli się po pokoju.

- Myślisz, że ktoś tu był? — zapytał nerwowo Michael. Richard przewrócił oczami.

- A jak myślisz, gamoniu? — powiedział. — Łóżko jest zaścielone, a cały pokój wysprzątanym. Zobacz, ktoś nawet poskładał na kupkę wszystkie półmiski i puchary, które przywlokłeś z imprezy i z jadalni.

- Może to tylko klony - podsunął Michael.

- To możliwe.

- Myślisz, że ciało jest wciąż tam, gdzie je schowaliśmy?

- Cóż, jasne jak słońce, że nie dowiemy się, dopóki tam nie zajrzemy — stwierdził Richard.

- W porządku, sprawdzę.

- Poczekaj! - zawołał Richard, chwytając go za ramię. - Najpierw upewnię się, czy droga jest wolna.

Rozejrzył się wkoło. Wynik oględzin zadowolił go. W pobliżu nie było nikogo.

- W porządku, sprawdź ciało.

Michael podszedł do szafek po prawej stronie drzwi.

- Napoje, proszę! - rozkazał. Lodówka otworzyła się na oścież. Wewnątrz piętrzyły się pojemniki z napojami i jedzeniem.

- Wygląda tak, jak ją zostawiliśmy - stwierdził.

- To zachęcające - odparł Richard.

Michael pochylił się i wyjął kilka pudełek, odsłaniając bladą twarz Sarta. Martwe oczy wpatrywały się w niego oskarżycielsko. Szybko wepchnął pojemniki na miejsce, by ukryć straszny widok. Sart był pierwszym trupem, jakiego oglądał, jeśli nie liczyć zwłok dziadka. Ale dziadek był wystawiony w trumnie, ubrany w smoking. Poza tym staruszek miał dziewięćdziesiąt cztery lata.

- No, możemy być spokojni - stwierdził Richard.

- Na razie - odparł Michael. - Ale to nie znaczy, że nie mogą znaleźć go dziś wieczorem albo jutro. Może powinniśmy wyjąć go i pochować w jednej z tych kęp paproci.

- A czym wykopujemy dół, łyżeczkami? - zapytał Richard.

- W takim razie może powinniśmy przenieść go do cie-

232

uje j włożyć do twojej lodówki. Skóra mi cierpnie, kiedy on tu jest.

- Nie będziemy ryzykować chodzenia z nim w tę i z powrotem - oświadczył Richard. -

Zostaje tu, gdzie jest.

_ W takim razie zamieńmy się pokojami - zaproponował Michael. - W końcu to ty go zabiłeś, nie ja.

Oczy Richarda zwężyły się złowieszczo.

- Rozmawialiśmy już na ten temat - wycedził z wolna. -I zostało postanowione: siedzimy w tym razem. Przestań już gadać o tym ciebie.

- Mieliśmy powiedzieć Fullerowi - przypomniał Michael.

- Nie powiemy — odparł Richard. — Rozmyśliłem się.

- Czemu?

- Bo ten sztywny skurwiel wcale nie będzie lepiej wiedział, co zrobić z ciałem. Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się aż tak przejmować. Do diabła, przez cały dzień nikt nie pytał nawet o tego palanta. A zresztą Arak powiedział, że tu nie ma więzień.

- To dlatego, że tu nie ma złodziei - powiedział oschle Michael. - Arak nie mówił nic o morderstwie, a po tych wszystkich hecach z ładowaniem umysłu, które nam pokazali, coś mi się widzi, że będą tym nieźle wkurzeni. Mogą przerobić nas na surowce wtórne, jak Reestę.

-Hej, uspokój się!

- Jak mogę się uspokoić, kiedy mam trupa w lodówce?! -ryknął Michael.

- Zamknij się, kurwa! - wrzasnął na niego Richard. Ściszył głos. - Jezu, usłyszysz cię cała okolica. Opanuj się. Najważniejsze to zabrać stąd dupy, i to jak najszybciej. Póki co, Sart jest w lodówce, dzięki czemu nie zasmrodzi całej chaty. Pomyślmy o przeniesieniu go, jeśli ktoś zacznie węszyć i wypytywać o niego. W porządku?

- Chyba tak - odparł Michael, lecz bez szczególnego zapału.

16

Rozdział 14

Jak poprzedniego dnia, sklepienie podziemnej pieczary ciemniało stopniowo, naśladując

normalny zmierzch. Suzanne i Perry, oczarowani podobieństwem kopuły do prawdziwego nieba, przyglądali się z podziwem pseudogwiazdom, które jedna po drugiej pojawiały się w fioletowym półmroku. W przeciwieństwie do nich, wciąż posępny Donald wbił w zamyśleniu wzrok w gęstniejące cienie pod kępami paproci. Wszyscy troje stali na trawniku, może dziesięć metrów od otwartego końca jadalni. Klony robocze nakrywały właśnie stół do obiadu. Richard i Michael siedzieli już na swoich miejscach, niecierpliwie czekając na posiłek.

- To zdumiewające - powiedziała Suzanne. Patrzyła w górę, zadzierając głowę.

- Co, gwiazdy bioluminescencyjne? - zapytał Perry.

- Wszystko. Z gwiazdami włącznie. - Dopiero co opuściła swój apartament, gdzie popływała, wykapała się i próbowała nawet uciąć sobie drzemkę. Ale nie udało jej się zasnąć. Zbyt wiele myśli kłębiło się w jej głowie.

- Niektóre sprawy rzeczywiście są dość niezwykle - przyznał Donald.

- Nie przychodzi mi na myśl nic, co by takie nie było - odparła Suzanne. Przeniosła wzrok na drugi koniec trawnika, na ciemny gmach pawilonu, w którym poprzedniej nocy odbywało się święto. - Poczynając od faktu, że ten przestronny raj jest zagrzebany pod dnem oceanu. Jakie to dziwne, że kiedy zapuszczaliśmy się w ten szyb, wspomniałam o Wyprawie do wnętrza Ziemi Verne'a, skoro rzeczywiście znaleźliśmy się we wnętrzu Ziemi.

Perry zaśmiał się cicho.

- Jakbyś zgadła.

234

- Tak czy inaczej, to wszystko nie mieści się w głowie - dodała Suzanne. — Zwłaszcza teraz, kiedy wydaje się, że wszystko, co powiedzieli nam Arak i Sufa, jest prawdą, bez względu na to, jak fantastyczne może się wydawać.

- Ich zaawansowanie techniczne wyraźnie rzuca się w oczy - stwierdził z ożywieniem

Perry. — Chętnie dowiedziałbym się więcej szczegółów na temat biomechaniki klonów roboczych albo taksówek powietrznych. Patenty na którekolwiek z tych rozwiązań mogłyby uczynić nas miliardera-mi. A turystyka? Wyobrażasz sobie, jaki będzie popyt na wycieczki tutaj? To pobije wszelkie rekordy. - Znów zachichotał. - Tak czy inaczej, Benthic Marinę stanie się Micro-softem nowego stulecia.

- Rewelacje Araka są niezwykle - przyznał niechętnie Donald. - Ale jest parę ważnych luk, o których wy, w swoim zaślepieniu, zdajecie się zapominać.

- O czym ty mówisz? - zapytał Perry.

- Zdejmijcie różowe okulary. Jeśli chodzi o mnie, podstawowe pytanie nie zostało nawet postawione: Co my tu robimy? Nie zostaliśmy uratowani przed zatonięciem z rozbitego szkunera jak Blackowie. Zostaliśmy celowo i z premedytacją wessani w ich tak zwany port wyjściowy, i chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Donald ma rację - powiedziała Suzanne, nagle zamyślona. - W podnieceniu wciąż zapominam, że jesteśmy, mimo wszystko, ofiarami porwania. To zdecydowanie nasuwa pytanie, co my tu robimy.

- W każdym razie traktują nas dobrze - powiedział Perry.

- W tej chwili - odparł Donald. - Ale, jak już raz mówiłem, to może się zmienić w okamgnieniu. Wydaje mi się, że niezbyt zdajecie sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy bezbronni.

- Wiem, jak jesteśmy bezbronni - rzucił Perry z lekką irytacją. - Do diabła, przy swoim zaawansowaniu mogliby załatwić nas błyskawicznie. Arak mówił o podróżach międzyplanetarnych, nawet o podróżach galaktycznych i technice czasowej. Ale lubią nas. Dla mnie to oczywiste, nawet jeśli ty tego nie dostrzegasz. Myślę, że powinniśmy nastawie się życzliwiej, a nie dopatrywać się podstępów.

- Lubią nas, pewnie — prychnął Donald. — Jesteśmy dla nich zabawni. Ile już razy nam to powiedzieli? Bawi ich nasz prymitywizm, jakbyśmy byli tresowanymi zwierzakami. Osobiście mam już dość robienia za klauna.

- Nie traktowaliby nas tak dobrze, gdyby nas nie lubili -upierał się Perry.

- Ależ ty jesteś naiwny - odparł Donald. - Nie przyjmujesz do wiadomości, że jesteśmy, praktycznie rzecz biorąc, więźniami, bezprawnie uprowadzonymi i poddanymi jakimś manipulacjom w odkaźalni. Zostaliśmy tu sprowadzeni z dotychczas niewiadomego powodu.

Suzanne skinęła głową. Słowa Donalda przypomniały jej o luźnej uwadze Araka, sugerującej, że oczekiwał jej przybycia. Uwaga ta wydała jej się wówczas niepokojąca, ale wkrótce potem zapomniała o niej pod wpływem innych, bardziej zdumiewających odkryć.

-A może oni nas werbują - odezwał się nagle Perry.

- Do czego? - zapytał z powątpiewaniem Donald.

-Może tak bardzo starają się pokazać nam wszystko, żeby przygotować nas do roli ich przedstawicieli - mówił Perry, coraz bardziej zapalając się do tego pomysłu. - Może uznali wreszcie, że nadeszła pora na kontakty z naszym światem i chcą, żebyśmy byli ich ambasadorami. Prawdę mówiąc, sędzę, że moglibyśmy zrobić cholernie dobrą robotę, zwłaszcza gdybyśmy przeprowadzili to za pośrednictwem Benthic Marine.

- Ambasadorowie! - powtórzyła Suzanne. - To ciekawy pomysł! Nie mają ochoty adaptować się do naszej atmosfery z powodu swego braku odporności na nasze bakterie i wirusy, ani nie chcą poddawać się odkażaniu koniecznemu, żeby powrócić do Interterry.

- Otóż to - przytaknął Perry. - Gdybyśmy byli ich przedstawicielami, mogliby uniknąć tych wszystkich problemów.

-Ambasadorowie? Boże drogi! - Donald wyrzucił ręce w górę i kręcił głową w wyrazie zniechęcenia.

- O co ci znowu chodzi? - zapytał Perry, znowu rozdrażniony. Donald zaczął działać mu na nerwy.

- Wiem, że wy dwoje jesteście optymistami, ale ten po-

236

mysł z ambasadorami bije wszelkie rekordy - mruknął Donald.

- Uważam, że to zupełnie rozsądna możliwość — stwierdził Perry.

- Słuchaj, panie prezesie Benthic Marine - prychnął Donald, jak gdyby określenie to było ciężką obelgą. - Ci Inter-terranie nie zamierzają nas wypuścić. Gdybyście nie byli tak beznadziejnymi optymistami, sami byście to zrozumieli.

Suzanne i Perry zamilkli, rozważając te słowa. Była to kwestia, o której żadne z nich nie chciało myśleć, a co dopiero dyskutować.

- Sądzisz, że mają zamiar trzymać nas tu na zawsze? -zapytała w końcu Suzanne. Musiała przyznać, że żadne z słów Araka i Sufy nie wskazywało na plan odesłania pięciorga gości na ich statek na powierzchni oceanu.

- Chyba do tego się to sprowadza, jeśli nigdy nas nie wypuszczą - odparł Donald z przekąsem.

- Ale dlaczego? - zapytał błagalnie Perry. Gniew zniknął z jego głosu.

- To logiczne - odparł Donald. - Ci ludzie przez tysiące lat zdołali utrzymać Interterę w ukryciu. Jak mogliby pozwolić nam wrócić na powierzchnię, gdy wiemy to, co wiemy?

- O Boże! - szepnęła Suzanne.

- Myślisz, że on ma rację? - zapytał Perry.

- Obawiam się, że coś w tym jest — powiedziała. — Nie ma powodów, dla których mieliby dziś mniej obawiać się skażenia niż dawniej. A biorąc pod uwagę nasz postęp techniczny, są

powody, dla których mogliby obawiać się bardziej. Być może bawi ich nasz prymitywizm, ale przypuszczam, że brutalność naszej kultury raczej ich przeraża.

- Ale wciąż określają nas jako gości - wtrącił Perry. - To miejsce nazywa się pałacem gości.

Goście nie zostają na zawsze. - Potem, irracjonalnie, dodał jeszcze: - A zresztą ja nie mogę tu zostać. Mam rodzinę. Już i tak się martwię, że nie mogłem dać im znać, że wszystko w porządku.

- To kolejna kwestia - stwierdził Donald. - Oni sporo wiedzą na nasz temat. Wiedzą o naszych rodzinach. Mając

237

taką technikę, mogli dać nam szansę zawiadomienia naszych bliskich, że żyjemy. Fakt, że tego nie zobili, jest, jak sądzę, jeszcze jednym dowodem, że zamierzają nas tutaj zatrzymać.

- Racja - przyznała Suzanne. Westchnęła. - Dokładnie pół godziny temu w swoim pokoju żałowałam, że nie ma tam zwykłego, staroświeckiego telefonu, żebym mogła zadzwonić do brata.

To jedyny krewny, który będzie za mną tęsknił.

- Nie masz żadnej rodziny? - zapytał Donald.

- Niestety nie. Ta część mojego życia po prostu się nie ułożyła, a rodziców straciłam już dawno.

-Ja mam żonę i trójkę dzieci - powiedział Donald. -Oczywiście dla Interterran to nic nie znaczy. Całe pojęcie rodzicielstwa jest dla nich najwyraźniej przestarzałe.

- Mój Boże! -jęknął Perry. - Co my zrobimy? Musimy się stąd wydostać. Musi być jakiś sposób.

-Hej, wy tam! Zupa na stole. Chodźcie jeść! - zawołał Michael z jadalni.

- Niestety to oni mają w ręku wszystkie atuty - powiedział Donald, ignorując Michaela, który znów zniknął w jadalni. — W tej chwili wszystko, co możemy zrobić, to bacznie obserwować.

- Co oznacza korzystanie z ich gościnności - stwierdziła Suzanne.

- O tyle, o ile - odparł Donald. - Nigdy nie zgodzę się na bratanie się z wrogiem.

- To jest w tym wszystkim najbardziej dziwne. Oni wcale nie zachowują się jak wrogowie.

Są tacy życzliwi i przyjaźni. Trudno jest wyobrazić sobie, że mogliby kogoś skrzywdzić - zastanawiała się Suzanne.

- Uniemożliwienie mi kontaktu z rodziną jest chyba największą podłością, jaką mogli mi wyrządzić - stwierdził Perry.

- Nie, jeśli rozważysz to z ich perspektywy - odparła Suzanne. - Zmechanizowany rozród, czteroletnie noworodki, którym wtłacza się umysł i osobowość dorosłego człowieka, to wszystko sprawia, że w Interterze nie ma rodzin. Możliwe, że nie potrafią zrozumieć tej więzi.

238

- Co wy tam, u diabła, robicie po ciemku? — krzyknął Mi-chael. Wrócił do łącznika między jadalnią a trawnikiem. - Klony czekają na was. Nie macie zamiaru jeść?

- Myślę, że moglibyśmy coś zjeść. Jestem głodna - stwierdziła Suzanne.

- Ja nie wiem, czy po tej rozmowie będę w stanie coś przełknąć - mruknął Perry.

Ruszyli w stronę światła wylewającego się na ciemną murawę.

- Przecież musi być jakieś wyjście - powiedział Perry.

- Możemy unikać obrażania ich. To może być sprawa zasadnicza - stwierdził Donald.

- Jak moglibyśmy ich obrazić? - zdziwił się Perry.

- To nie o nas się martwię. Chodzi o tych durnych nurków.

- A gdyby otwarcie poruszyć tę sprawę? - zaproponował Perry. - Może zapytalibyśmy

Araka na jutrzejszym spotkaniu, czy będziemy mogli stąd odejść? Wtedy będziemy wiedzieli na pewno.

- To może być ryzykowne - odparł Donald. - Myślę, że nie powinniśmy zdradzać, że

interesuje nas ta kwestia. Jeśli to zrobimy, mogą ograniczyć naszą swobodę. Na razie możemy, przynajmniej teoretycznie, w każdej chwili skorzystać z naszych komunikatorów i wezwać taksówkę powietrzną. Przypuszczam, że wolno nam wychodzić i wracać, kiedy nam się podoba. Nie chcę stracić tego przywileju. Możemy go potrzebować, jeśli istnieje szansa na wyrwanie się stąd.

- To kolejna słuszna uwaga - zgodziła się Suzanne. - Ale nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy za-pytać, dlaczego tu jesteśmy. Może odpowiedź na to pytanie powie nam, czy oczekują, że zostaniemy tu na zawsze.

- Niezły pomysł - przyznał Donald. - Mógłbym spróbować, pod warunkiem że nie będziemy robić z tego wielkiej sprawy. Właściwie czemu nie miałbym zapytać o to już jutro rano? Arak wspominał, że znów będziemy mieć sesję.

- Moim zdaniem to brzmi doskonale - stwierdziła Suzanne. - Jak myślisz, Perry?

239

- W tej chwili sam nie wiem, co myśleć.

- Ludzie, pospieszcie się! - krzyknął Michael, kiedy weszli do sali. — Ten durny klon nie pozwoli nam dotknąć półmisków, dopóki wszystkich tu nie będzie, a jest silny jak wół.

Przy centralnym stole stał klon roboczy, z dłońmi spoczywającymi na pokrywach ogrzewaczy.

- Skąd wiecie, że on czeka na nas? - zapytała Suzanne, zajmując jedno z krzeseł.

- Nie wiemy na pewno, bo ten kretyn nie mówi - przyznał Michael. - Ale mamy nadzieję, że to o to chodzi. Zdychamy z głodu.

Perry i Donald zajęli miejsca. Niemal w tej samej chwili klon roboczy odsłonił półmiski.

- Bingo! - zawołał Richard.

Wkrótce każdy otrzymał swoją porcję. Na pewien czas rozmowy ustały. Richard i Michael

byli zbyt zajęci jedzeniem; pozostali rozmyślali o niedawnej rozmowie.

- Co wyście robili tam po ciemku? - zapytał Richard, po czym beknął głośno. —

Rozmawialiście o pogrzebie? Jesteście wszyscy tacy ponurzy.

Nikt nie odpowiedział.

- Wesołe towarzystwo - mruknął nurek.

- Przynajmniej umiemy zachować się przy stole - rzucił sucho Donald.

- Odpieprz się.

- Wiecie, nagle wydało mi się to na swój sposób komiczne - odezwała się Suzanne.

- Co, zachowanie Richarda? - zapytał Michael, parskając śmiechem.

- Nie, nasza reakcja na Interterre - odparła.

- Co masz na myśli? - zapytał Perry.

- Pomyślcie tylko. To miejsce jest rajem, choć nie mieści się w niebie, jak w naszych tradycyjnych wyobrażeniach. Tak czy owak, jest tu wszystko, za czym świadomie i nieświadomie tęsknimy: młodość, piękno, nieśmiertelność i obfitość. To prawdziwa ziemia obiecana.

- Jeśli chodzi o piękno, możemy potwierdzić, nie, Mikey? - wtrącił Richard.

240

_ Dlaczego uważasz to za komiczne? — zapytał Perry, nie zwracając na niego uwagi.

_ Dlatego, że martwimy się, że będziemy musieli tu zostać - wyjaśniła Suzanne. - Wszyscy inni marzą, żeby trafić do raju, a my martwimy się, że nie będziemy mogli go opuścić.

- Co znaczy: będziemy musieli tu zostać? - zapytał Richard.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - stwierdził Donald. - Gdyby moja rodzina była tu ze mną, może bym tak uważał. Ale nie w tej sytuacji. Poza tym, nie lubię być zmuszany do czegokolwiek. Może to brzmieć banalnie, ale cenię swą wolność.

- Zabieramy się stąd, nieprawdaż? - zapytał natarczywie Richard.

- Zdaniem Donalda nie - odparł Perry.

- Ale musimy - wypalił Richard.

- A to dlaczego, marynarzu? - zapytał Donald. - Czemuż to tak ci spieszo opuścić raj

Suzanne?

- Mówiłam w kategoriach ogólnych, nie osobistych - zaprotestowała Suzanne. - Mówiąc szczerze, sposób, w jaki uzyskują nieśmiertelność, przyprawił mnie o lekkie mdłości.

- Nie wiem, o czym wy, ludzie, mówicie - oświadczył Richard - ale chcę zabrać się stąd jak najszybciej.

- Ja też - zawtórował mu Michael.

Nagle rozległ się cichy dzwonek, jakiego nie słyszeli do tej pory. Spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem, ale zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, drzwi otworzyły się i do środka weszły Mura, Meeta, Palenąue i Karena. Gromadka pięknych kobiet była we wspaniałym nastroju. Mura podeszła wprost do Michaela, wyciągając rękę w interterrańskim geście pozdrowienia. Przycisnąwszy przelotnie dłoń do jego dłoni, przysiadła na skraju jego krzesła. Meeta, Palenąue i Karena podeszły do Richarda, który zerwał się na równe nogi.

- Och, dziewczyny, wróciłyście! - zawołał. Dotknął się dłońmi z wszystkimi trzema, po czym objął je entuzjastycznie. Dziewczyny ukloniły się Suzanne, Perry'emu i Donal-

241

dowi, ale całą uwagę zwróciły na Richarda, który nie posiadał się ze szczęścia. Gdy zamierzał znów opaść na krzesło, nie pozwoliły mu na to. Oświadczyły, że chcą odprowadzić go do pokoju i popływać.

- No tak, jasne - zająknął się. Zsalutował Donaldowi i odszedł ze swoim miniharemem.

- Chodź, my też pójdziemy - przynagliła Michaela Mura. -Przyniosłam ci prezent.

- Co to takiego? - zapytał Michael. Pozwolił zaciągnąć się do drzwi.

- Słoi kaldorfiny - odparła. - Słyszałam, że to lubisz.

- Nie tylko lubię, uwielbiam! - wykrzyknął Michael. Oboje wybiegli z jadalni.

Zanim pozostali biesiadnicy zdążyli skomentować sytuację, cichy kurant rozległ się znowu.

Tym razem obwieścił przybycie Luny i Garony. Interterranie najwyraźniej gromadzili się wokół swych wczorajszych partnerów.

- Och, Suzanne! — zamruczał czułe Garona, przyciskając dłoń do jej dłoni. - Tęskniłem za nocą, by móc przyjść i jeszcze raz spędzić ją z tobą.

- Perry, kochanie - szczebiotała Luna. - Ten dzień był bardzo długi. Mam nadzieję, że nie był dla ciebie zbyt ciężki.

Ani Suzanne, ani Perry sami nie wiedzieli, czy są zawstydzeni, czy zachwyceni tym sentymentalnie romantycznym powitaniem. Oboje wyjąkali niezrozumiałe odpowiedzi, pozwalając jednocześnie podnieść się na nogi.

- Chyba wychodzimy - powiedziała Suzanne do Donald-a, gdy Garona rozbawiony ciągnął ją w stronę otwartego końca sali.

- A my chyba idziemy tam, gdzie oni - zawołał do niego Perry, holowany przez Lunę. - Nie wiem, dokąd idziemy! - krzyknął za Suzanne i Garona.

Donald pomachał im obojętnie, nie odzywając się słowem. Został sam z dwójką milczących klonów roboczych.

Michael nie pamiętał, by kiedykolwiek był tak podniecony. Nigdy dotąd kobieta tak cudowna i pociągająca nie wydawała się nim tak zainteresowana. Zaczęła wirować z nim,

242

gdy przepelnieni radością biegli przez pograżony w ciemnościach trawnik do jego sypialni.

Michael upajał się jej widokiem, długimi włosami unoszącymi się na wietrze, i mógłby wirować tak godzinami, gdyby w sprawę nie wmieszał się jego błędnik.

Czując zawroty głowy, Michael zatrzymał się, lecz otoczenie wirowało nadal. Zatoczył się w prawo, nadaremnie próbując utrzymać równowagę. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zwały się bezładnie na ziemię, pociągając za sobą Murę. Wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Niepewnie podnieśli się na nogi, po czym znów puścili się biegiem. Gdy dotarli do jego bungalowu, oboje byli zdyszani.

- O rany. - Michael wziął kilka głębokich oddechów, ale nadal kręciło mu się w głowie.

Sam widok Mury w seksownym interterrańskim stroju sprawiał, że serce waliło mu jak szalone. -

Od czego zaczniemy? Popływamy?

Spojrzała na niego prowokująco. Pokręciła głową.

- Nie, nie chcę teraz pływać - powiedziała zachrypniętym głosem. - Wczoraj w nocy byłeś zbyt zmęczony na zbliżenie. Odesłałeś mnie, zanim mogłam dać ci szczęście.

- Ależ to nieprawda - zaprotestował Michael. - Byłem szczęśliwy.

- Chcesz powiedzieć, że Sart cię uszczęśliwił?

- Do diabła, nie! - warknął. - Co ty, do cholery, sobie myślisz?

- Nie denerwuj się - próbowała go uspokoić. - Nic nie sugeruję. Poza tym to normalna sprawa, zażywać przyjemności z osobami dowolnej płci.

- Dla mnie to nie jest normalne. Nic z tych rzeczy! - oświadczył Michael.

- Michael, proszę, uspokój się - błagała go Mura. - Co cię tak wzburzyło?

- Nie jestem wzburzony! - uciął krótko.

- Czy Sart zrobił coś, co cię rozgniewało? ~ Nie, był w porządku - powiedział nerwowo Michael. ~ A jednak coś cię rozgniewało. Czy Sart został na całą noc? Nie widziałam go dzisiaj przez cały dzień. ~ Nie! Nie! - wyjąkał Michael. - Wyszedł zaraz po tobie.

Richard po prostu przeprosił go za to, że się na niego wściekł, i to wszystko. Wyszedł stąd.

Miły dzieciak, tak czy inaczej.

- Dlaczego Richard się na niego zdenerwował?

- Nie wiem - powiedział z rozdrażnieniem. - Czy musimy rozmawiać o Sarcie przez całą noc? Myślałem, że przyszłaś tu zobaczyć się ze mną.

- Istotnie — odparła Mura. Przysunęła się do Michaela i pogłaskała go po piersi. Pod palcami czuła, jak szybko bije jego serce. - Musiałeś mieć ciężki dzień. Potrzebujesz czegoś na uspokojenie, a ja znam coś takiego.

- Co to takiego?

- Połóż się na łóżku — poleciła. — A ja cię natrę i rozmasuję ci mięśnie.

-To jest coś.

- A kiedy będziesz już spokojny, weźmiemy kaldorfinę i zetkniemy się dłońmi.

- To brzmi świetnie, złotko. Bierzmy się do dzieła.

- Za chwilę wrócę - powiedziała Mura. Lekko popchnęła Michaela w stronę łóżka.

Posłusznie poczłapał i wyciągnął się na miękkiej narzucie.

Mura podeszła do lodówki, by wyjąć coś zimnego do picia. Wydała polecenie z ustami przy odbiorniku, by zrobić to jak najciszej i nie przeszkadzać Michaelowi. Po tym drobnym wybuchu wyczuła, że jest spięty i potrzebuje specjalnych względów. Wiedziała już z doświadczenia, jak łatwo ludzie drugiej generacji potrafią wpaść w złość z najprze-dziwniej szych powodów.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że lodówka jest pełna.

- No nie. Co ty tu masz?! - zawołała.

Uparte dopytywanie się o Sarta poważnie zniechęciło Michaela do Mury. Zamiast, leżąc na łóżku, marzyć o czekających go przyjemnościach, przyłapał się na tym, że wciąż na nowo rozpamiętuje dyskusję, jaką toczyli przy stole na temat uwięzienia ich wszystkich w Interterze. W rezultacie uwaga o pełnej lodówce nie dotarła do jego świadomości, dopóki nie usłyszał odgłosu

spadających na podłogę pojemników i, w chwilę potem, zduszonego jęku. Dopiero wówczas przypomniał sobie o ciele Sarta, a wtedy było już za późno...

244

— Cholera jasna! - szepnął, wyskakując z łóżka. Jak się obawiał, Mura z dłonią przyciśniętą do ust stała przed otwartą na oścież lodówką. Na jej twarzy malowało się najwyższe przerażenie.

Z lodówki, pomiędzy spiętrzonych bezładnie opakowań, wзираła zastygła, blada twarz Sarta.

Michael rzucił się ku Murze i otoczył ją ramionami. Obwisała bezwładnie w jego objęciach i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymywał.

-Posłuchaj! Posłuchaj! - szeptał pospiesznie. - Mogę to wytłumaczyć.

Mura odzyskała równowagę i wysunęła się z jego uścisku. Drżącą ręką dotknęła policzka Sarta. Był twardy jak drewno i zimny jak lód.

- Och, nie! - jęknęła. Kryjąc poblądłe policzki w dłoniach, zadrżała, jak gdyby przez pokój powiał nagle zimny wiatr. Gdy Michael próbował znów objąć ją ramionami, odepchnęła go.

Wpatrywała się w twarz Sarta. Choć był to przerażający obraz, nie mogła odwrócić wzroku.

Jak oszalały, Michael pochylił się, pozbierał rozrzucone przedmioty i wepchnął je z powrotem do lodówki, by zasłonić martwego chłopca.

- Musisz się uspokoić - powiedział nerwowo.

- Co się stało z jego istotą? - zapytała Mura. Krew znów napłynęła jej do twarzy, zabarwiając policzki na szkarłat-no. Wstrząs i przerażenie zmieniały się w gniew.

- To był wypadek. Upadł i uderzył się w głowę. - Michael znów wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się, utrzymując go na odlegość ramienia.

- Ale co z jego istotą? - powtórzyła, choć dotarła już do niej straszliwa prawda.

- Zrozum, on nie żyje, na Boga - warknął Michael.

- Jego istota przepadła! - wydusiła z siebie Mura. Jej przelotny gniew ustępował miejsca smutkowi. Do jej szmaragdowych oczu napłynęły łzy.

- Spójrz, kochanie - powiedział Michael tonem na pół troskliwym, na pół rozdrażnionym. - Niestety, dzieciak nie żyje. To był wypadek. Musisz się jakoś pozbierać.

245

Łzy zmieniły się w łkanie, gdy nieodwołalność tragedii dotarła do samego jądra istoty Mury.

- Muszę pójść i powiedzieć starszym — powiedziała. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie, zaczekaj! - zawołał Michael. Odchodził od zmysłów. Rzucił się naprzód, by zabiec jej drogę. Złapał ją obiema rękami. - Posłuchaj mnie! - wrzasnął.

- Puść mnie! - krzyknęła Mura. Próbowwała wyrwać się z jego uścisku. - Muszę dać znać o nieszczęściu.

- Nie, musimy porozmawiać - nalegał Michael. Mocował się z nią, gdy usiłowała się uwolnić.

- Puść! - wrzasnęła Mura przez łzy. Udało jej się wyszarpnąć jedną rękę.

- Zamknij się! - ryknął w odpowiedzi. Uderzył ją otwartą dłonią w twarz, mając nadzieję wybić z niej histerię, ona jednak, zamiast uspokoić się, otworzyła usta i wrzasnęła ogłuszająco.

Obawiając się skutków, Michael zacisnął dłoń na jej ustach. Ale to nie wystarczyło. Mura była wysoką, silną kobietą i dalej krzycząc, wywinęła się z jego uścisku.

Nie bez trudu jeszcze raz zatkał jej usta dłonią, ale choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł jej uspokoić. Pod wpływem impulsu zaciągnął ją nad głęboki koniec basenu i wraz z nią rzucił się do wody. Ale nawet to jej nie uciszyło, dopóki siłą nie wtoczył jej głowy pod powierzchnię wody. Nadal walczyła i kiedy pozwolił jej zaczerpnąć oddech, wrzasnęła równie

głośno, jak poprzednio. Jeszcze raz Michael wepchnął ją pod wodę, i tym razem trzymał tam tak długo, aż jej rozpaczliwe wierzganie osłabło i ustało zupełnie.

Powoli rozluźniał uchwyt, w obawie, że znów się zerwie i podniesie krzyk. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Jej bezwładne ciało wypłynęło z wolna i kołysało się na wodzie, zwrócone twarzą w dół.

Zaciągnął ją do brzegu i wywlókł na marmurowe obramowanie basenu. Z jej nosa i ust sączyła się pienista mieszanka śluzu i śliny. Gdy spojrzał na nią i zrozumiał, że nie żyje, przeszedł go dreszcz. Zaczai szcząkać zębami. Zabił kogoś - kogoś, na kim mu zależało. Przez chwilę stał zupełnie nieruchomo. Zastanawiał się, czy ktokolwiek mógł usły-

246

zić wrzaski Mury. Na szczęście noc zdawała się spokojna. W panice zawlókł zwłoki do pokoju, ułożył na łóżku i przyjął je narzutą. Potem odwrócił się i wybiegł w noc.

Bungalow Richarda znajdował się niespełna pięćdziesiąt metrów dalej i Michael pokonał ten dystans w ciągu paru sekund. Załomotał w drzwi.

- Kimkolwiek jesteś, odejdz! - odezwał się ze środka głos Richarda.

- Richard, to ja! - krzyknął Michael.

- Nie obchodzi mnie, kto to jest! - ryknął w odpowiedzi Richard. - Jesteśmy zajęci.

- Nie mogę czekać, Richie - nalegał Michael. - Muszę się z tobą zobaczyć.

Ze środka popłynął strumień przekleństw, po czym nastąpiła cisza. W końcu drzwi otworzyły się.

- Lepiej, żeby to było coś dobrego - warknął Richard. Był całkiem nagi.

- Mamy problem - oświadczył Michael.

- Zaraz będziesz miał jeszcze jeden - ostrzegł go Richard. Potem spostrzegł, że kumpel ocieka wodą. - Dlaczego pływałeś w ubraniu? - zapytał.

- Musisz przyjść ze mną do mojej chaty - wyjąkał Michael.

Richard zauważył jego wzburzenie. Obejrzał się przez ramię, by upewnić się, że żadna z kobiet nie jest wystarczająco blisko, by go słyszeć.

- Czy to ma coś wspólnego z ciałem Sarta? - zapytał szeptem.

- Niestety tak - odparł Michael.

- Gdzie jest Mura?

- To właśnie jest ten problem. Zobaczyła ciało.

- O Chryste! -jęknął Richard. - Czy jest wściekła?

- Rzuciła się na mnie. Musisz przyjść!

- W porządku! Uspokój się. Więc naprawdę się wściekła?

- Mówię ci, zupełnie oszalała. Musisz ruszyć tyłek i przyjść.

- Już dobrze - uspokoił go Richard. - Nie krzycz! Będę za parę minut. Muszę się pozbyć moich przyjaciółek.

Zamknął mu drzwi przed nosem. Michael popędził z powrotem do siebie. Rzuciwszy okiem, czy ciało Mury wciąż

247

jeszcze jest tam, gdzie je zostawił, przebrał się w suche rzeczy, po czym zaczął krążyć w tę i z powrotem po pokoju, czekając na Richarda.

Richard dotrzymał słowa i zjawił się po niespełna pięciu minutach. Już na progu rozejrzał się po pokoju. Wszystko wyglądało dość spokojnie. Spodziewał się zobaczyć Murę szlochającą nieopanowanie na łóżku, ale dziewczyny nie było nigdzie widać.

- No więc gdzie ona jest? W łazience? — zapytał.

Michael nie odpowiedział. Przywołał go do siebie gestem, po czym obszedł łóżko dookoła.

Drżącą dłonią uchwycił róg narzuty i odrzucił ją na bok, odsłaniając ciało. Przejrzysta niegdyś,

alabastrowa skóra Mury pokryła się sinymi plamami, a piana na jej ustach była zabarwiona czerwienią.

- Co, u diabła? - sapnął Richard. Ukląkł i dotknął jej szyi, szukając tętna. Wyprostował się, wstrząśnięty. - Ona nie żyje!

- Otworzyła lodówkę i zobaczyła ciało Sarta - wyjaśnił Michael.

- W porządku, tyle rozumiem — powiedział Richard. Wbił wzrok w swego kumpla. - Ale dlaczego ją zabiłeś?

- Mówiłem ci już, że ona oszalała. Darła się jak wariatka. Bałem się, że obudzi całe pieprzone miasto.

- Dlaczego, u diabła, pozwoliłeś jej otworzyć lodówkę? - wypalił Richard.

- Na chwilę spuściłem ją z oka - wyjaśnił Michael.

- Trzeba było, kurde, bardziej uważać - jęknął Richard.

- Łatwo ci mówić - odciął się Michael. - Mówiłem ci, że nie chcę go tam. On powinien być w twojej lodówce, nie w mojej.

- W porządku, uspokój się. Musimy pomyśleć, co zrobić.

- W mojej lodówce nie ma już miejsca - odparł Michael. - Ona musi iść do twojej.

Richard nie palił się zbyt do tego, by wlec ciało do swojego mieszkania, ale nie potrafił wymyślić nic innego, a wiedział, że muszą działać szybko. Gdyby Mura została odkryta, wówczas znaleziono by i Sarta. Tak czy inaczej, on będzie w to wplątany.

248

- W porządku — mruknął niechętnie. — Bierzmy się do roboty.

Szybko i sprawnie zawinęli ciało kobiety w narzutę. Richard ujął je za głowę, Michael za nogi, i razem zanieśli je przez trawnik do bungalowu Richarda. Mieli nieco problemów z przeniesieniem zwłok przez stosunkowo wąskie drzwi.

- Jezu - stęknął Michael. - Dźwiganie trupa jest trudniejsze, niż się wydawało.

- To dlatego, że ma tak wiele martwej masy — odparł Ri-chard, uśmiechając się głupio z tej gry słów.

Złożyli ciało na środku pokoju. Gdy Michael odwijał koc, Richard podszedł do lodówki i zaczął ją opróżniać. Ponieważ robił to już po raz drugi, działał z wprawą. Wiedział, że aby włożyć Murę do środka, musi całkowicie przestawiać zawartość.

- W porządku - powiedział do Michaela. - Pomóż mi.

Wspólnymi siłami wcisnęli ciało do środka. Mura była wyższa i cięższa od Sarta, zajmowała więc więcej miejsca. Ostatecznie zmuszeni byli zostawić kilka pojemników na zewnątrz.

Richard wyprostował się, gdy w końcu udało im się zamknąć drzwi.

- To się musi skończyć - powiedział.

-Co?

- Kasowanie tych Interterran. Skończyły nam się lodówki.

- Bardzo śmieszne - mruknął Michael. - Tylko czemu mnie to nie bawi?

- Nie każ mi na to odpowiadać, cymbale.

- Powiem ci, co to naprawdę znaczy - stwierdził Michael. -Musimy się wynosić z Interterry!

Przy dwóch trupach szansa, że ktoś natknie się na jednego z nich, jest dokładnie podwojona.

- Powinieneś był pomyśleć o tym, zanim ją zakatrupiłeś -wypomniał mu Richard.

- Mówię ci, że nie miałem wyboru! - wrzasnął Michael. -Nie miałem zamiaru jej załatwić, ale ona nie chciała się zamknąć.

17 — Urowadzenie

249

- Nie drzyj się! - warknął Richard. - Masz rację. Musimy zabierać się stąd do diabła. Jedyłą

dobrą wiadomością jest to, że sztywniacki admirał jest najwyraźniej tego samego zdania.

Suzanne nie pamiętała, kiedy ostatni raz pływała nago, i energicznie pokonując długość basenu, była mile zaskoczona tym nowym dla siebie doznaniem. I choć była lekko skrępowana swoją nagością, zwłaszcza biorąc pod uwagę idealną formę Garony, nie była tak zdenerwowana, jak się tego wcześniej obawiała. Była to najpewniej zasługa Garony, który sprawiał, że czuła się akceptowana taka, jaka była, mimo swych fizycznych niedoskonałości.

Dotarłszy do drugiego końca basenu, wykonała obrót i nabierając szybkości, popłynęła z powrotem do Garony, który siedział spokojnie na brzegu, mocząc stopy w wodzie. Chwyciła go za kostkę i udało jej się wciągnąć go do basenu. Oboje dali nurka i objęli się pod wodą. W końcu, zmęczeni podwodnymi igraszkami, odpłynęli na bok i wydzwignęli się na brzeg. Do środka wpadał lekki wietrzyk i Suzanne czuła, że na ramionach i udach ma gęsią skórkę.

- Cieszę się, że znów przyszedłeś - powiedziała. Naprawdę była szczęśliwa, że go widzi.

- Ja też się cieszę - odparł. - Cały dzień czekałem na te chwile.

- Nie byłam pewna, czy wrócisz - przyznała Suzanne. -Szczerze mówiąc, obawiałam się, że tego nie zrobisz. Poprzedniej nocy zachowywałam się trochę niedojrzałe.

- Co masz na myśli?

-Powinnam być bardziej zdecydowana - wyjaśniła. -Albo nie powinnam była pozwolić ci zostać, albo, skoro już pozwoliłam, powinnam była zachowywać się bardziej odpowiednio. A tymczasem wyszło jakieś ni to, ni owo.

- Cieszyłem się każdą chwilą. Nasz kontakt nie był nastawiony na konkretny cel. Chodziło po prostu o to, żeby być razem, i tak było - odparł Garona.

Suzanne spojrzała na niego z uznaniem, ubolewając w du-

wrażliwego, ofiarnego i przystojnego mężczyznę. Mimo woli pomyślała, jak dobrze byłoby zabrać go z sobą na powierzchnię. Ta myśl przywołała ją jednak do rzeczywistości. Przede wszystkim nie wiedziała, czy sama zdoła tam kiedykolwiek wrócić. Była też inna dręcząca ją kwestia.

- Garona, czy możesz powiedzieć mi, dlaczego sprowadzono nas do Interterry? - zapytała nagle. Garona westchnął ciężko.

- Przykro mi, ale nie mogę mieszać Arakowi szyków. Jesteście jego podopiecznymi - powiedział.

- Samo wyjaśnienie mi, dlaczego tu jesteśmy, byłoby mieszaniem mu szyków?

- Tak - odparł stanowczo. - Proszę, nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. Naprawdę chcę być z tobą otwarty i uczciwy, ale w tych sprawach nie mogę, a boli mnie, gdy muszę odmówić ci czegokolwiek.

Suzanne przyjrzała się badawczo jego twarzy. Widniała na niej szczerłość.

- Przepraszam, że zadałam to pytanie - powiedziała. Uniosła dłoń. Odpowiedział tym samym gestem. Powoli przycisnęli je do siebie. Suzanne uśmiechnęła się z zadowoleniem; interterrański uścisk zaczynał przypadać jej do gustu.

- Powinienem chyba zapytać, jak Arak radzi sobie z wprowadzaniem was w nasz świat - odezwał się Garona.

- Powiedziałabym, że bardzo dobrze. Oboje z Sufą są tak uroczymi gospodarzami.

- Oczywiście - przyznał Garona. - Mieli szczęście, że trafili na tak interesującą grupę.

Słyszałem, że zabrali was nawet do miasta. Podobało ci się to?

- To było fascynujące. Odwiedziliśmy centrum śmierci i centrum rozplodowe, a potem byliśmy u Araka i Sufy.

- Idziecie jak burza - stwierdził Garona. - Jestem naprawdę pod wrażeniem. Nigdy nie słyszałem, żeby ludzie drugiej generacji robili tak szybkie postępy. Co sądzisz o tym wszystkim, co

widziałaś i usłyszałaś? Ledwie mogę sobie wyobrazić, jak musiało to być dla ciebie niezwykle.

251

- Słowo "niewiarygodne" nigdy nie oddawało tak dobrze istoty rzeczy.

- Odkryłaś coś niepokojącego?

Suzanne próbowała odgadnąć, czy oczekiwał prawdy czy frazesów.

- Jest jedna rzecz, która mnie dręczy - zaczęła, decydując się na uczciwość. Powiedziała mi o negatywnych uczuciach, jakie wzbudził w niej proces zapisu.

Garona skinął głową.

- Rozumiem twój punkt widzenia. To naturalny rezultat twych judeochrześcijańskich korzeni, które przypisują tak wielką wartość jednostce. Ale zapewniam cię, że my robimy to samo. Istota dziecka nie ginie, ale raczej łączy się z istotą wprowadzaną. To proces korzystny dla obu stron, autentyczna symbioza.

- Ale jak istota nie narodzonego dziecka może rywalizować z istotą doświadczonego dorosłego człowieka?

- To nie jest rywalizacja - odparł Garona. - Oboje odnoszą korzyści, choć oczywiście dziecko korzysta najwięcej. Mogę powiedzieć ci, jako ktoś, kto przeszedł przez to wiele razy, że zawsze byłem pod silnym wpływem istoty nowego ciała. Jest to proces zdecydowanie addytywny.

- Brzmi to trochę wykrętnie - stwierdziła Suzanne. - Ale spróbuję zachować otwarty umysł.

- Mam nadzieję, że tak postąpisz - odparł Garona. - Jestem pewien, że Arak zamierza wrócić do tej kwestii na sesjach dydaktycznych. Pamiętaj, że dzisiejsza wycieczka nie miała dostarczyć ostatecznych wyjaśnień, ale raczej pomóc przełamać zwykłe niedowierzenie, z którym zmagają się nasi goście w pierwszym okresie pobytu.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznała Suzanne. - Choć prawdą jest, że często o tym zapominam. Tak więc dziękuję, że mi o tym przypomniałeś.

- Nie ma za co - odparł Garona.

- Jesteś tak czułym, pięknym mężczyzną, Garona - powiedziała Suzanne z całkowitą szczerością. - To radość być z tobą. - Zreflektowała się, że marzy o tym, by przejść się z nim po plaży w Malibu albo przejechać drogą numer 1

252

wokół Big Sur. W Interterze brakowało oceanu, a dla Suzanne, jako dla oceanografa, ocean był centrum wszechświata.

-Jesteś piękną kobietą. I jesteś tak zajmująca.

- Dzięki mojej ponętnej prymitywności - wtrąciła Suzanne. Przypuszczała, że Garona sądzi, iż mówi jej komplement, ale osobiście, zwłaszcza po uwadze Donalda, wolałaby, żeby użył innego słowa.

- Jesteś uroczo prymitywna — przyznał Garona.

Suzanne przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, co sądzi o nazywaniu jej prymitywną, ale postanowiła tego nie robić. Na tym etapie ich związku chciała być pozytywna.

Zamiast tego odezwała się:

- Garona, chcę, żebyś coś o mnie wiedział. Garona nadstawił uszu.

- Chcę ci powiedzieć, że nie mam innego kochanka. Miałam, ale to się skończyło.

- To nie ma znaczenia - odparł Garona. - Jediną rzeczą, jaka się liczy, jest to, że teraz jesteś tutaj.

- Dla mnie to ma znaczenie - powiedziała, lekko urażona. - Dla mnie to ma ogromne znaczenie.

Rozdział 15

Drugi poranek, który zastał gości z powierzchni w Inter-terze, wyglądał tak samo jak poprzedni. Suzanne i Perry wymienili parę zdawkowych uwag na temat swych przeżyć z

poprzedniego wieczoru i ochoczo oczekiwali na to, co miał przynieść dzień. Donald był mniej entuzjastyczny, a nawet nieco przygnębiony. Richard i Michael siedzieli spięci i milczący, a kiedy już otwierali usta, mówili tylko o odejściu. Gdy wszedł Arak, Donald musiał ich uciszyć. Zaprowadziwszy grupę do tej samej sali konferencyjnej, z której korzystali poprzedniego dnia, Arak i Sufa przystąpili do wykładu. Tym razem była to ciągnąca się godzinami sesja naukowa, poświęcona rozmaitym kwestiom: jak w In-terterze pozyskuje się energię geotermalną z wnętrza Ziemi; jak utrzymuje się interterrański klimat, włącznie z mechanizmem wywołującym nocne deszcze; jak wykorzystuje się bioluminescencję dla zapewnienia równomiernego oświetlenia zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz pomieszczeń; jak gospodaruje się wodą, tlenem i dwutlenkiem węgla; oraz jak prowadzi się hydroponiczną uprawę foto- i che-mosyntetyzujących roślin jadalnych.

Gdy obraz na podłogowym ekranie zbladł i sala znów rozjarzyła się światłem, jedynie Suzanne i Perry zwrócili na to uwagę. Donald patrzył gdzieś w bok, wyraźnie pogrążony we własnych myślach. Richard i Michael spali głęboko. Gdy światło osiągnęło pełnię jasności, obaj się ocknęli. Podobnie jak Donald, udawali teraz, że cały czas słuchali pilnie.

- Podsumowując dzisiejszą sesję - powiedział Arak, na pozór ignorując fakt, że część audytorium wysłuchała wykładu jednym uchem -jestem pewien, że teraz lepiej rozumiecie przyczyny, dla których pozostaliśmy w naszym pod-

254

ziemnym świecie, poza, oczywiście, kwestią drobnoustrojów. Brak parowania, obecnego na powierzchni Ziemi, pozwolił nam zbudować idealnie stabilne środowisko, wolne od wahań klimatycznych, takich jak epoki lodowe, czy innych związanych z wodą klęsk żywiołowych, dysponujące w zasadzie niewyczerpalnym, czystym źródłem energii oraz pełnowartościowym i odnawialnym źródłem żywności.

- Czy plankton jest waszym jedynym źródłem protein? -zapytała Suzanne. Ona i Perry byli zafascynowani naukowymi dokonaniem Interterran.

-Najważniejszym - powiedział Arak. - Innym ich źródłem są warzywa. Dawniej wykorzystywaliśmy też mięso niektórych gatunków ryb, ale przestaliśmy to robić, obawiając się o zdolność zwierząt morskich do odtwarzania swej liczebności. Niestety jest to coś, czego ludzie drugiej generacji wciąż nie chcą przyjąć do wiadomości.

- Szczególnie jeśli chodzi o wieloryby i dorsze — wtrąciła Suzanne.

- Otóż to - odparł Arak. Rozejrzył się po sali. - Czy są jeszcze jakieś pytania, zanim znów wybierzemy się w teren?

- Arak, ja mam pytanie - odezwał się Donald.

- Proszę bardzo - odparł Arak. Był zadowolony. Donald jak dotąd wykazywał znikome zaangażowanie.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego zostaliśmy tu sprowadzeni - oświadczył Donald.

- Miałem nadzieję, że twoje pytanie będzie dotyczyło wykładu - odparł Arak.

- Trudno mi koncentrować się na sprawach technicznych, kiedy nie wiem, dlaczego tu jestem.

- Rozumiem - powiedział Arak. Przez chwilę naradzał się szeptem z Sufą, Ismaelem i Mary.

Prostując się, dodał: -Niestety, nie mogę odpowiedzieć w pełni na twoje pytanie, ponieważ wyraźnie zabroniono nam wyjawienia wam głównego powodu, dla którego się tu znaleźliście. Ale mogę powiedzieć tyle: jednym z celów było powstrzymanie dalszych prób wierceń w porcie wyjściowym Saranty, co, jak mogę z radością stwierdzić, zostało osiągnięte. Mogę też zapew-

255

nić was, że dzisiaj poznacie główny powód. Czy to na razie wystarczy?

- Tak sądzę - odparł Donald. - Ale jeżeli i tak mamy się dowiedzieć, nie rozumiem,

dlaczego nie możesz powiedzieć nam teraz.

- Ze względu na protokół - powiedział Arak. Donald z niechęcią skinął głową.

- Jako były oficer marynarki myślę, że mogę przyjąć takie wyjaśnienie.

- Czy są jeszcze jakieś pytania na temat dzisiejszej prezentacji? - zapytał Arak.

- W tej chwili jestem trochę przytłoczony - przyznał Per-ry. - Ale jestem pewien, że później przyjdzie mi coś do głowy.

- A więc dobrze. Zaczynamy naszą wycieczkę. Po wszystkim, co dziś usłyszeliście, co chcielibyście odwiedzić najpierw?

- Może Muzeum Powierzchni Ziemi? - rzucił Donald, nim ktokolwiek zdążył coś zaproponować.

- Tak! - wypalił Michael. - Ten budynek z korwetą na froncie.

- Chcecie zobaczyć Muzeum Powierzchni Ziemi? - W głosie Araka brzmiało wyraźne zakłopotanie. Spojrzał na Sufę. Ona także wyglądała na zdziwioną.

- Myślę, że to byłoby interesujące - stwierdził Donald.

- Ja też - dodał Michael.

- Ale dlaczego? - zapytał Arak. - Wybaczcie nasze zaskoczenie, ale biorąc pod uwagę wszystko, o czym wam mówiliśmy, jesteśmy zdumieni, że wolicie patrzeć wstecz niż naprzód.

Donald wzruszył ramionami.

- Może to po prostu odrobina nostalgii.

- Wybór eksponatów może dać nam pojęcie o tym, jak widzicie nasz świat - podsunęła Suzanne. Muzeum nie wydawało jej się tak atrakcyjne jak inne miejsca, które opisywał Arak, ale z przyjemnością poparła prośbę Donalda.

- Dobrze - ustąpił Arak. - W takim razie zaczynamy od muzeum.

Wszyscy podnieśli się z krzeseł. Donald po raz pierwszy okazywał entuzjazm, zwłaszcza kiedy wydostali się na zewnątrz- Poprosił Araka, by pokazał mu, jak przywołać taksówkę powietrzną, a Arak z radością spełnił jego prośbę, poszedł nawet o krok dalej, proponując, by on sam położył dłoń na centralnym stoliku taksówki i określił miejsce przeznaczenia.

-To było łatwe - stwierdził Donald, gdy pojazd cicho i bez wysiłku uniósł się i wystrzelił w odpowiednim kierunku.

- Oczywiście. Takie właśnie miało być - odparł Arak.

Wszyscy goście uznali przeloty taksówkami powietrznymi za najciekawsze momenty dnia.

Nigdy nie nudziły ich widoki miasta i jego okolic. Rozglądając się, próbowali ogarnąć wzrokiem wszystko, ale było to trudne; zbyt wiele było do zobaczenia i podróżowali zbyt szybko. Już po kilku minutach taksówka wysadziła ich przed wejściem do muzeum, parę kroków od pokrytego pąklami chevroleta corvette.

- Boże, uwielbiałem to auto - westchnął Michael, wychodząc z poduszkowca. Przystanął i spojrzał z utęsknieniem na pomnik. - Chodziłem wtedy z Dorothy Drexler. Nie wiem, która z nich miała lepszą sylwetkę.

- Czy obie potrzebowały kluczyka, żeby zapalić? — zapytał Richard ze złośliwym uśmiechem.

Michael zamachnął się otwartą dłonią, ale Richard uchylił się bez trudu. Zatańczył krótko na czubkach palców, niczym bokser składający się do ciosu.

- Przestańcie - warknął Donald, wślizgując się między dwóch nurków.

- Twoje auto mogło być świetne dla ciebie i Dorothy -powiedziała Suzanne - ale ja czuję się raczej zakłopotana, że Interterranie uważają je za symbol naszej kultury.

- Sugeruje, że jesteśmy dość powierzchowni - zgodził się Perry. - Nie mówiąc już o tym, że jest zardzewiałe i w fatalnym stanie.

-Powierzchni i materialistyczni. Co, jak przypuszczam, jest prawdą, jeśli się nad tym zastanowić - dodała Suzanne.

257

- Dopatrujecie się w tym zbyt wiele symbolizmu - powiedział Arak. - Postawiliśmy je tutaj ze znacznie prostszego powodu. Ponieważ w ostatnich czasach obserwujemy was tylko z daleka, aby nie narażać się na wykrycie przez wasze coraz doskonalsze urządzenia, właśnie samochody najbardziej rzucają nam się w oczy. Patrząc z oddali, odnosi się niemal wrażenie, że to one są dominującą formą życia na powierzchni Ziemi, a ludzie drugiej generacji są tylko służącymi im robotami.

Suzanne z trudem opanowała się, by nie parsknąć śmiechem na tak absurdalny pomysł, ale kiedy zastanowiła się nad tym, przyznała, że jest w tym sporo racji.

- Bardziej symboliczny jest sam kształt budowli - dodał Arak.

Oczy wszystkich zwróciły się na gmach muzeum. Widziany z bliska, miał w sobie coś z ponurego grobowca. Wysoki na cztery czy pięć pięter, zbudowany był z prostopadłościennych segmentów, które piętrzyły się jedno na drugim lub schodziły pod kątem prostym, tworząc skomplikowaną, ściśle geometryczną strukturę. W większości segmentów widniały kwadratowe okna.

- Jego forma symbolizuje architekturę miejską ludzi drugiej generacji - wyjaśnił Arak.

- Jest dosyć brzydki w swej pudełkowatości - stwierdziła Suzanne.

- Nie jest miły dla oka - przyznał Arak. - Jak większość waszych miast, które są w gruncie rzeczy skupiskami pudełkowatych wieżowców rozmieszczonych w regularnych odstępach.

- Jest parę wyjątków - powiedziała Suzanne.

- Niewiele - przyznał Arak. - Ale niestety większość lekcji, jakie Atlantyda przekazała waszym starożytnym przodkom, popadła w zapomnienie lub została odrzucona.

- To olbrzymi budynek - zauważył Perry. Muzeum zajmowało obszar równy kwartałowi ulic we współczesnym mieście.

- Musi być taki. Zbiory, które zawiera, są ogromne. Pamiętajcie, że mówimy o milionach lat.

258

_ Więc to muzeum nie jest poświęcone wyłącznie ludzkiej cywilizacji? - zapytała Suzanne.

- Absolutnie nie. Jest tu też pełna dokumentacja obecnej ewolucji powierzchni Ziemi. To prawda, że z oczywistych względów najbardziej interesowało nas ostatnie dziesięć tysięcy lat.

Choć ten odcinek czasu stanowi zaledwie okamgnienie w porównaniu z całym okresem, właśnie im poświęciliśmy większość zbiorów.

- A co z dinozaurami? - zapytał Perry.

- Mamy niewielką, ale reprezentatywną kolekcję zachowanych okazów - odparł Arak. -

Przerazająco brutalne stworzenia! - mruknął pod nosem. Wzdrygnął się, jak gdyby przeszła go fala mdłości.

- Chciałbym zobaczyć ten zbiór - oświadczył z zapałem Perry. - Zawsze ciekawiło mnie, jakiego koloru były dinozaury.

- W większości miały dość nijakie, szarozielone ubarwienie - powiedział Arak. - Raczej brzydkie, jeśli chcesz wiedzieć.

- Chodźmy do środka - zaproponowała Sufa.

Weszli gromadnie do przedsionka. Była to przestronna sala wyłożona takim samym czarnym bazaltem co ściany zewnętrzne. Przez otwory w wysokim suficie wpadały strumienie jasnego światła. Krzyżując się w panującym tu mroku jak miniaturowe szperacze, efektownie oświetlały wystawione przedmioty. Od tego centrum rozchodziły się na wszystkie strony liczne korytarze.

- Dlaczego nie ma tu żadnych ludzi? - zapytała Suzanne. Gdziekolwiek skierowała wzrok, widziała tylko puste, wyłożone marmurem korytarze. Jej głos rozbrzmiewał wielokrotnym echem w grobowej ciszy.

- Zawsze tak jest - wyjaśnił Arak. - Przy całym swym znaczeniu, to muzeum nie jest szczególnie popularne. Większość ludzi woli, żeby im nie przypominać o zagrożeniu, jakie stanowi dla nas wasz świat.

- Masz na myśli obawę przed wykryciem? - zapytała Suzanne.

- Właśnie - odparła Sufa.

- Chyba łatwo byłoby tu się zgubić - stwierdził Perry.

259

Zajrzał w głąb kilku długich, słabo oświetlonych i cichych korytarzy.

- Właściwie nie - odparł Arak. Wskazał na lewo. - Zaczynając stąd, od sinic, eksponaty przedstawiają chronologicznie przebieg ewolucji. A po tej stronie - ciągnął, wskazując na prawo - mamy kulturę ludzi drugiej generacji, poczynając od najwcześniejszych hominidów afrykańskich, a kończąc na chwili obecnej. W każdym punkcie muzeum łatwo ustalić, jak znaleźć drogę powrotną tu, do hallu, kierując się wzrastającym wiekiem eksponatów.

- Chciałbym zobaczyć kolekcję przedstawiającą nasze współczesne czasy - powiedział Donald.

- Oczywiście. Chodźcie za mną. Zrobimy skrót przez pierwsze pięć czy sześć milionów lat.

Grupa ruszyła za Arakiem i Sufą niczym uczniowie na wycieczce szkolnej. Suzanne i Perry z trudem powstrzymywali się, by nie przystawać przy każdym eksponacie, zwłaszcza gdy dotarli do sal poświęconych wytworom egipskim, greckim i rzymskim. Ani Suzanne, ani Perry nie widzieli dotąd czegoś podobnego. Wyglądało to, jak gdyby ktoś cofnął się w czasie z prawem swobodnego wyboru najbardziej reprezentatywnych przedmiotów. Suzanne była oczarowana

zwłaszcza kolekcją ubiorów, gustownie zaprezentowanych na naturalnej wielkości manekinach.

-Jak zauważycie, nasze zbiory nie są jednolite pod względem liczebności, jeśli chodzi o poszczególne epoki -wyjaśnił Arak. Pozostał w tyle z Suzanne i Perrym, gdy pozostali szli dalej. - Mamy stosunkowo mało współczesnego materiału. Im dalej wstecz w waszą historię, tym kolekcje są obszerniejsze. W zamierzonych czasach robiliśmy prawdziwe wyprawy w kombinezonach izolujących, aby gromadzić zbiory dla muzeum. Niestety musieliśmy zaprzestać tej praktyki z obawy przed zdemaskowaniem, odkąd wasi przodkowie rozwinęli pismo.

-Arak! - zawołała Sufa kilka sal dalej. - Donald, Ri-chard i Michael idą szybko, więc pójdę dalej z nimi!

- W porządku. Spotkamy się wszyscy w hallu za około godzinę.

260

Sufa kiwnęła głową i pomachała na pożegnanie.

- Dlaczego tak martwiliście się wykryciem przez starożytnych ludzi? — zapytała Suzanne.

— Oni z pewnością nie mieli środków technicznych, by sprawić wam jakikolwiek kłopot.

- To prawda — przyznał Arak. — Ale wiedzieliśmy, że wy, ludzie drugiej generacji, będziecie je kiedyś mieli, nie chcieliśmy więc, żeby istniały zapisy o naszych wizytach.

Wystarczyło, że martwiliśmy się nieudanym eksperymentem Atlantydy, chociaż to było mniejszą troską, gdyż jego uczestnicy udawali ludzi drugiej generacji.

Suzanne skinęła głową, ale jej uwagę przyciągnęła mi-nojska suknia o wymyślnym kroju, całkowicie odsłaniająca piersi.

- Jest pewien okres waszej współczesnej historii, z którego mamy szczególnie wiele artefaktów — powiedział Arak. — Chcielibyście zobaczyć?

Suzanne spojrzała na Perry'ego, który wzruszył tylko ramionami.

- Oczywiście - powiedziała.

Arak skręcił w lewo i poprowadził ich przez boczną galerię wypełnioną znakomitą grecką ceramiką. Za następnym zakrętem znaleźli niejako wyglądającą klatkę schodową. Wspiąwszy się na wyższe piętro, znaleźli się w obszernej sali wypełnionej sprzętem z drugiej wojny światowej. Zebrane tu eksponaty sięgały od przedmiotów tak małych, jak plakietki identyfikacyjne i insygnia mundurowe, po tak wielkie, jak czołg Sherman, samolot B-24 Liberator czy kompletna łódź podwodna, ze wszelkimi stadiami pośrednimi. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie one spoczywały kiedyś na dnie morza.

- Ja nie mogę - mruknął Perry, wędrując między eksponatami. - To przypomina raczej skład złomu niż wystawę w muzeum.

- Wygląda na to, że nasza ostatnia wojna światowa przyczyniła się znacząco do wzbogacenia waszej kolekcji - stwierdziła Suzanne. Wraz z Arakiem pozostała u szczytu schodów. Nie były to zbiory, które mogłyby ją zainteresować.

261

- Bardzo znacząco - zgodził się Arak. - Obiekty takie jak te spadały na dno oceanu przez przeszło pięć lat. Od kilkuset lat przeczesywanie morskiego dna jest naszą jedyną metodą gromadzenia eksponatów.

Suzanne spojrzała na łódź podwodną.

- Czy gwałtowny postęp w dziedzinie techniki i badań podmorskich jest dla was zmartwieniem?

- Tylko jeśli chodzi o możliwości sonarów - odparł Arak. - Zwłaszcza odkąd ich wykorzystanie połączono z tworzeniem warstwicznych map batypelagicznych. Ta technologia była jednym z powodów, dla których postanowiliśmy zamknąć porty wyjściowe, takie jak ten, przez który dostaliście się do nas.

Podczas gdy Suzanne i Arak dyskutowali o sonarach i zagrożeniu, jakie stwarzają dla

bezpieczeństwa Interter-ry, Perry przemierzył całą salę. Niektóre z obiektów wydawały się w idealnym stanie, inne były pokryte pąklami jak wrak na zewnątrz muzeum. Na końcu sali wystawił głowę przez wychodzące na wschód okno i dostrzegł gigantyczne iglice, wspierające archipelag Azorów.

Spojrzał w dół na dziedziniec muzeum i oniemiał z wrażenia. Stała tam taksówka powietrzna z odkrytą przyczepą, na przyczepie zaś spoczywał Oceanus, batyskaf Benthic Marine.

- Hej, Suzanne! Chodź coś zobaczyć! - krzyknął.

Suzanne podeszła szybkim krokiem. Arak ruszył za nią. Oboje wychylili się przez okno i spojrzeli za wskazującym palcem Perry'ego.

- O Boże! - zawołała Suzanne. - To nasz batyskaf! Co on tu robi?

- Ach, tak. Zapomniałem wspomnieć, jak wielkie zainteresowanie wzbudził wasz statek wśród kustoszy muzeum. Sądzę, że z waszym pozwoleniem zamierzają włączyć go do zbiorów - powiedział Arak.

- Jest uszkodzony? - zapytał Perry.

- Bardzo nieznacznie. Wyspecjalizowane klony robocze odtworzyły zewnętrzne reflektory i ramię manipulatora. Został też odkażony, ale poza tym jest w stanie nienaruszonym. Jesteś obeznany z jego wyposażeniem?

262

- Trochę - przyznał Perry. - Ale nie z operacyjnego punktu widzenia. Suzanne wie więcej ode mnie. Ja tylko dwa razy byłem w środku.

- Prawdziwym ekspertem jest Donald. Zna ten statek jak własną kieszeń - powiedziała Suzanne.

- To wspaniale. Mamy parę pytań na temat sonaru, który, jak się okazało, jest jeszcze bardziej wyrafinowany, niż sobie wyobrażaliśmy.

- To właśnie jego należy pytać - stwierdziła Suzanne.

- Co to za pojazd, na którym leży batyskaf? - zapytał Perry.

- To bagażowa taksówka powietrzna - odparł Arak.

Michael za wszelką cenę starał się dotrzymać kroku Donaldowi, który krążył po muzeum, jak gdyby przyszedł tu trenować biegi, a nie oglądać eksponaty. Co kilka kroków musiał podbiegać, żeby go dopędzić. Dawno już zostawili Sufę i Richarda daleko w tyle.

- Czemu, do diabła, tak zasuwasz? - wysapał Michael. - Co to jest, wyścigi?

- Nie musisz iść ze mną - odparł Donald. Skręcił za następnym rogiem i szedł dalej. Mijali właśnie salę zawierającą renesansową rzeźbę i malarstwo.

- Uznaliśmy z Richardem, że musimy wydostać się z Interterry, i to jak najszybciej - powiedział Michael. Brak mu było tchu.

- Obaj daliście to do zrozumienia już podczas śniadania - odparł Donald uszczypliwie. Znowu skręcił i wszedł do sali obwieszanej kobiercami.

- Trochę się denerwujemy - mówił dalej Michael, próbując utrzymać się u boku krocącego zwawo byłego oficera.

- Czym, marynarzu? - zapytał Donald.

- Tym, że... no dobra, mamy problem - powiedział z wahaniem Michael. - Chodzi o dwoje z tych Interterran.

- Nie interesują mnie wasze osobiste problemy - uciął krótko Donald.

- Kiedy to był wypadek. A właściwie dwa wypadki. Donald przystanął jak wryty i Michael zrobił to samo.

263

t,^J

Były oficer wycelował palec w jego twarz. Wydał szyderczo usta.

- Słuchaj, gamoniu! To wy postanowiliście kumać się z tymi Interterranami. Nie chcę słyszeć, że wplątaliście się z nimi w jakieś problemy. Zrozumiano?

-Ale...

- Żadnych ale, marynarzu! - warknął Donald. - Próbuję znaleźć dla nas wszystkich jakieś wyjście i nie chcę, żebyś mi w tym przeszkadzał razem ze swoim bezmózgim kumplem.

- Dobrze, już dobrze - powiedział Michael, unosząc dłonie w obronnym geście. — Cieszę się, że nad tym pracujesz. Interesuje mnie jedynie to, by zwać stąd jak najszybciej. To znaczy, możesz liczyć na moją pomoc.

- Będę miał to na uwadze — odparł pogardliwie Donald.

- Masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

- To będzie trudne - przyznał Donald. - Musimy znaleźć kogoś, poza Arakiem, kto mógłby udzielić nam jakichś prawdziwych odpowiedzi. Informacja jest sprawą najważniejszą. Najlepiej byłoby, oczywiście, znaleźć kogoś, kto nie jest tu szczęśliwy, a jednak jest tu wystarczająco długo, by wiedzieć, jak się stąd wydostać.

- Tu nie ma nieszczęśliwych - stwierdził Michael. - Wszyscy żyją jak na jednym wielkim przyjęciu.

- Nie mówię o Interterranach - odparł Donald. - Arak wspomniał, że trafiło tu sporo ludzi z naszego świata. Niektórzy z nich muszą tęsknić za domem i nie są tak przyjaźnie usposobieni wobec Interterran jak Ismael i Mary Black. W ludzkiej naturze, a w każdym razie w naturze ludzi drugiej generacji, leży sprzeciw wobec przymusu. Kogoś takiego właśnie chciałbym znaleźć.

- Jak masz zamiar to zrobić?

- Nie wiem - przyznał Donald. - Musimy czekać w pogotowiu, aż nadarzy się okazja. W każdym razie jestem zadowolony z tych wycieczek. Z całą pewnością nie znajdziemy takiej osoby, siedząc w tej choliernej sali konferencyjnej.

- Ale to miejsce jest zupełnie opuszczone - stwierdził Michael. Szybko przebiegł wzrokiem po pustych korytarzach.

264

- Nie mam zamiaru spotykać się tu z kimkolwiek — odparł Donald. - Przyszedłem do tego cholernego muzeum, bo liczyłem, że znajdę tu jakąś broń. Sądziłem, że powinna tu być, ale nic takiego nie widzę. Muzeum ludzkiej historii bez broni to absurd. Pacyfizm tych Interterran doprowadza mnie do szału.

- Broń! - powtórzył Michael. Pokiwał głową. Wcześniej nie przyszło mu to na myśl, ale z miejsca zrozumiał o co chodzi. - Świetny pomysł! Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, dlaczego chciałeś tu przyjść.

- No więc teraz już wiesz, marynarzu. I możesz się nawet do czegoś przydać, skoro to gmaszysko jest takie ogromne. Jeśli się rozdzielimy, możemy zbadać o wiele większy teren. Nim dopowiedział te słowa, jego wzrok padł na coś, czego nie widział w żadnej innej sali wystawowej: zamknięte drzwi, opatrzone napisem WSTĘP WZBRONIONY. Zaciekawiony, co się za nimi kryje, podszedł bliżej, z Michaeliem depczącym mu po piętach. Z bliska zobaczył, że poniżej, mniejszymi literami, napisano: ABY WEJŚĆ, ZWRÓĆ SIĘ DO RADY STARSZYCH.

- Co to, u diabła, jest Rada Starszych? - zapytał Michael, zaglądając mu przez ramię.

- Przypuszczam, że jakieś ciało rządzące - powiedział Donald. Przyłożył dłoń do drzwi i popchnął je. Jak wszystkie drzwi w Interterze, nie były zamknięte na zamek. -Eureka! - wykrzyknął, gdy dostrzegł przez szparę, co mieści ukryte za nimi pomieszczenie. Otworzył drzwi na oścież i przestąpił próg. Michael wszedł za nim i zagwizdał. -Nic dziwnego, że nie widzieliśmy tu żadnej broni - stwierdził Donald. - Wygląda na to, że mają własną, tajną galerię. - Sala była stosunkowo wąska, ale niezwykle długa. Po obu stronach ciągnęły się półki zavalone najróżniejszą bronią.

Dwaj mężczyźni weszli do galerii mniej więcej w połowie jej długości. Na półce na wprost wejścia spoczywała średniowieczna kusza z kołczanem pełnym ostrych jak brzytwa bełtów.

Michael nachylił się i podniósł ją z podpórek.

18 —Urowadzenie

265

Zagwizdał jeszcze raz. Nigdy dotąd nie trzymał w dłoniach takiej broni.

- Jezu! - mruknął. - Dostyc groźnie to wygląda. - Popukał zgiętym palcem w kolbę. Szarpnął cięciwę. Była nadal napięta. Uniósł kuszę w powietrze i spojrzał wzdłuż kolby. - Założę się, że jeszcze działa.

Donald ruszył w prawo, ale wkrótce zorientował się, że idzie w niewłaściwym kierunku.

Broń stawała się coraz starsza. Przed sobą miał kolekcję greckich i rzymskich krótkich mieczy, łuków i włóczni. Zawrócił, mijając Michaela, który pracowicie naciągał kuszę ręczną korbą, by wsunąć cięciwę w mechanizm blokujący.

- Kusza to niezła rzecz - stwierdził Michael, gdy mu się to w końcu udało. Umieścił jeden z bełtów w prowadnicy i wręczył załadowaną broń Donaldowi, by się jej przyjrzał. -Co sądzisz?

-Ma pewne możliwości - odparł wymijająco Donald i przeszedł dalej. Nabral optymizmu, gdy ujrzał na początek kilka wczesnych arkebuzów. - Ale miałem nadzieję na coś bardziej rozstrzygającego niż arbalet.

- Myślałem, że to jest kusza - zdziwił się Michael.

- To to samo - odparł Donald, nie odwracając głowy.

Michael położył palec na spuście i, zupełnie mimowolnie, pociągnął go. Bełt zaświszczał w prowadnicy, z piskliwym zgrzytem odbił się od bazaltowej ściany, przemknął obok prawego ucha Donalda i utkwiał w jednej z drewnianych półek. Donald poczuł na twarzy podmuch przelatującego pocisku.

- Do kurwy nędzy! - ryknął. - O mało nie przyszpiliłeś mnie tym cholerstwem!

- Przepraszam - powiedział Michael. - Tylko lekko dotknąłem spustu.

- Odłóż to, zanim któremuś z nas stanie się krzywda! - wrzasnął Donald.

- Przynajmniej wiemy, że to działa - odparł Michael.

Donald z odrazą pokręcił głową, macając ręką ucho. Na szczęście nie było krwi. Niewiele brakowało. Klnąc pod nosem na błaznów, których towarzystwo musi znosić, ruszył

266

dalej wzdłuż półek. Wkrótce trafił na kolekcję karabinów z czasów drugiej wojny światowej. Ku jego zmartwieniu prezentowały się fatalnie, skorodowane pod wpływem morskiej wody. Zaczynał już popadać w zniechęcenie, kiedy przy końcu sali natrafił na niemieckiego lugera. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest w doskonałym stanie. Mimo woli wstrzymując oddech, Donald sięgnął po pistolet i zważył go w dłoni. Ku swej radości nawet przy bliższych oględzinach nie mógł dostrzec uszkodzeń. Z bijącym sercem wysunął magazynek. Na twarz wypłynął mu uśmiech. Magazynek był pełny!

- Znalazłeś coś? - zapytał Michael. Podszedł i stanął mu za plecami.

Donald z powrotem wepchnął magazynek w uchwyt pistoletu. Zaskoczył z wyraźnym, uspokajająco solidnym trzaskiem. Uniósł pistolet w powietrze.

- Tego właśnie szukałem.

- Super! - zawołał Michael.

Donald pieszczotliwie odłożył lugera na miejsce.

- Co ty robisz? - zapytał Michael. - Nie zabierasz go?

- Nie teraz - odparł Donald. - Nie, dopóki nie będę wiedział, jak go wykorzystać.

Richard przystanął jak wryty. Nie wierzył własnym oczom. Przed sobą miał salę zastawioną kosztownościami, głównie z czasów antycznych. Były tu niezliczone kielichy, czary, a nawet całe

posągi z litego złota, wszystkie oświetlone skupionymi wiązkami światła. W kącie stał rząd skrzyń wypełnionych dublonami. W oczach ćmiło się od tego widoku.

A najbardziej zdumiewające dla nurka było to, że cała ta bezcenna kolekcja była zupełnie w zasięgu ręki: wszystkie przedmioty leżały na wierzchu, nie odgródzone ochronnym szkłem, jak działo się we wszystkich muzeach, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się zwiedzić. A przecież wejścia do budynku także nikt nie pilnował.

- To niewiarygodne - wydusił z siebie. - Boże, to fantastyczne. Czegóż bym nie dał za taczkę tego towaru!

- Podobają ci się te rzeczy"? - zapytała Sufa.

267

- Czy mi się podobają? Szaleję za tym - wyjąkał. - Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Chyba nawet w Fort Knox nie ma tyle złota.

- Są tego u nas całe magazyny - odparła Sufa. - Statki ze złotem tonęły od lat. Jeśli chcesz, każę dostarczyć ci parę takich przedmiotów do pokoju, byś mógł się nimi cieszyć.

- Mówisz o takich rzeczach jak tutaj?

- Oczywiście. Wolisz duże posągi czy mniejsze przedmioty?

- Nie jestem wybredny - odparł Richard. - A co z klejnotami? Czy je też tu macie?

- Oczywiście. Ale większość z nich pochodzi z waszej starożytności. Chciałbyś je obejrzeć?

- Czemu nie? - odparł Richard.

Zmierzając do galerii antycznych klejnotów, nurek spostrzegł wśród zbiorów dwudziestowiecznych osobliwości coś, co sprawiło, że jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Na sięgającym do piersi postumencie spoczywało frisbee, oświetlone efektownie wąskim snopem światła, jakby ono także było bezcenne jak złoto.

- A niech mnie! - wykrzyknął Richard, przystając przed zielonkawym dyskiem. Na

krawędzi krążka dostrzegł kilka śladów po psich zębach. - Co to, u licha, tu robi?! - zawołał.

Sufa zawróciła i podeszła do niego, by zobaczyć, o czym mówi,

- Nie wiemy właściwie, co to jest - przyznała. - Ale niektórzy sugerowali, że to może być model jednego z naszych antygravitacyjnych pojazdów, na przykład taksówki powietrznej albo krążownika międzyplanetarnego. Przez pewien czas obawialiśmy się nawet, że zostaliśmy wykryci.

Richard odrzucił głowę w tył i parsknął śmiechem.

- Chyba żartujesz - powiedział.

- Nie, nie żartuję - odparła Sufa. - Jego kształt jest bardzo sugestywny, a kiedy wprawi się go w ruch wirowy, unosi się na poduszce powietrznej niczym statek antygravitacyjny.

- To nie jest żaden model - oświadczył Richard. - To po prostu frisbee.

268

- Do czego to służy? - zapytała Sufa.

- Do zabawy - odparł. - Rzuca się to, wprawiając w ruch obrotowy, tak jak powiedziałaś, a wtedy ktoś inny to łapie. Pokażę ci. - Podniósł frisbee i lekkim ruchem rzucił je ukośnie w powietrze. Krążek wzbił się łukiem, po czym powrócił. Richard złapał go między kciuk i palec. -

Tylko na tym to polega - powiedział. - To łatwe, nie?

- Chyba tak - odparła Sufa.

- Rzucę to do ciebie, a ty złapiesz to tak jak ja przed chwilą - zaproponował. Odszedł na jakieś piętnaście metrów, odwrócił się i rzucił frisbee w stronę Sufy. Wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała je złapać, lecz była zbyt niezdarna. Choć krążek musnął jej dłoń, nie udało jej się go chwycić i spadł ze stukiem na podłogę. Przewróciwszy oczami na takie niedołęstwo, Richard potruchtał z powrotem i jeszcze raz pokazał jej, jak to zrobić. Lecz jego wysiłki były daremne. Przy następnym rzucie poszło jej jeszcze gorzej.

- Nie przepadacie tu za sportem, prawda? Jeszcze nie spotkałem kogoś, kto nie potrafiłby

złapać frisbee - stwierdził pogardliwie Richard.

- Po co się to robi?

- Po nic - burknął Richard. - To po prostu zabawa. Sport. Można sobie tym porzucać, a przy okazji trochę pobiegać.

- Przecież to bezsensowne - powiedziała Sufa.

- Czy wy, Interterranie, w ogóle się nie ruszacie?

- Skąd znowu - odparła Sufa. - Uwielbiamy pływać, poza tym spacerujemy i bawimy się z naszymi homidami. Oczywiście zawsze jest też seks; Meeta, Palenąe i Karena z pewnością już ci to pokazały.

- Ale mnie chodzi o sport - zaprotestował Richard. - Seks nie jest sportem.

- Dla nas jest - odparła Sufa. - I z pewnością wymaga wiele wysiłku.

- A co ze sportem, w którym chodzi o wygraną? - zapytał Richard.

- O wygraną?

- No wiesz, o rywalizację! —powiedział z rozdrażnieniem. — Nie macie żadnych zawodów sportowych?

269

- Nie, skądże! Skończyliśmy z tymi nedorzecznosciami j miliardy lat temu, gdy wyeliminowaliśmy wojny i przemoc.

- Rany boskie! - wyrwało się Richardowi. - Żadnego sportu! To znaczy żadnego hokeja, żadnej piłki nożnej, nawet golfa! Jezu! I pomyśleć, że Suzanne uważa to miejsce za raj!

- Proszę, uspokój się - powiedziała z naciskiem Sufa. -Dlaczego jesteś tak poruszony?

- Czy wyglądam na poruszonego? - zapytał niewinnie Ri-chard.

- Jak najbardziej.

- Chyba potrzebuję trochę ruchu - powiedział. Trzymając frisbee pod pachą, nerwowo

wyłamywał palce. Wiedział, że jest spięty, i wiedział też dlaczego: oczyma wyobraźni wciąż widział klona roboczego odnajdującego upchnięte w jego lodówce ciało Mury.

- Może weźmiesz sobie frisbee? - zaproponowała Sufa. - Być może Michael albo ktoś inny zechce z tobą zagrać.

- Czemu nie - odparł Richard, ale bez większego entuzjazmu.

- Słuchajcie, wszyscy! - zawołał Arak.

Grupa, po przeszło godzinnym zwiedzaniu, znów zebrała się razem na tarasie przed muzeum. Wszyscy dyskutowali o tym, co widzieli; jedynie Richard trzymał się na uboczu, raz po raz wyrzucając i łapiąc frisbee. U podnóża schodów czekały trzy taksówki powietrzne.

- Zajmijmy się ustaleniami na resztę poranka - powiedział Arak. - Sufa pojedzie z Perrym do zakładów budowy i napraw taksówek powietrznych. Perry, sądzę, że to właśnie chciałeś zobaczyć.

- Jak najbardziej.

- Ismael i Mary zabiorą Donalda i Michaela do Centralnego Archiwum - ciągnął Arak.

Donald skinął głową.

- A co z tobą, Richard? Które z tych dwóch miejsc ci odpowiada? - zapytał Arak

- Wszystko mi jedno - odparł, nie przerywając zabawy.

- Musisz wybrać jedno albo drugie.

270

- No dobra, w takim razie fabryka taksówek - mruknął obojętnie Richard.

- A co z Suzanne? — zapytał Perry.

- Doktor Newell jedzie ze mną na spotkanie z Radą Starszych - odparł Arak.

- Sama? — Perry obejrzał się na nią w przyływie opiekuńczości.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go. - Kiedy ty oglądałeś tego U-Bootu z drugiej wojny

światowej, Arak wyjaśnił mi, że Starsi chcą porozmawiać ze mną jako z oceano-grafem.

- Ale dlaczego masz tam być sama? I dlaczego nie chcą rozmawiać ze mną? W końcu kieruję firmą, która działa na tym polu.

- Nie sądzę, żeby chodziło im o robienie interesów - odparła Suzanne. - Nie przejmuj się.

- Jesteś pewna? - upierał się Perry.

- Najzupełniej. - Suzanne poklepała go uspokajająco po ramieniu.

- A więc chodźmy — zawołał Arak. — Potem spotkamy się wszyscy w pałacu gości. -

Kiwając na pozostałych, okrążył postument ze starym chevroletem i ruszył po szerokich schodach ku czekającym taksówkom powietrznym.

Suzanne czuła się dziwnie, siedząc sam na sam z Arakiem, gdy taksówka powietrzna niosła ich do miejsca przeznaczenia. Pierwszy raz, jeśli nie liczyć nocy, znalazła się z dala od innych. Spojrzała na Araka, a on odpowiedział jej uśmiechem. Będąc tak blisko niego, znów uświadomiła sobie, jak bardzo jest przystojny.

- Jesteś zadowolona z przebiegu wprowadzania? - zapytał Arak. - Czy może frustruje cię za szybkie albo zbyt wolne tempo?

- Najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że jestem przytłoczona - odparła. - Tempo nie sprawia mi kłopotu i z pewnością nie czuję się w najmniejszym stopniu sfrustrowana.

- Wasza grupa jest sporym wyzwaniem, jeśli chodzi o opracowanie najlepszej procedury wprowadzania. Bardzo

271

się różnicie między sobą. To nas fascynuje, a zarazem przeraża. Widzisz, z powodu selekcji i adaptacji, my, Interterra-nie, upodobniliśmy się do siebie nawzajem, jak zapewne zdążyłaś już zauważyć.

- Wszyscy jesteście bardzo mili - odparła Suzanne, potakując. Zdała sobie sprawę, że

dotychczas nie zastanawiała się nad tym, teraz jednak, gdy Arak zwrócił jej na to uwagę uświadomiła sobie, że to prawda. Wszyscy byli nie tylko jednakowo atrakcyjni fizycznie, ale i jednakowo uprzejmi, inteligentni i niefrasobliwi. Jeśli nawet różnili się między sobą usposobieniem, to były to różnice nieznaczne.

- "Mili" to dość niewiele mówiące określenie - stwierdził Arak. - Mam nadzieję, że nie znudziłaś się nami. Suzanne roześmiała się lekko.

- Trudno jest się znudzić, gdy jest się przytłoczonym - powiedziała. - Zapewniam cię, że nie jestem znudzona. - Jej wzrok przesunął się po niewiarygodnej panoramie miasta, nad którym śmigwały roje taksówek powietrznych. Była jak najdalsza od nudy, nagle jednak uzmysłowiła sobie, o co chodziło Arakowi. Po pewnym czasie Interterra mogła stać się męcząca z powodu swej monotonii. Te same cechy, które czyniły z niej raj, czyniły ją też bezbarwną.

Suzanne skupiła wzrok na imponującej budowli, której górująca nad miastem bryła wyrwała ją z zamyślenia. Taksówka szybko się do niej zbliżała. Była to olbrzymia czarna piramida o lśniącym od złota wierzchołku. Gdy taksówka opadła na pomost prowadzący do wnętrza budowli, Suzanne uderzyło podobieństwo do piramidy Cheopsa w Gizie. Widziała ją, będąc w Egipcie, mogła więc stwierdzić, że interterrańska wersja jest nawet zbliżonej wielkości. Kiedy wspomniała o tym Arakowi, uśmiechnął się protekcyjnie.

- Ten projekt był jednym z naszych darów dla tamtej cywilizacji - odparł. - Pokładaliśmy w nich wielkie nadzieje, ponieważ początkowo byli narodem dość pokojowym. W początkach ich historii wysłaliśmy delegację, która miała żyć wśród nich i umożliwić im przewagę nad innymi, wybitnie wojowniczymi ludami. Ten eksperyment nie był przedsię-

272

wzięciem na taką skalę jak Atlantyda, a nasze próby spełzły na niczym.

- Czy oprócz projektu nauczyliście ich też, jak to zbudować? - zapytała Suzanne. Tajemnica

piramidy Cheopsa była dla niej jedną z największych zagadek starożytnego świata.

- Oczywiście. Musieliśmy to zrobić. Uczyliśmy ich też, jak wznosić łuk, ale oni twardo nie chcieli uwierzyć, że ta konstrukcja zdaje egzamin, i nie zastosowali go w ani jednej budowli.

Taksówka powietrzna znieruchomiała i z boku pojawił się właz.

- Ty pierwsza - powiedział uprzejmie Arak.

Kiedy znaleźli się w środku, Suzanne zdała sobie sprawę, że podobieństwo między obiema budowlami zniknęło. We wnętrzu interterrańskiej piramidy królował lśniący biały marmur, a pomieszczenia były przestronne, nie ciasne aż do klaustrofobii.

Idąc u boku Araka korytarzem prowadzącym do centrum budowli, Suzanne doznała kolejnego zaskoczenia. Tuż przed nią z jednego z bocznych przejść wynurzył się Garona i czule ją objął.

- Garona! - szepnęła z radością. Odwzajemniła jego uścisk. - Co za miła niespodzianka! Nie spodziewałam się zobaczyć cię przed wieczorem. Czy raczej miałam nadzieję, że wieczorem cię zobaczę.

- Oczywiście, że zobaczyłabyś. Ale nie mogłem tak długo czekać. - Spojrzał jej w oczy. - Wiedziałem, że będziesz tu dzisiaj, więc przyszedłem, by zaczekać na ciebie.

- To miło z twojej strony.

- Lepiej chodźmy - upomniał ją Arak. - Starsi czekają.

- Oczywiście - powiedział Garona. Wypuścił Suzanne z objęć i ujął jej dłoń. Ruszyli wszyscy troje.

- Jak minął ranek? - zapytał Garona.

- Pouczająco - odparła Suzanne. - Wasza technika jest zdumiewająca.

- Mieliśmy sesję naukową - wyjaśnił Arak.

- Jakież wizyty w terenie?

- Byliśmy w Muzeum Powierzchni Ziemi - powiedziała Suzanne.
- Naprawdę? - Garona wydawał się zaskoczony.
- Takie było życzenie pana Fullera - wyjaśnił Arak.
- Czy to także było dla ciebie pouczające? - zapytał Garona.
- Interesujące - odparła Suzanne. - Ale osobiście, po wszystkim, czego dowiedziałam się podczas sesji, wybrałabym co innego.

Zbliżyli się do imponujących dwuskrzydłowych drzwi z brązu. Każde pole zdobiła płaskorzeźba, w której Suzanne rozpoznała ankh, staroegipski symbol życia. Był to dla niej kolejny dowód przepływu informacji z Interterry do starożytnej cywilizacji z powierzchni Ziemi. Zaczęła zastanawiać się, co jeszcze miało swe źródła w tej zaawansowanej kulturze.

Gdy tylko dotarli do drzwi, oba skrzydła zaczęły się cicho otwierać do wewnątrz. Za nimi znajdowała się okrągła sala zwieńczona wspartą na kolumnach kopułą. Jak w całym wnętrzu piramidy, tak i tu wszystko było z białego marmuru. Jedynie kapitele kolumn były złote.

Ponaglona przez Araka, Suzanne przekroczyła marmurowy próg. Niepewnie przeszła parę kroków i przystanęła, rozglądając się po monumentalnym wnętrzu. Na sali znajdowało się dwanaście okazałych krzeseł ustawionych w krąg. Każde z nich ustawiono między dwiema kolumnami. Wszystkie krzesła były zajęte - przypuszczalnie przez członków Rady - młodych ludzi w wieku od pięciu do dwudziestu pięciu lat. Suzanne, zaskoczona, lekko straciła głowę. Niektórzy z nich byli tak mali, że siedząc, nie sięgali stopami do podłogi.

- Wejdz, doktor Newell - odezwała się czystym, dzieciennym głosem jedna ze Starszych.

Według Suzanne wyglądała jak dziesięcioletnia dziewczynka. - Mam na imię Ala i aktualnie pełnię funkcję przewodniczącego Rady. Proszę, nie obawiaj się! Wiem, że to miejsce budzi onieśmienie, ale chcemy tylko porozmawiać z tobą. Zechciej więc wyjść na środek sali, abyśmy wszyscy mogli

cię dobrze słyszeć.

274

f- Jestem raczej zaskoczona niż przerażona - odparła Su-zanne, stając dokładnie pod centralnym punktem kopuły. -Powiedziano mi, że przychodzę do Rady Starszych.

-I tak jest w istocie - oświadczyła Ala. - Czynnikiem decydującym o zasiadaniu w Radzie jest liczba przeżytych wcieleń, nie wiek obecnego ciała.

- Rozumiem - odparła Suzanne, choć nadal czuła się nieswojo, stojąc przed ciałem rządzącym złożonym po części z dzieci.

- Rada Starszych wita cię oficjalnie - powiedziała Ala.

-Dziękuję - odparła Suzanne, nie wiedząc, co innego można by powiedzieć.

- Sprowadziliśmy cię do Interterry w nadziei, że zdołasz udzielić nam informacji, których nie jesteśmy w stanie uzyskać przez śledzenie łączności na powierzchni Ziemi.

- Jakiego typu informacji? - zapytała Suzanne. Znow zrobiła się czujna. W uszach brzmiały jej słowa Donalda: In-terterranie chcą od nich czegoś i gdy to dostaną, mogą zacząć traktować ich zupełnie inaczej.

- Bądź spokojna - powiedziała łagodnie Ala.

- To dosyć trudne - stwierdziła Suzanne. - Zwłaszcza że przypomniałaś mi, iż ja i moi koledzy zostaliśmy ściągnięci do waszego świata siłą, co, muszę powiedzieć, było przerażającym przeżyciem.

- Przyjmij nasze przeprosiny - powiedziała Ala. -I wiedz, że zamierzamy wynagrodzić wasze poświęcenie. Ale jesteśmy niespokojni. Rozumiesz, odpowiadamy za nienaruszalność i bezpieczeństwo Interterry. Wiemy, że w swoim świecie jesteś ekspertem od oceanografii.

- To zbyt łaskawe. Prawdę mówiąc, jestem jeszcze nowi-cjuszka w tej dziedzinie.

- Proszę wybaczyć - wtrącił się jeden z pozostałych Starszych, nastolatek u progu fazy

gwałtownego wzrostu. - Mam na imię Ponu i jestem obecnie wiceprzewodniczącym Rady. Doktor Newell, zdajemy sobie sprawę z uznania, jakim cieszysz się wśród swoich kolegów po fachu. Jesteśmy przekonani, że taki szacunek jest wiarygodnym świadectwem twoich kompetencji.

275

1

- Skoro tak twierdzicie — ustąpiła Suzanne. Nie chciała się o to spierać w tych okolicznościach. — O co chcecie mnie zapytać?

- Przede wszystkim - odparła Ala - chciałabym upewnić się, czy zostałam poinformowana, że w naszym świecie brak jest powszechnych u was bakterii i wirusów.

- Arak przedstawił to jasno.

- I zakładam, że rozumiesz, iż wykrycie naszej cywilizacji przez cywilizację taką, jak wasza, byłoby katastrofalne.

- Mogę zrozumieć niepokój o skażenie - oświadczyła Suzanne. - Ale nie jestem przekonana, czy istotnie musiałyby to skończyć się katastrofą, zwłaszcza gdyby wprowadzono odpowiednie środki zabezpieczające.

- Doktor Newell, to nie ma być dyskusja. Z pewnością musisz być świadoma faktu, że wasza cywilizacja jest wciąż na bardzo wczesnym etapie rozwoju społecznego. Korzyść własna jest główną siłą motywacyjną, a przemoc jest zjawiskiem codziennym. Kraj, z którego pochodzisz, jest wręcz tak prymitywny, że pozwala każdemu posiadać broń.

- Pozwól, że ujmę to inaczej - wtrącił Ponu. - To, co mówi moja szanowna koleżanka, oznacza, że apetyt waszego świata na naszą technikę byłby tak wielki, że zapomniano by o naszych specyficznych potrzebach.

- Otóż to - przytaknęła Ala. - A my nie możemy zgodzić się na takie ryzyko. Przynajmniej nie przez następne pięćdziesiąt tysięcy lat, kiedy ludzie drugiej generacji staną się być może

bardziej cywilizowani. Oczywiście jeżeli wcześniej nie doprowadzą do własnej zagłady.

- W porządku - powiedziała Suzanne. - Jak stwierdziliście, to nie jest dyskusja, i przekonaliście mnie, że waszym zdaniem moja cywilizacja jest zagrożeniem dla waszej.

Przyjmując to za ustalone, czego chcecie ode mnie?

Nastąpiła cisza. Suzanne przeniosła wzrok z Ali na Ponu. Gdy żadne z nich nie odpowiedziało, rozejrzała się po pozostałych twarzach. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. Spojrzała w tył, gdzie stali Arak i Garona. Garona uśmiechnął się uspokajająco. Suzanne odwróciła się do Ali.

- No więc..? - zapytała.

276

Ala westchnęła.

- Chciałabym zadać ci bezpośrednie pytanie. Pytanie, na które odpowiedź boimy się usłyszeć. Widzisz, nasz świat rozpoczął w ostatnich latach serię pozornie losowo lokalizowanych wierceń w głębinach oceanicznych. Obserwowaliśmy te wydarzenia z rosnącą troską, ponieważ nie znamy ich celu. Wiemy, że nie chodzi tu o poszukiwanie ropy naftowej ani gazu ziemnego, gdyż na obszarach, w których prowadzone są wiercenia, nie ma żadnych złóż. Śledziliśmy łączność, jak zawsze to robimy, ale nie uzyskaliśmy interesującej nas informacji.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego Benthic Explorer prowadził wiercenia akurat w tym miejscu? - zapytała Suzanne.

- Bardzo chcę to wiedzieć - odparła Ala. - Wierciliście bezpośrednio nad jednym z naszych dawnych portów wyjściowych. Prawdopodobieństwo, by był to czysty przypadek, jest bardzo małe.

- To nie było przypadkowe - przyznała Suzanne. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, wśród Starszych rozległ się szmer. - Pozwólcie, że skończę - zawołała. - Wierciliśmy tę podmorską górę, by sprawdzić, czy uda nam się dostać wprost do astenosfery. Dane z sonaru wskazywały, że jest to

nieczynny wulkan z komorą magmową wypełnioną rzadką lawą.

- Czy decyzja o podjęciu wierceń w tym konkretnym miejscu była choć w części motywowana podejrzeniem istnienia Interterry? - zapytała Ala.

- Nie! Zdecydowanie nie! - odparła Suzanne.

- Zatem decyzja o rozpoczęciu wierceń nie była spowodowana chęcią poszukiwania podmorskiej cywilizacji? - drążyła dalej Ala.

- Jak powiedziałam, wierciliśmy z powodów czysto geologicznych.

Starsi znów zaczęli naradzać się głośno. Suzanne odwróciła się i spojrzała na Araka i Garonę. Obaj uśmiechnęli się zachęcająco.

- Doktor Newell - powiedziała Ala, by ponownie przyciągnąć jej uwagę - czy jako oceanograf kiedykolwiek słysza-

277

łaś z jakiegokolwiek źródła coś, co mogłoby sugerować, że ktokolwiek podejrzewa istnienie Interterry?

- Nie, w żadnych kręgach naukowych - odparła Suzanne. - Lecz jest kilka powieści opisujących świat wewnątrz Ziemi.

- Wiemy o pracach Verne'a i Doyle'a - przyznała Ala. - Ale jest to literatura czysto rozrywkowa.

- To prawda. To była czysta fantazja. Nikt nie uważał, że książki te mogą być oparte na faktach, choć prawdopodobnie autorzy zapożyczyli ten pomysł od człowieka nazwiskiem John Cleves Symmes, który istotnie wierzył, że wewnątrz Ziemi jest puste.

W sali znów rozległ się głośny, niespokojny pomruk.

- Czy przekonania Symmesa wpłynęły na opinię naukową? - zapytała Ala.

- Do pewnego stopnia - odparła Suzanne. - Ale nie przejmowałabym się tym zbytnio, gdyż

mówimy o początkach dziewiętnastego wieku. W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku jego teoria istotnie dała impuls do jednej z pierwszych amerykańskich ekspedycji naukowych. Kierował nią porucznik Charles Wilkes i jej początkowym celem było odszukanie wejścia do pustego wnętrza Ziemi, które Symmes lokalizował pod biegunem południowym.

To oświadczenie wzbudziło kolejną falę gorączkowych szeptów.

- A rezultat tej wyprawy? - zapytała Ala.

- Nic, co dotyczyłoby Interterry - odparła Suzanne. -Prawdę mówiąc, cel wyprawy zmienił się jeszcze przed jej rozpoczęciem. Do czasu, nim ruszyli w drogę, zamiast szukać wejścia do wnętrza Ziemi, nakazano im szukać nowych terenów polowań na foki i wieloryby.

- Tak więc teoria Symmesa została zignorowana? - zapytała Ala.

- Całkowicie. I pomysł ten nigdy już nie wypłynął na światło dzienne.

-Należy się z tego cieszyć, tym bardziej że niektóre z jego przypuszczeń były słuszne.

Biegun południowy był

278

i nadal jest naszym głównym portem międzyplanetarnym i międzygalaktycznym —
powiedziała Ala.

- Czyż to nie dziwne? - odparła Suzanne. - Niestety dla Symmesa jest już nieco za późno na rehabilitację. Tak czy inaczej, z twoich pytań domyślam się, że chcesz wiedzieć, czy wasz sekret jest bezpieczny. Na ile mi wiadomo, odpowiedź brzmi "tak". Ale skoro jesteśmy przy tym temacie, być może powinnam wspomnieć, że chociaż nikt obecnie nie wierzy w pustą Ziemię, zawsze istniały grupy z obrzeża nauki, które twierdzą, że jesteśmy odwiedzani przez przedstawicieli zaawansowanych cywilizacji. Był nawet głośny serial telewizyjny na ten temat. Ale te pomysły dotyczą obcych przybywających z kosmosu, nie z wnętrza Ziemi.

- Wiemy o tych sprawach - oświadczyła Ala. - I cieszy nas to skojarzenie. Było szczególnie

użyteczne w kilku przypadkach, kiedy nasze międzyplanetarne statki zostały dostrzeżone przez ludzi drugiej generacji.

- Jediną rzeczą, o której powinnam jeszcze wspomnieć -dodała Suzanne -jest to, że naszej kulturze znany jest mit o Atlantydzie, przekazany przez starożytnych Greków. Ale zapewniam cię, że społeczność naukowa uważa to za zwykłe bajki albo, w najlepszym razie, wspomnienie zniszczonej przez wybuch wulkanu kultury drugiej generacji. Nikt nigdy nie wysunął teorii, że pod oceanem żyje zaawansowana cywilizacja.

Starsi znów zaczęli naradzać się hałaśliwie. Suzanne poruszyła się niespokojnie.

Ala uciszyła prywatne dyskusje skinieniem w stronę kolegów, po czym ponownie zwróciła się do Suzanne.

- Chcielibyśmy zapytać cię o przypadkowe wiercenia głę-bokomorskie, które od paru lat zdarzają się w okolicach Saranty. Żadne z nich nie dotyczyło wierzchołka góry podmorskiej.

-Wydaje mi się, że chodzi ci o wiercenia wykonywane dla potwierdzenia najnowszych teorii o rozszerzaniu się dna oceanicznego - odparła Suzanne. - Ich celem było wyłącznie dostarczenie próbek skał do datowania.

279

Znów rozległ się szmer podnieconych głosów. Gdy ucichł, Ala zapytała:

- Czy kiedykolwiek pojawiła się sugestia, że domniemana komora magmowa, do której próbowaliście się dowier-cić, może być wypełniona powietrzem, a nie rzadką lawą?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A byłam kierownikiem naukowym tego przedsięwzięcia - odparła Suzanne.

- Porty wyjściowe powinny były zostać zaplombowane już wieki temu — wtrącił zapalczywie jeden ze Starszych.

- To nie jest pora na wzajemne obwinianie się - upomniała go dyplomatycznie Ala. -

Zajmujemy się chwilą obecną. -Potem, spoglądając znów na Suzanne, powiedziała: -

Podsumowując, w swojej karierze zawodowej nigdy nie zetknęłaś się z sugestią ani teorią głoszącą, że pod oceanem istnieje cywilizacja?

- Nie, z wyjątkiem mitów, o których wspomniałam.

- Mamy do ciebie jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Coraz bardziej zaczyna niepokoić nas rosnący brak poszanowania dla środowiska oceanicznego, jaki przejawia wasza cywilizacja. Choć słyszeliśmy, że niektórzy poruszają ten temat w waszych mediach, tempo zanieczyszczeń i nadmiernego odłowu ryb wzrosło. Ponieważ jesteśmy do pewnego stopnia zależni od integralności oceanu, zastanawiamy się, czy wasze dyskusje na ten temat są zwykłą cczą gadaniną czy prawdziwą troską?

Suzanne westchnęła. Sprawa ta była bliska jej sercu. Wiedziała zbyt dobrze, że prawda jest co najmniej zniechęcająca.

- Niektórzy ludzie próbują zmienić sytuację - powiedziała.

- Ta odpowiedź sugeruje, że większość nie uważa tego za istotną kwestię.

- Być może, ale tym, którym na tym zależy, zależy bardzo mocno.

- Ale może szeroka społeczność nie zdaje sobie sprawy z podstawowej roli, jaką ocean odgrywa w ziemskim ekosystemie, na przykład z faktu, że plankton reguluje zarówno ilość tlenu, jak i dwutlenku węgla na powierzchni Ziemi?

280

Suzanne poczuła, że się czerwieni, jak gdyby w jakiś sposób ona sama była winna temu, że ludzie drugiej generacji tak źle traktują oceany.

- Obawiam się, że większość ludzi i większość państw postrzega ocean jako niewyczerpane źródło żywności i bezdenny dół na śmieci i odpadki.

- To istotnie smutne - powiedziała Ala. - I niepokojące.

- To samolubna krótkowzroczność - dodał Ponu.

- Muszę się z tym zgodzić - przyznała Suzanne. - Jest to coś, nad czym pracuję ja i moi koledzy. To bitwa.

- No cóż - stwierdziła Ala. Zsunęła się z krzesła. Zbliżyła się do Suzanne z wyciągniętą ręką i zwróconą ku niej dłonią.

Suzanne przycisnęła dłoń do jej dłoni. Ala sięgała jej zaledwie do podbródka.

- Dziękuję ci za twe pomocne uwagi - powiedziała szczerze Ala. - Przynajmniej co do bezpieczeństwa Interterry, uspokoiłaś nasze obawy. W nagrodę ofiarowujemy ci wszelkie owoce naszej cywilizacji. Masz wiele do obejrzenia i posmakowania. Przy swej wiedzy i doświadczeniu jesteś do tego szczególnie predestynowana, znacznie bardziej niż którykolwiek z naszych dotychczasowych gości z powierzchni. Powodzenia!

Oklaski, jakimi odpowiedzieli pozostali Starsi, sprawiły, że Suzanne na chwilę straciła głowę. Zawstydzona, podziękowała skinieniem, po czym przemówiła, przekrzykując nie milknące brawa.

- Dziękuję, że pozwoliliście mi odwiedzić Interterrę. Jestem zaszczycona.

- To my jesteśmy zaszczyceni - powiedziała Ala. Dała znak Arakowi i Garonie, kierując Suzanne do wyjścia.

Później, gdy wychodzili z wielkiej piramidy, Suzanne zatrzymała się, by jeszcze raz spojrzeć na imponującą budowlę. Zastanawiała się, czy powinna była zapytać Radę o to, czy ona i pozostali są chwilowymi gośćmi w Interterrze czy stałymi, uwięzionymi rezydentami. Jednym z powodów, dla których nie zadała tego pytania, był fakt, że bała się usłyszeć odpowiedź. Teraz jednak tego żałowała.

- Dobrze się czujesz? — zapytał Garona, wyrывая ją z zamyślenia.

- Wszystko w porządku - odparła. Ruszyła dalej, wciąż pogrążona w myślach. Tak czy inaczej, znała teraz powód, dla którego znaleźli się w Interterze. Starsi chcieli wypytać oceanografa o podejrzenia co do istnienia Interterry. Nie sądziła, aby sposób, w jaki traktowano ją oraz pozostałych, miał się zmienić teraz, gdy Interterranie osiągnęli swój cel. Z drugiej strony czuła się teraz osobiście odpowiedzialna za ich sytuację. Gdyby nie ona, nie zostaliby porwani.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - zapytał Garona. - Wydajesz się taka zamyślona.

Suzanne zmusiła się do uśmiechu.

- Cóż w tym dziwnego? Jest tyle spraw, z którymi muszę się oswoić.

- Wyświadczyłaś Interterze wielką przysługę. Jak powiedziała Ala, wszyscy jesteśmy ci wdzięczni - stwierdził Arak.

- Cieszę się - powiedziała Suzanne, siląc się na entuzjazm. Ale było to trudne.

Przeczuwając, że Donald ma rację i że ich pobyt w Interterze nie ma być tylko tymczasowy, intuicja mówiła jej, że konfrontacja jest nieunikniona i, biorąc pod uwagę osobowość niektórych z jej kolegów, sprawy mogą wkrótce przybrać gwałtowny i niebezpieczny obrót.

dRozdział 16

-To miejsce przyprawia mnie o dreszcze - powiedział Michael.

- To dziwne, że jest tak opuszczone. Dziwne też, że pozwalają nam włóczyć się tutaj samopas - stwierdził Donald.

- Są ufni. To trzeba im przyznać.

- Ja nazwałbym to głupotą - mruknął Donald.

Obaj wędrowali po zakamarkach Centralnego Archiwum. Ismael i Mary Black towarzyszyli im do drzwi olbrzymiego budynku, ale zdecydowali się pozostać na zewnątrz i pozwolić im zwiedzać na własną rękę. Tak więc Donald i Michael znaleźli się w olbrzymim labiryncie

krzyżujących się korytarzy i przejść. Miejsce to przypominało ul, ze swymi rzędami regałów wypełnionych od podłogi do sufitu czymś, co wyglądało na twarde dyski gigantycznego zespołu komputerów. Poza dwoma klonami roboczymi, na które natknęli się w jednej z sal blisko wejścia, nie widzieli żywego ducha.

- Chyba nie zgubimy się tu, jak myślisz? - zapytał niespokojnie Michael. Obejrzał się za siebie, usiłując zapamiętać drogę. Każdy korytarz wyglądał tak samo.

- Pamiętam, jak szliśmy - odparł Donald.

- Jesteś pewien? - zapytał Michael. - Robiliśmy wiele zakrętów. Donald zatrzymał się.

- Słuchaj, zakuta pało. Jeśli się boisz, czemu, do diabła, nie wrócisz po prostu do wejścia i nie zaczekasz tam na mnie?

- W porządku. Jestem spokojny - odparł Michael.

- Spokojny, jak cholera - burknął Donald. Ruszył dalej.

- A właściwie po co chciałeś tu przyjść? - zapytał Michael parę minut później.

283

- Powiedzmy po prostu, że byłem ciekaw — odparł Donald.

- To przypomina koszmar senny - powiedział Michael. - Albo horror o oszalałej technologii.

- Wzdrygnął się.

- Tym razem zgadzam się z tobą, marynarzu. To wygląda, jakby technika wyrwała się spod kontroli - odparł Donald.

- Do czego według ciebie służy cały ten sprzęt?

- Z tego, co mówił Arak, wynikało, że obsługuje Interter-rę - powiedział Donald. - Jak się zdaje, zawiaduje wszystkimi procesami. I przechowuje istoty ludzi. Bóg wie, ilu ich teraz siedzi tu w środku.

Michael znów zadrżał.

- Myślisz, że oni wiedzą, że tu jesteśmy?
- Trafiony, zatopiony - odparł Donald. Szli przez kilka minut w milczeniu.
- Nie widziałeś już dość? - zapytał Michael.
- Chyba tak - odparł Donald. - Ale porozglądam się jeszcze trochę.
- Zastanawiam się, czy ta rzecz sama się naprawia.
- Jeśli tak jest, wówczas musielibyśmy zapytać, kto jest bardziej żywy, ta maszyna czy ci ludzie, którzy najwyraźniej nic nie robią.

Nagle wyciągnął rękę, blokując Michaelowi drogę.

- Co jest? - krzyknął nurek. Donald przyłożył palec do warg.
- Nie słyszysz? - szepnął.

Michael przechylił głowę, nasłuchując z uwagą. Istotnie, z oddali dobiegał ledwo słyszalny hałas: ciche eksplozje dźwięku wśród grobowej ciszy.

- Słyszysz? - powtórzył Donald. Michael skinął głową.
- To brzmi jak śmiech. Donald przytaknął.
- Dziwny śmiech - stwierdził. - Rozbrzmiewa w bardzo regularnych odstępach.
- Gdybym nie bał się wygłupić, powiedziałbym, że to śmiech z taśmy, jak ten, który puszczają w telewizyjnych komediach.

284

Donald pstryknął palcami.

- Masz rację! Wiedziałem, że brzmi znajomo.
- Ale to bez sensu — zaprotestował Michael.
- Sprawdźmy to! — odparł Donald. — Idźmy za tym dźwiękiem!

Z rosnącym zaciekawieniem ruszyli naprzód, licząc na to, że znajdą źródło dziwnych odgłosów. Na każdym skrzyżowaniu korytarzy musieli przystawać i nasłuchiwać, by ustalić

kierunek. Stopniowo dźwięki stawały się głośniejsze, a decyzje bardziej jednoznaczne.

Pokonawszy ostatni zakręt, mogli stwierdzić, że hałas dochodzi z pierwszego pomieszczenia z lewej strony. W tej chwili byli już pewni, że jest to komedia telewizyjna. Słyszeli nawet dialogi.

- To brzmi jak powtórka Seinfelda - szepnął Michael.

- Zamknij się! - uciszył go ruchem warg Donald. Przywarł płasko do ściany tuż przy drzwiach pomieszczenia i gestem nakazał mu, by stanął obok niego. Ostrożnie zajrzał do środka.

Ku jego zdumieniu wewnątrz przypominało zespół emisyjny stacji telewizyjnej. Przeciwległą ścianę pokrywała przeszło setka monitorów. Wszystkie były włączone. Większość odbierała rozmaite programy, choć na kilku widniał tylko obraz kontrolny.

Wysunąwszy się jeszcze odrobinę do przodu, Donald spostrzegł mężczyznę siedzącego na białym krześle, twarzą do monitorów. Facet w najmniejszym stopniu nie przypominał typowego Interterranina; miał przerzedzone, brudne, siwe włosy. Na ekranie, w który się wpatrywał, bez wątpienia widać było Elaine, George'a, Kramera i Jerry'ego.

Donald znów przywarł do ściany korytarza, odsuwając się od otwartych drzwi. Spojrzał na Michaela.

- Miałeś rację! To stary odcinek Seinfelda - szepnął.

- Rozpoznałbym te głosy wszędzie - odparł Michael. Donald znów uniósł palec do warg.

- Tam w środku siedzi dziadzio, który to ogląda - wyszeptał. - I z pewnością nie wygląda na Interterranina.

- Chrzanisz?

- To ci niespodzianka - mruknął Donald. Przygryzł dolną wargę, zastanawiając się nad sytuacją.

285

- Jak diabli - stwierdził Michael. - Co teraz zrobimy?

- Wejdzimy do środka i przywitamy się z tym gościem - powiedział Donald. — Być może nam się poszczęściło. Ale słuchaj! To ja będę mówił, dobra?

- Jak sobie życzysz - odparł Michael.

- Dobrze, chodźmy. - Donald odepchnął się od ściany i wszedł do pokoju. Michael ruszył za nim. Poruszali się cicho, choć telewizor grał tak głośno, że mężczyzna i bez tego nie usłyszałby ich kroków.

Nie wiedząc, jak przyciągnąć jego uwagę, nie napędzając mu przy tym stracha, Donald po prostu wszedł w jego pole widzenia i zatrzymał się. Nic to nie dało. Mężczyzna siedział jak zahipnotyzowany; z obwisłą, zastygłą w bezmyślnym wyrazie twarzą, nie mrugając nawet powiekami, wlepił w ekran spojrzenie półprzymkniętych oczu.

- Przepraszam - odezwał się Donald, ale jego głos utonął w kolejnej salwie śmiechu.

Wyciągnął rękę i delikatnie trącił go w ramię. Mężczyzna poderwał się z krzesła.

Dostrzegłszy koło siebie dwóch intruzów, cofnął się w popłochu. Równie szybko jednak opanował się.

- Czekaście, poznaję was! - krzyknął. - Jesteście z grupy tych gości z powierzchni, którzy niedawno do nas dołączyli.

- Dołączyli nie jest właściwym słowem - odparł Donald. - Nie mieliśmy żadnego wyboru w tej kwestii. Zostaliśmy uprowadzeni. - Przyglądał się mężczyźnie. Przygarbiony i kościsty, mógł mieć jakieś pięćdziesiąt dwa lata. Miał głęboko osadzone, kaprawe oczy, grubo ciosane rysy i głęboko pobrużdżoną twarz. Był to najstarzej wyglądający człowiek, jakiego Donald widział w Interterze.

- To nie była katastrofa okrętu? - zapytał.

- Raczej nie - odparł Donald. Przedstawił siebie i Michaela.

- Miło mi was poznać - zawołał radośnie mężczyzna. - Miałem nadzieję, że was kiedyś

spotkam. - Podszedł, by uściskać im dłonie. - Tak właśnie ludzie powinni się witać -dodał. - Mam dość tego głupiego przyciskania dłoni.

- Jak panu na imię? - zapytał Donald.

286

- Harvey Goldfarb. Ale możecie mówić mi Harv.

- Jest pan tu sam?

- Jasne. Zawsze jestem tu sam.

- Co pan robi?

- Niewiele - odparł Harvey. Wskazał wzrokiem ścianę monitorów. - Oglądam programy telewizyjne, zwłaszcza te, które dzieją się w Nowym Jorku.

-To jest praca?

- Można to pewnie tak określić, ale właściwie jestem raczej ochotnikiem. Chodzi głównie o to, że lubię patrzeć na Nowy Jork. Podoba mi się dosyć Wszystko w rodzinie, ale teraz trudno jest trafić na powtórki. Szkoda. Seinfeld jest w porządku, ale niezbyt chwytam dowcip.

- Do czego służy ta sala? - zapytał Donald. - Po prostu dla rozrywki? Harvey roześmiał się drwiąco, kręcąc głową.

- Interterranie nie interesują się telewizją i prawie jej nie oglądają. To Centralne Archiwum jest tym zainteresowane. Centralne Archiwum Saranty jest jednym z głównych ośrodków odbiorczych w Interterze. Kontroluje łączność na powierzchni Ziemi, by się upewnić, że nie ma żadnych wzmianek o istnieniu Interterry. - Machnął rękami w stronę monitorów. - Te Marnoty grają przez całą dobę na okrągło. Zaraz, coś mi się przypomniało. Tam, w górze, sporo mówiono o was w CNN i nie tylko. W wiadomościach podano, że zginęliście w wybuchu podmorskiego wulkanu.

- Więc nie było żadnych niezwykłych podejrzeń? - zapytał Donald.

- Ani wzmianki - odparł Harvey. - Nic, tylko zwykły geologiczny bełkot. Tak czy owak, wracając do mnie, sam zaproponowałem, że zejść tu i będę przeglądać programy telewizyjne dla archiwów i przy okazji wycinać brutalne sceny.

-W takim razie niewiele z nich zostaje - stwierdził Donald, śmiejąc się cynicznie. - Po co ten trud?

- Wiem, że to nie ma większego sensu - zgodził się Harvey. - Ale jeśli oni mają to oglądać, nie może tam być ani odrobiny przemocy. Nie wiem, czy wiecie o tym czy nie, ale

287

ci ludzie, prawdziwi Interterranie, nie mogą patrzeć na przemoc. Robi im się od tego niedobrze. Dosłownie!

- A więc pan nie jest prawdziwym Interterraninem, Harvey parsknął śmiechem.

- Ja? Harvey Goldfarb Interterraninem? Czy wyglądam na Interterranina? Z taką gębą?

- Istotnie wygląda pan nieco starszej niż inni.

- Starszej i brzydziej - prychnął Harvey. - Ale taki jestem. Próbowali mnie namówić, żebym pozwolił zrobić sobie różne rzeczy, chcieli nawet wyhodować mi włosy, ale nie zgodziłem się.

Jednak muszę przyznać, że dzięki nim cieszę się zdrowiem. Co do tego nie ma dwóch zdań. Ich szpitale przypominają warsztat samochodowy. Po prostu wkładają ci nową część i wychodzisz. Tak czy inaczej, nie jestem Interterraninem. Jestem nowojorczykiem. Mam wspaniały dom w najlepszej części Harlemu.

- Harlem sporo się zmienił - powiedział Donald. - Ile czasu minęło, odkąd pan tam był?

- Trafiłem do Interterry w tysiąc dziewięćset dwunastym.

- Jak to się stało?

-Dzięki odrobinie szczęścia i interwencji Interterran. Uratowano mnie wraz z paroma setkami innych przed utonięciem, kiedy nasz statek wpadł na górę lodową.

- Titanic! - zapytał Donald.
- Zgadł pan. Wracalem właśnie do Nowego Jorku.
- Więc sporo pasażerów Titanica jest teraz w Interterze?
- Co najmniej kilkuset. Ale nie wszyscy są w Sarancie. Wielu z nich przeniosło się do Atlantydy i do innych miast. Byli rozrywani. Widzi pan, Interterranie uważają nas za zabawnych.
- Odniosłem takie wrażenie.
- Korzystajcie z tego, dopóki możecie - powiedział Harvey. - Kiedy się tu zaaklimatyzujecie, przestaniecie już być atrakcją. Niech mi pan wierzy.
- Musiał pan przeżyć straszne chwile - stwierdził Donald.
- Nie, jestem tu całkiem szczęśliwy - odparł obronnym tonem Harvey. - Raz bywa lepiej, raz gorzej.

288

- Miałem na myśli noc, kiedy zatonął Titanic.
- Ach, tak! To prawda. Ta noc była okropna. Okropna!
- Tęskni pan za Nowym Jorkiem?
- Na swój sposób - odparł Harvey. Jego oczy przybrały nieobecny wyraz. - Właściwie to zabawne, czego najbardziej mi brak. Giełdy. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale byłem człowiekiem, który sam doszedł do wszystkiego... maklerem, mówiąc ściśle, i uwielbiałem interesy. Pracowałem ciężko, ale czułem, że żyję. - Wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je gwałtownie z westchnieniem. Spojrzał przytomnym już wzrokiem na Donalda. - Cóż, to tyle, jeśli chodzi o moją historię. A co z wami? Naprawdę sprowadzono was tu siłą? Jeśli tak, to jesteście pierwszym takim wypadkiem. Sądziłem, że uratowano was z podwodnego wulkanu, o którym mówili w CNN.
- Istotnie była wtedy jakaś erupcja - przyznał Donald. - Ale myślę, że miała tylko zamaskować fakt, że zostaliśmy wessani w jeden z interterrańskich portów wyjściowych. Tak czy

inaczej, nasze przybycie do Interterry nie było zjawiskiem naturalnym. Zostaliśmy porwani z powodów, których do tej pory nam nie wyjaśniono.

Harvey przeniósł wzrok z Donalda na Michaela, potem znów na Donalda.

- Nie wygląda pan na zachwyconego Interterrą.

- Jestem pełen podziwu - odparł Donald. - To muszę przyznać. Ale nie jestem zachwycony.

- Hmmm - mruknął Harvey. - W takim razie jest pan wyjątkiem. Wszyscy inni, którzy tu trafiają, stają się z dnia na dzień zapalonymi entuzjastami. A co sądzi pański przyjaciel?

- Michael jest tego samego zdania co ja - stwierdził Donald. Michael skinął głową. - Widzi pan - ciągnął dalej Donald - nie lubimy być zmuszani do czegokolwiek, choćby nawet było to nie wiedzieć jak dobre. Ale jak jest z panem?

Harvey przyjrzał się uważnie jego twarzy. Spojrzał jeszcze raz na Michaela, który akurat zaśmiewał się przy wtórze śmiechu z ekranu, i znów przeniósł wzrok na Donalda.

289

- Mówi pan poważnie, nie jest pan zachwycony tym miejscem, mimo tych wszystkich pięknych ludzi i ich zabaw?

- Mówię panu, że nie lubię być zmuszany.

- I naprawdę interesuje pana moje zdanie? Donald skinął głową.

- W porządku - powiedział Harvey. Nachylił się bliżej i zniżył głos. - Pozwoli pan, że tak to ujmę: gdybym mógł jeszcze dziś uciec stąd do Nowego Jorku, nie wahałbym się ani chwili.

Wszystko tu jest tak cholernie spokojne i doskonałe, że to wystarczy, by doprowadzić normalnego człowieka do szału.

Donald nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Znalazł w tym starym dziwaku bratnią duszę.

- Mówię wam, tutaj nic się nie dzieje - ciągnął dalej Harvey. - Dzień w dzień, wszystko jest

tak samo. Nie ma żadnych problemów. Nie potrafię powiedzieć, co oddałbym za jeden dzień na nowojorskiej giełdzie. Potrzebuję trochę stresu, żeby czuć, że żyję, albo choćby jakichś złych nowin czy kłopotów od wielkiego święta, żebym docenił, jak dobre jest życie.

Michael dał Donaldowi znak wzniesionym kciukiem, on jednak nie zwrócił na to uwagi.

Zapytał Harveya, czy ktokolwiek wydostał się z Interterry.

- Żartuje pan? Przecież jesteśmy pod oceanem! To znaczy, naprawdę. Myśli pan, że można tak po prostu stąd wyjść? Gdyby tak było, nie siedziałbym tu, wypatrując migawek z Nowego Jorku. Już dawno prysnąłbym tam, aż by się za mną kurzyło.

- Ale Interterranie wychodzą - powiedział Donald.

- Pewnie, że wychodzą. Ale wszystkie wyjścia i wejścia są kontrolowane przez Centralne Archiwum. A poza tym Interterranie wychodzą zamknięci w swoich statkach kosmicznych. Zresztą zazwyczaj wysyłają po prostu klony robocze. Widzi pan, oni są bardzo ostrożni, jeśli chodzi o jakiegokolwiek połączenia między tym światem i naszym. Niech pan pamięta, jeden zabłąkany paciorkowiec spowodowałby tu spustoszenia.

- Widzę, że sporo się pan nad tym zastanawiał.

290

- To prawda - odparł Harvey. - Ale tylko w marzeniach. Donald skierował swą uwagę na ścianę monitorów.

- Przynajmniej w tym pokoju może pan czuć więź ze światem na powierzchni.

- Dlatego też tu jestem - przyznał Harvey z miną posiadacza. - To fantastyczne miejsce.

Tkwię tu cały czas. Mogę oglądać niemal wszystkie ważniejsze kanały telewizyjne.

- Czy może pan też nadawać? - zapytał Donald.

- Nie, to jest system pasywny. To znaczy, jest zasilanie i są anteny niemal w każdym paśmie górskim na powierzchni Ziemi, ale nie ma kamer. Interterrańska telekomunikacja jest

zupełnie inna i o wiele bardziej wymyślna, jak pewnie już pan zauważył.

- Gdybyśmy dali panu standardową kamerę wideo, czy sądzi pan, że udałoby się połączyć ją ze sprzętem, który tu jest, tak żeby nikt o tym nie wiedział i można by było nadawać?

Harvey gładził się po podbródku, rozważając pytanie Donaldalida.

- Gdybym wziął do pomocy jakiegoś klona, wyspecjalizowanego w elektronice, być może dałoby się to zrobić - powiedział. - Ale skąd ma pan zamiar wziąć kamerę?

- Wiem, o czym myślisz - wtrącił Michael z konspirator-skim uśmiechem. - Chodzi ci o kamery z batyskafu. - Kiedy grupa zebrała się razem po wizycie w muzeum, Perry i Suzanne powiedzieli im, że wypatrzyli Oceanusa na muzealnym podwórku.

Donald spiorunował go wzrokiem. Nurek zrozumiał w lot i zamknął usta.

- Ale nie rozumiem, dlaczego chce pan to zrobić?

- No cóż, moi koledzy i ja nie jesteśmy zachwyceni, że trzyma się nas tutaj w charakterze rozrywki dla Interterran. Chcielibyśmy wrócić do domu - wyjaśnił Donald, odzyskując opanowanie.

- Zaraz, zaraz. Chyba coś mi umknęło. Sądzi pan, że ustawienie kamery telewizyjnej pomoże panu wydostać się z Interterry?

- To możliwe. Na tym etapie to po prostu pomysł: ele-

291

ment układanki, której jeszcze nie rozpracowałem do końca, ale cokolwiek by to było, nie będziemy w stanie zrobić tego sami. Będziemy potrzebować pańskiej pomocy, ponieważ jest pan tu wystarczająco długo, by dobrze orientować się we wszystkim. Pytanie brzmi: czy jest pan chętny?

- Przepraszam! - Harvey pokręcił głową. - Musi pan zrozumieć, że Interterranie nie przyjmą tego życzliwie. Jeśli wam pomogę, będę tu bardzo niemile widziany. Przekazą mnie klonom roboczym. Interterranie nie lubią nikomu robić krzywdy, ale klonom jest wszystko jedno. Po prostu

robią, co im się każe.

- Ale dlaczego miałby się pan przejmować tym, co pomyślą Interterranie? - zapytał Donald.

- Będzie pan z nami. W zamian za pomoc damy panu Nowy Jork.

- Naprawdę? - zapytał Harvey z błyskiem w oku. - Mówi pan poważnie? Zabierzecie mnie do Nowego Jorku?

- To na pewno możemy zrobić - odparł Donald.

Fluoryzujące frisbee szybowało nad trawnikiem. Richard wykonał wspaniały rzut, krążek zwolnił lot i zaczął opadać dokładnie w zasięgu ręki klona, któremu kazał się ze sobą bawić.

Zamiast jednak złapać wirujący dysk, klon pozwolił mu przelecieć obok swej wyciągniętej dłoni.

Krążek z donośnym stukiem uderzył go w czoło. Richard w totalnej frustracji złapał się za głowę.

Zaklął, jak na morskiego wilka przystało.

- Niezły rzut, Richard! - zawołał Perry, tłumiąc śmiech. Siedział wraz z Luną, Meetą,

Paleną i Kareną przy basenie w jadalni. Po krótkiej wizycie w fabryce taksówek powietrznych

Sufa podwiozła ich obu do pałacu gości, nim jeszcze pozostali zdążyli wrócić z wycieczek. Richard

był zachwycony, kiedy tuż po nich zjawiły się jego trzy przyjaciółki i Luna, ale euforia przygasła,

gdy okazało się, że żadna z nich nie umie poradzić sobie z frisbee.

- Cholera, to przecież śmieszne - poskarżył się Richard, idąc po krążek leżący wciąż u stóp

klona roboczego. - Nikt tu nie umie złapać pieprzonego frisbee, nie mówiąc już o rzucaniu.

292

- Richard wydaje się dzisiaj taki spięty - zauważyła Luna. Perry zgodził się z nią.

- O ile wiem, jest taki od rana.

- Wczorajszej nocy też był dziwny - powiedziała Meeta. - Odesłał nas wcześniej.

- No, to już naprawdę nie jest w jego stylu - stwierdził Perry.

- Czy możesz nam jakoś pomóc? - zapytała Luna.

-Nie sądzę - odparł. - Chyba że znów pójdę porzucić z nim tym głupim kawałkiem plastiku.

- Chciałabym, żeby się uspokoił - powiedziała Luna. Perry złożył dłonie wokół ust.

- Richard! - zawołał. - Chodź tu i odpocznij. Męczysz się zupełnie na darmo.

Nurek zrobił w jego stronę obraźliwy gest. Perry wzruszył ramionami.

- Wyraźnie nie jest w zbyt ugodowym nastroju.

- Może chociaż poszedłbyś i porozmawiał z nim? — powiedziała Luna.

Stękając, Perry ciężko dźwignął się na nogi.

- Mamy dla niego niespodziankę, ale musi pójść z nami do siebie - powiedziała Meeta. -

Spróbuj go przekonać.

- Prosiłyście go same? - zapytał Perry.

- Tak, ale powiedział, że woli rzucać frisbee.

- Coś takiego! - mruknął Perry, kręcąc głową. - Dobrze, spróbuję coś zdziałać.

- Nie wspominaj o niespodziance - przestrzegła go Meeta. - Popsułyś zabawę. Nie chcemy, żeby zgadywał, co to może być.

- Tak, jasne - burknął Perry. Wściekły, że musiał odejść od Luny, zbliżył się do Richarda, który niecierpliwie pouczał klona roboczego.

- Marnujesz czas - powiedział. - Oni nie znają tu naszych gier, Richard. Nie mają odpowiedniego usposobienia. Sportowe dokonania nie są czymś, co by ich interesowało.

Richard wyprostował się.

- Kurna, sam to widzę. - Westchnął i znowu zaklął. - To frustrujące, bo są świetnie zbudowani. Problem w tym, że

293

mają zerowe poczucie rywalizacji, a ja tego potrzebuję. Do diabła, nawet dziewczyny są zbyt łatwe. Za niczym nie trzeba gonić ani o nic się starać. Ten cały grajdoł wydaje mi się martwy.

Co bym dał za porządną, ostrą partię kosza albo hokeja!

- Słuchaj - odparł Perry. - Pościgam się z tobą w tym wielkim basenie przy pawilonie. Co ty na to?

Richard przyglądał mu się przez chwilę. Potem z całej siły rzucił frisbee w dal i wysłał klona, by przyniósł je z powrotem. Klon posłusznie potruchtał po krążek. Richard patrzył za nim przez chwilę. W końcu odwrócił się do Perry'ego.

- Dzięki, ale nie skorzystam - powiedział. - Pokonanie cię w pływaniu nie poprawi mi dnia. Prawdę mówiąc, najlepiej czułbym się, gdybym wy dostał się stąd w cholere. Jestem rozbity nerwowo.

- Myślę, że wszyscy jesteśmy zainteresowani kwestią odejścia - powiedział Perry, zniżając głos. - Dlatego wszyscy jesteśmy trochę nerwowi.

- Cóż, ja jestem bardziej niż trochę nerwowy. Jak myślisz, co oni tu robią z ludźmi, którzy popełnili poważne przestępstwo?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał Perry. - Nie wydaje mi się, żeby zdarzały się tu poważne przestępstwa. Arak powiedział, że nie mają więzień. Dlaczego pytasz?

Richard pogmerał w trawie palcami nóg, po czym spojrzał w dal. Zaczął mówić i urwał.

- Martwisz się, co zrobią, jeśli spróbujemy odejść, a oni nas złapią?

- Tak, właśnie - podchwycił Richard.

- Cóż, to jest coś, nad czym musimy się zastanowić. Ale póki co, zamartwianie się niczego nie zdoła.

- Chyba masz rację - przyznał Richard.

- Dlaczego po prostu nie zabawisz się z tymi trzema pięknymi damami? - podsunął Perry.

Ruchem głowy wskazał Meetę, Palenąę i Karenę. - Może zabrałbyś je do siebie i wyładował przy nich część tej swojej dzikiej energii. Niezupełnie to rozumiem, ale najwyraźniej szaleją za tobą.

- Nie jestem pewien, czy powinienem zabierać je do siebie - odparł Richard.
- A czemu nie? - zapytał Perry. - Czyż to nie jest spełnienie marzeń? Popatrz tylko na nie.

Przypominają modelki z działu bielizny.

-To zbyt skomplikowane, żeby to wyjaśnić - stwierdził Richard.

- Cokolwiek to jest, nie mogę sobie wyobrazić, żeby było ważniejsze niż zaspokojenie trzech chętnych syren.

- No cóż, może i masz rację - odparł Richard bez specjalnego zapału. Wyrwał frisbee z rąk klona i wrócił wraz z Perrym do jadalni. Meeta, Palenque i Karena wstały i przywitały się z nim wyciągniętymi dłońmi. Niedbale odwzajemnił gest.

- Masz ochotę pójść się do siebie? - zapytała Meeta.

- Chodźmy - odparł Richard. - Ale jest jeden warunek. Nie będziemy jeść ani pić niczego z mojej lodówki. Zgoda?

- Jasne - odparła Meeta. - Nie będzie nas nawet kusiło. Mamy w głowie coś innego niż jedzenie. - Wszystkie trzy zachichotały konspiratorsko i uwiesiły się u ramion Richarda. Grupa ruszyła trawnikiem.

- Mówię poważnie - zaznaczył Richard.

- My też - odparła Meeta.

Perry patrzył za nimi przez chwilę, po czym znów odwrócił się do Luny.

- Czy Richard jest tak agresywny z powodu swojego młodego wieku? - zapytała. Usiadł obok niej.

- Nie. On po prostu taki jest. Za dziesięć lat czy nawet za dwadzieścia, będzie dokładnie taki sam.

- A to wszystko z powodu źle funkcjonującej rodziny, o której wspomniałeś - podsunęła

Luna.

-Tak sędę - odparł wymijająco. Nie chciał wchodzić w kolejną socjologiczną dyskusję. Jak wykazała ich poprzednia rozmowa, nie był najlepiej przygotowany w tej dziedzinie.

-Trudno mi to zrozumieć, bo my nie mamy rodzin -stwierdziła Luna. - Ale co z przyjaciółmi, znajomymi i szko-

295

łami, do których chodzą ludzie drugiej generacji? Czy one nie mogą przełamać negatywnego wpływu rodziny?

Perry skierował wzrok w dal, próbując uporządkować myśli.

- Szkoła i przyjaciele mogą pomóc, ale przyjaciele także wywierają czasem negatywny wpływ. W pewnych środowiskach presja społeczna sprawia, że dzieci nie wyciągają większej korzyści z nauki, a często właśnie brak wykształcenia rodzi fanatyczną ciasnotę umysłu.

- Więc ktoś tak młody jak Richard może jeszcze się poprawić.

-Już ci mówiłem, że Richard się nie zmieni! - odparł Perry tonem graniczącym z rozdrażnieniem. - Słuchaj, nie jestem socjologiem, więc może porozmawiajmy o czymś innym. Poza tym on nie jest taki młody. Ma już prawie trzydziestkę.

- A więc jest młody - skwitowała Luna.

-I kto to mówi - warknął Perry. Luna roześmiała się.

- Perry, mój drogi, ile według ciebie mam lat?

- Powiedziałaś, że więcej niż dwadzieścia - rzucił nerwowo Perry. - Ile masz? Dwadzieścia jeden? Luna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, dziewięćdziesiąt cztery, i to tylko w tym wcieleniu. Perry powoli otworzył usta i wydał jeden ze swych charakterystycznych, piskliwych kwików.

Powtórzywszy jeszcze parokrotnie, że nie wolno zaglądać do jego lodówki, Richard

pozwoił przyjaciółkom zaprowadzić się do łóżka. Ułożyły go na brzuchu z rozpostartymi ramionami, po czym zaczęły nacierać jego ciało olejkami, który sprawiał, że po skórze przebiegały mu ciarki, a napięte mięśnie rozluźniały się.

- Rany! - Richard zamknął oczy i mrucał z rozkoszy. - Dziewczyny, jesteście cudowne!

Czuję się jak mokre spaghetti.

- A to dopiero początek - szepnęła czule Meeta. Trzy kobiety, tłumiąc śmiech, spojrzały po sobie nad rozciągniętym

296

ciałem nurka. Gdyby był bardziej czujny, odgadłby, że coś knują.

Po kwadransie intensywnego masażu Palenąue ukradkiem odłączyła się od grupy i stąpając na palcach, przeszła wzdłuż basenu na skraj trawnika. Stamtąd pomachała do kogoś na zewnątrz.

Po kilku minutach zjawili się dwóch mężczyzn. Tłumiąc śmiech, bezgłośnie zbliżyli się do łóżka. Płynnie przejęli masowanie od Kareny, tak że teraz tylko oni i Meeta zajmowali się

Richardem. Palenąue i Karena skierowały swą uwagę na ciała dwóch mężczyzn. Celem była orgia w stylu starożytnych Rzymian.

-Wiecie - mrucał Richard głosem stłumionym przez narzutę - gdyby nie wy, dziewczyny, to miejsce doprowadziłoby mnie do kompletnego szaleństwa. I pomyśleć, że nigdy dotąd nie miałem masażu. Sam nie wiedziałem, co tracę!

Mężczyźni i kobiety wymienili rozplomienione spojrzenia. Doprowadzali się nawzajem do szaleństwa.

-Nic nie poradzę na to, że jestem człowiekiem aktywnym - ciągnął dalej Richard, całkowicie nieświadomy tego, co dzieje się wokół niego. - Potrzebuję współzawodnictwa. To wszystko.

Jeden z mężczyzn przesunął rękami po przedramionach Richarda i zaczął gładzić jego

dłonie. Coś było nie tak. Richard otworzył oczy. Masujące go dłonie były tak duże jak jego własne.

- Co, u licha? - warknął. Z gwałtownością, która zaskoczyła wszystkich, odwrócił się i stwierdził, że patrzy nie na trzy, lecz pięć rozplomienionych twarzy, a co najgorsze, dwie z nich należą do mężczyzn. - Co to jest, u diabła? - ryknął. Wyskoczył z łóżka, nieumyślnie rzucając Paleną na podłogę. Pozostali szybko podnieśli się z kolan.

- Wszystko w porządku, Richard - powiedziała szybko Meeta, widząc wściekłość na jego twarzy. - To orgia-niespo-dzianka. Chcieliśmy ci zrobić przyjemność.

- Przyjemność? Kim, u diabła, są ci faceci? Jak oni się tu dostali?

— Urowadzenie

297

- To nasi przyjaciele - powiedziała Meeta. - Cuseh i Uruh. Zaprosiliśmy ich.

- Myślicie, że kim ja, u diabła, jestem?! - ryknął Richard.

- Przyszliśmy, żeby cię uszczęśliwić — odezwał się stojący bliżej mężczyzna. Zrobił krok naprzód i wyciągnął dłoń.

Richard w odpowiedzi wymierzył mu wściekły cios w szczękę, po którym ten zatoczył się aż pod ścianę. Pozostali zdrętwieli z przerażenia.

- Wynoście się stąd! - zagrział Richard. Dla podkreślenia swych słów, jednym ruchem strącił z nocnego stolika kolekcję złotych pucharów. Z przeraźliwym łoskotem posypały się na podłogę. Gdy goście wymknęli się z pokoju, zaczął krążyć, szukając czegoś, co mógłby rozbić na drobne kawałki.

Suzanne wydała okrzyk radości, gdy wraz z Garoną biegli, trzymając się za ręce, okrytą sklepieniem liści ścieżką przez las paproci. Dotarłszy nad brzeg kryształowo czystego jeziora, nagle się zatrzymali. Suzanne, zdyszana po biegu, wpatrywała się jak urzeczona w roztaczający się przed nią pejzaż.

- Ależ tu pięknie! — zawołała.

Garona, jeszcze bardziej zdyszany niż ona, musiał odpocząć, nim był w stanie wydobyć głos.

- To moje ulubione miejsce - wysapał. - Często tu przychodzę. Zawsze wydawało mi się bardzo romantyczne.

- Też tak uważam - odparła Suzanne. W głębi widać było kilka innych jezior, wtulonych w bujną zieleń. Hen, w oddali wznosiło się poszarpane pasmo gór, których szczyty wtapiały się w sklepienie pieczary. - Jaki to kierunek?

- Zachód - odparł Garona, dysząc ciężko. - Te góry to fundamenty tego, co wy nazywacie Grzbietem Śródatlan-tyckim.

Suzanne pokręciła głową w zdumieniu.

- To takie piękne. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że nie jesteś już tak spięta.

298

- Chyba trochę mi ulżyło - przyznała Suzanne. - Przynajmniej wiem już, dlaczego ściągnięto nas do Interterry.

- Bardzo nam pomogłaś.

- Właściwie niewiele zrobiłam.

- Wręcz przeciwnie! Uspokoiłaś nasze obawy co do wierceń głębokomorskich.

- Ale wiercenia są prowadzone od lat - zauważyła Suzanne. - Dlaczego zaniepokoiiliście się akurat teraz?

- W tamtych wierceniach chodziło o ropę - odparł Garona. - Nie mamy nic przeciwko temu. W gruncie rzeczy jesteśmy z nich zadowoleni, gdyż ropa sprawia nam kłopoty. Potrafi przesączać się do naszych najgłębszych budowli i powodować zniszczenia. Ale te pozornie

przypadkowo prowadzone wiercenia zaczęły nas martwić.

- Cóż, cieszę się, że mogłam pomóc.

- Trzeba to uczcić - oświadczył Garona. - Może poszlibyśmy na parę godzin do mnie? To niedaleko. Weźmiemy kal-dorfinę, by sprawić sobie radość, a potem zjemy obiad.

- W środku dnia? - zapytała Suzanne. Jako osoba pracowita i ambitna, która nie miała wiele czasu na osobiste przyjemności, uznała popołudniową schadznię za pomysł niesamowicie dekadentki. A jednak nęcąco zmysłowy.

- Czemu nie? - kusił Garona. - Twoja istota utonie w ekstazie.

-W twoich ustach brzmi to tak urzekająco lubieżnie -zażartowała Suzanne.

-I tak będzie. Chodź. - Wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem.

Dom Garony był oddalony zaledwie o pięć minut lotu taksówką. Gdy wysiadali, Suzanne zwróciła uwagę na podobieństwo do domu Araka i Sury, choć otoczenie wydawało się tu nieco bardziej przestronne.

- Konstrukcja jest dokładnie taka sama - odparł Garona. - Ale mamy tu luźniej, gdyż jesteśmy dalej od centrum miasta. - Znów ujął jej dłoń i oboje pobiegli ścieżką do bungalowu. Gdy tylko przekroczyli próg, niczym para niecierpliwych nastolatków zrzucili w pośpiechu satynowe szatki i wsko-

299

czyli do basenu. Suzanne zwawo ruszyła w stronę przeciwległego końca. Płynęła silnymi wyrzutami ramion, podniecona bliskością Garony. Przy drugim brzegu basenu zrobiła zwrot i znalazła się z nim twarzą w twarz. Objęli się. Garo-na dotknął swoją dłonią jej dłoni i rozplomienił się z rozkoszy. Suzanne roześmiała się radośnie.

- To jest raj - oświadczyła. Zanurzyła głowę pod wodę, by wygładzić swe krótkie włosy. -

To wykracza poza moje najśmielsze wyobrażenia.

- Mam ci tak wiele do pokazania - powiedział jej Garona. - Miliony lat rozwoju. Zabiorę cię do gwiazd... do innych galaktyk.

- Już to zrobiłeś - odparła figlarnie Suzanne.

- Chodź. Podzielmy się kaldorfiną.

Jeszcze raz przemierzili długość basenu. Garona pomógł jej wyjść z wody. Znow była zaskoczona tym, jak swobodnie czuje się przy nim mimo swej nagości.

- Proszę - powiedział, wskazując satynowy tapczan.

- Jestem mokra - zaprotestowała Suzanne.

- Nie szkodzi - odparł Garona. Podniósł z podłogi mały słoik i odkręcił pokrywkę.

- Na pewno? - zapytała Suzanne. Tapicerka była nieskazitelnie biała.

- Najzupełniej - zapewnił ją Garona. Wyciągnął ku niej słoik, by wzięła odrobinę kaldorfiny. Sam zrobił to samo, po czym oboje wyciągnęli się na łóżku i zetknęli dłońmi.

Suzanne zatonęła w najgłębszej rozkoszy. Przez następne pół godziny czule się kochali, aż do szczytu namiętności, po którym spłynęło na nich cudowne, błogie odprężenie.

Suzanne nigdy nie czuła takiej bliskości z drugim człowiekiem. Jeszcze nigdy w życiu nie postępowała tak swobodnie i niefrasobliwie, a jednak nie czuła się winna. W tym utopijnym podziemnym świecie zwykłe ograniczenia po prostu nie miały zastosowania. Czas zdawał się stać w miejscu, gdy rozkoszowała się smakiem intymności, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. I nagle wszystko się zmieniło. Jej błogi nastrój zburzył dochodzący gdzieś z bliska cichy, kobiecy głos'

300

- Jeśli skończyliście swoje czule pieszczoty, które, muszę przyznać, z przyjemnością obserwowałam, przygotowałam wam uroczy lunch.

Suzanne otworzyła oczy. Z przerażeniem ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz

niewiarygodnie pięknej kobiety o czarujących rysach, lodowato błękitnych oczach i włosach jak

len. Kobieta przyglądała im się niczym dumna matka patrząca na swe uroczę dzieci.

Suzanne usiadła i naciągnęła na siebie koc. Jej nagły ruch zaniepokoił Garonę, który obrócił się i otworzył oczy.

- Co mówiłaś, Alita? - zapytał.

- Pora, żebyście coś zjedli - odparła kobieta. Wskazała stół obok basenu, który klon roboczy właśnie nakrywał.

- Dziękuję, kochanie - powiedział Garona. Usiadł na łóżku. - Myślę, że zgłodnieliśmy obydwój.

- Jedzenie będzie za chwilę - oznajmiła Alita. Odwróciła się, by pomóc klonowi w przygotowaniach, rozstawiając wokół stołu trzy krzesła.

Garona przeciągnął się, ziewnął, po czym sięgnął po ubranie.

Suzanne rzuciła się pędem tam, gdzie zostawiła swoje rzeczy. Choć wcześniej nie czuła skrępowania, teraz wszystko się zmieniło. W pośpiechu nałożyła tunikę i wciągnęła szorty.

- Kim jest ta kobieta? - szepnęła.

- To Alita. Chodź, zjedzmy.

Wciąż zmieszana Suzanne pozwoliła zaprowadzić się do stołu. Zajęła krzesło, które wskazał Garona, i pozwoliła, by klon roboczy nałożył jej trochę jedzenia. Choć Garona i Alita zajadali swoje porcje z apetytem, ona tylko niemrawo gmerała w talerzu. Przyłapaną na gorącym uczynku, płonęła ze wstydu i upokorzenia.

- Suzanne spotkała się dziś z Radą Starszych - odezwał się Garona do Ality pomiędzy kęsami. - Była bardzo pomocna i przekazała nam dobre wieści.

- To cudownie - odparła Alita.

Garona nachylił się i czule uściskał ramię Suzanne.

- Zapewniła nas, że sekret Interterry jest wciąż bezpieczny.

- Co za ulga - powiedziała szczerze Alita. - Bardzo potrzebowaliśmy takiego zapewnienia.

Suzanne zdobyła się tylko na skinienie głową.

Garona i Alita zagłębili się w dyskusję na temat konieczności zabezpieczenia Interterry przed światem na powierzchni. Suzanne nie słuchała; przyglądała się Alicie, która całą swą uwagę skupiła na Garonie. Była zdumiona spokojem tej kobiety. Ona sama wciąż czuła się zbyt niezręcznie, by jeść lub włączyć się do rozmowy. Stopniowo jej emocje uspokoiły się i zaczęła zbierać myśli. Dręczyła ją oczywista zażyłość, z jaką Garona i Alita traktowali się nawzajem. W końcu ciekawość wzięła górę.

- Przepraszam, Alito - odezwała się, gdy współbiesiadnicy umilkli na chwilę. - Czy od dawna znacie się z Garona?

Obydwoje roześmiali się serdecznie.

- Przepraszam - powiedziała Alita, opanowując się z wysiłkiem. - To najzupełniej rozsądne pytanie, ale tu, w Inter-terze, dość nieoczekiwane. Widzisz, Garona i ja znamy się od bardzo, bardzo dawna.

- A więc od lat - stwierdziła sucho Suzanne. Mimo przeprosin czuła się dotknięta ich reakcją.

Garona znów parsknął śmiechem. Musiał zakryć twarz dłonią.

- Istotnie od lat - powiedziała Alita. - Od wielu lat.

- Alita i ja spędziliśmy razem wiele wcieleń - wyjaśnił Garona, ocierając łzy z oczu.

- Ach, rozumiem - powiedziała Suzanne, starając się zachować spokój. - To wspaniale.

- Tak - odparł Garona. - Alita jest... cóż, myślę, że ty nazwałabyś ją moją stałą partnerką.

- Można też powiedzieć, że Garona jest moim stałym partnerem - dodała Alita.

- Na jedno wychodzi - zgodził się Garona.

- Cieszę się, że to jest wzajemne - odparła z sarkazmem Suzanne. - Teraz może moglibyście powiedzieć mi, co z towarzyskiego punktu widzenia oznacza w Interterze słowo "stały"?

302

- To coś w rodzaju waszej instytucji małżeństwa - wyjaśniła Alita. — Tylko że przechodzi z jednego wcielenia na następne.

Suzanne przygryzła dolną wargę, by opanować wzburzone emocje i powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Poddawszy się tak bez zastrzeżeń swym uczuciom do Garony w odpowiedzi na jego upór i pochlebstwa, czuła się poniżona tym, że jest już zaangażowany w długotrwały związek o zupełnie niepojętym dla niej charakterze. Czuła się poza tym głupio i była przerażona, że intuicja zawiodła ją tak boleśnie, iż nie zapytała nawet o jego status społeczny.

- Cóż, to wszystko jest bardzo interesujące - wydusiła z siebie. Odłożyła sztućce i serwetkę i podniosła się z krzesła. — Dziękuję za posiłek i bardzo pouczające popołudnie. Myślę, że czas, żebym wróciła do pałacu gości.

Garona zerwał się na nogi.

- Jesteś pewna, że chcesz wyjść tak wcześnie?

- Jak najbardziej - odparła Suzanne. - Było mi bardzo miło - dodała, zwracając się do Ality.

- Mnie również. Garona wyrażał się o tobie tak pochlebnie.

- Naprawdę? To bardzo miło.

- Wierzę, że będziemy się często widywać - dodała Alita.

- Być może - odparła wymijająco Suzanne. Skinęła Garonie na pożegnanie i ruszyła w stronę drzwi. Garona dopędził ją.

- Odprowadzę cię do taksówki - powiedział. - Chyba że wolisz, żebym odwiózł się aż do pałacu gości.

- Nie trzeba - odparła Suzanne, wychodząc na zewnątrz. - Jestem pewna, że macie z Alita

sporo do omówienia.

- Suzanne, zachowujesz się dziwnie - stwierdził Garona. Podbiegł kilka kroków, by zrównać się z nią, jednocześnie manipulując przy swym naręcznym komunikatorze, by przywołać taksówkę.

- Tak uważasz? Co za przejaw wrażliwości, że to zauważyłeś.

- O co chodzi, Suzanne? - Garona wyciągnął rękę, by złapać ją za ramię, ale wyrwała się i szła dalej.

303

- Po prostu drobny problem kulturowy - rzuciła przez ramię.

- Przestań - powiedział. Dogonił ją, jeszcze raz chwycił za ramię i tym razem udało mu się ją zatrzymać. - Bądź ze mną otwarta. Nie każ mi zgadywać.

- Ciekawie byłoby kazać ci zgadywać. Ale z mojej perspektywy to niezbyt trudne zadanie.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z Alitą.

- Bystry jesteś - odparła. - A teraz puść mnie. Wracam do pałacu gości.

- Suzanne, jesteś w Interterze. My mamy inne zwyczaje. Musisz się przystosować.

Suzanne spojrzała w ciemne oczy Garony. Z jednej strony chciała, by zostawił ją samą, z drugiej chętnie ustąpiłaby przed jego argumentami. Ostatecznie, to była Interter-ra, nie Los Angeles.

- Moje zaplecze kulturowe jest tak inne... - zaczęła.

- Wiem - odparł stanowczo Garona. - Ale proszę cię, żebyś nie sądziła nas według norm z powierzchni Ziemi. Spróbuj przełamać swój egoizm. Nie musisz czuć, że coś posiadasz, żeby móc się tym cieszyć. Dzielimy się sobą z tymi, których kochamy, a miłość jest niewyczerpanym źródłem.

- To piękne - stwierdziła Suzanne. - To piękne, że macie tyle uczucia. Niestety ja jestem

przyzwyczajona dzielić się miłością z tylko jedną osobą.

- Nie możesz spojrzeć na to z interterrańskiej perspektywy?

- Nie sędzę, żebym potrafiła to zrobić w tej chwili.

- Zrozum, że wasza moralność jest w znacznej mierze ograniczająca, egoistyczna i ostatecznie niszczycielska.

- Z waszego punktu widzenia - odparła Suzanne. - Z naszego dobrze służy wychowywaniu dzieci.

- Być może - przyznał Garona. - Ale tutaj ta kwestia nie ma znaczenia.

- Garona, spójrz - powiedziała Suzanne. Położyła mu dłoń na ramieniu. - Jesteś prawdopodobnie wspaniałym Interterraińnem. Ponieważ jesteśmy w Interterze, przyzna-

304

je, że to jest mój problem, nie twój. Spróbuję sobie z tym poradzić.

Przed nimi niepostrzeżenie zawisła taksówka powietrzna. Z boku otworzył się właz.

- Chcesz, żebym pokierował taksówką? - zapytał Garona.

- Wolę zrobić to sama - odparła Suzanne.

- W takim razie przyjdę dziś wieczorem. Zgadzasz się?

- Myślę, że, jak to określamy w naszym świecie, potrzebuję trochę czasu - stwierdziła. -

Pozwólmy po prostu, by sprawy uleżały się przez dzień albo dwa. - Wsiadła do poduszkowca.

- Tak czy inaczej przyjdę - nalegał Garona.

- Jak chcesz - ustąpiła Suzanne. Była zbyt rozbita, by wdawać się w jakikolwiek spór.

Położyła dłoń na centralnym stoliku, wydając polecenie: - Pałac gości. - Gdy właz zamknął się, pomachała Garonie na pożegnanie.

!>•

- Sądzę, że wszyscy jesteście trochę przytłoczeni - powiedział Arak. - Widzę to po waszych twarzach.

Późnym popołudniem Arak i Sufa jeszcze raz zebrali całą grupę w okrągłej sali konferencyjnej na podsumowanie dnia. Interterranie stali na środku sali, przyglądając się swoim podopiecznym, których nastroje zmieniły się drastycznie i nie z powodu, o którym myślał Arak.

Perry był rozdrażniony z powodu Richarda. Spędzał miło czas z Luną, gdy Meeta i inni przybiegli w panice, mówiąc, że Richard wpadł w szal. Bojąc się, że gwałtowne zachowanie Richarda może zaszkodzić im wszystkim, Perry pobiegł tam i przez godzinę próbował uspokoić nurka - z niewielkim powodzeniem.

Richard siedział ponury i milczący. Mierzył wzrokiem Araka i Sufę, jak gdyby oni osobiście byli odpowiedzialni za jego problemy.

Suzanne siedziała obok Ferry^{ego}, rozpamiętując własne rany. Dręczyło ją też poczucie winy. Po powrocie wyjaśniła wszystkim, w jaki sposób przyczyniła się do ich porwania.

Przeprosiła, a oni zapewnili ją, że nie mają do niej żalu, jednak nadal czuła się fatalnie.

Jedynie Donald i Michael wydawali się w niezłym nastroju. Arak zinterpretował to jako odzwierciedlenie ich szczególnie udanej wizyty w Centralnym Archiwum. Nawiązując z Donaldem kontakt wzrokowy, zagadnął:

- Zanim skończymy na dzisiaj, czy są jakieś pytania lub uwagi na temat tego, co widzieliście podczas waszych wycieczek? Myślę, że byłoby z korzyścią dla wszystkich, gdybyście podzielili się swoimi obserwacjami.

306

- Mam pytanie, które interesuje nas wszystkich— dział Donald.

- Więc zadaj je koniecznie.

- Czy będziemy tu uwięzieni do końca życia?

Wszyscy zamarli z wrażenia, zwłaszcza Suzanne i Perry, niespodziewanie wyrwani z zamyślenia. Pytanie zaskoczyło ich, gdyż Donald sam poprzedniego dnia nalegał, by nie poruszać tej kwestii z obawy przed ograniczeniem ich swobód.

Arak był raczej rozczarowany niż wstrząśnięty. Potrzebował nieco czasu, by zebrać myśli.

- Uwięzieni to nie jest właściwe słowo — powiedział wreszcie. - Ująłbym to raczej tak, że nie zostaniecie zmuszeni do opuszczenia Interterry. Przyjmujemy was, dając wam pełne prawa do korzystania z wszelkich dóbr naszej cywilizacji, które właśnie zaczęliście poznawać.

-Ale nie pytano nas... - zaczął Perry.

-Zaczekaj! - przerwał mu Donald. - Pozwól mi skończyć! Arak, żeby postawić sprawę jasno, dajesz do zrozumienia, że nie możemy opuścić Interterry, nawet gdybyśmy chcieli.

Arak skrzywił się w zakłopotaniu.

Sufa wstawiła się za nim:

- Z reguły unikamy poruszania tak drażliwego tematu na tak wczesnym etapie wprowadzania w nasz świat. Z doświadczenia wiemy, że goście potrafią znacznie lepiej uporać się z tą kwestią, kiedy przywykną nieco do zalet tutejszego życia.

- Proszę, odpowiedzcie po prostu na pytanie - powiedział wprost Donald.

- Wystarczy zwykłe tak lub nie - dodał Michael.

Arak i Sufa zaczęli szeptać między sobą. Donald oparł się na krześle i wyniośle skrzyżował ramiona. Pozostali goście przyglądali im się w osłupiałym, nerwowym milczeniu. Ważyły się ich losy.

W końcu Arak skinął głową. On i Sufa doszli do porozumienia. Przeniósł znów wzrok na grupę, po czym zwrócił oczy na Donalda.

- W porządku - powiedział. - Będziemy szczerzy. Odpo-

wiedź na wasze pytanie brzmi: nie. Nie będziecie mogli opuścić Interterry.

- Nigdy? - jęknął Perry.

- A jakiś kontakt z naszymi rodzinami? - zapytała Su-zanne. - Musimy dać im znać, że żyjemy.

- Po co? - spytał Arak. - Taka wiadomość byłaby okrucieństwem wobec ludzi skazanych na to, że już nigdy was nie zobaczą i którzy zaczynają powoli godzić się z tą świadomością.

- Ale mamy dzieci! - krzyknął Perry. - Jak możesz oczekiwać, że nie skontaktujemy się z nimi?!

- To nie wchodzi w grę. Przykro mi, ale bezpieczeństwo Interterry ma pierwszeństwo przed osobistym interesem - odparł zdecydowanie Arak.

- Ale nie prosiliśmy się tutaj - wybuchnął Perry, bliski łez. - Sprowadziliście nas, żebyśmy wam pomogli, i Suzan-ne zrobiła to. Ja mam rodzinę!

- Nie możemy tu zostać - wyjąkał Richard.

- Nie ma mowy - zawtórował Michael.

- Wszyscy jesteśmy emocjonalnie związani z naszym światem - dodała Suzanne. - Jako obdarzone wrażliwością istoty ludzkie nie sądzicie chyba, że po prostu zapomnimy o nim.

- Zdajemy sobie sprawę, że to trudne - odparł Arak. - Współczujemy wam, ale pamiętajcie o wszystkim, co otrzymujecie w zamian. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że żadne z was nie docenia tego już na tym etapie. Ale to się zmieni. Zawsze tak jest. Pamiętajcie, że już od tysięcy lat mamy do czynienia z gośćmi z powierzchni Ziemi.

- Rekompensata nie ma tu nic do rzeczy - oświadczył wyniośle Donald. - W naszym systemie wartości moralnych cele nie usprawiedliwiają środków. Problem w tym, że zostaliśmy zmuszeni, a jako Amerykanie uważamy to za szczególnie trudne do zniesienia.

- Och, proszę! - wybuchnął Perry. - Nie zaczynaj tych patriotycznych bzdur. Nie chodzi o

to, czy jesteśmy Amerykanami, Francuzami czy Chińczykami. Chodzi o to, że jesteśmy ludźmi.

308

- Uspokójcie się! - upomniał ich Arak. Wziął oddech, po czym dodał: - To prawda, że ze względu na bezpieczeństwo Interterry stosujemy wobec was pewnego rodzaju przymus, ale lepszym określeniem byłoby: kierowanie, gdyż można się tu ze spokojem posłużyć analogią stosunku rodziców wobec dziecka. W swej prymitywnej niewinności nie odróżniacie krótkotrwałych interesów od długotrwałych korzyści. My, których życie obejmuje wiele wcieleń, wiemy więcej i potrafimy podjąć bardziej racjonalną decyzję. Uprzytomnijcie sobie ku czemu was kierujemy: ku temu, co jest celem wszystkich waszych religii. Trafiliście do najprawdziwszego raju.

- Raj czy nie raj, nie zostajemy tutaj - mruknął Richard.

- Przykro mi. Jesteście tu i tu zostanieie - stwierdził zupełnie szczerze Arak.

Suzanne, Perry, Richard i Michael spojrzeli po sobie wzrokiem pełnym przerażenia, konsternacji i złości. Jedynie Do-nald wciąż siedział z założonymi rękoma, z wyrazem zarozumiałego samozadowolenia na twarzy.

- Cóż - westchnął Arak - to nie wyszło tak, jak powinno. Żałuję, że nalegaliście na tę rozmowę na tak wczesnym etapie wprowadzania. Ale proszę, zaufajcie mi; z czasem wszyscy zmienicie zdanie.

- Co nas czeka dalej? - zapytała Suzanne.

- Wprowadzanie trwa zwykle około miesiąca, zależnie od indywidualnych potrzeb każdego z was. W tym okresie będziecie mieli okazję odwiedzić inne miasta Interterry. Po jego zakończeniu zostanieie umieszczeni w wybranym przez siebie mieście.

- Możesz powiedzieć nam, gdzie znajdują się te miasta? -zapytał Donald.

- Oczywiście - odparł Arak. Był zadowolony, że może porzucić drażliwą kwestię ich

aresztu. Przeniósłszy się na swój fotel z pulpitem sterowniczym, przyciemnił światła i włączył ekran podłogowy. Chwilę później ukazała się na nim olbrzymia mapa atlantyckiej części Interterry, włącznie z nakrywającym ją oceanem i obrzeżami kontynentów. Miasta zaznaczone były na pomarańczowo, niebiesko lub zielono. Sufa odeszła na bok, aby nie zasłaniać widoku.

309

- Jestem pewien, że wszyscy rozpoznajecie Sarantę - powiedział Arak. Dotknął pulpitu i jej nazwa zamigotała pomarańczowo. Po chwili na ekranie pojawiła pacyficzna część Interterry. — Tu widzicie starsze miasta pod Oceanem Spokojnym. Wiele z nich będziecie mieli szansę odwiedzić. Każde z nich ma swój własny, indywidualny charakter, a wy możecie zamieszkać w którymkolwiek zechcecie.

- Czy pomarańczowy kolor ma jakieś znaczenie? - zapytał Donald.

- To miasta z międzyplanetarnymi portami wyjściowymi — wyjaśnił Arak. - Takimi jak ten, przez który się tu dostaliście. Ale większość z nich jest już przestarzała i nie używana. Tu widzicie Calistral na południowym Oceanie Indyjskim. To prawdopodobnie jedyny nadal działający, chociaż jest rzadko wykorzystywany. Dziś polegamy niemal wyłącznie na portach międzygalaktycznych pod biegunem południowym.

- Czy możemy zobaczyć jeszcze raz poprzednią mapę? -poprosił Donald. Nachylił się do przodu.

- Oczywiście - odparł Arak. Ekran znów ukazał atlantycką część Interterry.

- Tak więc Barsama tuż na wschód od Bostonu ma port międzyplanetarny? - stwierdził Donald.

- Tak jest — odparł Arak. — Ale nie używamy go od setek lat. Tak czy inaczej, Barsama to bardzo miłe, chociaż nieduże miasteczko.

- Jeśli jest nie używany - ciągnął Donald - czy to oznacza, że został zapieczętowany tak jak

port w Sarancie?

- Jeszcze nie - powiedział Arak. - Ale wkrótce zostanie. Jak wspomniałem wczoraj, wyloty wszystkich tych przestarzałych portów miały być zablokowane wieki temu. Właśnie dzisiaj Rada Starszych wydała nowy dekret, by przyspieszyć działania.

Donald skinął głową. Poprawił się na krześle i rozplótł ramiona.

- Jakies inne pytania? - zapytał Arak. Nikt się nie poruszył.

- Myślę, że jesteśmy zbyt oszołomieni, by zadawać pytania - stwierdził Perry.

310

- Musicie pobyć razem, żeby pomóc sobie nawzajem przywyknąć do sytuacji - powiedziała Sufa. - I zachęcamy, żebyście zwrócili się o radę do Ismaela i Mary. Jestem pewna, że możecie odnieść korzyść z ich mądrości i doświadczenia.

Nikt nie odpowiedział.

- W takim razie - podjął Arak - powrócimy do zajęć jutro, kiedy będziecie już po zasłużonym odpoczynku. Pamiętajcie, że, pomijając inne kwestie, wciąż jeszcze dochodzicie do siebie po procedurze odkażania. Wiemy, że stres związany z tym przeżyciem zmniejsza odporność emocjonalną.

Kwadrans później grupa, pożegnana przez Araka i Sufę, ruszyła z powrotem do jadalni.

Zapadał zmierzch. Milcząc, pogrążeni w myślach, wlekli się ciężko przez gęstą trawę.

- Musimy porozmawiać - powiedział Donald, przerywając ciszę.

- Zgadzam się - odparł Perry. - Gdzie?

- Myślę, że najlepiej, jeśli zrobimy to na zewnątrz - stwierdził Donald. - Ale najpierw

pójdźmy do jadalni i zostawmy tam nasze komunikatory. Nie byłbym zaskoczony, gdyby oprócz innych funkcji służyły też do szpiegowania.

- Dobry pomysł - przyznał Perry. Doszedł już do siebie na tyle, by czuć gniew.

- Chcę jeszcze raz przeprosić was wszystkich - powiedziała Suzanne. - Wciąż mnie dręczy, że to ja jestem odpowiedzialna za to, że wszyscy tu jesteśmy.
- Nie jesteś odpowiedzialna — odparł z rozdrażnieniem Perry.
- Tb nie twoja wina. To ci cholerni Interterranie - stwierdził Michael.
- Ograniczmy rozmowy do minimum, dopóki nie pozbędziemy się naszych komunikatorów
- zaproponował Donald.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. W jadalni ściągnęli komunikatory z rąk, po czym gęsiego wrócili na zewnątrz.

- Jak sądzisz, jak daleko powinniśmy odejść? - zapytał Perry. Obejrzał się przez ramię. Byli już jakieś trzydzieści metrów od jadalni. Światło z wnętrza wylewało się na trawnik.

311

1

- Tyle wystarczy - odparł Donald. Przystanął. Pozostali skupili się wokół niego. — Tak więc teraz już wiemy — powiedział. - Nie chciałbym mówić, że przeczuwałem to.
- Więc nie mów - burknął opryskliwie Perry.
- Przynajmniej wiemy, na czym stoimy - powiedział Donald.
- Wielka mi pociecha - zadrwił Perry.
- Byłam zaskoczona, że zadałeś to pytanie - oświadczyła Suzanne. - Dlaczego zmieniłeś zdanie co do poruszania tej kwestii?
- Dlatego, że musieliśmy to wiedzieć w miarę szybko, jeśli mamy się stąd wyrwać, a wiemy już, że nie mamy innego wyjścia. Nie możemy z tym zwlekać.
- Myślisz, że to możliwe? - zapytała Suzanne.
- Tak sądzę. Najbardziej obiecującą wieścią jest to, że widzieliście Oceanusa i że jest nienaruszony. Jeśli zdołamy dostać się do tego portu wyjściowego w Barsamie i znaleźć sposób na

zalenie komory i otwarcie szybu, zasilania i powietrza wystarczy nam, żeby dostać się do Bostonu.

- To się nie uda - oświadczyła Suzanne. - Interterranie są tak paranoidalni, że porty wyjściowe na pewno są silnie strzeżone i monitorowane. Nawet gdybyśmy umieli je obsługiwać i tak nie zdołalibyśmy się wydostać.

- Suzanne ma rację - przyznał Richard. - Na pewno kręci się tam masa tych klonów roboczych.

- Zgadzam się - odparł Donald. - Nie możemy wymknąć się tamtędy cichaczem ani nawet wyrwać się siłą. Oni sami muszą nas wypuścić.

- Sraty taty! - prychnął Perry. - Oni nigdy nas nie wypuszczą. Arak postawił sprawę zupełnie jasno.

- Nie z własnej woli. Musimy ich zmusić.

- A jak masz zamiar to zrobić? - zapytała Suzanne. - Mówimy o niesamowicie rozwiniętej cywilizacji, dysponującej środkami, których nie potrafimy się nawet domyślić.

- Przez szantaż. Musimy przekonać ich, że byłoby bezpieczniej wypuścić nas niż zatrzymać - odparł Donald.

- Mów dalej - mruknął z powątpiewaniem Perry.

312

- Oni panicznie boją się ujawnienia — ciągnął Donald. — Mój pomysł polega na tym, żeby zastraszyć ich transmisją do powierzchniowych sieci telewizyjnych i wydaniem sekretu.

- Myślisz, że ludzie na powierzchni uwierzyliby w to? -zapytała Suzanne.

-Ważne jest tylko to, że Interterranie w to wierzą -oświadczył Donald.

- Czy oni mają urządzenia do transmisji sygnału telewizyjnego? - zapytał Perry.

- Nie, ale odbierają go. Michael i ja znaleźliśmy człowieka, który nam pomoże.

- To prawda - przyznał Michael. - To stary wyga z Nowego Jorku. Nazywa się Harvey

Goldfarb. Jest tu od lat, ale całymi dniami siedzi w Centralnym Archiwum i ogląda telewizję. On też chce się wydostać, i też mu się spieszy.

- Najważniejsze, że jest obznajomiony z ich sprzętem telewizyjnym - dodał Donald. -

Mamy na Oceanusie dwie kamery wideo, które można prowizorycznie przysposobić do transmisji.

Goldfarb twierdzi, że zasilania nie brakuje.

- Hmm. To brzmi obiecująco - przyznał Perry.

-Nie dla mnie - powiedziała Suzanne, kręcąc głową. -Nie wiem, jak miałyby to zadziałać.

Rozumiem pomysł z zastraszaniem, ale jak chcesz z jego pomocą zmusić Inter-terran do czegoś, czego wyraźnie nie mają zamiaru zrobić?

- Nie wiem dokładnie - przyznał Donald. - Musimy to rozpracować wspólnymi siłami.

Wyobrażałem sobie, że posadzimy Goldfarba z palcem na wyłączniku, gotowego do transmisji.

-1 to wszystko? - Perry był rozczarowany. - Jeżeli to wszystko, co masz, to Suzanne ma rację. To nie zadziała. Przecież mogą po prostu wysłać klona roboczego, żeby załatwił Goldfarba albo, jeszcze prościej, zwyczajnie odetną mu zasilanie. Jeśli szantaż ma być skuteczny, to musi być coś bardziej skomplikowanego, żeby stanowiło autentyczne zagrożenie.

- To tylko początek. Jak powiedziałem, musimy zrobić na ten temat burzę mózgów.

Suzanne spojrzała na Perry'ego.

1 —Urowadzenie

313

- Co miałeś na myśli, mówiąc "coś bardziej skomplikowanego"? - zapytała.

- Coś w rodzaju podwójnego zagrożenia - wyjaśnił Perry. -W ten sposób jeśli unieszkodliwią jedno, pozostaje drugie. Rozumiesz? W ten sposób musieliby odeprzeć atak z dwóch stron.

- To niezły pomysł - stwierdził Donald. - Czy ktoś potrafi wymyślić drugą groźbę? Nikt się

nie odezwał.

- Nie umiem wymyślić nic na poczekaniu - powiedział Perry.

- Ja też nie - przyznała Suzanne.

- W takim razie zaczniemy od kamery - oświadczył Donald. - Z czasem przyjdą nam do głowy inne pomysły.

- A co z bronią w muzeum? - podsunął Michael.

- Znaleźliście jakąś broń? - zapytał Perry.

- Całą salę. Ale niestety w większości są to przestarzałe, uszkodzone działa zebrane z dna oceanu od czasów starożytnych Greków do drugiej wojny światowej. Najbardziej obiecującą rzeczą, jaką widzieliśmy, był niemiecki luger - odparł Donald.

- Myślisz, że wypali? - zapytał Perry.

- Powinien. Magazynek jest pełny. Mechanizm wydaje się w porządku.

- Cóż, to jest coś - przyznał Perry. - Szczególnie jeśli jest sprawny.

- Jedno wiemy na pewno - oświadczył Donald. - Nie będziemy w stanie przeprowadzić tego, kiedy zostaniemy rozdzieleni do różnych miast.

- To prawda - stwierdził Perry. - W takim razie mamy niecały miesiąc.

- Możliwe, że nie będziemy mieli nawet tyle - odezwał się Richard.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała Suzanne.

- Michael i ja mamy mały problem. I podejrzewam, że jeśli pewnego pięknego dnia sprawa wyjdzie na jaw, rozpęta się tu prawdziwe piekło.

- Richard, nic nie mów! - krzyknął Michael.

314

- O co chodzi? - zapytał Perry. - Co znów zrobiliście?

- To był wypadek.

- Co znaczy: wypadek? - zapytał ostro Donald.

- Może najlepiej będzie, jeśli ci pokażę - stwierdził Richard. - Może ty wymyślisz, co z tym zrobić.

- Gdzie? - rzucił krótko Donald.

- U mnie albo u Mikeya. Na jedno wychodzi.

- Prowadź, marynarzu - warknął Donald.

Milcząc, przeszli do bungalowu Richarda. Okrążyli basen i weszli gęsiego do środka.

Richard podszedł do szafki mieszczącej lodówkę i rozkazał jej otworzyć się. Następnie ukląkł i wyszarpnął kilka z ciasno upchniętych pojemników, które wysypały się bezładnie na marmurową podłogę. W obramowaniu spiętrzonych na chybił trafił opakowań ukazała się zamrożnięta, blada twarz Mury. Zmierzwione włosy opadły jej na czoło, a krwawa piana tworzyła brązową plamę na jej policzku.

Suzanne natychmiast zakryła oczy.

- Musicie zrozumieć, to był wypadek - wyjaśnił Richard. - Michael naprawdę nie chciał jej zabić. Krzyczała, więc żeby ją uciszyć, przytrzymał jej głowę pod wodą.

- Ona oszalała - wypalił Michael. - Zobaczyła ciało faceta, którego zabił Richard.

- To był ten mały smarkacz z gali - dodał Richard. - Ten, który kręcił się koło Mury.

- Gdzie jest jego ciało? - zapytał Donald.

- W mojej lodówce - odparł Michael.

- Wy idioci! Jak zginął chłopiec?! - wykrzyknął Perry.

- To nie ma znaczenia - mruknął Donald. - Stało się, co się stało i Richard ma rację: kiedy te ciała zostaną odkryte, może rozpętać się piekło.

- Oczywiście, że to ma znaczenie - powiedziała sucho Suzanne. Odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na nurków morderczym wzrokiem. - Nie mogę w to uwierzyć! Zabiliście dwoje tych

spokojnych, łagodnych ludzi i za co?

- On się do mnie dobierał - wyjaśnił Richard. - Popchnąłem go, a on upadł i uderzył się w głowę. Byłem nawalony. Nie zamierzałem go zabić.

315

- Ty tępy, zaślepiiony skurwysynu - wycedziła Suzanne.

- Dobrze już, dobrze - uspokajał Perry. - Zostawmy to na razie. Nadal musimy pracować razem, jeśli jest jakaś szansa wydostania się stąd.

- Perry ma rację - stwierdził Donald. - Jeśli mamy się stąd wyrwać, musimy to zrobić szybko. Prawdę mówiąc, najlepiej byłoby zacząć już dzisiaj.

- Popieram - odparł Richard. Przykucnął i wpychał pojemniki z powrotem do lodówki, by zasłonić martwą twarz Mury.

- Co możemy zrobić dzisiaj? - zapytał Perry.

- Mnóstwo, jak przypuszczam - odparł Donald.

- Cóż, jesteś wojskowym. Może przejąłbyś dowództwo? - zaproponował Perry.

- Co na to inni? - zapytał Donald.

Richard wstał i biodrem zamknął drzwi lodówki.

- Ja jestem za. Im szybciej wydostaniemy się stąd, tym lepiej.

- Ja też - zawtórował Michael.

- A ty, Suzanne? - zapytał Donald.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Suzanne, patrząc w przestrzeń. - Odkazali nas cały miesiąc, a i tak wnieśliśmy tu zarazę.

- Co ty, u diabła, mamrociesz? - zapytał Perry. Suzanne westchnęła smutno.

- Jesteśmy jak słudzy szatana, którzy wtargnęli do raju.

- Suzanne, dobrze się czujesz? - zapytał Perry. Chwycił ją za ramiona i spojrzał jej w oczy.

Były pełne łez.

- Jestem po prostu przybita - odpowiedziała.

- Przyjmuję, że trzy głosy na cztery to rozsądny wynik - powiedział Donald, ignorując

Suzanne. - Oto, co proponuję. Weźmiemy nasze komunikatory, wezwiemy taksówkę powietrzną i dostaniemy się do Muzeum Powierzchni Ziemi. Richard i ja pójdziemy sprawdzić batyskaf.

Richard pomoże mi odzyskać jedną z kamer. Perry, ty i Michael wejdziecie do muzeum i weźmiecie broń. Michael pokaże ci, gdzie ona jest. Zabierzcie wszystko, co uznacie za stosowne, ale pamiętajcie, żeby wziąć lugera.

1

316

— Brzmi to nieźle — stwierdził Perry. — A co z tobą, Suzan-ne? Chcesz się przyłączyć?

Nie odpowiedziała. Zasłoniła dłońmi załzawione oczy. Nie mogła pogodzić się z faktem, że ciążyła na nich śmierć dwóch Interterran. Zastanawiała się, jaki smutek wywołała ta zbrodnia w Sarancie. Dwie istoty, które przeżyły eony, były stracone na zawsze.

- W porządku - powiedział kojąco Perry. - Zostań tutaj. To nie potrwa długo.

Skinęła głową, ale nie podniosła wzroku, gdy grupa opuszczała bungalow. Spojrzała na lodówkę i wybuchnęła płaczem. Brutalna i podła konfrontacja, której się obawiała, właśnie nadeszła.

Rozdział 18

Donald traktował tę wyprawę jak ćwiczenie wojskowe, podobnie jak Richard i Michael, którzy zresztą mieli jeszcze większe niż on doświadczenie w zakresie tajnych operacji. Wczuwając się w rolę, dwaj nurkowie uczernili sobie twarze i ubrania ziemią. Perry nie podchodził do tego z takim zapałem, ale cieszył się, że bierze swój los we własne ręce.

- Czy to konieczne? - zapytał, widząc twarze Richarda i Michaela.

- W marynarce zawsze tak robiliśmy przed nocną operacją - odparł Richard.

Nocny lot taksówką był pod pewnymi względami jeszcze bardziej fascynujący niż za dnia.

Ruch był wprawdzie znacznie mniejszy, ale nieliczne napotykanne poduszki wyłaniały się niespodziewanie z ciemności.

- To jest jak kolejka górską w jakimś cholernym lunaparku - powiedział Richard, gdy jakiś pojazd przemknął szczególnie blisko.

- Szkoda, że nie udało mi się rozgryźć, na jakiej zasadzie to działa - stwierdził Perry. - W fabryce, którą zwiedziliśmy rano z Richardem, były tylko klony robocze.

- To była jedna wielka strata czasu - przyznał Richard.

- Co myślisz o Suzanne? - zapytał Donald Perry'ego.

- Co masz na myśli?

- Sądzisz, że powinniśmy się nią przejmować? Może rozłożyć całą operację.

- Boisz się, że ostrzeże Interterran?

- Na przykład - odparł Donald. - Wydawała się wytrącona z równowagi tymi zabitymi Interterranami.

318

- Była wytrącona z równowagi, ale nie tylko z ich powodu - przyznał Perry. - Zwierzyła mi się, że Garona sprawił jej jakiś zawód. Poza tym, jak mówiła, czuje się odpowiedzialna za to, że tu jesteśmy. Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się nią martwić. Nie sprawi nam kłopotów.

- Mam nadzieję.

Pojazd zwolnił, zawisł na chwilę bez ruchu, po czym gwałtownie opadł w dół.

- Załoga, przygotować się - zakomenderował Donald.

Zgodnie z jego życzeniem, taksówka powietrzna osiadła na dziedzińcu muzeum. Nad

krawędzią pojazdu widać było niewyraźny zarys Oceanusa, odcinający się od czarnych, bazaltowych ścian.

- Oto cel - powiedział Donald. - Kiedy włącz się otworzy, niech wszyscy rozplaszczą się przy ścianie muzeum. Zrozumiano?

- Tak jest - odparł Richard.

Gdy tylko pojawiło się wyjście, grupa wysypała się na zewnątrz, pobiegła do ściany i przywarła do niej płasko. Cztery pary oczu omiotły teren. Było ciemno, szczególnie w cieniu, i zupełnie cicho; nie słychać było żadnych oznak życia. Za nimi na tle czarnego nieba wznosił się surowy, geometryczny kształt budowli. Scenerię oświetlały jedynie tysiące sztucznych bioluminescencyjnych gwiazd oraz blada poświata sącząca się z okien muzeum. Piętnaście metrów dalej, umieszczony na klockach na platformie ciężarówki antygravitacyjnej, spoczywał ciemny kadłub batyskafu.

Włącz taksówki zamknął się bez śladu. Pojazd uniósł się cicho i zniknął w ciemności.

- Nie widzę żywej duszy - szepnął Richard.

- Zdaje mi się, że to muzeum raczej nie jest nocną atrakcją - odpowiedział szeptem Michael.

- Ograniczcie rozmowy do minimum - rozkazał Donald.

- Tu nikogo nie ma - stwierdził Perry. Rozluźnił się. - To wybitnie ułatwia sprawę.

- Miejmy nadzieję, że tak pozostanie - odparł Donald. Wskazał jedno z okien po lewej stronie. - Perry, ty i Micha-

319

l tt

Hjttk

el wejdziecie tędy do środka i wróćcie przez to samo okno. My będziemy pracować przy Oceanusie albo zaczekamy na was w cieniu.

- Myślisz, że w muzeum jest system alarmowy? - zapytał Perry.

- Co ty! - parsknął Richard. - Nie ma żadnych zamków ani alarmów, ani nic z tych rzeczy.

Tu nikt nigdy niczego nie kradnie.

- W porządku - skwitował Perry. - Ruszamy.

- Pomyślnych łowów - odparł Donald. Pomachał ręką, gdy dwaj mężczyźni skuleni ruszyli biegiem pod okno. Stękając i jęcząc, Perry podsadził Michaela do parapetu. Gdy nurek wgramolił się do środka, wychylił się i wciągnął go za sobą. Chwilę później obaj zniknęli w głębi budynku.

Donald odwrócił się w stronę batyskafu.

-1 co, idziemy tam czy nie? - zapytał Richard.

- Chodźmy! - odparł Donald.

Trzymając się nisko przy ziemi, podbiegli do maleńkiej łodzi podwodnej. Donald pieszczotliwie poklepał jej stalowy kadłub. W ciemnościach jego czerwień zmieniła się w mdłą szarość, lecz białe litery na nadbudówce i teraz ostro odcinały się od tła. Donald, z Richardem deptającym mu po piętach, powoli obszedł łódź dookoła. Był pod wrażeniem napraw dokonanych przez Interterran; zewnętrzne reflektory i ramię manipulatora, zniszczone podczas zapadania się w kanał wylotowy, wyglądały zupełnie normalnie.

- Wygląda idealnie - stwierdził. - Trzeba tylko wpuścić ją do oceanu i możemy płynąć do domu.

- Im szybciej, tym lepiej.

Donald podszedł do zewnętrznej skrytki na narzędzia, otworzył ją i wyjął kilka kluczy.

Podał je Richardowi.

- Zacznij od bocznej kamery na prawej burcie - powiedział. - Po prostu wymontuj ją z obudowy. Ja wchodzę do środka, żeby sprawdzić poziom akumulatora. Jeśli nie mamy zasilania, nie ruszymy się stąd.

-Tak jest.

320

Donald żwawo wspiął się po znajomych szczeblach do pokrywy luku. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że jest od-ryglowana i lekko uchylona. Chwycił ją oburącz i otworzył całkowicie. Ostatni raz zlustrowawszy teren, opuścił się w otwór i zszedł w dół, w absolutną ciemność.

Gdy jego stopy dotknęły pokładu, ruszył naprzód, kierując się dotykiem. Tak dobrze znał statek, że mógł poruszać się po nim z zamkniętymi oczami - a przynajmniej tak mu się zdawało, dopóki nie potknął się o dwie książki, które Suzanne przyniosła, zęby zaimponować Perry'emu. Zaklął, nie tyle z powodu potknięcia, ile dlatego, że próbując utrzymać równowagę, uderzył ręką w oparcie jednego z siedzeń pasażerów. W każdym razie nie upadł, co w tej ciasnocie mogłoby skończyć się śmiercią.

Rozcierając dłoń, by uśmierzyć ból, ostrożnie posuwał się naprzód. W przedniej części kabiny przez cztery iluminato-ry przenikała do środka odrobina światła, ułatwiając mu wędrówkę. Uważając, by nie uderzyć głową o żadne z wystających urządzeń, opadł na fotel pilota. Słyszał, jak na zewnątrz Richard szczęka kluczem o kadłub.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było włączenie oświetlenia przyrządów. Potem, pełen obaw, przeniósł wzrok na wskaźnik naładowania akumulatora. Odetchnął z ulgą. Mocy było mnóstwo. Zamierzał właśnie sprawdzić ciśnienie gazu, gdy zamarł z przerażenia. Dziwny dźwięk za plecami uświadomił mu, że nie jest sam. Ktoś jeszcze był w kabinie.

Wstrzymując oddech, cały zmienił się w słuch. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Sekundy, z których każda zdawała się wiecznością, mijały jedna za drugą, lecz dźwięk nie powtórzył się. Gdy zaczął już zastanawiać się, czy wyobraźnia nie splatała mu figła, w ciemności rozległ się głos:

- Czy to pan, panie Fuller?

Donald obrócił się gwałtownie. Jego oczy nadaremnie starały się przeniknąć mrok.

- Tak - odparł łamiącym się głosem. - Kto tu jest?

- Harv Goldfarb. Pamięta mnie pan z Centralnego Archiwum?

321

Donald odprężył się i odetchnął.

- Oczywiście — powiedział z rozdrażnieniem. — Co, u diabła, pan tu robi?

Harvey ostrożnie wysunął się naprzód. Światła przyrządów oświetliły jego pobrużdżoną twarz.

- Zmusiliście mnie dzisiaj do myślenia - odparł. - Jesteście pierwszą nadzieją na powrót, jaka mi się trafiła. Bałem się, że możecie o mnie zapomnieć, pomyślałem więc, że będę tu spał.

- Panie Goldfarb, nie możemy o panu zapomnieć - powiedział Donald. - Potrzebujemy pana. Oglądał pan kamery na zewnątrz?

- Tak, przyjrzałem się im - odparł Harvey. - Nie sądzę, żeby miał być z nimi jakiś problem.

Co macie zamiar wyemitować?

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - przyznał Donald. - Może pana albo nas, albo nawet nas wszystkich.

- Mnie? - zdziwił się Harvey.

- W gruncie rzeczy chodzi nam o samą możliwość transmisji - wyjaśnił Donald. - Ważna jest groźba.

- Zaczynam kojarzyć - stwierdził Harvey. - Myśli pan, że wypuszczą was w obawie, że ujawnię przez telewizję istnienie Interterry.

- Coś w tym rodzaju - przytaknął Donald.

- Nic z tego nie będzie - odparł stanowczo Harvey.

- Dlaczego?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, zanim was wypuszczą, odetną mi zasilanie. A po drugie, ja tego nie zrobię.

- Ale obiecał pan pomoc.

- Tak, a pan obiecał zabrać mnie do Nowego Jorku.

- To prawda - przyznał Donald. - Właściwie nie rozpracowaliśmy jeszcze żadnych szczegółów.

- Szczegółów, też coś! - parsknął Harvey. - Ale proszę słuchać. Ja tu żyję. Mogę powiedzieć wam, jak się stąd wydostać. Wiele nocy marzyłem o ucieczce przed monotonią tych nieustająco miłych dni.

- Jesteśmy otwarci na propozycje.

322

- Muszę być pewny, że weźmiecie mnie ze sobą.

- Zrobimy to z przyjemnością - odparł Donald. - Na czyni polega pański pomysł?

- Czy ta łódź podwodna jest sprawna? - zapytał Harvey.

- Właśnie to sprawdzam - przyznał Donald. - Akumulatory są naładowane, więc jeśli uda nam się wpuścić ją do wody, możemy płynąć.

-W porządku, teraz niech pan posłucha - powiedział Harvey. - Czy powiedziano wam już, że Interterranie żyją wiecznie? Nie w tym samym ciele, ale w różnych?

- Tak. Odwiedziliśmy już centrum śmierci i widzieliśmy procedurę pobierania.

-Jestem pod wrażeniem - stwierdził Harvey. - Idą z wami ostro. Tak więc zdaje pan sobie sprawę, że cały proces jest możliwy tylko wtedy, gdy umysł zostanie pobrany przed śmiercią.

Innymi słowy, to wszystko musi być zaplanowane. Rozumie pan, o czym mówię?

- Nie za bardzo - przyznał Donald.

-W chwili pobierania pamięci muszą być żywi - wyjaśnił Harvey. - Albo, ściślej mówiąc,

ich mózg musi funkcjonować normalnie. Jeśli umrą śmiercią gwałtowną, jest już po wszystkim. To dlatego tak bardzo boją się przemocy i dlatego wyeliminowali ją już miliony lat temu. Są do niej niezdolni, chyba że przez pośredników.

-Więc zagrozimy przemocą. Już o tym myśleliśmy -stwierdził Donald.

-Myślę o czymś bardziej konkretnym niż sama przemoc - odparł Harvey. - Zagroziecie wprost śmiercią. Śmierć bez tych całych bzdur z pobieraniem, chyba że zrobią to, co chcecie.

- Aha! - wykrzyknął Donald. - Teraz pana rozumiem. Mówi pan o wzięciu zakładników.

- Zgadza się! - przytaknął Harvey. - Dwóch, czterech, ilu tylko się da, i nie klony, bo one się nie liczą. I słowo ostrzeżenia: klony nie mają nic przeciwko przemocy. Robią wszystko, co im się każe.

- Sprytnie! - stwierdził Donald. - Kilka mocnych argumentów w jednym.

323

i

- Właśnie - odparł dumnie Harvey. -1 nie musicie kombinować z tą transmisją.

- To mi się podoba — przyznał Donald. — Może wyjdzie pan i powie Richardowi, żeby wstrzymał się z demontowaniem kamery. Chcę tylko sprawdzić ciśnienie gazu i zaraz wychodzę.

- Obiecuję pan, że jadę z wami? - upewnił się Harvey.

- Jedzie pan - odparł Donald. - Niech się pan nie martwi.

- Dobra, zaczekaj! - zawołał Perry. - Albo wiesz, dokąd idziesz, albo nie. Już dwadzieścia minut szwendamy się tu jak idioci. Gdzie jest ta cholerna broń?

Michael pokręcił głową.

- Przepraszam, ale nawet za dnia nie mogłem się połapać w tym muzeum.

- Spróbuj przypomnieć sobie coś o tej galerii - powiedział Perry.

- Pamiętam, że była długa i wąska - odparł Michael.

- Co było w pobliżu? Możesz to sobie przypomnieć?

- Poczekaj chwilę. Teraz kojarzę. Była za drzwiami, na których było napisane, że trzeba mieć pozwolenie na wejście od Rady Starszych.

- Nie mijaliśmy wielu drzwi - stwierdził Perry, omiatając wzrokiem najbliższe otoczenie. - A tu nie widzę ich wcale, więc najwyraźniej nie jesteśmy we właściwym miejscu.

- Pamiętam też, że zatrzymaliśmy się w galerii pełnej perskich dywanów - dodał Michael. - Teraz sobie przypominam. Dywany były za salą z renesansowymi manelami.

- To już coś - przyznał Perry. - Wiem, gdzie jest ta sala. Chodź! Teraz dla odmiany ja poprowadzę!

Parę minut później stanęli przed drzwiami z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Było to niedaleko okna, przez które dostali się do środka.

- Czy to tu? - zapytał Perry. - Jeśli tak, zrobiliśmy pełne kółko.

- Chyba tutaj. - Michael sięgnął ponad jego ramieniem, popchnął drzwi i zajrzał do środka. - Bingo! - wykrzyknął.

324

- Najwyższy czas - mruknął Perry, wchodząc do sali. - Jeszcze tamci pomyślą, że się zgubiliśmy, więc lepiej załatwmy się z tym szybko.

- Co zabieramy? - zapytał Michael.

Obaj zatrzymali się na progu. Perry lustrował wzrokiem tonące w mroku pomieszczenie.

Był zaskoczony jego długością i liczbą półek.

- To więcej, niż się spodziewałem - stwierdził. - Mamy tu niezły wybór.

- Starsze rzeczy są na prawo, nowsze na lewo - powiedział Michael.

- Sądzę, że nie ma znaczenia, co zabierzemy, jeżeli będzie działało i jeżeli znajde lugera.

- Jedną rzecz biorę na pewno - oświadczył Michael. Sięgnął po kuszę i kołczan, zacinając

się przy tym w palec. -Jezu, te strzały są ostre jak brzytwa.

- To są bełty, nie strzały - powiedział Perry.

- Nieważne - skwitował Michael. - W każdym razie są cholernie ostre.

- Pamiętasz, gdzie był luger?

- Na lewo, głąbie - odparł Michael.

- Nie nazywaj mnie głąbem - ostrzegł Perry.

- Kurde, mówiłem ci przecież, że nowsza broń jest na lewo.

Perry ruszył w drogę, nie reagując na ostatnią uwagę Michaela. Irytowało go, że musi znosić towarzystwo nurków. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z dwójką tak niedojrzałych idiotów.

Michael odwrócił się i poszedł w drugą stronę. Skoro i tak wszystko było skorodowane i pokryte pąklami, uznał, że starożytne uzbrojenie będzie lepsze, gdyż w swej prostocie miało mniej elementów, którym morska woda mogłaby wyrządzić krzywdę. Wkrótce dotarł do imponującej kolekcji antycznej greckiej broni. Zebrał całe naręczce krótkich mieczy, sztyletów i tarcz, a na dokładkę parę hełmów, nagolenic i kompletny pancerz. Zachwyciło go zdobiące broń złoto i drogie kamienie, które zauważył mimo ciemności. Tak obłado-Wany, pobrzękując, skierował się do drzwi.

325

- Masz już coś?! - zawołał do Perry'ego.

- Jeszcze nie. Tylko garść zardzewiałych karabinów.

- Ja zabieram te kłamoty i wracam do okna.

- W porządku. Przyjdę tam, jak tylko znajdę pistolet.

Michael powiększył swój bagaż o kuszę i zaczął mocować się z drzwiami. Ledwie zdążył wyjść na korytarz, zderzył się z Richardem.

Wrzasnął i wypuścił z rąk cały swój łup. Ciężkie brązowe i złote sprzęty runęły ze straszliwym łoskotem na marmurową posadzkę.

- Zamknij się, baranie! - syknął Richard. Nagły hałas eksplodujący w ciszy mrocznego, opustoszałego muzeum przeraził go tak samo jak Michaela nieoczekiwane spotkanie.

- Co cię napadło, żeby zakradać się tu i straszyć mnie na śmierć? - fuknął Michael.

- A czemu wy się tak grzebiecie, do diabła? - zapytał Richard.

- Nie mogliśmy znaleźć tej sali, wystarczy? W drzwiach ukazał się Perry.

- Dobry Boże, co wy, do cholery, robicie? Chcecie postawić na nogi całe miasto?

- To nie była moja wina - powiedział Michael, zbierając broń z podłogi.

- Znaleźliście lugera? - zapytał Richard.

- Jeszcze nie - odparł Perry. - Gdzie jest Donald?

- Wraca do pałacu gości - wyjaśnił Richard. - Nastąpiła zmiana planów. Ten cięć, Harvey Goldfarb, schował się w łodzi podwodnej i wymyślił nowy, lepszy plan ucieczki.

- Naprawdę? - zapytał Perry. - Co to takiego?

- Weźmiemy zakładników - odparł Richard. - On mówi, że Interterranie tak się boją gwałtownej śmierci, że zrobią wszystko, nawet wypuszczą nas razem z batyskafem, jeśli weźmiemy paru ich ludzi i zagrozimy, że ich załatwimy.

- To mi się podoba - przyznał Perry. - Ale dlaczego Do1 nald wraca przed nami?

- Martwi się o Suzanne, zwłaszcza teraz, kiedy sprawy 326

wyglądają tak obiecująco. Ale prosił, żebyście się pospieszyli. Kiedy tylko będziecie gotowi, zawołam taksówkę, żeby zabrała nas z powrotem.

- W porządku - odparł Perry. - Chodźcie obydwaj do środka. Jeśli wszyscy będziemy szukać tego cholernego lugera, powinniśmy znaleźć go o wiele szybciej.

Taksówka powietrzna zatrzymała się przed jadalnią pałacu gości. Właz otworzył się i ze

środką wygramolili się Richard i Michael, obaj przygnieceni ciężarem starożytnego uzbrojenia.

Perry niósł tylko lugera, którego w końcu udało mu się znaleźć.

Cała trójka ruszyła ścieżką do drzwi. Nurkowie szli przy-odzieni w pancerze, nagolenice i hełmy. Włożyli je, żeby choć trochę odciążyc ręce. Wystarczało, że musieli dźwigać w nich tarcze, miecze, sztylety i kuszę. Perry próbował wyperswadować im zabieranie zbroi, ale obstawali przy tym tak uparcie, że zrezygnował z dyskusji. Jak wynikało z ich słów, obaj byli przeświadczeni, że na górze to wszystko będzie warte fortunę.

Ku ich zaskoczeniu jadalnia była pusta.

- To dziwne - mruknął Richard. - Mówił, żebyśmy spotkali się z nim tutaj.

- Nie przypuszczasz chyba, że ma zamiar prysnąć stąd bez nas, co? - zapytał Michael.

- Nie wiem - odparł Richard. - Nie przyszło mi to na myśl.

- Nie zostawi nas - zapewnił nurków Perry. - Widzieliśmy przecież dopiero co, że Oceanus wciąż stoi tam, gdzie zawsze, a bez niego on się stąd nie ruszy.

- Może jest u Suzanne? - podsunął Michael.

- Całkiem możliwe - odparł Perry. Długi spacer przez trawnik odbywał się przy akompaniamencie chrzęstu antycznych zbroi.

- Zabawne odgłosy wydajecie, chłopaki - zauważył Perry.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - burknął Richard. Okrążywszy bungalow Suzanne, zobaczyli przez otwartą ścianę Donalda, Suzanne i Harveya, siedzących na krze-

327

ślach przy krawędzi basenu. Było oczywiste, że atmosfera jest napięta.

- Co się dzieje? - odezwał się Perry.

- Mamy problem. Suzanne nie jest pewna, czy dobrze robimy - odparł Donald.

- Dlaczego nie, Suzanne? - zapytał Perry.

- Dlatego że morderstwo jest złem - powiedziała Suzanne. - Jeśli zabierzemy zakładników na powierzchnię bez adaptacji, oni umrą, to proste i oczywiste. Przynieśliśmy tu przemoc i śmierć, a teraz chcemy posłużyć się nimi, żeby stąd uciec. Z moralnego punktu widzenia uważam to za niegodziwe.

- Tak, ale ja nie prosiłem, żeby mnie tu ściągnięto - odparł gniewnie Perry. - Wiem, że mówiłem to już sto razy, ale jesteśmy tu przetrzymywani wbrew własnej woli. Myślę, że to usprawiedliwia przemoc.

- Ale to jest mylenie celów ze środkami - stwierdziła Suzanne. - Czyli dokładnie to, co zarzuciliśmy Interterranom.

- Ja wiem tylko tyle, że mam rodzinę, za którą tęsknię — oświadczył Perry. - I zobaczę ją znowu, choćby nie wiem co!

- Współczuję ci - odparła Suzanne. - Mówię szczerze! I czuję się odpowiedzialna za tę całą sytuację. I zgadzam się, że zostaliśmy porwani. Ale nie chcę mieć na sumieniu ani dalszych morderstw, ani zagłady Interterry. Jesteśmy moralnie zobowiązani do negocjacji. Ci ludzie są tacy łagodni.

- Łagodni? - prychnął Richard. - Ja powiedziałbym nudni!

- Mogę to potwierdzić - dodał Harvey.

- Perry, to jest Harvey Goldfarb - oznajmił Donald. Perry i Harvey uścisnęli sobie dłonie.

- Nie wiem, co mielibyśmy negocjować - stwierdził Donald. - Arak powiedział jasno, że musimy tu zostać, bez żadnych "ale", "jeśli" czy "może". Takie oświadczenie wyklucza negocjacje.

- Myślę, że powinniśmy jeszcze trochę odczekać - powiedziała Suzanne. - Co w tym złego?

Może zmienimy zdanie, a może uda nam się przekonać ich, by zmienili swoje. Musi-

my pamiętać, że wszyscy przynieśliśmy tu na dół nasze osobowości i bagaż psychiczny

dostrojony do świata na powierzchni, i że jesteśmy tak przyzwyczajeni widzieć siebie samych jako

“tych dobrych”, że trudno jest nam spostrzec, że sami jesteśmy potworami.

- Ja nie uważam się za potwora - zaprotestował Perry. - Wypraszam sobie.

- Ja też - oświadczył Michael.

- Pozwólcie, że wspomnę o jeszcze jednej kwestii - powiedziała Suzanne. - Załóżmy na razie, że udało nam się stąd wydostać. I co potem? Czy ujawniamy istnienie Inter-terry?

- Trudno byłoby tego nie zrobić - odparł Donald. - Jak wytłumaczylibyśmy, co się z nami działo przez ostatni miesiąc, czy ile tam to trwało?

- A ja? - wtrącił Harvey. - Spędziłem tu prawie dziewięćdziesiąt lat.

- To byłoby jeszcze trudniej wyjaśnić - przyznał Donald.

- Musimy też wytłumaczyć jakoś, skąd wzięliśmy to całe złoto i broje - dodał Richard. - Bo zabieram to wszystko ze" sobą.

- Można też pomyśleć o ekonomicznych korzyściach naszego pośrednictwa - stwierdził Perry. - Moglibyśmy pomóc obu stronom i skończyć jako multimilionerzy. Już same ręczne komunikatory wywołałyby sensację.

- Wystarczy - powiedziała Suzanne. - Tak czy inaczej, wydajemy Interterre. Zatrzymajcie się i pomyślcie o naszej cywilizacji i jej zachłanności. Nie lubimy myśleć o sobie w tym świetle, ale taka jest prawda. Jesteśmy samolubni, zarówno jako jednostki, jak i jako narody. Tu na pewno doszłoby do konfliktu, a wobec tak zaawansowanej cywilizacji jak Interterra, dysponującej mocą i bronią, jakich nie możemy sobie nawet wyobrazić, to byłaby katastrofa, może nawet koniec świata ludzi drugiej generacji.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał.

- Nie obchodzi mnie całe to gówno - wybuchnął nagle Richard, przerywając ciszę. - Chcę się stąd wydostać.

- Bez dwóch zdań - przyklasnął Michael.

- Ja też - dodał Perry.

- Ja również - stwierdził Donald. - Kiedy się stąd wył rwiemy, możemy negocjować z tymi Interterranami. Wtedy będą to przynajmniej prawdziwe negocjacje, w których n' oni będą nam dyktować warunki.

- A co z tobą, Harvey? - zapytał Perry.

- Od lat marzę, żeby wrócić na powierzchnię.

- W takim razie postanowione - oświadczył Donald. Idziemy!

- Ja zostaję - powiedziała Suzanne. - Nie chcę mieć następnych Interterran na sumieniu.

Może to dlatego, że nie mam żadnej rodziny, ale chcę dać Interterze szansę. Wiem, że do wielu spraw muszę się przyzwycząić, ale podoba mi się w raju. Warto się nad tym trochę zastanowić.

- Przykro mi, Suzanne - odparł Donald, patrząc jej prosto w oczy. - Idziesz z nami. Nie pozwolę, żeby twoje wysokie normy moralne rozwały nasz plan.

- Co zrobisz, zmusisz mnie, żebym poszła? - zapytała z rozdrażnieniem Suzanne.

- Oczywiście - odparł Donald. - Jak pewnie wiesz, dowódcy na polu walki nie wahają się strzelać do własnych ludzi, jeśli ich zachowanie zagraża powodzeniu operacji.

Suzanne nie odpowiedziała. Z pozbawioną wyrazu twarzą powoli rozejrzała się po pozostałych. Nikt nawet nie drgnął w jej obronie.

- Wróćmy do sprawy - odezwał się w końcu Donald. -Czy przynieśliście lugera?

- Tak - odparł Perry. - Trudno było go znaleźć, ale udało nam się.

- Pokaż go - powiedział.

Gdy Perry wyciągnął pistolet z kieszeni tuniki, Suzanne wybiegła z pokoju. Richard

zareagował pierwszy. Rzucił wszystko, co trzymał w rękach, i nie zwracając uwagi na ciężącą mu zbroję, popędził za nią w noc. Dzięki swej znakomitej kondycji szybko pokonał dzielący ich dystans. Pochwycił Suzanne za nadgarstek i szarpnięciem zmusił ją do zatrzymania się. Obydwoje dyszeli ciężko.

330

- Działasz na korzyść Donalda - wysapał, łapiąc oddech.

- Gwiżdżę na to — odparła Suzanne. — Puść mnie!

- On cię zastrzeli. Uwielbia bawić się w te wojskowe bzdury. Ostrzegam cię.

Suzanne szarpała się przez chwilę, próbując uwolnić się z uścisku, ale wkrótce stało się jasne, że Richard nie pozwoli jej uciec. Nadeszli pozostali i otoczyli ich kołem. Donald trzymał lugera.

- Zmuszasz mnie do działania - powiedział złowieszczo. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Kto tu kogo zmusza? - odcięła się pogardliwie.

- Zaprowadźcie ją do środka! - rozkazał Donald. - Musimy to załatwić raz na zawsze. -

Zawrócił w stronę bungalowu. Pozostali ruszyli za nim. Richard wciąż trzymał rękę Suzanne w żelaznym uścisku. Jeszcze raz spróbowała mu się wyrwać, ale wkrótce poddała się i pozwoliła zaciągnąć się z powrotem do pokoju.

- Posadźcie ją na krzesło - zawołał Donald przez ramię, gdy okrążali basen.

Wchodząc w krąg światła, Richard zauważył, jak sina stała się dłoń Suzanne.

Zaniepokojony o jej krążenie, rozluźnił nieco uchwyt. Suzanne momentalnie wyszarpnęła rękę i z całej siły wyrznęła go w sam środek klatki piersiowej, aż zadudniło. Richard, zaskoczony, runął do basenu. Suzanne znowu wypadła w noc.

Richard, wciągany pod wodę przez ciężką zbroję, szamotał się rozpaczliwie, mimo że był

silnym i doświadczonym pływakiem. Donald rzucił pistolet na jedno z krzeseł i wskoczył do basenu. Perry i Michael robili co mogli z brzegu, dopóki nie zorientowali się, że Suzanne znów uciekła.

- Łap ją! - krzyknął Perry. - Ja tu pomogę.

Michael puścił się biegiem, a wysiłek, jakiego to wymagało, napełnił go szacunkiem dla osławionych greckich hoplitów i kazał mu zastanowić się, jak radzili sobie ci starożytni wojownicy. Najwięcej kłopotu sprawiał mu pancerz, choć ciężki hełm i nagolenice także nie ułatwiały mu biegu. Znalazłszy się poza zasięgiem światła padającego z wnętrza, przystanął z chrzęstem. Nic nie widział, bo jego wzrok

331

nie był przyzwyczajony do ciemności. Suzanne nie było nigdzie widać, choć miała nad nim przewagę zaledwie około minuty.

Z czasem, gdy jego oczy powoli przywykały do mroku, zaczynał dostrzegać szczegóły otoczenia, wciąż jednak ani śladu Suzanne. Nagle po prawej stronie spostrzegł nagły ruch i strumień jasnego światła. Spojrzał tam i serce w nim zamarło. Była to taksówka powietrzna, unosząca się koło jadalni, może pięćdziesiąt metrów od niego. Znowu zerwał się do biegu, ostro pracując swymi silnymi nogami. Pędząc w stronę statku, wiedział już, że nie zdąży. Widział, jak Suzanne w pośpiechu wsiada do poduszkowca i opada na siedzenie z prawą dłonią na centralnym stoliku.

- Nie! - ryknął, rzucając się do wjazdu taksówki. Ale było już za późno. To, co jeszcze przed chwilą było otworem, teraz stało się jednolitą powłoką kadłuba. Michael odbił się od niej. Metal zachrząścił o metal. Zderzenie powaliło go na ziemię i strąciło mu hełm z głowy. W następnej chwili taksówka uniosła się ze świstem, porywając go w swej poduszcze powietrznej. Przez mgnienie oka unosił się, jak wypełniony helem balon, niemal trzydzieści centymetrów ponad

ziemią, nim znów bezwładnie zwałił się w dół.

Upadek ogłuszył go. Przez chwilę leżał skulony na ziemi. Gdy wreszcie udało mu się złapać oddech, niezdarnie podniósł się na nogi i powłókł się do bungalowu. Pozostali tymczasem wyłowili Richarda z basenu i posadzili go, przemoczonego i kaszlącego na jednym z krzeseł. Gdy Michael wpadł do środka, Donald, przykucnięty obok Richarda, podniósł na niego wzrok.

- Gdzie ona jest, u diabła?

- Uciekła taksówką! - wydyszał nurek.

- Pozwoliłeś jej odejść? - ryknął Donald. Podniósł się na nogi. Był wściekły.

- Nie mogłem jej zatrzymać - tłumaczył się Michael. - Musiała wezwać tę cholerną taksówkę, jak tylko stąd wybiegła.

- Chryste! - jęknął Donald. Przyłożył dłoń do czoła i po-

332

kręcił głową. - Taka niekompetencja! Nie mogę w to uwierzyć!

- Rany, zrobiłem, co mogłem - żalił się Michael.

- Nie kłóćmy się - wtrącił Perry.

- Cholera! - krzyknął Donald, nerwowo krążąc po pokoju.

- Powinienem był ją walnąć - wykaszłał Richard. Donald zatrzymał się.

- Ledwie zaczęliśmy tę operację, a już mamy kryzys. Nie wiadomo, co ona robi. Musimy się ruszać, i to szybko. Michael, wracaj do Oceanusa i nie dopuszczaj nikogo w pobliże!

- Tak jest! - odparł Michael. Chwycił swą kuszę i kołczan i znów wybiegł w noc.

-Potrzebujemy zakładników, i to szybko - oświadczył Donald.

- Może Arak i Sufa? - podsunął Perry.

- Oni będą doskonali - odparł Donald. - Zawołajmy ich tutaj i miejmy nadzieję, że Suzanne

nie porozmawiała z nimi pierwsza. Musimy ich sprowadzić do jadalni.

- Może jeszcze Ismaela i Mary? - zaproponował Perry.

- Im więcej, tym lepiej - powiedział Harvey.

- Świetnie - stwierdził Donald. - Zawołamy ich też. Ale w ten sposób Oceanus jest już pełen.

Serce Suzanne waliło jak szalone. Nigdy w życiu nie bała się tak jak teraz. Zdawała sobie sprawę, że tylko szczęściu zawdzięcza, iż udało jej się uciec i mimo woli zastanawiała się, co czekałoby ją, gdyby stało się inaczej. Zadrżała. Zdawało jej się, że jej dotychczasowi towarzysze stali się obcymi ludźmi, wręcz wrogami w swym uporczywym postanowieniu ucieczki i towarzyszącej temu gotowości na wszystko. Byli gotowi nawet ją zabić.

Wbrew temu, co powiedziała im wtedy pod wpływem im-pulsu, nie była pewna, co myśli o tym wszystkim; wiedziała tylko, że nie zamierza dać się wciągnąć w kolejne zbrodnie. Jednak aby uciec taksówką powietrzną, musiała mimo zamętu w głowie wskazać jakiś cel podróży, i to szybko, aby

333

zaniknąć włąz. Pierwszym miejscem, jakie przyszło jej na myśl, była czarna piramida i Rada Starszych.

Nim dotarła na miejsce przeznaczenia, zdążyła się już opanować. W czasie lotu zdążyła nieco ochłonąć i jej myśli stały się bardziej racjonalne. Doszła do wniosku, że Rada Starszych lepiej niż ktokolwiek inny będzie w stanie szybko, i nie krzywdząc nikogo, opanować kryzys. Wspinając się po pomoście wiodącym do wnętrza piramidy, zdała sobie sprawę z panującej tu pustki. Spodziewała się, że Rada, jako główny ośrodek rządowy Interterry, dyżurować będzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyglądało jednak na to, że jest inaczej. Wrażenie to pozostało, nawet gdy znalazła się wewnątrz gigantycznej budowli.

Szła jaskrawobiałym marmurowym korytarzem. Nie widziała żywej duszy. Zbliżając się do potężnych, pokrytych płaskorzeźbami drzwi z brązu, zaczęła się zastanawiać, jak sobie z nimi poradzi. Pukanie wydawało się śmieszne, biorąc pod uwagę skalę otoczenia. Ale niepotrzebnie się tym martwiła. Drzwi otworzyły się automatycznie, tak samo jak poprzednio.

Suzanne weszła do okrągłej, otoczonej kolumnadą sali. Wystąpiła na środek i zatrzymała się w tym samym miejscu, w którym stała rano. Rozglądając się po pustym wnętrzu, zastanawiała się, co robić dalej.

Panowała zupełna cisza.

- Halo! - zawołała Suzanne. Nie było odpowiedzi. Krzyknęła jeszcze raz, głośniejszym głosem, tym razem na całe gardło. Jej głos powracał echem, odbity od kopułowego sklepienia.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał spokojnie głos małej dziewczynki.

Suzanne odwróciła się. Za nią, w obramowaniu potężnego portalu, stała Ala. Jej piękne jasne włosy były zmierzwiłone, jak gdyby przed chwilą wstała z łóżka.

- Przepraszam, że sprawiam ci kłopot - powiedziała Suzanne. - Przyszłam tu, ponieważ pojawiło się zagrożenie. Musisz powstrzymać moich kolegów. Zamierzają podjąć

334

próbę ucieczki, a jeśli im się powiedzie, sekret Interterry zostanie wydany.

- Trudno jest uciec z Interterry - odparła Ala. Potarła oczy grzbietem dłoni. Był to gest tak dziecinny, że Suzanne musiała przypomnieć sobie, że ma do czynienia z osobą o niezwyklej inteligencji i doświadczeniu.

- Mają zamiar wykorzystać batyskaf, którym tu przybyliśmy - wyjaśniła Suzanne. - Jest w Muzeum Powierzchni Ziemi.

- Rozumiem - stwierdziła Ala. - To mimo wszystko nie takie proste, ale chyba lepiej będzie, jeśli wyślę kilka klonów roboczych, żeby unieruchomiły statek. Wezwę też Radę Starszych na sesję

nadzwyczajną. Ufam, że zechcesz zostać i wziąć udział w naradzie.

- Oczywiście - odparła Suzanne. - Bardzo chcę pomóc. -Przyszło jej na myśl, że powinna wspomnieć o tragicznych zgonach, które już miały miejsce, ale uznała, że przyjdzie na to czas później.

- To nieoczekiwane i niepokojące - oświadczyła Ala. -Dlaczego twoi koledzy postanowili uciec?

- Twierdzą, że to ze względu na rodziny i dlatego, że nie dano im wyboru. Ale to bardzo zróżnicowana grupa, i w grę wchodzi też inne kwestie.

- Brzmi to tak, jakby dotychczas nie zrozumieli, jak wielkie mieli szczęście.

- Myślę, że można tak powiedzieć - przyznała Suzanne.

Taksówka powietrzna opadła na mroczny, spowity cieniem dziedziniec muzeum. Właz otworzył się i wysiadły z niej dwa potężnie umięśnione klony robocze. Oba niosły młoty kowalskie, ale tylko jeden ruszył w stronę batyskafu Benthic Marine. Drugi trzymał dłoń na krawędzi wjazdu taksówki, nie pozwalając jej odlecieć.

Pierwszy klon nie marnował czasu. Dotarłszy do batyskafu, skierował się prosto ku obudowie głównego akumulatora. Wprawnymi dłońmi otworzył drzwiczki z włókna szklanego, odsłaniając główne złącze zasilania. Cofnął się o krok i uniósł młot nad głowę, przygotowując się do miażdżącego ciosu.

335

Ale ciężki młot nie opadł w dół normalnym łukiem. Wyślizgnął się z dłoni klona i upadł z głuchym łoskotem na ziemię, gdy bełt z kuszy przeszył klonowi gardło. Ze zdławionym jękiem klon zatoczył się w tył, zaciskając dłonie na drzewcu. Z rany wytrysnęła mieszanina krwi i jasnego, przypominającego ropę naftową płynu, plamiąc czarny kombinezon. Po kilku niezdarnych krokach klon runął na plecy. Przez chwilę jeszcze wstrząsały nim drgawki, po czym znieruchomiał.

Michael naciągnął korbą ciężką kuszy i założył nowy belt. Tak uzbrojony wyszedł z kryjówki przy ścianie muzeum i ostrożnie zbliżył się do powalonego klona. Nie widział ani nie słyszał taksówki powietrznej: wylądowała poza zasięgiem jego wzroku. Był zadowolony, że spojrzawszy w odpowiednim momencie na batyskaf, gdyż choć starał się zachować czujność, co chwilę morzył go sen.

Z kuszą wycelowaną w klona Michael wyciągnął prawą stopę i trącił ciało. Klon nie zareagował, tylko z przebitej na wylot szyi wypłynęła kolejna strużka krwi i płynu.

Dla zapewnienia sobie lepszej równowagi nurek zdjął jedną dłoń z kuszy i jeszcze raz porządnie kopnął ciało, by upewnić się niezbitcie co do jego stanu. Ku jego przerażeniu coś wyrwało mu kuszę z ręki.

Zaskoczony, obrócił się na pięcie i ujrzał tuż przed sobą drugiego klona, który odrzucił kuszę na bok i uniósł młot. Michael instynktownie wyciągnął w górę dłonie, choć wiedział, że nie ochroni go to przed nadchodzącym ciosem. Cofając się, potknął się o leżącego klona i upadł na niego, gubiąc przy tym hełm.

W akcie desperacji przetoczył się na bok właśnie w chwili, gdy młot opadł ze straszliwą siłą, miażdżąc niesprawnego już i tak klona. Gdy drugi klon odzyskał równowagę i szykował się do kolejnego ciosu, Michael dźwignął się na jedno kolano i wyciągnął krótki miecz hoplity. Gdy klon ponownie uniósł młot, odsłaniając brzuch, pchnął go, wkładając w ten cios całą swoją siłę. Miecz zagłębił się po rękojeść. Na pierś Michaela trysnęła mieszanina krwi i przejrzystego oleju.

Zaskoczony klon upuścił młot i zacisnął obie dło-

336

nie na głowie nurka, unosząc go nad ziemię. Ale nie trwało to długo. Klon tracił swą olbrzymią siłę i runął wreszcie, pociągając Michaela za sobą.

Trzeba było niemal pięciu minut, by kleszczowy chwyt, jakim klon ujął czaszkę Michaela,

zelał na tyle, by nurek mógł się uwolnić. Podniósł się na nogi, wstrząsany falą mdłości. Ciecz wypływająca z ciał powalonych klonów cuchnęła jak połączenie rzeźni z warsztatem samochodowym.

Michael odnalazł kuszę. Nabrał nowego respektu wobec zagrożenia, jakie stanowiły klony robocze. Był zaskoczony, że drugi klon go zaatakował. Domyślił się, że musiały otrzymać jakiś ogólny rozkaz, obejmujący wszelkie ewentualności. Zdarzenie to dowodziło też, że klony nie mają żadnych oporów wobec przemocy, dokładnie tak, jak ostrzegał Harv.

Rozdział 19

- Może powinniśmy byli najpierw zjeść obiad - powiedział Richard. - Jestem głodny jak wilk.

- To nie jest pora na żarty - skarcił go Perry.

- A kto tu żartuje?

- To chyba oni! - zawołał Harvey od drzwi, gdzie Donald postawił go na czatach. - Właśnie przyleciała jakaś taksówka.

Wszyscy siedzieli w sali jadalnej, czekając na Araka, Sufę i Blacków.

- To jest to - stwierdził Donald. - Załoga, przygotować się!

Richard podniósł jeden z mieczy. Od czasu kąpieli w basenie obywatel się bez zbroi. Donald po raz dwudziesty wysunął magazynek z lugera, sprawdził go i założył z powrotem. Upewnił się, że nabój jest w komorze.

Do sali wpadli Arak, Sufa oraz Blackowie w towarzystwie czterech potężnych klonów roboczych.

- W porządku. Wszystko będzie dobrze, więc proszę, żebyście zachowali spokój! - zawołał Arak, lekko zdyszany.

Zgodnie z planem, Harvey pchnięciem zamknął drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem. Arak

zignorował hałas. Harvey okrążył pokój i stanął obok Perry'ego i Richarda za plecami Donalda.

- Po pierwsze - ciągnął Arak - musicie zrozumieć, że nie możecie uciec. Nie możemy na to pozwolić.

- Wieści rozchodzą się szybko - stwierdził Donald. - Więc Suzanne już do was dotarła.

- Zostaliśmy poinformowani przez Radę Starszych - wyjaśnił Arak. - Dostaliśmy od nich wiadomość krótko po waszym wezwaniu. Teraz, kiedy już tu jesteśmy, chcieliby-

338

śmy prosić, żeby każdy z was udał się do siebie. Powtarzam: nie możecie stąd uciec.

- Zobaczymy - odparł Donald. - Na razie to my będziemy wydawać polecenia.

- To nie wchodzi w grę — oświadczył Arak. Odwracając się do klonów, rozkazał: - Proszę, obezwładnijcie ich, nie robiąc im krzywdy!

Klony posłusznie ruszyły naprzód.

Donald pomachał pistoletem i cofnął się o parę kroków. Pozostali spiskowcy zrobili to samo.

- Nie podchodźcie bliżej! - rozkazał.

- Nie sądzę, żeby one wiedziały, czym jest broń - szepnął nerwowo Perry.

- Zaraz się dowiedzą - odparł Donald. Nadal się cofając, uniósł pistolet i wycelował go w twarz zbliżającego się klona.

- Arak! - krzyknął Ismael. - On ma pistolet! Arak...

- Zatrzymajcie się, proszę! - rozkazał klonom Donald.

Posłuszne rozkazowi Interterranina, klony zignorowały Donalda i nadal parły ku cofającym się ludziom drugiej generacji. Donald pociągnął za spust. Luger wystrzelił z hukiem. Kula trafiła najbliższego klona w czoło. Ten zachwiał się, po czym upadł na plecy. Jasny, lepki płyn wypłynął z rany na marmur. Co dziwne, jego nogi wciąż jeszcze poruszały się jak w marszu.

Arak i Sufa zdrętwieli z przerażenia.

Pozostałe klony nadal nieustraszenie szły naprzód. Donald skierował pistolet na osobnika zmierzającego ku Per-ry'emu i wystrzelił, trafiając go w skroń. Podobnie jak jego poprzednik, klon upadł, nie przestając przebierać nogami.

-Zatrzymajcie się, proszę - zawołał drżącym głosem Arak do dwóch pozostałych klonów.

Usłuchały natychmiast. Interterranin stał, drżąc, z pobladłą twarzą. Nożycowaty ruch nóg dwóch powalonych klonów zwolnił, po czym ustał zupełnie.

Donald ujął pistolet oburącz i zwrócił lufę w stronę Araka.

- Tak jest o wiele lepiej - powiedział przerażonemu Interterraninowi. - Żebyśmy się dobrze rozumieli: ty jesteś następny.

339

- Proszę! Dość już przemocy. Proszę! - krzyknęła Sufa.

- Służymy uprzejmie - odparł Donald, nie opuszczając broni. - Zróbcie, co wam każemy, a wszystko będzie dobrze. Arak, chcę żebyś wykonał kilka połączeń swoim komunikatorem i ruszamy w drogę.

Suzanne była pełna podziwu dla spokoju, jaki w obliczu tak groźnego kryzysu przejawiali Starsi. Ona sama stawała się coraz bardziej niespokojna; komunikaty, które docierały do Rady wskazywały, że jej dawni koledzy są górami.

Gdy członkowie Rady zbierali się na posiedzenie, Suzanne zaproponowano poczęstunek, po czym zaprowadzono ją z powrotem do sali kolumnowej. Podobnie jak rano, i tym razem poproszono ją, by wystąpiła na środek, z tym że teraz przygotowano tam dla niej krzesło, podobne w stylu, choć mniejsze od tych, które zajmowali Starsi. Siedziała twarzą do Ali, tyłem do brązowych wrót.

- Sytuacja zdaje się pogarszać — powiedziała Ala, wysłuchawszy wieści ze swego ręcznego

komunikatora. W jej czystym, wysokim głosie nie było śladu pośpiechu ani strapienia. -

Zbuntowana grupa wraz z czwórką zakładników zbliża się właśnie do Barsamy ze swym wciąż sprawnym batyskafem. Arak oczekuje na nasze rozkazy.

- W żadnym ze swoich wcieleń nie miałem do czynienia z podobną sytuacją - odezwał się Ponu. - Cztery klony robocze zostały przedwcześnie uśmiercone. To doprawdy wstrząsające. - Możecie ich powstrzymać, prawda? - wyrwało się Suzanne. Spokój Rady zaczynał działać jej na nerwy. - I nie wyrządzą im krzywdy?

Ala nachyliła się ku niej, ignorując jej pytania.

- Jest jedna kwestia, co do której musimy mieć całkowitą pewność - powiedziała spokojnie.

- Widzieliśmy już, że twoi koledzy mają zaskakująco mało skrupułów, jeśli chodzi o niszczenie klonów roboczych. A co z ludźmi? Czy naprawdę byliby zdolni skrzywdzić człowieka?

- Tak, obawiam się, że tak - odparła Suzanne. - Są zdesperowani.

340

d-Trudno uwierzyć, że zrobiliby coś takiego, zakosztowawszy już naszej kultury - stwierdził Ponu. - Wszyscy dotychczasowi goście niezawodnie adaptowali się do naszego pokojowego sposobu bycia.

- Być może z nimi też by tak było, gdyby mieli więcej szans - odparła Suzanne. - Ale w tej chwili są niebezpieczni dla każdego, kto stanie im na drodze.

- Nie chce mi się w to wierzyć — odezwał się inny Starszy. - Jak wspomniał Ponu, to kłóci się z naszym doświadczeniem.

Suzanne poczuła, że ogarniają gniew.

- Mogę udowodnić, do jakiej niegodziwości są zdolni - warknęła. — Zostawili dobitne tego świadectwa w pałacu gości.

- Co to takiego? - zapytała Ala tak pogodnie, jakby chodziło o uprawę ogródka.

- Spowodowali śmierć dwóch ludzi pierwszej generacji. Jej słowa wstrząsnęły Radą.

Zapadła grobowa cisza.

-Jesteś tego pewna? - zapytała Ala. Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała troska.

- Parę godzin temu widziałam ciała - odparła Suzanne. -Sart został zatłuczony, a Mura utopiona.

- Obawiam się, że ta tragiczna nowina stawia obecną sytuację w innym świetle - oświadczyła Ala. Mam taką nadzieję, pomyślała Suzanne.

-Proponuję, żebyśmy natychmiast zaplombowali szyb Barsamy - powiedział Ponu.

Pomruk zgody wypełnił salę.

Ala rzuciła parę słów do swego ręcznego komunikatora, po czym opuściła rękę.

- To będzie zrobione - powiedziała.

- Ile czasu zajmie połączenie szybu z jądrem Ziemi? -zapytał Ponu.

- Kilka godzin - odparła Ala.

Wrota były potężne. Miały mniej więcej dwa piętra wysokości i trzy grubości. Powoli otwierały się do środka na cicho pracujących zawiasach. Arak sterował ich ruchem za

341

pomocą swego ręcznego urządzenia. Był w bezpośrednim kontakcie z Centralnym

Archiwum. Za nim stał Donald z pistoletem przyciśniętym do jego pleców.

Perry, Richard i Michael stali z boku, pilnując pozostałych zakładników. Michael nadal

miał na sobie grecką zbroję. Za nic w świecie nie zamierzał z niej zrezygnować. Harvey siedział w pasażerskiej części ciężarówki antygra-witacyjnej, która wiozła Oceanusa. Czekał na otwarcie

wrót, by skierować pojazd do mieszczącej się za nimi od-kaźalni.

- Wygląda znajomo - stwierdził Donald na widok stalowych ścian pomieszczenia. -

Przypomina mi salę, w której mieliśmy "dobrowolną" kąpiel w drodze do Interterry.

Nagle ziemię wstrząsnął głuchy łoskot. Cała grupa z trudem utrzymała się na nogach.

Trwało to może cztery czy pięć sekund.

- Co to było, u diabła? - zapytał Perry. Harvey wystawił głowę z ciężarówki.

- Lepiej się pospieszmy. Oni chyba otwierają szyb geo-termalny!

- Co to oznacza?! - odkrzyknął Donald.

- Chcą zaplombować wylot! - wrzasnął Harvey.

- Dalej, Arak! - ryknął Donald. - Przyspiesz ten proces.

- Robię już wszystko, co mogę - odparł Interterrannin. - Poza tym Harvey ma rację. Nie zdążycie. Port zostanie zablokowany.

- Za daleko zaszliśmy, żeby teraz się poddać. Jeśli w ciągu piętnastu minut nie wydostaniemy się stąd, Sufa zostanie zastrzelona - ostrzegł Donald.

Pod stopami poczuli kolejną krótką wibrację - monstrualne wrota ciśnieniowe zostały otwarte na oścież.

- Teraz wszystko zależy od was - powiedział Arak. Dał Harveyowi znak, by wprowadził ciężarówkę. - Kiedy otworzą się zewnętrzne wrota, wjedźcie do komory wodowań. Gdy tylko wypełni się wodą, śluza wyjściowa zostanie otwarta i swobodnie wypłyniecie przez szyb.

- To nie będzie tak. Zabieramy cię ze sobą, Arak. Ciebie i Sufę - oświadczył Donald.

342

- Nie! - krzyknął Arak. - Nie, proszę! Nie możecie. Zrobiłem, o co prosiliście, ale nie możemy wyjść na powierzchnię bez adaptacji. To nas zabije.

- Ja nie proszę. Ja rozkazuję - odparł Donald.

Arak próbował protestować, lecz Donald uciszył go jednym uderzeniem. Interterrannin krzyknął i zasłonił twarz dłońmi. Przez palce sączyła mu się krew. Donald wepchnął go do stalowego pomieszczenia.

Ciężarówka, posłuszna komendom Harveya, bez wysiłku wpłynęła do odkaźalni.

- Chodźcie, chłopaki - zawołał Donald do Perry'ego i Ri-charda. - Zabierzcie Sufę, ale pozostałych zostawcie.

Gdy wszyscy znaleźli się w środku, Donald odciągnął Araka od Sufy, która próbowała dodać mu otuchy. Jego prawe oko było ciemnofioletowe i opuchnięte.

- Zamknij zewnętrzne drzwi i otwórz wewnętrzne, Arak -rozkazał Donald.

Arak wymamrotał polecenie do naręcznego komunikatora i potężne wrota zaczęły się zamykać. Kolejny grzmot, obwieszczający nowe trzęsienie ziemi, przetoczył się po sali; trwał nieco dłużej niż pierwszy.

- Dalej, Arak. Przyspiesz to!

- Powiedziałem ci już, że nie mogę! - wrzasnął Arak.

- Richard! Chodź tu ze swoim nożykiem i odetnij Sufie jeden palec.

- Nie, zaczekaj! - zaszlochał Arak. - Zrobię, co w mojej mocy.

Powiedział parę słów do komunikatora i wrota zaczęły zamykać się szybciej.

- Tak już lepiej - powiedział Donald. - O wiele lepiej.

Całe pomieszczenie zadrżało, gdy wrota zamknęły się szczelnie. Niemal w tej samej chwili zaczęły otwierać się wrota wewnętrzne. Za nimi znajdowała się rozległa, mroczna pieczara, podobna do tej, przez którą goście trafili do Interterry. Unosił się w niej ten sam słony zapach; najwyraźniej dawno temu wypełniała ją morska woda.

Kiedy wewnętrzne wrota otworzyły się całkowicie, Har-vey wyprowadził ciężarówkę z łodzią podwodną do wnętrza

343

pieczary. Pozostali pobiegli za nim, ale ich pęd powstrzymał pokrywający dno muł.

- Cholera. O tym zapomniałem - mruknął Perry.

- Zamknij wewnętrzne wrota! - ryknął Donald do Ara-ka, gdy dopędzili wreszcie ciężarówkę. Jego głos rozległ się echem w pieczarze. Podał lugera Perry'emu. - Potrzebujemy światła. Wchodzę do batyskafu.

- W porządku - odparł Perry. Położył palec na spuście. Poczł się nieco dziwnie. Nigdy dotąd nie trzymał w ręce pistoletu, nie mówiąc już o tym, żeby z niego strzelać.

Gdy Donald wspinał się do nadbudówki batyskafu, nastąpił kolejny wstrząs. Musiał mocno uchwycić się szczebli, by nie spaść z drabinki. W oddali dał się słyszeć bulgot zwiastujący gejzer lawy.

- O rany! Siedzimy w środku wulkanu! - wrzasnął Ri-chard.

Gdy tylko drzenie ustało, Donald w pośpiechu pokonał ostatnie szczeble i zniknął we wnętrzu Oceanusa. Chwilę później zewnętrzne reflektory wypuściły w mrok strugi światła. Był już najwyższy czas; wewnętrzne wrota zbliżały się do framugi. Gdy zamknęły się całkowicie, jedynym oświetleniem były reflektory batyskafu i rosnąca z sekundy na sekundę fontanna lawy.

Donald wystawił głowę z nadbudówki.

- Chodźcie wszyscy - powiedział. - Zasilanie i układ podtrzymywania życia są włączone.

Jesteśmy gotowi do ostatniej fazy akcji.

Araka i Sufę popędzono przodem. Za nimi wspięli się Harvey, Perry i Michael. Ten ostatni musiał w końcu zdjąć pancierz, by przedostać się przez właz. Richard szedł na końcu. Zamykając pokrywę, spostrzegł falę wody napływającej do wnętrza pieczary. Usłyszał też skwierczenie i trzaski tam, gdzie woda zderzała się z lawą, parując gwałtownie.

Gdy nurek zszedł do kabiny batyskafu, Donald kazał mu zająć jedno z siedzeń: nie miał pojęcia, jak bardzo obijać się będą podczas zalewania pieczary. Kilka minut później Oceanus kołysał się na powierzchni wody jak korek. Każdy trzymał się tego, co miał pod ręką.

- Co musimy teraz zrobić? - ryknął Donald do Araka.

- Nic. Woda sama wyniesie statek przez szyb.

- Więc to znaczy, że nam się udało? - upewnił się Donald.

- Chyba tak, chyba wam się udało - odparł ponuro Arak. Wyciągnął rękę i uściskał dłoń Sury.

Ala powoli opuściła rękę, odsuwając komunikator od ucha. Choć widać było po niej, że jest wstrząśnięta wieścią o zamordowaniu Sarta i Mury, jej twarz znów przybrała spokojny wyraz.

Opanowanym głosem oznajmiła:

- Wylot Barsamy nie został zablokowany na czas. Baty-skaf opuścił śluzę i w tej chwili jest na otwartym oceanie, kierując się na zachód.

- A zakładnicy? - zapytał Ponu.

- Tylko Arak i Sufa znajdują się na pokładzie. Ismael i Mary zostali uwolnieni i nic im nie grozi - odparła Ala.

- Przepraszam - powiedziała Suzanne, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. To, co słyszała, wydawało się niemożliwe. Przy wszystkich środkach technicznych, jakimi w jej wyobrażeniu dysponowali Interterranie, jej niegdysiejszym kolegom najwyraźniej udało się uciec!

- Sądzę, że musimy teraz zająć się nimi bezpośrednio - stwierdziła Ala, nadal ignorując Suzanne. - Gra idzie o zbyt wysoką stawkę.

- Myślę, że powinniśmy ich zawrócić i skończyć z tym problemem - odezwała się jedna ze Starszych na lewo od Suzanne. Suzanne odwróciła się w jej stronę. W przeciwieństwie do przewodniczącej Rady, ta kobieta wyglądała na dwudziestoparolatkę.

- Jesteście w stanie ich zawrócić? - zapytała z niedowierzaniem. Nic dziwnego, że Starsi nie wydawali się specjalnie przejęci rozwojem wypadków, skoro pod ręką było tak proste rozwiązanie.

- Ja też twierdzę, że musimy ich zawrócić - powiedział Starszy, siedzący po przeciwnej

stronie sali, nie zwracając uwagi na Suzanne. Wyglądał na pięcio- czy sześćoletniego chłopca.

- Czy wszyscy się z tym zgadzają? - zapytała Ala. Odpowiedział jej ogólny pomruk zgody.

23—Uprowadzano

345

- Niech więc tak będzie - oświadczyła Ala. - Wyślemy klona w małym statku międzygalaktycznym.

- Powiedz im, żeby użyli najniższego poziomu mocy — powiedział Ponu, gdy Ala wydawała polecenia do naręcznego komunikatora.

- Co za nieszczęście. To prawdziwa tragedia — odezwał się któryś ze Starszych.

- Nie stanie im się krzywda, prawda? - zapytała Suzanne. Nie dawała za wygraną i, ku jej zaskoczeniu, Ala w końcu odpowiedziała na to pytanie.

- Czy pytasz o swoich przyjaciół?

- Tak! — odparła zniecierpliwiona Suzanne.

- Nie, nic złego im się nie stanie. Będą tylko bardzo zaskoczeni.

- Myślę, że poświęcenie Araka i Sufy powinno zostać podane do publicznej wiadomości — oświadczył Ponu.

- Z pełnymi honorami - dodał inny chłopiec. Znow rozległ się pomruk zgody.

- Czy Arak i Sufa nie zostaną zawróceni razem z nimi? -zapytała Suzanne.

- Ależ tak - odparła Ala. - Wszyscy zostaną zawróceni. Suzanne rozglądała się po Starszych ze zdumieniem. Była zupełnie zdezorientowana.

- Widzę światło na zewnątrz! - zawołał z podnieceniem Perry. Już od kilku godzin płynęli w milczeniu, za jedyne oświetlenie mając światełka przyrządów. Wszyscy byli wyczerpani.

- Ja też - odezwał się Richard z drugiej burty Oceanusa.

- Tak powinno być - stwierdził Donald. - Według przyrządów jesteśmy na głębokości

trzydziestu metrów, a na powierzchni jest teraz świt.

- Brzmi to pocieszająco. Jak myślisz, jak długo jeszcze? -zapytał Perry.

Donald spojrział na ekran sonaru.

- Obserwowałem zarysy dna. Powiedziałbym, że najpóźniej za kilka godzin powinniśmy mieć w zasięgu wzroku wyspy portu w Bostonie.

346

- Super! - wykrzyknęli jednocześnie Richard i Michael. Przybili piątki ponad wąskim przejściem między fotelami.

- Jak stoimy z akumulatorem? - zapytał Perry.

- To jedyny problem - odparł Donald. - Robi się cienko. Być może ostatnie sto metrów będziemy musieli przebyć w pław.

- Nie mam nic przeciwko temu - stwierdził Harvey. -Gdyby trzeba było, puściłbym się w pław aż do Nowego Jorku.

- A co z moją zbroją? - powiedział Michael, nagle zatroskany o swój łup.

- To twój problem, marynarzu. Sam się upierałeś, żeby ją zabrać.

- Pomogę ci, jeśli się ze mną podzielisz - zaproponował Richard.

- Odwal się.

- Nie kłóćcie się - powiedział dobitnie Perry. Na kilka chwil znów zapadła cisza. Tym razem przerwał ją Arak.

- Wydostaliście się z Interterry. Dlaczego zabraliście nas, wiedząc, co się z nami stanie?

- Dla asekuracji - odparł Donald. - Chciałem mieć pewność, że wasza Rada Starszych nie przeszkodzi nam, kiedy opuścimy port Barsamy.

- Przydacie się też, jeśli ktoś będzie na tyle głupi, żeby wątpić w naszą historię - dorzucił Richard. Michael parsknął rubasznym śmiechem.

- Ale my nie przeżyjemy - powiedział Arak.

- Zabierzemy was do Massachusetts General Hospital - odparł Donald. Uśmiechnął się kwaśno. - Przypadkiem wiem, że oni lubią wyzwania.

- To nic nie da - stwierdził pośepnie Arak. - Wasza medycyna jest zbyt prymitywna, żeby nam pomóc.

- Cóż, to wszystko, co możemy zrobić - oświadczył Donald. Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz urwał w pół słowa. Jego uśmiech zgasł.

- Co się stało? - zapytał Perry. W swym zdenerwowaniu był szczególnie wyczulony na zmianę nastroju Donalda.

347

- Widzę coś dziwnego - odparł Donald. Wyregulował obraz z sonaru.

- Co takiego?

- Popatrz na sonar. Wygląda na to, że coś nas ściga, i to Jbardzo szybko.

- Jak szybko?

- To nie może być prawda — stwierdził Donald z rosnącym napięciem w głosie. — Według wskazań przyrządów to coś pędzi pod wodą z prędkością przeszło stu węzłów! — Odwrócił się twarzą do Araka. - To prawda? A jeśli tak, to co to jest, u diabła?

- Przypuszczam, że to interterrański statek międzyplanetarny - odparł Arak, pochylając się do przodu, by zobaczyć obraz.

- Oni wiedzą, że jesteście na pokładzie, prawda? - zapytał Donald.

- Oczywiście - odparł Arak.

Donald odwrócił się z powrotem do przyrządów.

- Nie podoba mi się to - warknął. - Wychodzę na powierzchnię.

- Chyba nic z tego - odezwał się Perry. - Na zewnątrz właśnie zrobiło się ciemno. To musi

wisieć dokładnie nad nami.

Batyskafem wstrząsnęła powolna wibracja.

- Arak, co oni, u diabła, robią?

- Nie wiem. Może chcą nas wciągnąć w służę powietrzną.

- Harvey, może ty wiesz, co się dzieje? - zapytał Donald.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Harvey. Podobnie jak inni, kurczowo trzymał się swego fotela, aż zbieleły mu kostki palców. Wibracja narastała.

Donald chwycił lugera i wymierzył go w Araka.

- Skontaktuj się z tymi skurwysynami i każ im przestać, cokolwiek robią! Jeśli nie, już po tobie.

- Spójrz - zawołał Perry, wskazując na ekran bocznego sonaru. - Widać obraz statku.

Wygląda jak podwójny spodek.

- Och, nie! To nie jest statek międzyplanetarny! To krążownik międzygalaktyczny! -

krzyknął na ten widok Arak.

348

- Jaka to różnica?! - ryknął Donald.

Wibracja nasiliła się do tego stopnia, że trudno było utrzymać się w fotelach. Ciężki, stalowy kadłub batyskafu trzeszczał i jęczał od naprężeń.

- Oni nas zawracają! Sufa, oni nas zawracają! - krzyczał Arak.

- Tylko to im zostało - zaszlochała Sufa. - To wszystko, co mogli zrobić.

Wibracja ustała raptownie, lecz nim ktokolwiek zdążył zareagować, batyskaf wystrzelił w górę. Zostali wciśnięci w fotele z taką siłą, że przez chwilę nie byli w stanie poruszyć się ani nawet złapać tchu. Pęd niemal pozbawił ich przytomności. Towarzyszyło temu dziwne światło, które spowiło kabinę batyskafu. Sekundę później wszystko wróciło do normy - z wyjątkiem nieobecnego

przedtem kołysania, sugerującego działanie fal.

- O Boże! - jęknął Donald. - Co to było, u diabła? - Poruszył się, lecz jego kończyny zdawały się ciężkie, jak gdyby powietrze było lepkie. Poruszył kilkakrotnie rękami i nogami. Już po chwili czuł się zupełnie normalnie. Instynktownie przebiegł wzrokiem po przyrządach i z zaskoczeniem stwierdził, że nie wykazują żadnych odchyłeń. Potem jednak jego wzrok padł na wskaźnik akumulatora. Zamarł z przerażenia. Akumulatory były całkowicie rozładowane. Przyrząd wskazywał, że zużywają już ostatnie resztki energii. Chwilę później dokonał jednak kolejnego zdumiewającego odkrycia: woda miała tu głębokość zaledwie piętnastu metrów! Nic dziwnego, że tak miały nimi fale. Momentalnie przeniósł wzrok na ekran sonaru. Statek Interterran, czy cokolwiek to było, zniknął. Obraz wskazywał natomiast, że dno morza wznosi się w górę. Wydawało się, że od lądu dzieli ich zaledwie pięćdziesiąt metrów.

Pozostali pasażerowie także z wolna wracali do siebie.

- Ciekawe, czy tak właśnie czują się astronauta, kiedy są wystrzeliwani w kosmos - jęknął Perry.

- Jeśli tak, nie piszę się na taką wyprawę - stwierdził Richard.

- To podobne uczucie - powiedział Arak. - Ale nie takie

349

samo. Oczywiście jesteście zbyt mało doświadczeni, by dostrzec różnicę.

- Zamknij się, Arak. Mam cię już dość - warknął Donald.

- Nie wątpię. I zasługujesz na swój los.

- Przygotujcie się do wyjścia - powiedział Donald. - Kończy nam się zasilanie.

- Och, nie! - krzyknął Perry.

- Wszystko w porządku - zapewnił Donald, odrzucając balast za pomocą sprężonego gazu. -

Ląd jest tuż przed nami.

Kołysanie nasiliło się wydatnie, gdy batyskaf wynurzył się na powierzchnię. Korzystając z ostatnich resztek energii, Donald gorączkowo usiłował namierzyć stację LORAN-u. Gdy mu się to nie udało, próbował złapać kontakt z Geosa-tem. Tu również mu się nie powiodło.

-Nic z tego nie rozumiem - mruknął. Podrapał się w głowę. To nie trzymało się kupy. -

Niech ktoś wyjdzie do nadbudówki, otworzy właz i spróbuje ustalić, gdzie jesteśmy. Powinniśmy być w okolicach Boston Harbor.

- Ja pójdę - zaofiarował się Michael. - Znam ten teren jak własną kieszeń.

- Uważaj na te fale - ostrzegł Donald.

- Jak gdybym pierwszy raz był w łodzi - prychnął nurek.

Gdy Michael wspinał się po drabinie do włazu, Donald wyłączył wszystko, co nie miało zasadniczego znaczenia, aby zaoszczędzić tę odrobinę mocy, jaka pozostała w akumulatorach. Ale nic to nie dało. Chwilę później światła zgasły i batyskaf zatrzymał się, miotany bezwładnie przez fale.

W górze Michael otworzył właz. Do pogrążonej w mroku kabiny spłynęło z góry blade światło poranka. Poczuli wilgotne morskie powietrze i usłyszeli ostry, lecz z radością witany krzyk mew.

- To muzyka dla moich uszu - stwierdził Richard.

- Jesteśmy tuż przy brzegu jednej z wysp - krzyknął z góry Michael. - Nie wiem przy której.

W tym momencie batyskaf ze wstrząsem zarył się w piaszczyste dno i zaczął się przechylać na bok.

- Musimy się stąd wynosić! Ta łajba zaraz się przewróci -zawołał Donald.

350

Gdy ludzie drugiej generacji niezdarnie gramolili się z foteli, Arak i Sufa unieśli ręce i czule zetknęli się dłońmi.

- Za Interterre - powiedział Arak.

- Za Interterre - powtórzyła Sufa.

- Chodźcie, obydwój - ryknął na nich Donald. - Batyskaf zaraz się przewróci i zatoni.

Interterranie nie zwrócili na niego uwagi. Z nieobecny wyrazem twarzy siedzieli ze złączonymi dłońmi.

- Jak sobie chcecie - mruknął Donald.

- Niech ktoś przyniesie na górę moją zbroję! - zawołał Michael przez otwarty właz.

Bezludnie wspinali się po drabinie. Batyskaf przechylił się i błotnista woda wpłynęła z hukiem przez właz. Na zewnątrz wszyscy poza Michaeliem skoczyli do wody i rzucili się w stronę pobliskiego brzegu. Michael próbował jeszcze wrócić na dół, ale rozmyślił się, gdy łódź przewróciła się na bok. Niewiele brakowało, a zostałby tam już na zawsze.

Harveyowi trzeba było pomóc w szalejących falach przybrzeżnych, ale wszyscy poza Interterranami zdolali dotrzeć na stromo wznoszącą się plażę, gdzie padli plackiem na rozgrzany piach. Michael jako ostatni wydostał się z cofających się fal. Richard bezlitośnie dokuczał mu z powodu zatopionej zbroi.

Pogoda była wspaniała. Był to łagodny, mglisty letni ranek. Ciepłe promienie słońca iskrzyły się na wodzie, dając przedsmak mocy, z jaką będą prażyć w południe. Po zmaganiach z falami uciekinierzy cieszyli się chwilami odpoczynku, wciągając świeże powietrze, obserwując szybujące mewy i pozwalając, by słońce suszyło kuse, satynowe szatki lepiące im się do ciała.

- Trochę mi przykro z powodu Araka i Sufy - powiedział tęsknie Perry.

Oceanus przewrócił się na bok i wypełnił wodą. Był już dalej od brzegu, niż kiedy go opuścili. Ruch fal ciągnął go z powrotem w morze.

- Mnie nie - odparł Richard. - Jeśli o mnie chodzi, krzyżyk na drogę.

- Ale batyskafu jednak szkoda - stwierdził Donald. - Nie

poleży tu za długo. Prawdopodobnie skończy na dnie poza szelfem kontynentalnym.

Cholera! Miałem nadzieję doprowadzić go aż do Boston Harbor.

Ledwie skończył to mówić, spiętrzyło się kilka szczególnie wielkich fal. Gdy się cofnęły, batyskafu nie było widać.

- Cóż, tak to jest - powiedział Perry.

- Kiedy opowiemy naszą historię, na pewno wszystkim będzie zależało, żeby go wydobyć - stwierdził Michael. - Może nawet trafi do Smithsonian Institution.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Harvey. Uniósł się na łokciu i spojrzał za siebie na płaską, wietrzną wyspę. Na pozór nie było tu nic poza skałą, piaskiem, muszlami i rachityczną trawą.

- Mówiliśmy ci — odparł Donald. — To jedna z wysp Boston Harbor.

- Jak dostaniemy się do miasta? - zapytał Perry.

- Za parę godzin będzie tu pełno statków wycieczkowych - wyjaśnił Michael. - Kiedy ludzie usłyszą naszą historię, będą się bić o zaszczyt przewiezienia nas.

- Marzę o pysznym obiedzie, kiedy będę wiedział, co mam na talerzu - powiedział Perry. - I o telefonie! Chcę zadzwonić do mojej żony i córek. Potem chciałbym spać przez jakieś czterdzieści osiem godzin.

- Popieram - odparł Donald. - Chodźcie! Przejdziemy na nawietrzną. Nawet z daleka rzut oka na stary Boston dobrze zrobi memu sercu.

- Trzymam z tobą - odparł Perry.

Pięciu mężczyzn ruszyło wzdłuż brzegu po twardym piasku plaży. Mimo wyczerpania zaczęli śpiewać. Nawet Donald dał się ponieść wesołości.

Okrążywszy cypel tworzący bok małej zatoczki, wszyscy zatrzymali się jak wryci i ucichli.

Jakieś kilkadziesiąt metrów dalej, w cieniu, stary siwowłosy mężczyzna zbierał małże. Wyciągnął

na brzeg dość spory skiff, którego łaciński żagiel łopotał na silnym wietrze.

- Czyż to nie szczęśliwy zbieg okoliczności? - zauważył Perry.

- Już teraz czuję smak kawy i dotyk czystych prześciera-

352

deł — powiedział Michael. — Chodźcie, zrobimy tego dziadka bohaterem.

Prawdopodobnie pokażą go w CNN.

Z radosnym okrzykiem grupa puściła się biegiem. Na widok gromady wrzeszczących mężczyzn, pędzących ku niemu przez wydmy, rybak wpadł w panikę. Pognawszy co sił w nogach do łodzi, wrzucił do środka swój skopek i sieć i próbował uciec.

Richard pierwszy dotarł na miejsce. Wbiegł po pas w wodę i złapał za rumpel, by powstrzymać łódź.

- Hej, dziadku, po co ten pośpiech? — zapytał.

Rybak w odpowiedzi rozwinął żagiel. Próbował odpędzić Richarda wiosłem, ten jednak złapał je, wyszarpnął mu z rąk i odrzucił na bok. Pozostali wbiegli do wody i uczepili się łodzi.

- Niezbyt przyjazny typ — zauważył Richard. Rybak stał na środku łodzi, mierząc ich wściekłym wzrokiem. Harvey odszukał wiosło i przyniósł je z powrotem.

- Nic dziwnego - powiedział Perry. Spojrzał po sobie, potem na pozostałych. - Jak my wyglądamy! Co wy pomyślelibyście sobie na widok pięciu facetów w damskiej bieliźnie, wybiegających nagle z porannej mgły?

Cała grupa wybuchnęła bezmyślnym śmiechem, wyczerpanie i stres jeszcze podsycaly tę wesołość. Minęło kilka minut, nim zdołali się jako tako opanować.

- Przepraszamy, dziadku - wykrztusił Perry, dusząc się ze śmiechu. - Wybacz nam nasz wygląd i nasze zachowanie. Ale mieliśmy paskudną noc.

- Pewnie za dużo grogu, he? - odparł rybak.

Jego odpowiedź wywołała kolejny atak śmiechu. W końcu jednak doszli do siebie na tyle, by przekonać go, że nie są niebezpieczni i że zostanie hojnie wynagrodzony, jeśli zawiezie ich prosto do Bostonu. Uzgodniwszy tę kwestię, wszyscy wdrapali się do łodzi.

Była to przyjemna przejażdżka, zwłaszcza w porównaniu z pełnymi napięcia godzinami w ciasnej, przyprawiającej o klaustrofobię kabynie batyskafu. Ukojeni słońcem, cichym szeptem wiatru dmącego w żagiel i delikatnym kołysaniem łodzi, wszyscy poza rybakiem zasnęli głęboko, nim skiff okrążył wyspę.

353

Przy silnym wietrze rybak szybko dopłynął do portu. Nie wiedząc dobrze, gdzie ma wysadzić pasażerów, potrząsnął najbliższego z nich za ramię. Perry zareagował niemrawo i przez chwilę miał kłopot z otwarciem oczu. Gdy wreszcie mu się to udało, rybak postawił swoje pytanie.

- Myślę, że wszystko jedno, gdzie - odparł Perry. Usiadł z wielkim trudem. W ustach mu zaschło i paliło go w gardle. Mrugając w jaskrawym świetle słońca, rozejrzał się po przystani.

Potał oczy, zamrugał jeszcze raz i popatrzył przed siebie tępym wzrokiem.

- Gdzie my, u diabła, jesteśmy? - zapytał. Był zbity z tropu. - Myślałem, że płyniemy do Bostonu.

- To jest Boston - powiedział rybak. Wskazał na prawo. - Tamto to Long Wharf.

Perry jeszcze raz potarł oczy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie śni. Przed sobą miał scenę portową z żaglowcami rejowymi, szkunerami i konnymi dwukołowymi wózkami na granitowym nabrzeżu. Najwyższe budynki miały drewniany szkielet i zaledwie cztery lub pięć pięter wysokości.

Walcząc z falą niedowierzania, która graniczyła z przerażeniem, Perry szarpaniem obudził Donalda, krzyżąc, że dzieje się coś dziwnego. Hałas zbudził także pozostałych. Gdy dotarło do nich, co widzą, oni również zaniemówili z wrażenia.

Perry odwrócił się do rybaka, który spuszczał właśnie żagiel.

- Który rok teraz mamy? - zapytał niepewnie.

- Rok pański tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty pierwszy - odparł rybak.

Perry tylko rozdziawił usta. Spojrzał znów na żaglowce.

- Dobry Boże! Oni cofnęli nas w czasie.

- Przestań! - skrzywił się Richard. - To musi być jakiś kawał.

- Może kręcą film - podsunął Michael.

- Nie wydaje mi się - powiedział powoli Donald. - To właśnie miał na myśli Arak, kiedy mówił, że oni nas zawracają. Chodziło o zawrócenie w czasie, nie do Interterry.

354

- Statki międzygalaktyczne muszą dysponować techniką czasową — przyznał Perry. —

Przypuszczam, że tylko w ten sposób możliwe są podróże do innych galaktyk.

- Mój Boże - mruknął Donald. - Jesteśmy załatwieni. Nikt nie uwierzy w naszą historię o Interterze, a technika, która pozwoliłaby nam udowodnić jej istnienie albo wrócić tam z powrotem, jeszcze nie powstała.

Perry skinął głową, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma.

- Ludzie pomyślą, że jesteśmy szaleni.

- A co z batyskafem? - zawołał Richard. - Wróćmy tam!

- Co to da? - zapytał Donald. - Nigdy nie uda nam się go znaleźć, a co dopiero wydobyć.

- Więc i tak nie zobaczę więcej mojej rodziny! - wykrzyknął Perry. - Zrezygnowaliśmy z rajów dla kolonialnej Ameryki? Nie mogę w to uwierzyć.

- Wiecie co, szczury lądowe? W końcu domyśliłem się, skąd jesteście - powiedział rybak, przygotowując wiosła.

- Naprawdę? - zapytał Perry bez zainteresowania.

- Bez dwóch zdań - ciągnął rybak. - Musicie być z tej uczelni nad Charles River. Wy, goście z Harvardu, zawsze robicie z siebie błaznów.

Słowniczek

Astenosfera - warstwa globu ziemskiego, położona na głębokości od 50 do 200 km; stanowi górną część płaszcza (zob. niżej), leżącą bezpośrednio pod litosferą (zob. niżej). Przypuszcza się, że jest względnie płynna i podatna na odkształcenia plastyczne.

Batypelagial - strefa umiarkowanych głębín oceanicznych (600— -3500 m).

Bazalt - ciemna, niemal czarna skała utworzona przez chłodzenie i krzepnięcie stopionych minerałów krzemianowych. Stanowi główny składnik skorupy oceanicznej.

Bruzdnice - organizmy planktonowe (zob. niżej) obejmujące wiele odmian bioluminescencyjnych. Bruzdnice wywołują również tzw. "czerwone przypiływy".

Dajka - płytowa formacja skalna powstała przez krzepnięcie magmy wypchniętej w szczelinę lub rysę skalną.

Ektogeneza - rozwój zarodkowy poza macicą.

Epipelagial — warstwa powierzchniowa oceanu, do której przenika ilość światła dostateczna dla procesu fotosyntezy.

Gabro - ciemna, niekiedy zielonkawa skała, stanowiąca znaczną część najniższych warstw skorupy oceanicznej.

Gameta - męska lub żeńska komórka rozrodcza.

Gorgonie - odmiana koralowców o szkieletach w kształcie wachlarzy i liści.

Graben — rów tektoniczny; blok skalny, który opadł poniżej poziomu otaczających skał.

Gujot - podmorski stożek wulkaniczny o płaskim wierzchołku.

Kaldera - krater utworzony przez zapadnięcie się wierzchołka wulkanu.

Litosfera - sztywna zewnętrzna warstwa Ziemi; obejmuje skorupę oceaniczną i skorupę

kontynentalną.

Mikrosomy - różnego typu drobne twory wewnątrzkomórkowe.

Muł globigerynowy - lekko różowawy osad pokrywający znaczną część dna oceanicznego, złożony głównie z mikroskopijnych szkieletów otwornic (zob. niżej).

356

Nieciągłość Mohorovičića - strefa wewnątrz ziemskiego globu, w której występuje znaczna różnica szybkości rozchodzenia się fal sejsmicznych. Leży na głębokości od 5 do 10 km pod dnem oceanicznym i około 35 km pod kontynentami.

Otwornice - drobne pierwotniaki morskie, których wapienne skorupki tworzą kredę oraz najbardziej rozpowszechniony typ skał wapiennych.

Pangea - pojedynczy superkontynent, który zaczął się rozpadać w erze mezozoicznej na skutek ruchów tektonicznych płyt, dając początek dzisiejszym kontynentom.

Perydotyt - ciemna skała głębinowa.

Plankton - mikroskopijne rośliny (fitoplankton) i zwierzęta (zoo-plankton) występujące w tak olbrzymich ilościach, że stanowią podstawę oceanicznego łańcucha pokarmowego.

Płaszcz — wewnętrzna warstwa globu ziemskiego, położona między litosferą (zob. wyżej) a jądrem.

Skala Richtera - metoda określania siły trzęsień Ziemi.

Termoklina - względnie stabilna, gwałtowna zmiana temperatury w masie wody.

Zygota — komórka powstała przez połączenie dwóch gamet (zob. wyżej), dająca początek nowemu organizmowi.

Wybrana literatura

1. Ballard, Robert, *Explorations: A Life of Underwater Adventure*, Hyperion, New York 1995.

2. Ellis, Richard, *Deep Atlantic: Life, Death and Exploration in the Abyss*. Knopf, New York 1996. Warto sięgnąć choćby ze względu na ilustracje!
3. Ellis, Richard, *Imagmg Atlantis*. Knopf, New York 1998.
4. Kunzig, Robert, *The Restless Sea*. Norton, New York 1999. Wyjątkowo dobrze i ciekawie napisana książka, ukazująca znaczenie i zakres zainteresowań oceanografii.
5. Verne, Jules, *Yoyage au Centre de la Terre*. Paris 1864. (Przekład angielski: *Voyage to the Center of the Earth*. Kensington, New York 1999; wyd. poi. *Wyprawa do wnętrza Ziemi*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990.)
6. Verne, Jules, *Yingt Mille Lieues Sous les Mers*, Paris 1870. (Przekład angielski: *Twenty Thousand Leagues Under the Sea*, United States Naval Institute, Annapolis, Maryland 1993; wyd. poi.: *20 000 mil podmorskiej żeglugi*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1989.)

REBIS